

Deveraux Jude

**ZAPROSZENIE**

# Księga I

## Zaproszenie

### 1

1934

Jackie prowadziła samolot, więc była szczęśliwa.

Unosząc się wysoko, ścigając z wiatrem, puszczając oko do zachodzącego słońca, przeciągnęła się i samolot też się przeciągnął. Poruszyła się z boku na bok i samolot pomachał skrzydłami. Kadłub był przedłużeniem jej ciała, więc władła powietrznym statkiem tak łatwo jak ręką czy nogą. Uśmiechnęła się i położyła maszynę na skrzydło, żeby ogarnąć wzrokiem cudowny płaskowyż Kolorado.

Nie chciała wierzyć własnym oczom. W samym środku bezludzia wiele mil od najbliższej drogi, stało auto. Może zostało porzucone? - pomyślała. Zawróciła pod ostrym kątem, żeby jeszcze raz obejrzeć dziwne zjawisko. Wczoraj pojazdu nie było, więc może ktoś potrzebował pomocy.

Spikowała najniżej, jak się dało, byle tylko wystrzelające na dwadzieścia stóp drzewa *pinon* nie szorowały po poszyciu kadłuba. Za drugim przelotem zobaczyła człowieka. Odkoczył od samochodu i pomachał jej ręką. Uśmiechnęła się i zawróciła do bazy. Więc nic się nie stało. Zaraz po wylądowaniu na pasie startowym w Eternity zadzwoni do szeryfa, żeby wysłał pomoc podróżnikowi, który wpadł w tarapaty.

Zachichotała w duchu. W Kolorado podróżnikom często groziły tarapaty. Gapili się na płaski krajobraz przy drodze i zachciewało się im bliższego kontaktu z naturą. Nie brali jednak pod uwagę kolców długości małego palca i kamieni, których ostrych brzegów nie starty rześiste zeszłoroczne deszcze.

Może dlatego, że się śmiała i nie uważała, nie spostrzegła ptaszyska wielkości owieczki, które wpadło prosto w śmigło. Wątpliwe, by zdołała je ominąć, ale przynajmniej by spróbowała. Tymczasem wypadki potoczyły się bardzo szybko. Jeszcze przed chwilą leciała spokojnie do domu, a teraz miała gogle zupełnie oblepione okrwawionymi piórami. W dodatku samolot tracił wysokość.

Jackie była dobrym pilotem, jednym z najlepszych w Ameryce. Nie brakowało jej doświadczenia. Licencję zdobyła w wieku lat osiemnastu i teraz, mając trzydzieści osiem była starym wygą. Ale cała wiedza i umiejętności na nic się zdały przy tym ptaszysku. Kiedy silnik zaczął przerywać, wiedziała, że czeka ją lądowanie ze zgaszonym motorem, bez ciągu. Błyskawicznie zdjęła okulary i rozejrzała się za prowizorycznym pasem startowym Szukała szerokiej, długiej polany, bez drzew i kamieni, które mogłyby zagrozić skrzydłom

Taką możliwość stwarzała jedynie stara droga prowadząca do wymarłego miasteczka Eternity. Nie miała pojęcia, co zdążyło wyrosnąć na szlaku podczas wielu lat nieużywania ani czy nie jest zatarasowany, ale nie miała wyboru. W mgnieniu oka ustawiła dziób prosto na pas i rozpoczęła lądowanie. Drogę kołowania blokował wielki głaz narzutowy, który zapewne stoczył się tu podczas wiosennej odwilży, i Jackie modliła się, by zatrzymać samolot, nim wyrznie w monstualny kamień.

Fortuna nie była dla niej łaskawa i Jackie wryła się w przeszkodę. W chwili katastrofy usłyszała okropny trzask niszczonego śmigła. Potem nic już do niej nie docierało. Poleciała głową w przód i uderzyła o wolant, tracąc przytomność.

Kiedy się ocknęła, para silnych męskich ramion wynosiła ją z samolotu.

-Czy jesteś moim rycerzem wybawcą? - zapytała sennie. Czuła strumyczek czegoś ciepłego na twarzy. Kiedy próbowała wytrzeć to dłonią wydało się jej, że widzi krew, ale jej oczy nie pracowały jak należy i było już dość ciemno. - Jestem ciężko ranna? - zapytała. Wiedziała, że nie usłyszy prawdy. Była świadkiem kilku katastrof lotniczych. Pogruhotani

piloci wydawali ostatnie tchnienie, a wianuszek widzów zaklinał się, że jutro będą mogli stanąć na nogach.

-Nie sądzę - rzekł mężczyzna. - Wydaje mi się, że tylko nabiłaś sobie guza. To nieznaczne pęknięcie czaszki.

-Och, w takim razie nie ma obaw. Mam najtwardszą głowę świata.

Wyglądało na to, że jej ciężar wcale nie sprawia mu kłopotu. Walcząc z mdłościami, uniosła głowę, jak mogła najwyżej. W gasnącym świetle dnia mężczyzna prezentował się wspaniale, ale Jackie natychmiast sobie przypomniała, że właśnie dorobiła się pęknięcia czaszki, była przekonana, że nieznajomy ma trzy głowy i sześcioro oczu. Rozbić się na kompletnym pustkowiu i trafić na przystojnego wybawcę? O, nie! Takie przychylnie zbiegi okoliczności nie trafiają się,

-Jak się nazywasz? - zapytała z trudem. Nagle poczuła wielką senność,

-William Montgomery - odrzekł.

-Montgomery z Chandler?

Gdy potwierdził, Jackie przytuliła się mocniej do szerokiej, silnej piersi i westchnęła błogo. Przynajmniej nie musi się niczego obawiać. Jeśli to Montgomery z Chandler, to jest szlachetny, prawy i nie wykorzysta tej sytuacji; Montgomery'owie byli uczciwi i godni zaufania zawsze i wszędzie.

Wielka szkoda, pomyślała.

Oddalili się nieco od samolotu i dotarli do auta, które ledwo rysowało się w półmroku. Mężczyzna łagodnie posadził Jackie na ziemi. Wziął ją pod brodę i popatrzył jej w oczy.

-Nie ruszaj się stąd. Zaczekaj na mnie. Wyjmę koce z samochodu, a potem rozpalę ognisko Czy ktoś zacznie cię szukać, jeśli nie pokażesz się na lotnisku?

-Nie szepnęła. Ten głos ten władczy ton był jej miły; pozwalał sądzić że mężczyzna zajmie się wszystkim również nią.

-Planowałem spędzenie tu nocy więc mnie też nikt nie będzie szukał – powiedział. Kiedy odejdę, nie zasypiaj dobrze? Jeśli miałaś wstrząs mózgu to po zaśnięciu możesz już nigdy więcej się nie obudzić Rozumiesz?

Sennie pokiwała głową i popatrzyła za odchodzącym. Ale przystojniak pomyślała kładąc się na boku i natychmiast zapadając w sen.

Kilka sekund później potrząsał nią

-Jackie! Jacqueline! - powtarzał w kółko, aż wbrew sobie rozwarła powieki i popatrzyła na niego

-Skąd wiesz, jak się nazywam? - spytała - Spotkaliśmy się już? Znam tylu Montgomerych że mi się mylą. Ty jesteś Bill?

-William. Tak, spotkaliśmy się już ale na pewno mnie nie pamiętasz. To nie było ważne spotkanie

-Ważne spotkanie - powiedziała zamykając oczy. William uniósł ją do pozycji siedzącej, otulił kocem i roztarł jej ręce.

-Nie zasypiaj. - Jackie powiedział i usłyszała w jego głosie rozkazujący ton, - Nie zasypiaj i mów do mnie Opowiadaj mi o Charleyu.

Na wzmiankę o nieżyjącym mężu przestała się uśmiechać.

- Chariey zmarł dwa lata temu

William rozglądał się za drewnem na ognisko równocześnie obserwując Jackie. Szybko zapadał zmrok Kaktusy i krzewy były ledwo widoczne. Wielokrotnie spotkał się z jej mężem i bardzo przypadł mu do gustu: wielki, tęgi, siwy mężczyzna który śmiał się dużo, mówił dużo, pił dużo i potrafił latać na wszystkim co tylko miało śmigło.

Patrząc na senną Jackie wiedział że musi ją ogrzać nakarmić i powstrzymać od zaśnięcia. Była w szoku i po kontuzji, więc bał się, że jeśli przymknie oczy może ich już nigdy nie otworzyć.

-Jackie! - powiedział ostro. - Opowiedz mi o swoim największym kłamstwie.  
-Nie kłamię - rzekła sennie. - Nie umiem kłamać. Zawsze wpadam  
-Ależ na pewno kłamiesz. Każdy kłamie. Mówisz jakiejś kobiecie, że ma wspaniały kapelusz, choć jest koszmarny. Nie pytałem, czy w ogóle kiedykolwiek kłamałaś. Chcę usłyszeć o twoim największym kłamstwie. - Rozglądał się za drewnem i równocześnie wykrzykiwał pytania. Nie mógł pozwolić, by zasnęła.  
-Często nie przyznawałam się mamie, gdzie byłam.  
-Stać cię na coś lepszego.  
Odezwała się głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym.  
-Powiedziałam Charleyowi, że go kocham.  
-A nie kochałaś go? - William prowokował ją do dalszego mówienia Cisnął naręcze dREW koło jej stóp.  
-Nie od razu. Był starszy ode mnie o dwadzieścia jeden lat i na początku traktowałam go jak ojca. Często zwiewałam ze szkoły i spędzałam popołudnia z nim i z samolotami. Pokochałam samoloty od pierwszego wejrzenia.  
-Więc wyszłaś za Charleya, żeby być bliżej nich.  
-Tak - rzekła głosem pełnym poczucia winy. Wyprostowała się i przyłożyła dłoń do zakrwawionej głowy, ale William odsunął jej rękę, odwrócił głowę Jackie ku sobie i chusteczką starł krew z jej twarzy.  
-Mów dalej - powiedział upewniwszy się, że rozcięcie jest drobne. - Kiedy uświadomiłaś sobie, że go kochasz?  
-W ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Dopiero w pięć lat po ślubie Chariey leciał w zadymce, zgiął się i kiedy pomyślałam, że może nigdy go nie zobaczę, zrozumiałam, jak bardzo go kocham.  
Przez chwilę obserwowała Williama. Pochylony nad stosem drewna, usiłował rozpałić ogień.  
-A co z tobą?  
-Ja nigdy nie powiedziałem Charleyowi, że go kocham.  
Jackie uśmiechnęła się.  
-Ależ nie... Jakie jest twoje największe kłamstwo?  
-Powiedziałem ojcu, że to nie ja wgniotłem błotnik naszego auta.  
-Ho, ho - zakpiła Jackie, czując napływ lekkiego ożywienia. - To wcale nie takie straszne kłamstwo. Nie stać cię na nic lepszego?  
-Powiedziałem matce, że to nie ja zjadłem placek truskawkowy. Powiedziałem bratu, że to siostra złamała mu procę. Powiedziałem...  
-Dobra, dobra! - Zaśmiała się. - Już wiem. Jesteś wytrawnym kłamcą. W porządku, mam do ciebie pytanie: co najgorszego kobieta może powiedzieć mężczyźnie?  
William nie zawahał się.  
-„Który z tych kompletów sztućców najbardziej chciałbyś mieć?”  
Na twarzy Jackie pojawił się szeroki uśmiech. Ten mężczyzna zaczynał jej się podobać, a ciężka ospałość powoli ustępowała.  
-Co najgorszego mężczyzna może powiedzieć kobiecie? - zapytał.  
Jackie popisała się równie szybką odpowiedzią.  
-Kiedy są razem na zakupach i on pyta: „A właściwie to czego szukasz?”  
Ze śmiechem podszedł do samochodu, otworzył drzwi i zaczął wyładowywać ekwipunek obozowy.  
-Co najmiłszego mężczyzna może powiedzieć kobiecie?  
-Kocham cię. To znaczy, jeśli mówi szczerze. Jeśli kłamie, powinien dostać tęgie lanie.  
A ty? Co według ciebie jest najmiłsze?  
-Tak - rzekł.

-Co „tak”?

-„Tak” to najwspanialsze słowo, jakie kobieta może powiedzieć mężczyźnie.

Jackie wybuchnęła śmiechem.

-Na jakiegokolwiek pytanie? Bez względu na to, o co zapytałbyś kobietę, najbardziej chciałbyś usłyszeć właśnie to?

-Przynajmniej od czasu do czasu naprawdę miło byłoby usłyszeć z kobiecych ust: „tak”.

-Och, no przestań, taki mężczyzna jak ty w żadnej sytuacji nie usłyszał od kobiety: „tak”?

Obładowany kocami, manierkami i koszem zjedzeniem, uśmiechnął się do niej szeroko.

-Raz czy dwa, ale na tym koniec.

-Dobra, teraz moja kolej. Co zrobiłeś najlepszego w tajemnicy przed wszystkimi?

-To byłoby chyba dodanie nowego skrzydła do szpitala w Denver. Posłałem pieniądze anonimowo.

-O rany - jęknęła. Przypomniała sobie, jak bogaci są Montgomery'owie.

-A ty?

Jackie zaczęła się śmiać.

-Charley i ja byliśmy małżeństwem od jakichś czterech lat, a przy nim nie było mowy, by zatrzymać się w jednym miejscu na tak długo, żeby poznać nazwiska sąsiadów, co dopiero zapuścić korzenie. Ale tamtego roku wynajęliśmy domek z bardzo przytulną kuchnią więc na Święto Dziękczynienia postanowiłam zrobić Charleyowi wspaniały obiad. Przez dwa tygodnie nie mówiłam o niczym innym jak tylko o tym obiedzie. Sporządziłam listę, zrobiłam zakupy w święto wstałam o czwartej rano i zaczęłam piec indyka. Charley wyszedł z domu koło południa, ale obiecał zjawić się do piątej, kiedy wszystko będzie gotowe do podania. Miał ściągnąć do domu kilku pilotów z lotniska. Zapowiadało się przyjęcie. Zrobiła się piąta, a Charleya ani śladu. Zrobiła się szósta i po szóstej potem siódma. O północy zasnęłam, ale byłam tak wściekła że spałam zwinięta w kłębek na środku łóżka. Następnego ranka najpierw zobaczyłam Charleya chrapiącego na kanapie, a potem ruinę mojego wielkiego obiadu. Wiesz, co zrobiłam?

-Dziwię się, że Charley przeżył to wydarzenie.

-Nie powinien, ale uznałam, że najgorszą karą będzie pozbawienie go obiadu. Więc zawinęłam wszystko w jutowe worki, pojechałam na lotnisko, wzięłam samolot Charleya i poleciałam w góry. Mieszkaliśmy wtedy w zachodniej Wirginii, więc to były Smokies. Wypatrzyłam rozpadającą się chałupę na stoku wzgórza - z komina ledwo dymiło. Zrzuciłam worki prosto na werandę. -Podciągnęła kolana i westchnęła. - Do tej chwili nikomu o tym nie opowiedziałam. Podobno ta rodzina mówiła później, że anioł z nieba zrzucił im jedzenie.

W trakcie tego opowiadania William zdążył rozpalić ogień. Uśmiechnął się do niej.

-Podoba mi się ta opowieść. Co powiedział Charley, kiedy nie dostał indyka?

Wzruszyła ramionami.

-Charley był szczęśliwy jedząc indyka, i równie szczęśliwy, kiedy dostawał talerz fasoli. W sprawach kulinarnych liczyła się dla niego ilość, nie jakość. - Zmieniła temat. - Co najgorszego przydarzyło ci się w życiu?

Odpowiedział bez namysłu.

-Urodziłem się bogaty. Jackie gwizdnęła cicho.

-Można by pomyśleć, że to najlepsza rzecz, jaka ci się zdarzyła.

-To prawda. To najlepsze i najgorsze.

-Chyba cię rozumiem.

Zastanawiała się nad tym, a tymczasem William zwilżył chusteczkę wodą z manierki i podtrzymując Jackie za podbródek, wziął się do oczyszczania rany z boku głowy.

-Jaki masz najgłębszy, najbardziej mroczny sekret, coś, czego nigdy nikomu nie

powiedziałaś? - zapytał.

-To już nie będzie sekret, kiedy go powiem.

-Czy myślisz, że go komuś wygadam?

Odwróciła głowę, żeby mu się przyjrzeć. Cienie z ogniska padły na tę przystojną twarz: ciemne włosy, ciemne oczy, ciemna skóra, długi nos Montgomerych. Może był to wpływ dziwnych okoliczności, mroku nocy, która ich otaczała, ogniska, przy którym siedzieli, ale przysunęła się do Williama.

-Będąc żoną Charleya, pocałowałam innego mężczyznę - szepnęła.

-To wszystko?

-Według mnie to okropne. A co z tobą?

-Nie dotrzymałam zobowiązania.

-Czy to naprawdę takie straszne? Jeśli zmieniłeś zdanie...

-To było złamanie obietnicy i ona uważała, że to jest okropne.

-Ach, rozumiem - uśmiechnęła się Jackie i objęła kolana rękoma. - Co najbardziej lubisz jeść?

-Lody. Wybuchnęła śmiechem.

-Ja też. Ulubiony kolor?

-Niebieski. A twój? Spojrzała na niego.

-Niebieski.

Usiadł przy Jackie. Otrzeptał ręce z kurzu. Kiedy Jackie zadygotała w zimnym, górskim powietrzu, objął ją w sposób zupełnie naturalny i złożył jej głowę na swojej piersi.

-Można?

Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Jak dobrze poczuć ciepło drugiego człowieka. Charley zawsze darzył ją pieszczotami i czułością często siadywała mu na kolanach wtulała się w jego ramiona, kiedy czytał jej na głos jakieś lotnicze czasopismo Nie była świadoma że zapada w sen dopóki nie otrząsnęła się na dźwięk głosu Williama

- Czego w życiu najbardziej żałujesz? - zapytał ostro.

- Ze nie mam figury Mae West - odpowiedziała szybko. Często skarżyła się Charleyowi, że faceci traktują ją jak kumpla, bo wygląda jak oni: ostre rysy twarzy kwadratowy podbródek, szerokie ramiona wąskie biodra długie nogi.

- Chyba żartujesz? - w głosie Williama zabrzmiało niedowierzanie. Jesteś najpiękniejszą kobietą jaką w życiu spotkałem. Ile to razy stawałem jak wryty widząc jak idziesz ulicami Chandler!

-Naprawdę? - zapytała już kompletnie rozbudzona. - Jesteś pewien, że wiesz, kim jestem?

-Jesteś wielką Jacqueline O'Neill. Wygrałaś wszystkie lotnicze nagrody, jakie były do zdobycia. Byłaś w każdym punkcie globu. Raz utknęłaś na trzy dni w śniegach Montany, ale udało ci się ujść z życiem.

-Prawdę mówiąc, to zjechałam w dół po zboczu. Tylko szczęśliwy traf sprawił, że wylądowałam w jakimś kowbojskim obozowisku

Wiedział że kłamie gdyż w owym czasie czytał wszystko na jej temat. Po katastrofie lotniczej podczas zamieci uratowała się schodząc po stromym górskim stoku. Korzystała z nawigacji astronomicznej, za dnia kierując się położeniem słabego słońca a nocą gwiazd. Nie straciła głowy często układała na śniegu wielkie strzały z gałęzi żeby wskazać ślad szukającym samolotom. William z uśmiechem objął ją mocniej i z przyjemnością poczuł że przyłgnęła do niego.

-A powiedz jak ja chodzę? - zapytała ostrożnie nie chcąc sprawić wrażenia że doprasza się o komplement choć właśnie to robiła.

- Długimi krokami, które połykają ziemię. Dorośli mężczyźni przerywają pracę, żeby tylko popatrzeć za tobą jak idziesz z wyprostowanymi ramionami i podniesioną głową a twoje

piękne włosy rozwiewa wiatr, twoje...

Jackie zaczęła się śmiać.

-Gdzie ty się podziewałaś przez całe moje życie?

-Byłam tu, właśnie w Chandler, czekając na dzień, w którym wrócisz.

-Mógłbyś czekać wiecznie, bo nigdy nie wyobrażałam sobie, że to nastąpi. Dawniej nie mogłam usiedzieć na miejscu. Chciałam tylko wydostać się z tej małej, odciętej od świata miejsciny. Chciałam wyruszyć w drogę, poznawać nowe miasta i widzieć nowe rzeczy.

-I udało ci się. Czy okazało się to tak wspaniałe, jak się spodziewałaś?

-Z początku tak, ale po siedmiu czy ośmiu latach zaczęło mi zależeć na tym, żeby mieć skrzynkę z kwiatami. Chciałam zasiać nasiona i patrzeć, jak kiełkują. Chciałam mieć pewność, że miejsce, w którym złożę głowę do snu, będzie tym samym, w którym się obudzę.

-Więc po śmierci Charleya wróciłaś do ponurego, kochanego Chandler?

-Tak. - Uśmiechała się, przytulona do jego piersi. - Nudne, kochane Chandler, w którym nic się nie zmienia i w którym wiedzą sąsiedzi, na czym kto siedzi.

-Czy teraz jesteś szczęśliwa?

-Czy... Hej! Dlaczego tylko ja opowiadam? A co z tobą? Dlaczego nie spotkałam cię do tej pory? A prawda, to nie było „znaczące spotkanie”. Nie sądzę, żebym cię spotkała, bo bym cię pamiętała.

-Dziękuję ci. Uważam to za komplement. - Odsunął się od niej, by dorzucić dREW do ognia. - Co powiesz na jedzenie? Kanapka? Pikle?

-Już mi ślinka leci.

Dałaby sobie głowę uciąć, że William nie chce mówić o ich pierwszym spotkaniu. Pewnie dała mu po nosie. Często robiła to mężczyznom. Dumanie pozwalała jej zachować się inaczej. Wołała już powiedzieć chłopakowi, że ani się jej śni stracić głowę na potańcówce dla takiego jak on ropucha, niż wyznać prawdę - że nie stać jej na nową sukienkę.

Dorastała w Chandler. Kiedy umarł ojciec, gdy miała dwanaście lat, matka, która uważała się za piękność z Południa, rozłożyła się na kanapie i spędziła tam następne sześć lat. Mieli pieniądze z ubezpieczenia i brat matki coś dosyłał, ale ledwo tego wystarczało. Obowiązkiem Jackie było troszczenie się, żeby ich niszczący stary dom na skraju miasta nie runął im na głowę. Podczas gdy inne dziewczyny uczyły się nakładać szminkę, Jackie w czasie weekendów reperowała dach. Cięła drewno, wymieniała sztachety, naprawiała werandę, wstawiała nowe stopnie, kiedy stare się wytarły. Umiała posługiwać się piłą, ale nie miała pojęcia, jak używać pilniczka do paznokci.

Pewnego dnia, kiedy miała osiemnaście lat, ujrzała na niebie samolot, który włókł przywiązany do ogona transparent. Nazajutrz w miasteczku miały odbyć się pokazy lotnicze. Matka Jackie - zdrowa jak rydz - zdecydowała się zemdleć tego dnia, gdyż nie chciała zostać w domu sama. Ale Jackie poszła na pokazy i poznała tam Charleya. Kiedy trzy dni później opuszczał miasteczko, u jego boku siedziała Jackie. Następnego tygodnia wzięli ślub.

Matka wróciła do Georgii, gdzie jej brat stawiał czoło hipochondrii siostry i zaprzął ją do pracy przy sześciorgu swoich dzieciach. Sądząc z listów wysyłanych przez matkę aż do śmierci, która nastąpiła kilka lat później, było to najlepsze, co się jej przytrafiło. Po opuszczeniu Chandler żyła bardzo szczęśliwa na łonie rodziny.

-Dwadzieścia lat - szepnęła Jackie.

-Co?

-Minęło dwadzieścia lat, odkąd wyjechałam z Charleyem. Czasem wydaje się, że to było wczoraj, a czasem myślę, że minęły trzy ludzkie życia. - Popatrzyła na Williama. - Czy spotkaliśmy się, zanim wyjechałam z Charleyem?

-Tak - uśmiechnął się. - Wtedy się spotkaliśmy. Wielbiłem cię, a ty nigdy nawet na mnie nie popatrzyłaś.

Roześmiała się.

- Wierzę. Tyle było we mnie młodzieńczej dumy.

- Nadal jest.

- Duma może mi została, ale młodość odeszła.

William popatrzył na nią Siedział po drugiej stronie ogniska. Jackie pomyślała, że jest na nią zły. Już zamierzała spytać, co się stało, kiedy szybkim krokiem okrążył ognisko, wziął ją w ramiona i mocno pocałował w usta.

Jackie całowała tylko dwóch mężczyzn w swoim życiu: swojego męża, Charleya, i pilota, który właśnie odlatywał i mógł nigdy nie wrócić. Żaden z tamtych pocałunków nie przypominał tego. Ten mówił: chciałbym się z tobą kochać, chciałbym spędzić z tobą noc, chciałbym cię wziąć w ramiona i pieścić.

Kiedy wypuścił ją z uścisku głośno osunęła się na ziemię Myślę że nadal jest w tobie trochę młodości - rzekł sarkastycznie William i wrócił do grzebania w ognisku

Milczała jak zamurowana, ale nie mogła oderwać oczu od mężczyzny. Za żadne skarby świata nie mogła go sobie przypomnieć. W liceum było paru Montgomerych, ale nie pamiętała żadnego Williama. Oczywiście wszyscy Montgomery'owie mieli po pięć sześć imion przed nazwiskiem. Może wołano na niego inaczej, na przykład Flash albo Rex może dziewczęta po prostu mówiły na niego Cudny.

Po pocałunku zapadła między nimi dziwna cisza, którą po chwili przerwał William.

- Jakie są twoje trzy największe życzenia? - spytał z ożywieniem

Otworzyła usta, ale zamknęła je z powrotem i popatrzyła na niego bezradnie.

- Daj spokój, nie mogą być aż tak straszne - powiedział. - Czego byś chciała?

- Wcale nie są straszne. Chodzi o to, że są... są takie szare.

- Jackie O'Neill, największa kobieta-pilot, jaką widział świat, ma szare marzenia? Niemożliwe.

Uświadomiła sobie, że nie chce się do nich przyznać, by nie sprawić mu zawodu. Wydawało się, że wie o niej wszystko - jeśli można wiedzieć cokolwiek o drugiej osobie na podstawie książek, pobitych i ustanawianych rekordów oraz przesadnych gazetowych relacji, które całkiem zwyczajnym wydarzeniem nadają niezwykły kolor.

- Chcę zapuścić gdzieś korzenie, gdzieś osiąść, a Chandler wydaje mi się znajome - rzekła. - Teraz, kiedy ujrzałam resztę świata, wiem, że Chandler to miła miejscina. Ale bez środków do życia nie mogę nigdzie zatrzymać się na stałe. - Chciał coś powiedzieć, więc podniosła rękę. - Wiem, wiem, twoja rodzina i Taggartowie płacą mi dobrze, kiedy chcą gdzieś polecieć, ale nigdy nie dojdę do pieniędzy, pracując dla jednego zleceniodawcy. Chcę wynająć kilku młodych pilotów, otworzyć mały interes. Chciałabym wziąć trochę pracy na siebie, na przykład wozić pasażerów i fracht do Denver. Może jakąś pocztę. Ale potrzebuję kapitału do rozkręcenia interesu.

- Ale... - Przerwał, bo trudno było mu znaleźć słowa, które by jej nie uraziły.

Jackie zgadła jego myśli,

- Jackie O'Neill, największa kobieta-pilot tego stulecia, sprowadzona do roli listonosza, wożącego pocztę z Kolorado na Wschodnie Wybrzeże. Królowa szybkiej beczki zmuszona do targania ze sobą kartek pocztowych. O zgrozo! Co za tragedia! Czy nie tak myślisz.

William opuścił głowę, ale widziała, że twarz ma czerwoną jakby odbijał się w niej płomień. On się rumieni, pomyślała.

- Wszystkie te brawurowe numery dobre są dla dzieciaków. Ja już *przez* to przesłam.

Usiadł blisko i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jestem pewien, że gdybyś chciała, to udałoby ci się założyć ten interes. Są sposoby na rozkręcenie takiej sprawy.

Jeśli ktoś ma tyle forsy, co Montgomery'owie, odpowiedziała w duchu.

- Nawet bardzo, bardzo dobrzy piloci potrzebują samolotu, a mój, kiedy widziałam go po raz ostatni, miał dziób wbity w trzytonowy głaz.



- Rozumiem, o co ci chodzi. - Objął ją ale patrzył w ziemię. - Życzenie numer dwa  
- O nie. Chcę usłyszeć twoje życzenie numer jeden.  
- Mam tylko jedno życzenie. Chciałbym dokonać czegoś własnymi siłami, czego za pieniądze Montgomerych nie można kupić.

Popatrzył na nią

- Twoja kolej. Drugie życzenie.

- Kręcone włosy. Rozśmieszyło go to.

- Powiedz prawdę. Poza interesem musi być w twoim życiu jeszcze coś, czego pragniesz. - Powiedział to tak, jakby sprawiła mu zawód, nie marząc o latającym dywanie albo pokoju światowym. - Co powiesz na nowego męża?

W jego głosie było tyle nadziei, że roześmiała się.

- Zgłaszasz się?

- Przyjęłabyś moją propozycję?

Słyszając w jego głosie entuzjazm i powagę, spróbowała się odsunąć, ale trzymał ją mocno.

- W porządku będę grzeczny

- A jakie jest twoje drugie życzenie?

- Chciałbym być tak dobrym człowiekiem jak mój ojciec.

- Przy twoich kłamstwach daleko ci nawet do panien Beasley, Roześmiał się i napięcie między nimi zelżało.

- Więc nie wyjawisz mi pozostałych życzeń, tego, czego oczekujesz od życia?

- Gdybym ci powiedziała pomyślałabyś że jestem śmieszna.

- Spróbuj.

W jego zachowaniu było coś tak poważnego, że zapragnęła wyznać mu prawdę W towarzystwie przyjaciół Charleya wymyśliłaby coś zabawnego na przykład wybranie Taggie, ale teraz chciała powiedzieć to na czym jej naprawdę zależało.

- W porządku Najbardziej zależy mi na normalności. Przez pierwsze dwanaście lat życia miałam niedomagającego ojca i matkę hipochondryczkę Po śmierci ojca miałam niesprawną matkę. Marzyłam o szkolnych potańcówkach i tym podobnych rzeczach, ale żadne z moich pragnień się nie spełniło Jedno z rodziców zawsze mnie potrzebowało Przez ostatnie dwadzieścia lat podróżowałam latałam i prowadziłam niezwykle ekscytujące życie. Czasem wydawało mi się że każdy dzień przynosi nowe, pasjonujące wydarzenie Charley był równie niespokojny i zmienny jak matka była stała. Jadłam lunch w Białym Domu, byłam w połowie państw świata poznałam rzeszę sławnych ludzi. Po tym, jak...

Zerknęła nieznacznie na Williama. Kilka lat temu podjęła się zadania które uważała za swój obowiązek w następstwie czego znalazła się na ustach całej Ameryki. - Moja fotografia była w gazetach.

- Amerykańska heroina - powiedział. Oczy mu błyszczały

- Może. Kimkolwiek byłam, uwielbiałam to wszystko.

- Ale nagle Charley zmarł i ty się zmieniłaś. - W jego głosie zabrzmiała zazdrość.

- Nie, to stało się wcześniej. W którymś momencie zrozumiałam, że ludzie chcą moich autografów ze względu na siebie, nie na mnie. Nie zrozum mnie źle. Uwielbiałam to wszystko. Ale w dzień po tym, jak Charley i ja w osobnych samolotach spędziłyśmy trzy doby bez chwili snu, latając do utraty sił i walcząc z szalejącym pożarem lasu, dowiedziałam się, że dzwoni do mnie prezydent z gratulacjami. Siadłam na krześle w jakimś marnym biurowym pokoiku i pomyślałam: „Dość tego.” - Uśmiechnęła się. - Myślę, że gdy dochodzisz do takiego stanu, w którym telefon od prezydenta Stanów Zjednoczonych wywołuje w tobie jedynie znużenie, to czas zająć się czymś innym.

William milczał przez chwilę.

- Normalność. Powiedziałaś, że chcesz normalności. Co to jest normalność?

Uśmiechnęła się szeroko.

- A skąd mam wiedzieć? Nigdy tego nie widziałam, co dopiero mówić o przeżywaniu. Ale nie sądzę, żeby telefony od prezydenta, picie szampana w balonach, mieszkanie w hotelach i przechodzenie od bogactwa do nędzy w ciągu jednego dnia było normalne, To podniecające, ale również bardzo męczące.

Roześmiał się.

-To prawda, że wszyscy pragniemy tego, czego nie mamy. Ja miałem najnormalniejsze życie w świecie. Chodziłem do liceum, studiowałem zarządzanie i po college'u wróciłem do Chandler, by pomagać w prowadzeniu rodzinnego interesu. Najbardziej podniecającą rzeczą jaką przeżyłem, były trzy dni spędzone w Meksyku z jednym z braci.

-I?

-Co „i”?

-I co robiłeś podczas tych trzech dni w Meksyku?

-Jadłem. Zwiedzałem Trochę łowiłem ryby. - Urwał. - Dlaczego się śmiejesz?

-Dwaj przystojni, samotni młodzieńcy w takim gnieździe rozpusty jak Meksyk i chodziliście oglądać widoczki? Nawet się nie upiliście?

-Nie. - William uśmiechał się. - Co najbardziej podniecającego zrobiłaś?

-Trudno mi się zdecydować. Pętle połączone z beczką są dość podniecające. - Uniosła głowę. - Pewnego razu dobierał się do mnie wenecki książę.

-Uważasz to za podniecające? - zapytał zimno William.

-Oczywiście, kiedy się weźmie pod uwagę, że lecieliśmy na dziesięciu tysiącach stóp i czołgał się do mnie w kabinie. Kilka ślizgów i wrócił na fotel. Potem płakał, że samolot to jedyne miejsce, w którym jeszcze nie kochał się z kobietą.

William roześmiał się.

-Mów dalej. Lubię słuchać, kiedy opowiadasz o swoim życiu. Moje się do niego nie umywa.

-Nie jestem tego pewna. Raz lądowałam ze zgaszonym silnikiem w samolocie pozbawionym podwozia, z jednym skrzydłem i połówką drugiego To bardziej podniecające niż mogłabym sobie życzyć

-Jak kraj najbardziej ci się podobał?

-Wszystkie. Nie mówię poważnie. Każdy kraj ma coś wartego pochwały i starałam się nie zwracać uwagi na gorsze strony

William przez kilka chwil w milczeniu wpatrywał się w ogień

-Charley był bardzo szczęśliwym mężczyzną Żył u twego boku przez tak wiele lat Zazdroszczę mu

Zmarszczyła czoło i w skupieniu przyglądała się Williamowi

-Mówisz jak człowiek zakochany bez wzajemności

-W tobie? Tak to prawda Długo wielbiłem cię z daleka

-To mi pochlebia Ale za tamtych czasów mógłbyś powiedzieć mi, że mnie kochasz i rzucić mi do stóp kilka milionów z sejfu Montgomerych a i tak nie zostałabym w Chandler.

Siedzieli obok siebie i wpatrywali się w ogień. William obejmował ją ramieniem.

-Czego ci potrzeba do otwarcia tego interesu przewozowego? - zapytał.

-Pytasz poważnie?

-Bardzo poważnie.

Nie odpowiedziała od razu. Może rozbiła sobie czaszkę, ale jej mózg funkcjonował normalnie. Charley klarował jej, że pilot bez grosza zawsze musi rozglądać się za miłośnikiem awiacji, który ma pełną kieszeń. „To wymarzony mariaż” - zwykł powtarzać. Nie chciała wykorzystywać tego mężczyzny, ale jeśli się nudził i siedział na kupie złota, może znalazłoby się coś, co wypełniłoby mu czas.

Odetchnęła głęboko, usiłując pozbyć się poczucia winy. Ten mężczyzna chciał coś dla

niej robi bo uważał ją za wcielenie amerykańskiej heroiny. Ale jeśli przyjmie od niego pieniądze robi to z powodów o wiele mniej altruistycznych dla chleba na stole i kilku naprawdę ładnych ciuszków w szafie

-Paru dobrych, lekkich maszyn. Mechanika na stały etat hangarów, kilku starych samolotów na części pieniędzy na wypłaty aż będę mogła dać wynagrodzenie pilotom

-Potrzebujesz jeszcze czegoś? Może współnika?

Od razu wiedziała, kogo ma na myśli. Nie był to dobry czas do podejmowania decyzji - z głowy nadal sączyła jej się krew i czuła się ogłuszona, ale rozkosznie było pomyśleć, że ten mężczyzna może stać się jej współnikiem. Uśmiechnęła się. Spróbowała go zlokalizować.

-Jak nazywają się twoi rodzice?

-Jack i Nellie.

-Ach, przecież to jasne. Połowa miasteczka to ich potomstwo. William uśmiechnął się. Całe życie słyszał żarty o liczbie dzieci w swojej rodzinie

-Razem wzięwszy dwanaścioro.

Wyładował duży kosz piknikowy w którym zmieściłoby się pożywienie dla pół tuzina drwali. Bez słowa zaczął przygotowywać jej kanapkę. Jackie patrzyła na to ze zdumieniem - robił to dokładnie tak jak ona: gruba warstwa siekanej wołowiny, dużo, dużo musztardy, pomidory; potem skroił słodkie pikle i kładł plasterkami na pomidorach; dwoma liśćmi sałaty zabezpieczył chleb przed nasiąknięciem. Obserwując jego twarz, była pewna, że nie przykłada wagi do tego, co robi, że pogrążył się głęboko w myślach. Ale to dziwne, że przygotowywał jej kanapkę dokładnie tak, jakby ona ją sobie robiła, zwłaszcza iż jej kanapki były... hm, niezwykle.

-Popatrz, co narobiłem - powiedział William. - Chciałem przygotować kanapkę najpierw tobie i... Na co masz ochotę?

-Właśnie na to, co zrobiłeś dla siebie.

Na jego przystojnej twarzy najpierw ukazała się konsternacja, dopiero potem uśmiech.

-Szczerze? Nikt nie cierpi moich kanapek.

-Moich też - odparła i wyciągnęła po nią rękę. - Może zjemy tę na pół, a potem zrobisz drugą? Potną oliwki zamiast pikli.

-I jeszcze każdy narzeka, że oliwki mu spadają.

-Ci idioci nie umieją trzymać kromki w ręce.

Popatrzyli na siebie nad kanapką i uśmiechnęli się.

-Czy myślisz, że nasza przyjaźń też nam będzie tak smakowała? - spytała Jackie i oboje wybuchnęli śmiechem. - Co powiesz na keczup?

-Ohyda

-Cebula?

-Uwielbiam Wszystko może być z cebulą. Prażona kukurydza?

-Mógłbym nie jeść nic innego. A ty?

-Tak samo

Wsparł się na łokciach patrzył w ogień i była przekonana, że szykuje się do powiedzenia czegoś ważnego.

-Czy gdybym dostarczył te pieniądze na kilka maszyn i na inne rzeczy, wzięłabyś mnie pod uwagę jako swojego współnika?

-Latałeś kiedyś?

Nie miało to znaczenia, ale pytanie dało jej czas do namysłu.

Umiała ocenić ludzi i gdyby nawet ten mężczyzna nie był Montgomerym i nie posiadał tego wszystkiego, co łączyło się z tym nazwiskiem to wiedziała, że jest solą ziemi i jest solidny jak skała. Czasami na lotnisku mogło zrobić się gorąco, można było nawet stracić głowę, gdy następował wypadek ale ten mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto panikuje, gdy otwiera się piekło. Jackie dojrzała do związku z mężczyzną. Wiedziała o tym. Minęły dwa lata

od śmierci Charleya, ponad rok od powrotu do Chandler i czuła się samotna. Miała dosyć jedzenia samej, spania samej, długich wieczorów, podczas których nie było się do kogo odezwać. A ten mężczyzna był bardzo, bardzo atrakcyjny, zarówno pod względem powierzchowności, *jak i* sytuacji majątkowej.

-Przez dwa lata brałem lekcje - rzekł cicho, patrząc na nią niemal prosząco.

-W porządku - powiedziała równie cicho i poczuła dreszcz na całym ciele.

Podobał się jej. Bardzo się jej podobał. Podobało się jej to, jak podejmował zobowiązania, podobało się jej to, jak mówił, jak się poruszał jak jadł i co jadł. Podobało się jej to, jak ją całował i co w niej wtedy wzbudzał. Nie mogła sobie przypomnieć żeby podczas całego życia ktoś równie zwyczajnie, po staroświecku się jej podobał. Poprzednio czuła pociąg do mężczyzn skłamałaby gdyby zaprzeczyła ale jest różnica między erotycznym pociągiem a pragnieniem przytulenia się do kogoś, pragnieniem wspólnego opychania się prażoną kukurudzą i wyznawania sobie tajemnic

Przed laty był taki jeden fantastyczny pilot którego Charley zatrudnił. Był tak bosko przystojny, że prawie nie mogła się do niego odezwać. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy upuściła klucz; narzędzie przeleciało przez silnik i mało nie rąbnęło Charleya w głowę. Całe dni miała związany język, kiedy się przy nim znalazła. Ale po kilku tygodniach przyzwyczaiła się do jego powierzchowności i niebawem odkryła, że sama podoba mu się bardziej niż on jej. Po pół roku znajomości prawie zapomniała, że kiedykolwiek uważała go za przystojnego. Podczas długiego, szczęśliwego małżeństwa z Charleyem nauczyła się, że między mężczyzną i kobietą ważna jest przyjaźń.

-W porządku - powiedziała, wyciągając rękę do uścisku. – Ale pod jednym warunkiem.

Mocno ujął jej dłoń.

-Co chcesz. Wszystko, co chcesz.

-Musisz mi wyznać swoją najgłębszą najbardziej mroczną tajemnicę. I chcę prawdy. Żadnego opowiadania o oficjalnie zarejestrowanych kontraktach.

Jęknął.

-Twarda z siebie sztuka, Jackie O'Neil. Nie puściła jego ręki.

-Powiesz mi albo nici ze współpracy.

-W porządku - rzekł i uśmiechnął się powoli. - Ty kiedyś zrobisz mi kanapkę z oliwkami, a ja opowiem ci prawdę o Meksyku

-Ach tak? - zdumiała się.

Są chwile w ludzkim życiu przepelnione magią i właśnie ta noc miała jej po brzegi. Później Jackie myślała, że ta noc była idealna, idealna pod każdym względem, od powieściowej wręcz akcji ratunkowej, poprzez dramatyczne rozbicie głowy, do wpadnięcia w opiekuńcze ramiona tego przystojnego mężczyzny. I opiekował się nią co się zowie. Zadbął o to, by miała co jeść, żeby było jej ciepło i wygodnie. Było je dobrze i czuła się przy nim wprost wspaniale. Pochlebiał jej. Wiedział o każdej jej akrobatycznej sztuczce, każdym pobitym rekordzie, każdym wypadku. Wyglądało to prawie tak, jakby kochał się w niej całe lata.

Rozmawiali jak para starych przyjaciół, przyjaciół - nie kochanków. Jackie często miała dość mężczyzn którzy byli zainteresowani jedynie tym żeby zaciągnąć kobietę do łóżka, których każdy gest, każde słowo miało jeden podtekst. Chępili się, opowiadali, ile to mają pieniędzy, ile ziemi, o ile to przewyższają innych. Ale z Williamem czuła się tak swobodnie jak z przyjaciółką.

W którymś momencie kazał się jej położyć na posłaniu z kocy i wsparł jej głowę na swoim muskularnym udzie. Oparty plecami o pień drzewa, gładził ją po włosach i zachęcał do opowiadania o sobie. Prawie zaraz zaczęła wspominać Charleya, lata spędzone z nim, rozczarowania i trudy, triumfy i porażki.

Z kolei on opowiedział jej o swoim modelowym życiu - przynajmniej tak opisał je Jackie, że wydało się wręcz ideałem. Nigdy nie doznał okrucieństwa, nienawiści, nigdy nie musiał o nic walczyć.

-Wszystko to każe mi zastanowić się nad sobą. Czy dałbym sobie radę, gdybym został wystawiony na próbę? - zapytał, marszcząc brwi i wpatrując się w ogień. - Czy bez pieniędzy ojca i nazwiska Montgomery'ch uda mi się czegoś dokonać?

-Pewnie, że ci się uda - odrzekła Jackie. - Zdziwisz się, czego jeszcze dokonasz, kiedy będziesz musiał.

-Na przykład wylądować samolotem, którego śmigło właśnie zostało urwane przez orła?

-A to się właśnie stało?

-Sprowadziłaś ten samolot tak łatwo, jak ktoś inny schodzi z fotela. Bałaś się?

-Miałam za dużo do roboty, żeby się bać. Hej! - Przyjrzała mu się w łagodnym świetle ogniska. - Czemu się nie ożeniłeś? Dlaczego żadna kobieta nie złapała cię do tej pory?

-Nie spotkałem kobiety, jakiej chcę. Podoba mi się taka, którą ma głowę na karku.

-Nie wątpię, że piękną głowę - powiedziała z sarkazmem Jackie.

-To mniej ważne niż jej zawartość,

-Wiesz, podobasz mi się! Naprawdę mi się podobasz.

-A ty zawsze mi się podobałaś. Przez chwilę milczała.

-Chciałabym sobie ciebie przypomnieć.

-Będzie na to dość czasu. Nie zimno ci? Jesteś głodna? Spragniona?

-Nie, nic mi nie trzeba. Czuję się idealnie.

-Bo taka jesteś.

Zmieszała się. Ale i czuła się pochlebiona.

-Kiedy chcesz zacząć... nasz interes, wspólniku? Chciała zapytać, kiedy zaczną wspólnie spędzać czas.

-Jutro muszę jechać do Denver na kilka dni i podjąć pieniądze z banku. Wrócę w sobotę. Czy mogę zjawić się u ciebie po południu? Dasz mi listę niezbędnych rzeczy. Kupię je w Denver.

Rozbawiło ją to.

-Co powiesz na początek na kilka nowych samolotów?

-Jaki typ?

Był w tym samym stopniu poważny, co Jackie rozbawiona, więc również spoważniała.

-Co myślisz o parze Waco na początek?

I może później coś cięższego, w czym można by szykownie przewozić kilkunastu bogatych pasażerów, dodała w myślach.

-W porządku. Zobaczą, co się da zrobić.

-Ot tak? - spytała. - Pstryknę palcami i mam dwa nowe samoloty na usługi?

-Nie za darmo. Ja do nich dochodzę. Musisz wziąć mnie razem z samolotami.

Nie wyglądało to na srogą karę.

-Żebracy chyba nie mają wyboru.

Przeciągnęła się, ziewnęła, ułożyła wygodniej głowę na jego udzie.

-Teraz chyba możesz już spać spokojnie - powiedział i otulił ją kocem.

-A ty? - zapytała ziewając. - Tobie sen też by się przydał.

-Nie. Będę czuwał i strzegł ognia.

- I mnie - wymruczała zamykając oczy.

Tak, temu człowiekowi na pewno będzie można zaufać pomyślała. Zasnęła z uśmiechem na ustach. Czuła się tak bezpiecznie, jak we własnym łóżku, a nie na dworze, z kojotami wyjącymi w oddali.

- Dzień dobry

Jackie usiadła na twardej ziemi. Była cała połamana. Przez chwilę nie wiedziała gdzie jest. Zmrużyła oczy przed oślepiającym blaskiem dnia i przyjrzała się kobiecie, siedzącej naprzeciwko na kamieniu

-Masz ochotę na kawę?

Jackie przetarła oczy ziewnęła zasłaniając usta i przyjęła blaszany kubek.

-Kim jesteś?

-Siostrą Williama.

-Och.

Nadal była zbyt skołowana, żeby pytać, ale rozejrzała się wokół. Samochód Williama znikł. Na jego miejscu stała furgonetka.

Kobieta - ładna brunetka wyglądająca na trzydzieści lat - uśmiechnęła się.

-Pewnie jesteś dezorientowana. Oto, co się wydarzyło. Zeszłej nocy mama miała nawiedzenie, jak to nazywamy w rodzinie. Czasem wpada jej do głowy, że jedno z dzieci jest ranne, będzie ranne albo coś mu grozi. Te przeczucia z reguły okazują się trafne, więc tato uwierzył, kiedy powiedziała, że William się zgubił. Wydarzyło się to około trzeciej nad ranem. Akurat byłam na nogach, więc powiedziałam, że pojedę. Znalazłam Williama bez problemu. Zostawił mapę, żeby było wiadome, gdzie będzie się podziewał. - Podniosła brwi i zakpiła: - William jest bardzo odpowiedzialną osobą - Powiedziała to sarkastycznym tonem wywracając oczyma, jakby sygnalizowała, że naprawdę brat jest trochę fajtłapą.

Jackie otworzyła usta, żeby go bronić, ale zamiast tego powiedziała:

-Więc nas znalazłaś.

-Tak. Wydaje mi się, że mama wyczuła niebezpieczeństwo, jakie groziło tobie. - Kiwnęła przy tym głową w kierunku samolotu w białym w głąz.

-Gdzie on jest?

-William? Och, pojechał. Powiedział, że musi jak najszybciej dostać się do Denver żeby kupić coś bardzo ważnego. Nie zdradził tacie ani mnie co to takiego. Opuściła wzrok na swój kubek z kawą. Może ty coś wiesz?

Jackie podciągnęła kolana pod brodę. Nie odezwała się

William jest bardzo odpowiedzialny pomyślała czując lekki dreszcz podniecenia. Miło jest mieć przy sobie mężczyznę który wie co to odpowiedzialność. Charley był bardzo rozrywkowym człowiekiem ludzie go uwielbiali ale oni nie musieli z nim żyć. Nigdy nie pamiętał gdzie co odłożył.

Jackie zwykła mówić że połowę życia spędza na szukaniu tego co przed chwilą zgubił. Kiedy przyjmował zaproszenia na dwie kolacje wydawane tego samego wieczoru. Jackie musiała wskakiwać w skórę sekretnicy i uwalniać go od jednego zobowiązania. Z Charleyem nie było sporów na temat wielkości przynieszonego do domu wynagrodzenia nigdy nie dotarł z nim tak daleko bez względu na to ile zarobił. Pewnego razu ciężko harowali w cyrku lotniczym latali przez płonąca stodołę ku uciesze kilku setek wieśniaków i ich rodzin. Właściciel cyrku popełnił błąd wypłacił Charleyowi należność w barze.

Następnego dnia Charleya przyniesiono do domu. Był zbyt pijany żeby ustać na nogach i miał pustkę w kieszeni. W barze stawiał wszystkim kolejkę za kolejką. Tak, odpowiedzialność u mężczyzny to nie było coś, do czego Jackie była przyzwyczajona.

-Kiedy tylko będziesz gotowa, tato i ja zawieziemy cię do Chandler i pošemy kogoś po samolot.

-Dziękuję, wspaniale.

Dopiła resztkę kawy, wstała i przeciągnęła się. Rozejrzała się wokół. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zeszłego wieczoru William powiedział, że zajmie się wszystkim, i już wziął się do roboty. Był mężczyzną nie tylko odpowiedzialnym ale i słownym.

Wiele lat temu Eternity było tętniącym życiem miasteczkiem. Leżało w pobliżu wielkiej metropolii Denver, na szlaku do San Francisco. Odkrycie złóż srebra przyczyniło się do jego powstania i przez lata mieszkańcom Eternity żyło się dobrze. Domy wznoszono w pośpiechu, ale dzięki rumuńskiemu cieśli, który dobrze nabił sobie kabzę, były mocne i fachowo skonstruowane. Nie przypominały śmiertelnych pułapek, w jakie podczas pożaru zamieniała się większość zabudowań wielu osad, które wyrosły i znikły w tamtych czasach.

Po wyczerpaniu się pokładów srebra większość stałych mieszkańców wyjechała. Miasteczko wydawało się skazane na powolną śmierć, ale w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku na krótko odżyło. Bogata młoda kobieta z wielce majątnej rodziny Montgomerych ze Wschodniego Wybrzeża przeniosła się tutaj i otworzyła zakład krawiecki, którego klientami byli także majątni ludzie, mieszkający w zasięgu setek mil. Po pewnym czasie zakochała się, obrosła tabunem dzieci i straciła zainteresowanie zakładem. Interes zwolnił obroty, a jakość produkcji spadła. Stopniowo Eternity potoczyło się ku upadkowi i większość ludzi wyjechała. Ci, którzy pozostali, płodzili dzieci, a one wynosiły się z miasteczka najwcześniej jak tylko mogły. Każdy wyjeżdżający sprzedawał dom i grunt krewnym młodej kobiety, która usiłowała niegdyś tchnąć życie w osadę. Wreszcie każdy budynek każdy kawałek ziemi należał do rodziny Montgomerych.

Na początku dwudziestego wieku nie było tu żywej duszy i domy, które dzielnie zniosły upływ czasu dzięki fachowemu cieśli i jego zaharowanej brygadzie, stały puste.

Prawie dwa lata temu, zaledwie kilka dni po śmierci Charleya, Jackie otrzymała list od potomka Montgomerych. Zawiadomiono ją że rodzina zamieszkuje teraz w pobliskim Chandler i potrzebuje przewoźnika lotniczego do Denver i Los Angeles. Jeśli Jackie jest zainteresowana ofertą praca czeka. Zgodziła się natychmiast, ale potrzebowała pół roku na wywiązanie się z wcześniejszych zobowiązań. Dopiero wtedy przeniosła się do Chandler. Kiedy Charley umarł, była zbyt załamana, żeby zastanawiać się nad przyszłością jednak gdy go nie stało, odkryła, że większość jej ambicji znikła wraz z nim. Może pochwały Charleya, których nie szczędził, kiedy dokonała jakiegoś wielkiego lotniczego wyczynu, popychały ją do podejmowania wspanialszych i trudniejszych prób. Cokolwiek to było, nie chciała spędzić życia w podróżach dookoła świata, latając w samolocie głową w dół przed publicznością której ze strachu zapierało dech w piersiach.

Posłała panu Montgomery'emu szczegółową listę potrzeb pas startowy, hangar na cztery jednostki miała wielkie plany na przyszłość - i wygodny dom z możliwością kupna ponieważ marzeniem jej życia było mieć nad głową własny dach którego nikt nie mógłby jej odebrać.

Musiała też zdecydować co zrobić z Peteem mechanikiem Charleya. Znała go od niepamiętnych czasów. Po raz pierwszy ujrzała go w tym samym dniu co Charleya i był zawsze z nimi. Ale to nie znaczyło, że cokolwiek o nim wiedziała. Pete nie był rozmowny, rzadko kiedy się odzywał. Z początku jego ciągłe milczenie wydawało się jej niesamowite, bo nie rozstawał się z Charleyem i był wobec niego absolutnie lojalny.

- Czy on nigdy nic nie mówi? - zapytała Charleya, kiedy byli sami w łóżku. Czasem miała ochotę zajrzeć pod nie, by upewnić się, że Pete a tam nie ma.

Charley śmiał się z niej.

- Nigdy nie lekceważ Pete'a. Może nie mówi, ale widzi i słyszy wszystko. Jest doskonałym mechanikiem.

- Jestem przy nim zdenerwowana - powiedziała, ale Charley znów się roześmiał wciągnął ją na siebie i zaczął całować.

Rzadko wracali do tego tematu; Pete był po prostu kimś, kto jest z nimi zawsze podobnie jak maszyny.

Lata mijały i zaczęła go doceniać, a kiedy chudy człowieczek przekonał się, że Jackie też jest lojalna wobec Charleya, nie biega za innymi chłopami nie ciosa mu kołków na głowie,

również zaczął się nią opiekować. Dbał o to, by samoloty były sprawne i by nic złego co może przewidzieć mechanik, się nie przydarzyło.

Stopniowo przyzwyczaiła się do Pete'a i czasami mówiła do niego. Jego milcząca obecność w jakiś sposób dodawała jej otuchy. Sam nigdy nie podsuwał rad, nie komentował tego, co słyszy. Słuchał i pozwalał jej dojść do ładu z własnymi problemami.

Po śmierci Charleya było naturalne, że Pete dokończy z nią trasę ale kiedy zdecydowała się przenieść do Chandler, nie miała pojęcia jak się zachowa. Przedstawiła mu swoje plany i była w pełni przygotowana na to, że zacznie pracować dla kogoś z tysięcy przyjaciół Charleya płci męskiej. Ale Pete bez drgnienia na pomarszczonej twarzy wysłuchał wieści i zapytał: „Kiedy wyjazd?” Te dwa słowa oznaczały, że przeniósł na nią swoją lojalność. To był wielki wyraz uznania. Charley oświadczył kiedyś, że Pete to snob - pracuje tylko dla najlepszych. Żadne wynagrodzenie nie było w stanie przekonać go do angażu u miernoty. Więc kiedy zgodził się jechać, wiedziała, że pochwała ją za umiejętności i za podjętą decyzję. Impulsywnie pocałowała go w szorstki pofałdowany policzek i z wielką przyjemnością zobaczyła, jak się rumieni.

Poleciała więc samolotem do Chandler i Pete przyprowadził jej samochód z przyczepą pełną wszystkich rzeczy koniecznych do życia - to znaczy narzędzi i części. Ani ona, ani on nie mieli mebli czy ubrań, które byłyby warte wzmianki.

Nie miała pojęcia, co zastanie w odnowionym wymarłym miasteczku Eternity. Była przygotowana na zniszczone domy, których szalówkę przewiewa wiatr - kiedy ona i Charley mieli złą passę, w takich właśnie domach mieszkali - ale rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Pan Montgomery kazał odnowić miejski hotelik, który okazał się po prostu uroczy. Hol pokryto kremową tapetą w blade różyczki. Cała dębowa stolarka została świeżo pomalowana. Z Chandler przeciągnięto nowiutką linię telefoniczną więc Jackie miała łączność ze światem. Na pierwszym piętrze zainstalowano piękną łazienkę z różowego marmuru. Wszystko było czyste i przytulne.

Stajnie dawnego przedsiębiorstwa wynajmu koni zamieniono na ogromny hangar z podnoszonymi drzwiami, tak że można było reperować samoloty w złą pogodę. Plebanię - Charley byłby tym setnie ubawiony - przerobiono dla Pete'a. Kuźnię - na warsztat mechanika. Narzędzia były nowe i tak doskonałe, że kaprawe oczy Pete'a zasły mgłą wzruszenia.

Pan Montgomery zbudował Jackie najlepszy pas startowy, i jaki widziała w życiu. Nie żałowano na niego pieniędzy. A na podmiejskich polach stały trzy wraki do rozebrania na części.

Nigdzie Jackie nie była tak mile witana jak w tym miasteczku. Była na tyle blisko Chandler, że nie czuła się samotnie, ale na tyle daleko, by mieć poczucie intymności. Wróciła do domu.

Spodziewała się, że musi tkwić tu jakiś haczyk, więc kiedy szła do pana Montgomery'ego, by ustalić wysokość pensji, szykowała się do walki. Prawie słyszała Charleya: „Trwaj przy swoim, mała. Postaw najwyższą cenę, jaka przyjdzie ci do głowy i zacznij wyklócać się od tego pułapu.” Zanim stanęła przed obliczem pana Montgomery'ego, którego znała od najmłodszych lat miała ręce mokre od potu. Tak bardzo chciała zamieszkać w tym ślicznym pustym miasteczku, że była gotowa zapłacić za to z własnej kieszeni

Pół godziny później wyszła oszołomiona. Zaproponowano jej trzy razy więcej, niż *chciała zażądać*, i dołożono premię za podpisanie dwuletniego kontraktu. Teraz mogła kupić meble. Mogła kupić rzeczy, które będą jej!

Od tamtej chwili minęły dwa lata. Teraz podawała herbatę w salonie swojego ślicznego domu.

-Na Boga, co się z tobą dzieje? - Terri Pelman zapytała przyjaciółkę, ledwo Jackie weszła do pokoju, niosąc w rękach tacę z zastawą do herbaty. Podczas ostatniego roku każdy uciulany cent wydawała na upiększenie domu; pojawiły się miękkie fotele, głęboka kanapa w



kolorze ciemnej zieleni i rózu, kilim, mahoniowe biurko, mnóstwo antyków.

-Nic się ze mną nie dzieje - odparła Jackie, stawiając na stoliku śliczny czajniczek i filiżanki. Nikt znający Jackie nie domyśliłby się, jak bardzo pożądała ładnych rzeczy. Z Charleyem zawsze żyła z dnia na dzień; wyznawał zasadę, że dobytek nie pozwala człowiekowi rozwinąć skrzydeł. - Absolutnie nic.

-Nie okłamiesz mnie, Jackie O'Neill. Zwodzić to mogłaś prasę, nie Terri Pelman. Znam cię wieki i jestem święcie przekonana, że coś się święci.

Jackie uśmiechnęła się i usiadła w fotelu osłoniętym wzorzystym pokrowcem w kwiaty i pawie oka. Piła małymi łydkami herbatę i spozierała na przyjaciółkę. Obie miały trzydzieści osiem lat ale nikt by tego nie odgadł z wyglądu. Po ukończeniu liceum Jackie wyfrunęła w świat i życie zaniósło ją w każdy zakątek globu tymczasem Terri dzień po maturze wyszła za mąż za swojego stałego chłopaka. Rok po roku urodziła troje dzieci. Maleństwa były teraz roslymi chłopaczyskami w wieku dziewiętnastu osiemnastu i siedemnastu lat. Z każdym dzieckiem Terri przybierała na wadze i już tych kilogramów nie gubiła. Gdzieś po drodze uznała że jest stara. Kiedy Jackie wyrzucała jej, że nie dba o siebie odpowiadała Dzieciaki i Ralpa obchodzi tylko to co stawiam na stole a nie to w czym ich obsługuję. Nie zwracają uwagi na to jak wyglądam.

-Przestań! No powiedz mi - nalegała Terri. Wtem otworzyła szeroko oczy i wyszeptwała: - Poznałaś jakiegoś mężczyznę! O to chodzi, no nie? My, kobiety, jesteśmy takie głupie. Nawet małżeństwo nie jest w stanie nas wyleczyć z zakochiwania się, a jeśli już to nie potrafi człowieka wyleczyć, to nic nie pomoże. Jaki on jest? Gdzie go poznałaś?

Jackie chciała opowiedzieć Terri o Williamie, ale obawiała się, że wyjdzie na idiotkę. Może wspólna noc nic dla niego nie znaczyła? Może uznał to za normalne spotkanie? Może do tej pory zapomniał o niej, zapomniał o planowanym wspólnym interesie. Tak byłoby w przypadku Charleya. Często po pijanemu poznawał jakichś ludzi i zostawiał ich w przekonaniu, że są jego przyjaciółmi od serca. Snuł wspólne plany, ale kiedy wczorajsi kompani odnajdywali go dwadzieścia cztery godziny później, gotowi realizować śmiałe przedsięwzięcia, ledwo kojarzył twarz z nazwiskiem. Oczywiście, to Jackie musiała wtedy łagodzić urazy i kolejny raz wyciągać go z tarapatów.

-Prawdę mówiąc, to nie mężczyzna. - Jackie kłamała, jak umiała najlepiej. To znaczy mężczyzna, ale rzecz nie w tym, co sobie myślisz. Pamiętasz ten mój wypadek sprzed paru dni?

Terri z niedowierzaniem pokręciła głową. Po katastrofie lotniczej każdy leżałby w szpitalu otoczony opieką lekarską i bukietami kwiatów, ale Jackie miała w nosie całe nieszczęście. Mówiła o nim tak, jak inna kobieta opowiadałaby o wizycie u fryzjera.

-Tak, pamiętam - powiedziała Terri pełna podziwu dla brawury przyjaciółki.

-Tam był mężczyzna i...

-Co? Spotkałaś mężczyznę na kompletnym pustkowiu? Jak się nazywa? Skąd pochodzi? Próbował się przystawiać?

Jackie wybuchnęła śmiechem. Kiedy chodziły do liceum ledwo się znały. Terri miała normalną rodzinę, Jackie z kolei była dziwna ekscentryczna. Dopiero po wyjeździe przyszłej mistrzyni awiacji stały się sobie bliskie. Gdy miały po dwadzieścia lat, Terri wysłała do Jackie list, gratulując pierwszego zwycięstwa w zawodach.

Napisała, że rozumie dobrze życie swej koleżanki szkolnej, bo jej własne jest równie podniecające. W dniu, w którym Jackie wygrała synowi Terri wpadła do buzi osa. Zanim ją połknął zdołała użądlić go w język Małżonek Terri spuścił sobie na nogę skrzynię i nie mógł pracować przez miesiąc. A ona sama przekonała się, że zaszła w ciążę i będzie miała trzecie dziecko. „Do pełni szczęścia brakuje mi tylko plagi szarańczy - donosiła. - Proszę napisz mi o Twojej nudnej egzystencji. Potrzebuję czegoś do zrównoważenia smutków i radości jakie mi towarzyszą.

Ten list przemówił do Jackie. Dostawała masę korespondencji od wielu dawnych znajomych ale duża część wzbudzała w niej poczucie winy gdyż ludzie zwykle powątpiewali czy pamięta ich teraz kiedy jest tak popularna. Chyba uważali że zwycięstwo w wyścigach natychmiast pozbawia ją wspomnień albo każda poznana sława wypycha z pamięci kogoś nieważnego.

Uszczęśliwiona Jackie szczegółowo opisała Terri zawody, ludzi, których przy okazji poznała, opowiedziała, co czuje, gdy unosi się wysoko ponad tłumem na pokazach lotniczych. Z początku pisała o triumfach, ale w miarę upływu lat zaczęła zwierzać się z porażek i smutków. Pisała o ludziach spalonych w roztrzaskanych wrakach, o mężczyznach i kobietach, którzy wkraczali w jej życie i odchodzili z niego na zawsze. Pisała o Charleyu i o tym jak jego nie odpowiedzialność doprowadza ją do szaleństwa. Zazdrościła Terri spokojnego cichego życia zazdrościła męża który zawsze był przy jej boku zajmował się domem i dziećmi.

Terri starała się by Jackie nigdy nie wyczuła ile ta korespondencja dla niej znaczy. Czasami była najlepszą częścią jej życia i Terri wysilała twórcze zdolności by Jackie dostawała ciekawe zabawne a przede wszystkim pogodne listy. Posiadanie tak sławnej i podniecającej respondentki jak Jackie piszącej z takim zaufaniem i szczerością było czymś wspaniałym. Jackie zaczęła uważać Terri za osobę mądrą ponad wiek kogoś, kto miał szansę wyrwać się w szeroki świat, ale rozsądnie wolał pozostać w domu, ustabilizować się i wychowywać dzieci.

Terri nigdy nie napisała niczego co mogłoby zmienić to mniemanie. Och czasami była sarkastyczna zawsze dowcipkowała na temat Ralpha i chłopców ale to dlatego że stworzyła obraz życia tak dobrego tak wspaniałego że musiała z niego żartować. Pisanie prawdy byłoby bezustannym wygłaszaniem przechwałek.

Jednak cała prawda wyglądała następująco. Terri wyszła za pierwszego mężczyznę który poprosił ją o rękę ponieważ była przerażona że zostanie starą panną. Chociaż wolałaby odczekać z posiadaniem dzieci tak się bała iż Ralph ją rzuci że zaszła w ciążę w noc poślubną a może tydzień wcześniej? nie była pewna. Nigdy nie napisała Jackie jak naprawdę wygląda jej małżeństwo jak mąż większość czasu spędza z kumplami nad kuflem piwa a kiedy jest w domu chrapie w fotelu z gazetą na twarzy. Życie które opisywała Jackie wyglądało *na* wzięte żywcem z powieści Betty Crockcr. Opowiadała o ogródku który zasadzili z mężem żeby mieć świeże jarzyny i zioła dla chłopców. Naprawdę mąż stracił czwartą pracę w tyleż lat i ojciec Terri urządził ogródek za domem by pomóc jej w wykarmieniu rodziny. Oczywiście, chłopcy wdali się w ojca i nie jadali jarzyn więc Terri spędzała długie godziny na wekowaniu przetworów i wymieniała je z hodowcą świń, kawalerem na mięso które jej mężczyźni uwielbiali. Pisywała Jackie że Ralph spędza niedziele z rodziną. Prawdę mówiąc odsypiał długie sobotnie wieczory. Opowiadała Jackie, jakim to cichym szczęściem napawa ją posiadanie rodziny. Malowała cudowny obrazek maleńkich kochających rączek przynoszących jej kwiaty lub maleńkich buziek pałaszujących jej wspaniałe potrawy. Cała wyobrażnia Terri była nastawiona na tworzenie opowieści o idealnej egzystencji.

Korespondencja wymyślanie kolejnych listów pomogło Terri przetrzymać najgorsze chwile życia Kiedy jej pierworodny, rosły drągał terroryzował małą córeczkę sąsiadów a drugi chłopak ciskał jedzeniem o ścianę kuchni, Terri zaś wymiotowała w łazience, bo nosiła pod sercem trzecie dziecko, rozmyślała o tym, jak zaprezentować swe życie w listach do Jackie.

Kiedy chłopcy zmężnieli i dorównywali wzrostem ojcu, nie mogła ich już kontrolować toteż wymiana korespondencji z Jackie stała się dla niej tym ważniejsza. Poglądy męża Terri na wychowanie synów ograniczały się do stwierdzenia że im są gorsi, tym są bardziej męscy. Im większe kłopoty mieli w szkole, tym bardziej był z nich dumny Terri usiłowała przemówić mu do rozumu wytłumaczyć, że zachęca ich do występku ale on upierał się, że sam był tak wychowywany i wyszło mu to na dobre. Terri była za mądra by wytknąć mu że nigdy nie udało mu się pracować dłużej w jednym miejscu niż osiem miesięcy bo wszczynął bójki z

pryncypałami. Synowie wdali się w ojca kłócili się z nauczycielami kierownikami szkół, właścicielami sklepów, z każdym, kto wszedł im w drogę.

Prawdziwe życie Terri i to które opisywała Jackie, miały z sobą niewiele wspólnego. Teraz kiedy jej wielgachni, niezgrabni synalkowie byli niemal dorośli i rzadko pokazywali się w domu najjaśniejszymi chwilami w życiu Terri były wizyty u Jackie w starym wymarłym miasteczku. Nie miała pojęcia, czy Jackie wie jak wygląda życie jej wiernej korespondentki. Prawda była nietrudna do wykrycia bo w Chandler dobrze wiedzieli sąsiedzi na czym kto siedzi ale Terri uznała za wątpliwe, by Jackie знаła prawdę o jej ponurej egzystencji. Wśród prostaczków z Chandler Jackie uchodziła za wielką sławę i było raczej nieprawdopodobne by ludziska z sąsiedztwa na wypróżdki biegali do Jackie z opowieściami o szarym życiu takiego zera jak Terri Pelman.

Więc tak często jak się tylko dało Terri odwiedzała Jackie i obie panie podtrzymywały fasadę cudownego życia Terri, w którym miała wszystko niezachwianą miłość dobrego męża, trójkę pięknych dzieci które wyrosły na znakomitych, uczciwych młodzieńców i śliczny, zaciszny dom.

- To nie było tak - Jackie się roześmiała. - To nie było romantyczne spotkanie. Prawda, pocałował mnie, ale...

- Rozbijasz się w samolocie, wspaniały facet wyłania się z mroku nocy, ratuje cię - Terri uniosła brwi - całuje, a ty mówisz: „To nie było tak.” Więc, Jackie, jak było?

-Terri, jesteś niepoprawna. Chyba będziesz zrozpaczona, dopóki nie doprowadzisz do tego, że pójdziesz do ołtarza i zajdę w ciążę.

-A czemuż to nie miałabyś być tak nieszczęśliwa jak my wszystkie?

-Czasem wydaje mi się, że mówisz to na serio. Gdybym nie wiedziała dobrze, jak kochasz swoją rodzinę i...

-Opowiedz mi!!!

- Ależ nie ma dużo do opowiadania.

To faktycznie prawda, pomyślała Jackie. To, co wydarzyło się między nią a Williamem, mogło być odebrane jednostronnie. Nie chciała przyznać się Terri do tego, co czuje, a potem wyjść na idiotkę z powodu jakiegoś mężczyzny. A już najbardziej nie chciała przyznać się Terri do tego, że ten mężczyzna to jeden z synów Jacka i Nellie Montgomerych. Terri z jakiegoś dziwnego powodu uważała, że każdy mężczyzna z Chandler jest nic niewart.

Może myślała, że wyszła za mąż za jakiś wyjątek a może chodziło tylko o to, że codzienne obcowanie z ludźmi rodzi pogardę. Znała wszystkich mężczyzn w Chandler zbyt długo by mogli w niej wzbudzić namiętność czy miłość. Terri miała swoje własne wyobrażenie idealnego mężczyzny im bardziej egzotyczny tym lepszy. Pewnego razu zapytała Jackie jak mogła być we Francji i nie zakochać się we Francuzie. Albo w Egipcjaninie odparła śmiejąc się Jackie. - To najprzystojniejsi mężczyźni świata

- Chodzi tylko o współpracę w interesach. Wspomniałam, że chcę zająć się przewoźnictwem, on powiedział że szuka jakiegoś zajęcia, i tak się dogadaliśmy. Wyjechał do Denver po zakup kilku samolotów.

- I to wszystko?

- To absolutnie wszystko.

Terri początkowo nie odzywała się. Odstawiła filiżankę, rozparła się na fotelu i patrzyła na przyjaciółkę.

- Nie wyjdę stąd, dopóki nie opowiesz mi wszystkiego. Mogę zadzwonić do Ralpa i powiedzieć, żeby przysłał mi ubrania. Jeśli chłopcy stęsknią się za mną to zgodzisz się, mam nadzieję, żeby odwiedzili nas na dłużej. Wcale nie będą przeszkadzać.

Na tę groźbę Jackie przeszedł dreszcz, ale w porę wzięła się w karby. Terri była idealnym przykładem powiedzenia, że miłość jest ślepa, gdyż ci wielcy, lubieżni półanalfabeci, jej synalkowie, mogli się podobać tylko matce. Ostatnim razem kiedy jeden z

nich zjawił się w Eternity po Terri, zapędził Jackie w kąt kuchni i gadał, jak to taka kobieta jak ona musi „palić się do mężczyzny” i że „chętnie zrobi jej dobrze”. Jackie mocno nadepnęła mu na stopę, równocześnie „przypadkiem” upuszczając mu ciężki rondel na dłoń. Od tej pory sama proponowała Terri odwiezienie do domu, gdy przyjaciółka nie mogła pozbyc się samochodu.

-On... on mi się podobał - powiedziała Jackie, chcąc i nie chcąc jednocześnie opowiedzieć komuś o Williamie. Reagowała na niego bezsensownie, gdyż była mężatką od młodych lat, choć Bogiem a prawdą nigdy nie była „zakochana”. Wyszła za Charleya, by wyrwać się z Chandler. Znał jej motywy i miał w nosie to, że został wykorzystany. Z ochotą zamienił kilka obietnic małżeńskich na towarzystwo długonogiego żrebaka płci żeńskiej pełnego nienasyconej ciekawości i niespotykanej chęci do pracy. Dwadzieścia godzin po poznaniu Jackie był przekonany, że zadba o niego. Nie pomylił się. Podczas wszystkich wspólnych lat starała się, żeby rachunki były zapłacone, żeby mieli dach nad głową rozwiązywała wszystkie problemy i burzliwe życie Charleya stało się tak spokojne, jak to tylko było możliwe. Odplącił się Jackie, pokazując jej świat.

-Spodobał mi się - powtórzyła Jackie. - I to wszystko. Był na miejscu katastrofy, więc zaopiekował się mną i pogadaliśmy. Zupełnie zwyczajnie.

Gadaliśmy, jakbyśmy znali się całe życie, pomyślała. Gadaliśmy jakbyśmy nigdy nie mieli przestać; gadaliśmy, jakbyśmy byli przyjaciółmi, starymi przyjaciółmi, nowymi przyjaciółmi najlepszymi przyjaciółmi.

-Jak się nazywa?

-Aaa... hm... William jakiś tam nie pamiętam.

-Mieszka w Chandler?

-Nie jestem pewna. - Mówiła szybko żeby Terri nie zdążyła zapytać, dlaczego zgodziła się zostać współniczką człowieka, którego nazwiska nie zna. - Terri, naprawdę robisz z igły widły. To drobiazg. Poznałam w życiu tysiąc mężczyzn uczyłam pilotażu setkę z nich i ten się od nich nie różni.

-Możesz okłamywać samą siebie, ale nie mnie. Rumienisz się jak dziewczynka. Więc kiedy będę mogła go poznać?

-Nie wiem Jego siostra chyba powiedziała, że może wróci w sobotę.

Tę datę wryła sobie w pamięć. „Sobota późne popołudnie” tak jej powiedziano. Jackie planowała włożyć o trzeciej po południu śliczny żółto biały fartuszek z marszczeniami przy szerokich paskach a pod niego białą bluzeczkę. Chyba pokropi się perfumami w kilku strategicznych miejscach. W piekarniku będzie świeżo upieczony chleb. Widział mnie w skórzanym kombinezonie lotniczym z włosami przyklejonymi do głowy pod pilotką z bawełnianą podszewką więc następnym razem z przyjemnością zaprezentuj mu się w innej postaci pomyślała. Zobaczysz kogoś, kto umie zadbać o dom może nawet być żoną.

Poderwała głowę na śmiech Terri.

- Och skarbie ciężko wpadłaś bardzo ciężko. Przypominasz mnie, kiedy miałam osiemnaście lat - Ton głosu Terri jasno wskazywał że sposób postępowania Jackie był naturalny u osiemnastolatki ale raczej nieoczekiwany u trzydziestoosmiolatki.

Na buczenie klaksonu Jackie podskoczyła i szybko odwróciła głowę do okna. Wywołało to kolejny wybuch śmiechu Terri.

-To mój najstarszy.

-Ależ zaprosz go na mleko i ciasteczka - powiedziała Jackie. Miała nadzieję, że nie będzie narażona na sprośne przywalanki tego „chłopaczka”.

-Nie, muszę wracać. - Terri dzielnie starała się wyprzeć z głosu żalność.

Jej trzech synalkowie oraz małżonek zawsze czuli się zdradzeni, kiedy ośmieliła się wyrwać na popołudnie i nie być w domu na ich zawołanie. Karali ją, niszcząc, co się da. Zastanie jedzenie porzucane po podłodze, wiszącą siatkę na drzwiach rozsuniętą by

naleciały tysiące much, i rozzłoszczonych mężczyzn narzekających, że nie zostali na czas nakarmieni.

-Zadzwoń do ciebie w niedzielę. Masz mi wszystko opowiedzieć - powiedziała Terri wychodząc. Biegła, bo syn trąbił bez przerwy, ogłuszająco.

### 3

Przez następne dni Jackie próbowała być rozsądna, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Starła się przekonać samą siebie, że jest dorosłą kobietą a nie zauroczoną dziewczyną która nie słucha głosu rozumu. Przeklinała siebie za to, że urodziła się kobietą. Na Boga do czego te baby są zdolne?! Poznają mężczyznę, który jest dla nich miły, i po dziesięciu minutach planują ślub. Powtarzała sobie że przeżyła zwykłe spotkanie. Z jednym wyjątkiem - mocno walnęła się w głowę. W innym wypadku zachowałyby trzeźwość umysłu i nie wracała myślą do całego zdarzenia.

Usiłowała przypomnieć sobie tych licznych mężczyzn których poznała w ciągu wielu lat. Pewnego razu była na jachcie z Charleyem i z bardzo przystojnym mężczyzną który no prawdę mówiąc był więcej niż przystojny. Był absolutnie wspaniały; wysoki, ciemny blondyn o żywych niebieskich oczach miał za sobą jakieś osiemnaście lat spędzone na wielu uniwersytetach, studia na różnych kierunkach więc rozmowa z nim była fascynująca. Był niezwykle bystry wykształcony niesłychanie przystojny wszystko czego kobieta mogłaby pragnąć ale chociaż spędzili całe cztery dni razem a Charley leżał powalony chorobą morską nie zakochała się w tym mężczyźnie. Oczywiście tłumaczyła sobie była zamężna więc może to dlatego. Może William okazał się pierwszym interesującym przystojnym mężczyzną z którym nawiązała kontakt gdy była już samotna.

Na tę myśl nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Po śmierci Charleya zdumiewająca liczba mężczyzn pukała do jej drzwi „składając wyrazy szacunku”. Podczas żałoby zastanawiała się, co ze sobą zrobi kiedy nie stało Charleya którym się opiekowała i nagle pojawił się tłum panów oferujący jej gwiazdkę z nieba. To było równocześnie pochlebające i męczące.

Przez pół roku po śmierci męża nie umawiała się z mężczyznami ale pod naporem samotności i stałego strumienia zaproszeń złamała się. Zaczęła wchodzić na kolacje i do kina na wyścigi samochodowe i na pikniki. Bywała wszędzie gdzie się dało Za każdym razem scenariusz rozmowy był ten sam „Nie masz rodzeństwa?” „Gdzie się wychowałeś?” „Do jakiej szkoły chodziłeś?” „Ile zawodów wygrałeś?” „Jakich sławnych ludzi poznałeś?” „Jak się czułeś na obiedzie w Białym Domu?”

Po sześciu miesiącach takich randek zaczęła się zastanawiać nad wydrukowaniem kartek z najważniejszymi informacjami żeby uniknąć powtarzania w kółko tych samych nudnych rozmów. Czy któryś z tych mężczyzn powiedział coś interesującego? Na przykład zapytał: Wyznaj mi swoje największe kłamstwo?” Nie mogła tego zapomnieć. Tych słów Williama. I zrobił jej ulubioną kanapkę

- Nie zwykłą pajdę chleba z roztopionym serem albo z przysmażaną polędwicą pochłapaną musztardą, ale prawdziwą kanapkę!

Rok po śmierci Charleya przeniosła się do Chandler, bo była zmęczona ciągłym przebywaniem w trasie zmęczona osobnikami którzy widzieli już tyle że umierali z nudów choć nie dobili jeszcze trzydziestki. Jackie obawiała się że jeśli zostanie z nimi to stanie się taka sama. Chciała być z ludźmi którzy zachwycali się samolotami.

- Nie mam pojęcia jak to to unosi się w powietrzu - mówili. Słowa które kiedyś rozśmieszały ją do łez słowa które kiedyś doprowadzały ją do wściekłości czystą głupotą teraz podobały się jej z powodu swej prostoduszności. Lubiła Chandler, lubiła ludzi, którzy w nim mieszkali, ludzi, którzy dokonali mało w życiu - poza tym, że popychali ten świeatek.

1 teraz tu właśnie, w tym małym sennym miasteczku poznała mężczyznę, który sprawił to, co nie udało się żadnemu innemu poza Charleyem - zainteresował ją.

W czwartek wysprzątała dom. W piątek poszła na zakupy i wydała kwotę równą półrocznym wydatkom na ubrania, a gdy dobrnęła do domu, uznała, że wszystko, co kupiła, jest koszmarnie. Przejrzała całą garderobę, wyciągnęła szmaty, których nie wkładała na siebie całe wieki. Nie potrafiła się zdecydować. Czy kreować się na łagodną i uległą gospodynię domową czy też na seksowną kobietę światową? A może spróbować wyglądać jak „gwiazda filmowa w zaciszu domostwa” - wskoczyć w dzinsy i w jedwabną koszulę?

Do soboty uznała, że jej całe życie zależy od tego popołudnia i była przekonana że cokolwiek na siebie włoży, okaże się nieodpowiednie. Kiedy obudziła się rano była zła, zła na siebie, że zachowuje się jak spragniona miłości nastolatka, zła, bo robiła z igły widły. Nawet jeśli on się pokaże, to bardzo żenujące doprowadzić się do stanu oglupienia jaki przystoi panience przed szkolną potańcówką. A jeśli on przyjedzie ubrany w robocze łachy, gotów wymieniać silnik czy zajmować się czymś w tym rodzaju? A jeśli wcale nie przedzie?!

Pomaszerowała do stajni przerobionej na hangar, wspięła się na drabinę i usiłowała zdjąć zniszczone śmigło. Zaczęła od tego, że upuściła klucz oderwała sobie połowę paznokcia i porysowała świeży jasnoczerwony lakier na drugim. Podniosła dłonie do światła i skrzywiła się. To byłoby na tyle ze ślicznymi rączkami, pomyślała po czym wzruszyła ramionami. Może to lepsze niż usiłować wyrzucić na nim wrażenie.

Stała na drabinie ubrana w zatłuszczony dres który dawno temu miał przyjemny szary kolor, ale został uswiniony do tego stopnia, że nie dało się o nim powiedzieć nic miłego. Za pomocą klucza zmagala się ze śmigłem. Odgarnęła z czoła włosy, przy okazji zostawiając na policzku smugę smaru i przyjrzała się ośce śmigła z drugiej strony. W tej samej chwili ujrzała parę stóp w bardzo drogim obuwiu. Otarłszy twarz rękawem dresu i rozmazując kolejną porcję smaru, popatrzyła w dół i zobaczyła przystojnego mężczyznę, który się w nią wpatrywał. Był wysoki, miał ciemne włosy i oczy, i bardzo poważny wyraz twarzy, jakby czegoś od niej oczekiwał.

-Pomóc panu w czymś? - zapytała.

Większość ludzi, która trafiała do Eternity - poza przyjaciółmi Jackie - była turystami zwiedzającymi wymarłe miasteczko albo szukającymi drogi.

-Pamiętasz mnie? - zapytał bardzo miłym głosem. Przystała mocować się z oporną śrubą i przyjrzała się uważniej.

Teraz, gdy dał do zrozumienia, że się znają coś jej zaczęło świtać, ale nie mogła go sobie skojarzyć. Bez wątplenia mieszkał w Chandler i chodzili razem do szkoły.

-Wybacz. Nie kojarzę cię.

-A to pamiętasz? - Nawet się nie uśmiechnął, kiedy to powiedział.

Wyciągnął rękę. Coś na niej leżało, lecz nie widziała dokładnie co.

Zaciekawiona zeszła z drabiny i podeszła bliżej. Uważano ją za wysoką kobietę, ale przybysz przewyższał ją co najmniej o głowę i kiedy stanęła przed nim, wydawał się całkiem znajomy. Wzięła w rękę drobiazg i przekonała się, że to szkolna odznaka. Złote litery „LCh” na emaliowanym tle w kolorach szkoły - niebieskim i złotym. Liceum Chandler. Początkowo ta odznaka nie wzbudziła w niej żadnego wspomnienia, ale gdy spojrzała w ciemne, poważne oczy mężczyzny, zaczęła się śmiać.

-Ty jesteś mały Billy Montgomery, prawda?! Nie poznałabym cię. Wyrosłeś. - Cofnęła się o krok i zlustrowała go spojrzeniem. - Ale z ciebie przystojny mężczyzna. Sympatii to chyba nie możesz się doliczyć, co? Jak się mają rodzice? Co porabiasz? Och, musisz mi odpowiedzieć na tysiąc pytań. Dlaczego nie wpadłeś wcześniej z wizytą?

Na jego twarzy pojawił się zaledwie cień uśmiechu zdradzający, że to entuzjastyczne powitanie jest mu miłe.

-Nie mam dziewczyny. Ty zawsze byłaś jedyną dziewczyną w moim życiu.

Znów wybuchnęła śmiechem.

-Nie zmieniłeś się. Wciąż jesteś zbyt poważny stary maleńki. - Bezceremonialnie

wzięła go pod ramię. - Może wejdiesz i napijesz się herbaty, i opowiesz mi o sobie? Pamiętam jaka byłam dla ciebie okropna. - Podniosła ku niemu oczy. Trudno mi uwierzyć, że to ja zmieniałam ci pieluszki.

Uśmiechnięci, trzymając się pod ramię szli do domu. Billy jako dziecko nigdy nie był gadatliwy, a teraz jego milczenie pozwoliło Jackie wrócić pamięcią do tamtych czasów. Przy nim, przy jego braciach i siostrach, rozpoczęła pracę opiekunki. Przy Billym uczyła się sztuki zmieniania pieluch. Po pierwszym dniu wróciła do domu i powiedziała matce, że nigdy ale to nigdy nie będzie miała dzieci, że maluchy powinno się trzymać w stodole na kupie słomy, aż nauczą się właściwie zachowywać.

Zawsze lubiła Billy'ego. Był taki spokojny i gotowy robić to co mu kazała. Jeśli proponowała innym dzieciom lekturę niezmiennie wołały bawić się w chowanego. Jeśli Jackie chciała bawić się w kucanego berka, dzieciaki wołały siedzieć cicho w domu bawić się lalkami czy kolejką.

Ale Billy był inny. Zawsze chciał robić to co ona mu wymyśliła. Najpierw uważała, że po prostu ma zgodną naturę ale zbyt często kiedy matka Billy'ego pytała ją, co zamierza robić z dziećmi danego dnia i Jackie odpowiadała pani Montgomery śmiała się i oznajmiała: „Billy mówił, że na to właśnie ma ochotę”.

Jackie była zadowolona z tego spokojnego chłopczyka lecz zmieniła zdanie, gdy zaczął jej towarzyszyć wszędzie również wtedy, kiedy nie zajmowała się dziećmi. Jeśli był w śródmieściu z rodziną i dojrzał gdzieś Jackie odłączał się od opiekunów i szedł za nią. Nie przeszkadzało mu to że czasem musiał przebyć szeroką ulicę, wchodząc pod kopyta rozpędzonych koni albo pod koła rozpaczliwie hamujących aut. Po prostu chciał być tam gdzie ona. Matka Jackie drwiła z córki, mówiła że Billy się w niej zakochał.

Jackie uważała to za miłe dopóki malec nie zaczął co wieczór pokazywać się na jej progu. Wtedy stał się plagą. Stał się uprzykrzonym młodszym braciszkiem którego nigdy nie miała i nie chciała mieć.

Jej matka umówiła się z matką Billy'ego że Jackie będzie zajmowała się malcem trzy popołudnia w tygodniu. Kiedy Jackie się o tym dowiedziała wpadła w furję, ale matka nie chciała jej słuchać więc Jackie zdecydowała się pozbyć dzieciaka. Zamierzała to osiągnąć zastraszając go śmiertelnie. W wieku piętnastu lat była pełnym narwańcem a Billy jak na swoje pięć latek był duży i całkiem wytrzymały. Jackie wspinała się na drzewo zostawiając Billy'ego godzinami na dolnych konarach. Liczyła na to że poskarży się swojej matce ale nigdy nie pisał słówka. Miał bezgraniczną cierpliwość i wyglądało na to że jakimś szóstym zmysłem rozpoznaje co może a czego nie może zrobić. Kiedy miał pięć lat nie kołysał się na linie przywiązanej do gałęzi drzewa i zwisającej nad rzeką nie robił też tego kiedy miał lat sześć ale kiedy miał ich siedem złapał się liny i poszybował nad lustrem wody Jackie widziała że jest przerażony lecz zacisnął usteczka i wylądował w wodzie a potem pieskiem przyplął do miejsca gdzie siedziała na płyciźnie. Korciło ją, żeby nie pochwalić go ani słowem, ale po chwili wyszczerzyła zęby i mrugnęła. W rewanżu ujrzała jeden z rzadkich uśmiechów Billy'ego.

Stosunki między nimi ociepliły się. Nauczyła go pływać i pozwalała mu pomagać sobie w domu. Billy, który odzywał się tylko wtedy, kiedy miał coś istotnego do powiedzenia, oświadczył Jackie, że w jej domu jest fajniej. U niego wszystko robi służba, a u niej samemu trzeba się starać.

- Można na to spojrzeć z innego punktu widzenia - odrzekła.

Matka zaproponowała Billyemu, żeby zaprosił Jackie do kina Jackie, która nie dysponowała pieniędzmi na takie błahostki, była wniebowzięta - dopóki nie zobaczyła pod kinem najprzystojniejszego chłopaka ze swojej klasy. Przystanęła żeby zamienić z nim parę słów. Mały Billy wpakował się między nią i wysokiego na sześć stóp dryblasza i powiedział twardo, że Jackie umówiła się z nim i niech tamten spada, bo pożałuje. Szyderstwa w szkole

ustały dopiero pół roku później. Koledzy bezlitośnie kpili z Jackie i jej wysokiego na trzy stopy obrońcy, który był im gotów poobtłukiwać kolana. „Podnosisz go do góry, żeby pocałować na dobranoc, Jackie?” - drwili.

Zanim Billy skończył siedem lat, ludzie w miasteczku mówili o nim: „Cień Jackie.” Był z nią kiedy tylko mógł, i w żaden sposób nie mogła się od niego opędzić. Krzyczała na niego, mówiła szczerze, co o nim myśli, nawet powtarzała, że go nienawidzi, ale zawsze kręcił się w pobliżu.

Pewnego dnia miała wówczas siedemnaście lat - znajomy odprowadzał ją ze szkoły do domu. Zatrzymali się przy furtce, kolega przysunął się do Jackie żeby wyjąć jej z włosów zabłąkany liść, a tu z zarośli wynurza się siedmioletni Billy, rozjuszony jak zlany wodą kot i napada na kompletnie zaskoczonego chłopaka. Oczywiście Jackie najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Odciągnęła Billyego od jego ofiary i usiłowała przeprosić kolegę, ale ten był zakłopotany, gdyż napastnikowi udało się powalić go na polną drogę. Następnego dnia cała szkoła z rozkoszą nabijała się z Jackie i jej karzełkowatej sympatii którą ukrywa po krzakach.

Matka Bilbego przemiła kobieta, usłyszała o całej awanturze i przyszła przeprosić Jackie usprawiedliwiając najmłodszego syna słowami „On cię tak kocha Jackie.” Nie o tym marzyła w wieku siedemnastu lat. Chciała żeby kochał ją kapitan drużyny futbolowej, nie jakiś szkrab nie dorastający jej do pasa.

Po tym zdarzeniu nie odzywała się do Billyego przez trzy tygodnie ale złagodniała kiedy obudziła się pewnego ranka i zobaczyła go śpiącego na werandowej huśtawce. W nocy wyszedł przez okno ze swojej sypialni i czekał na przyjazd mleczarza. Zaszył się na platformie samochodu między bańkami wysiadł przy domu Jackie, zwinął się w kłębek na twardych deskach huśtawki i zasnął. Kiedy Jackie go ujrzała, powiedziała mu że jest przekleństwem gorszym niż egipska plaga, ale jej matka uważała że jest milusi.

Billy włóczył się za nią tego dnia, w którym poznała Charleya i zakochała się w samolotach. Zapytał wtedy:

- Kochasz bardziej samoloty niż mnie?

- Bardziej Kocham komary niż ciebie.

Billy jak zwykle nic nie odpowiedział. Wtedy czuła się gorzej, niż gdyby wrzeszczał, krzyczał albo płakał jak inne maluchy. Ale Billy był dziwnym maluchem. Bardziej przypominał staruszką w ciele chłopczyka niż autentyczne dziecko.

Kiedy uciekła z domu z Charleyem, nie miała odwagi spojrzeć w twarz matce, więc zostawiła jedynie list. Jednak w połowie drogi do lotniska jakiś impuls kazał jej zawrócić. Pewien sąsiad podrzucił ją samochodem pod dom rodziców Billy'ego, gdzie wydawano urodzinowe przyjęcie. Większość jedenaściorga braci i sióstr chłopczyka wespół z prawie całą dzieciarnią z Chandler tłukła się między sobą i podnosiła hałas zdolny wywołać trzęsienie ziemi, ale Billy'ego nigdzie nie było. Jego matka zachowująca spokój wśród tego chaosu, dostrzegła Jackie i wskazała kąt werandy.

Siedział tam samotnie i czytał książkę o samolotach. Jackie przypatrując mu się pomyślała że może jednak kocha go troszeczkę. Kiedy poważny mały Billy który rzadko się uśmiechał, ujrzał, kto do niego podchodzi, rozjaśnił się

- Nigdy mnie nie odwiedzasz - rzekł

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że poczuła się winna. Może była dla niego za surowa. Przecież czasem całkiem nieźle się bawili.

Spojrzał na jej walizkę.

-Odjeżdżasz z nim, co?

W jego głosie wyczuła łzy.

-Tak, wyjeżdżam. Ale tylko tobie o tym mówię. Matce zostawiłam list.

Billy pokiwał dorosłe główką.

-Ona na pewno wolałaby, żebyś nie jechała.



-Pewnie chciałyby mnie zatrzymać.

-Tak, pewnie tak.

Była przyzwyczajona do tego sposobu bycia starego maleńkiego Billy'ego, ale dostrzegła w nim smutek. Zmierzyła ciemną czuprynkę dziecka.

-Do zobaczyska, mały - powiedziała i odwróciła się. Billy przypadł do Jackie i mocno objął ją w pasie.

-Kocham cię, Jackie. Będę cię kochał zawsze.

Przyklękła i odwzajemniła uścisk. Odsunęła się i pogładziła Billy'ego po włosach.

-Wiesz, może ja też cię trochę kocham.

-Wyjdiesz za mnie za mąż? Jackie roześmiała się.

-Zamierzam wyjść za mąż za jednego tłustego starucha i zobaczyć świat.

-Nie możesz tego zrobić - wyszeptał. - Ja byłem pierwszy. Wstała. Łzy ciekły strumieniami po jego puciołowatych policzkach.

- Muszę już iść. Spotkamy się kiedyś, mały. Na pewno. Sama nie wierzyła w to, co mówi; zamierzała opuścić to dziadowskie miasteczko i nigdy do niego nie wracać. Chciała zobaczyć świat! Impulsywnie, jak to ona, odpięła od bluzki złotoniebieską odznakę i wręczyła ją Billyemu. Na co jej odznaka żalostnej szkółki z żalostnego miasteczka?

Billy tak się zapatrzył na prezent że nie zauważył, iż Jackie zaczęła iść w swoim normalnym tempie to znaczy prawie biec.

-Napiszesz do mnie? - zawołał. Chciał ją dogonić, ale nie mógł.

-Jasne, mały! - krzyknęła przez ramię. - Na pewno napiszę! Oczywiście, nie wysłała do niego ani jednego listu. Prawdę mówiąc, podczas następnych lat wróciła pamięcią do Billy'ego zaledwie kilka razy, a i to jedynie wtedy, gdy w towarzystwie, wśród żartów, opowiadało się o małych miasteczkach. Wśród salw śmiechu powtarzała historyjki o małym Billym Montgomerym, który prześladował ją ledwo skończyła dwanaście lat, dopóki nie uciekła w wieku lat osiemnastu. Parę razy zastanawiała się, co się z nim dzieje, ale wiedziała, że ma pieniądze i koneksje Montgomerych, więc cały świat stoi przed nim otworem.

- Pewnie ożenił się i ma już z pół tuzina dzieciaków - stwierdził kiedyś pewien facet.

- Niemożliwe - odparła Jackie Billy to jeszcze malec. Zmieniałam mu pieluszki

- Jackie chyba powinnaś popatrzeć w metrykę. Ku swej zgrozie uświadomiła sobie że „mały Billy Montgomery ma około dwudziestu pięciu lat

Poczułam się stara. Śmiała się. Nie mogło minąć więcej niż trzy lata od kiedy wyjechałam z Chandler.

Jęknęła gdy Charley przypomniał jej że są małżeństwem od siedemnastu lat.

Więc teraz dawno po wyjeździe z Chandler, stała twarzą w twarz z małym chłopcem który kiedyś przypadł do niej i przysięgał że zawsze będzie ją kochał. Mierzył co najmniej sześć stóp jeden cal miał szerokie ramiona wąskie biodra. Był bardzo przystojny

-Wejdz koniecznie. Zapraszam na gorącą czekoladę i ciasteczka.

Chciała utwierdzić się w przekonaniu, że w porównaniu z nią Billy to dopiero dziecko. Patrząc teraz na niego, trudno było wywołać z pamięci wizerunek ze szczenięcych lat.

-Wolałbym kawę - powiedział, wskazując jej, by szła pierwsza. Kiedy znaleźli się w domu, poczuła się skrępowana.

-Jak się ma twoja rodzina?

-Wszyscy mają się dobrze. A twoja matka?

-Umarła parę lat temu - rzuciła przez ramię, idąc do kuchni. Billy szedł za nią krok w krok.

-Przykro mi to słyszeć. Ależ pozwól, że ci pomogę. Sięgnął ponad głowę Jackie po puszkę ze świeżą ziarnistą kawą. Jackie odwróciła się i jej wzrok spoczął akurat na opalonej szyi Billy'ego, a kiedy zadarła głowę, ujrzała jego podbródek - tak wyraziście zarysowany, że

mógł być wystrugany heblem. Przez chwilę zabrakło jej tchu. Potem opanowała się i wyszła spod obejmujących ją ramion.

-Boże święty, ale jesteś podobny do ojca. Przy okazji, jak on się miewa?

-Tak samo jak cztery dni temu, kiedy się widzieliście.

-Tak, oczywiście. Ale...

Billy uśmiechnął się do niej rozbawiony czymś, po czym odsunął krzesło od stolika w kącie ślicznej kuchni i gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca.

- Zrobię kawę - powiedział.

- Potrafisz?

Jackie należała do szkoły wyznającej teorię że mężczyźni umieją robić tylko to za co im się płaci lub to za co dostają nagrody. Potrafią prowadzić wojny zarządzać wielkimi przedsiębiorstwami ale bez kobiecej pomocy umrą z głodu i będą chodzić nazy i bosy.

Billy odsypał odpowiednią ilość kawy do młynka. Zaczął mleć nie przestając z lekkim uśmiechem przyglądać się Jackie.

Więc opowiedz mi wszystko o sobie zagadnęła odwzajemniając uśmiech. Usilnie starała się nie zapomnieć że kiedyś zmieniała pieluchy temu mężczyźnie.

-Poszedłem do szkoły potem na uniwersytet i teraz pomagam ojcu w czym się tylko da.

-Zarządzasz milionami dolarów Montgomerych zgadza się?

-Mniej więcej.

-Żadnej żony ani dzieci? Nie mogła pogodzić się z myślą że dzieciak, którym się kiedyś opiekowała, wyrósł tak, że może mieć żonę, co dopiero dzieci!

-Powiedziałem ci, że jesteś jedyną kobietą którą będę kiedykolwiek kochał. Powiedziałam ci to w dniu, w którym wyjechałaś.

Roześmiała się na te słowa.

-W dzień, w którym wyjechałam, miałeś osiem lat i nosem sięgałeś mi do klamry u paska.

-Od tej pory urosłem.

Odwrócił się od niej, wsypał zmieloną kawę do dzbanka i Jackie nie mogła opędzić się od myśli, że urosł na bardzo, bardzo przystojnego mężczyznę.

-Więc jak się ma twoja rodzina? - zapytała chyba po raz trzeci Billy wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel, wyszukał plik fotografii i wręczył je Jackie.

- Moje siostrzenice i bratanice. Przynajmniej część z nich. Podczas kiedy kawa się parzyła, pochylił się nad Jackie i objaśniał zdjęcia. Na niektórych były grupki dzieci, na innych pojedyncze szkraby. Podobało jej się to, że jest na tyle uczuciowy, iż nosi przy sobie zdjęcia dzieci, zna ich wiek i wie coś o każdym. Ale równocześnie poczuła się niewygodnie. Pamiętała rodziców tych dzieci z czasów, kiedy sami byli podrostkami. Ta ciemnowłosa dziewczynka miała tyle lat co jej mama, kiedy Jackie widziała ją ostatni raz.

- Chyba się starzeję - zamruczała.

W sercu nie postarzała się o dzień od opuszczenia Chandler. Nadal czuła się osiemnastolatką nadal czuła, że ma wiele rzeczy do zrobienia, zanim dorośnie, i zacznie zachowywać się jak dojrzała kobieta. Nie była całkiem pewna, co chce zrobić ze swym życiem. Przedłużyła sobie młodość prowadząc samoloty podczas pokazów i zawodów, uprawiając akrobację i robiąc sztuczki, którymi olśniewała świat, ale teraz była wreszcie gotowa spoważnieć i stać się dorosła. Uznała, że czas już poślubić „prawdziwego” mężczyznę, faceta, który odwala osiem godzin roboty dziennie, wraca wieczorem do domu i czyta gazetę. Zaczęła nawet rozważać myśl założenia rodziny. Tern uznała to za niesamowite, gdyż dwie koleżanki z jej klasy w liceum były już babkami.

-Ty nigdy nie będziesz stara, Jackie. - Billy łagodnie powiedział jej to wprost do ucha.

Jego oddech na jej skórze sprawił, że podskoczyła i otrząsnęła się. Co ją napadło, że bliskość takiego dzieciaka jak Billy tak ją porusza?

-Co...? - zaczęła, ale przerwała, słysząc samolot. Z dochodzących odgłosów zgadywała, że podchodzi do lądowania.

Odstawiła kawę przeszła przez bawialnię minęła próg i skierowała się do pasa startowego. Billy szedł tuż za nią. Zastonięta oczu przed słońcem. Samolot lądował. Natychmiast zorientowała się że prowadzi go jakiś żółtodziób zbyt wcześnie zmniejszył wysokość.

Pilotowi udało się posadzić samolot ale chyba tylko cudem Jackie szykowała się zmyć mu głowę. Mógł zerwać komin ze starego domu na wzgórzu i doprowadzić do katastrofy.

Szła żwawo przez lotnisko lecz Billy wyprzedził ją i kiedy pilot wyszedł na skrzydło uniósł ku niemu ramiona. Jackie uświadomiła sobie poniewczasie, że za sterami maszyny siedziała kobieta. Tylko kobieta mogła być tak szczupła, mieć tak delikatne kształty i tylko piękna kobieta mogła tak chętnie skorzystać z męskiej pomocy. Zdjęła gogle i pilotkę, uwalniając burzę smolście czarnych włosów, i odwróciła się do Jackie. Na ślicznej twarzy malowało się przygnębienie.

-Tak chciałam zrobić na tobie wrażenie, ale zamiast tego mało nie wykończyłam siebie, kilku drzew i... - Popatrzyła na Billy'ego. - Czego to ledwo nie skosiłam? Komina?

-No właśnie - odparł.

Słowa nagany zamarły Jackie na ustach. Pamiętała czasy, kiedy chcąc popisać się przed Charleyem lotniczymi umiejętnościami zawsze się blamowała. Zamiast wygłosić kazanie uśmiechnęła się do dziewczyny.

-Pamiętasz moją kuzynkę Reynatę prawda? Początkowo nie mogła skojarzyć imienia z osobą ale po chwili spojrzęła ze zgrozą na brunetkę Rey?

-Ty jesteś mała Rey? Kiedyś ta oto wdzięczna Reynata była pulchną pięciolatką. Miała wiecznie brudne ubranka i wiecznie poobijane kolana. Zawsze usiłowała dogonić inne dzieci zawsze się przewracała i tłukła. Teraz była wysoką śliczną panną na wydaniu.

- Oczywiście że cię pamiętam Jackie starała się nadać głosowi miły ton choć zastanawiała się czy z każdym kolejnym napotkanym „dorosłym” bardziej nie siwieje. Przywiała się z młodą kobietą i zaprosiła ją na kawę

- Bardzo chętnie, ale widziałam nadjeżdżającą ciężarówkę i.. Ach! Już jest.

Jackie stała bez ruchu podczas gdy Rey żywa jak iskra pobiegła do drogi na której właśnie pokazała się ciężarówka

- Chyba lepiej im pomogę powiedział Billy i podążył za kuzynką

Zdumiona Jackie ruszyła za nimi. Co się tu dzieje? Rey przyleciała świeżutkim Waco który wyglądał, jakby wczoraj wyszedł z fabryki. Jackie powiedziała Williamowi swemu wybawcy że na samolocie tego typu najbardziej jej zależy. Czy to przypadek czy maszyna od Williama?

Nim zdążyła dotrzeć do ciężarówki wyładowano już z niej rzeczy i zaczęto nosić je do starego hoteliku który Jackie wynajęła od ojca Billy ego łóżko i pościel fotel kilka stoliczków lampy ubrana stojak na wieszaki. Cała ta sytuacja wpędziła Jackie w takie osłupienie że minęło parę chwil zanim wydobyła z siebie głos.

-Czy możesz mi wyjaśnić, co się tu wyprawia? - zapytała Billy'ego odciągawszy go wpierw na bok - I czy mógłbyś powiedzieć tym ludziom żeby przestali wnosić meble do mojego domu? Jestem już urządzona Wyglądał na zaskoczonego

-Górne piętro jest przecież wolne. Nie wynajęłaś go.

-Nie wynajęłam. Twój ojciec,

-Och, kupiłem hotel od taty. Kazał mi wybulić pięć dolarów. Próbowałem zbić cenę do dolara, ale nie chciał o tym słyszeć. A to drań! Na początku zaśpiewał dziesięć dolarów, ale kończyłem wydział biznesu nie dla zabawy. Nikt mnie nie oszuka, nawet własny ojciec.

Była to na pewno zabawna opowiadka, jednak w tym momencie Jackie nie miała nastroju do śmichów-chichów.

- Co się tu dzieje?

- Chyba powinienem najpierw zapytać cię o zgodę. To przecież twój dom przynajmniej pierwsze trzy kondygnacje, ale naprawdę nie miałem czasu niczego z tobą uzgodnić. Musiałem jak najszybciej pozałatwiać sprawy, żebyśmy mieli jak najwięcej czasu na zawody otwarcia. Myślałem, że będzie o wiele wygodniej, jeśli zamieszkał blisko, zamiast codziennie dojeżdżać z Chandler, więc kupiłem od taty hotel i wynająłem ludzi do sprzątnięcia górnego piętra. Mama wyszukała na strychu meble i...

-Zaczekaj chwilę! - prawie krzyknęła. - Co ty masz wspólnego z zawodami otwarcia? I co ja mam z nimi wspólnego? Dlaczego wciąż powtarzasz „my”?

Ledwo zadała to pytanie, znała na nie odpowiedź. Przed nią stał, osłaniając ją od słońca, nie mały Billy Montgomery, ale William, jej rycerz-wybawca, mężczyzna, który wyciągnął ją z wraku samolotu, mężczyzna, który zaintrygował ją rozmową obudził w niej zainteresowanie życiem i sprawił, że nawet zaczęła myśleć o miłości. Był to mężczyzna, o którym marzyła, o którym śniła i z którym zaczęła wiązać nadzieje. Mężczyzna, którego zaczęła sobie wyobrażać jako obiekt miłości, w rzeczywistości był bardzo dużym chłopczykiem

Jej pierwszym uczuciem było głębokie zakłopotanie.

-To pomyłka. Musisz zabrać meble i wrócić do Chandler. Opuściła głowę tak nisko, żeby nie dojrzał jej zaczerwienionej twarzy, i ruszyła do hotelu, gdzie dwaj ludzie właśnie przenosili stoliczek przez drzwi. Ale William złapał ją za ramię.

-Jackie...

-Czy w domu nie nauczono cię, jak zwracać się do starszych? Dla ciebie jestem pani O'Neill.

Nie zwolnił uścisku.

-Wydaje mi się, że powinniśmy o tym porozmawiać.

-Nie sądzę, żebyśmy w ogóle mieli o czym rozmawiać. Hej! - krzyknęła do robotników, którzy wyłonili się z hotelu i szli do ciężarówki. - Nie wnoście już nic więcej. Mały Billy tu nie zostaje.

Tragarze zarechotali, spoglądając na Jackie i Williama, który górował nad nią dobrych kilka cali i był sporo cięższy. Nikomu nie kojarzył się z „małym Billym”. William kiwnął głową robotnikom.

- Odsapnijcie sobie.

Nie puszczając ramienia Jackie, pociągnął ją w dół ulicy. Drogę przeciął im kłęb wędrujących chwastów. William bez słowa zawiódł ją do jednego z barów Eternity. W środku stało kilka połamanych krzeseł, parę zakurzonych stolików. Zdecydowanie podprowadził Jackie do jedynego krzesła, które miało wszystkie cztery nogi, i usadził ją na nim.

- Teraz posłuchaj...

Poderwała się natychmiast jak diabełek z pudełka.

- Nie próbuj mi nic tłumaczyć! To wszystko jedna wielka pomyłka. Teraz masz wynieść się ze swoimi rzeczami z mojego domu...- Zawahała się.- A jeśli ten budynek jest twoją własnością ja się wyniosę.

Po tych słowach serce ścisnęło jej się z żalu. Wynajęła pierwsze dwie kondygnacje na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Planowała wydzierżawianie co roku kolejnej, aż do przejęcia całego hotelu. Kiedy zagadnęła Jacka Montgomery'ego o możliwość najmu postawił warunki, którym nie mogła sprostać więc zapytała ile liczy za pojedynczą kondygnację. Starając się nie pokazać rozbawienia podzielił koszt na pięć równych części. Jackie poprosiła o rabat za natychmiastowe wynajęcie parteru i pierwszego piętra. Dzięki dziesięcioprocentowej zniżce stać ją było na te dwie kondygnacje. Po pół roku dostała następne piętro z dwunasto i półprocentową zniżką. Wieczysta dzierżawa sprawiła że poczuła się na tyle bezpieczna by wydać wszystkie pieniądze na zagospodarowanie się a teraz będzie musiała opuścić swój

śliczny domek.

- Zaraz zacznę wyprowadzkę.

- Co się z tobą dzieje? - William zastawił sobą drogę do drzwi. - Można by pomyśleć, że chcę cię uwieść. Chyba ustaliliśmy, że będziemy prowadzić wspólny interes. Czy między nami zaszło coś więcej? Coś, o czym nie wiem?

- Jackie z powrotem opadła na krzesło, modląc się, żeby ten dzień już się skończył. William, oczywiście, miał rację. Zachowała się jak przygłup. Wszystko, co działo się między nimi, stanowiło wyłącznie twór jej wyobraźni. Przez całą tamtą noc wiedział, z kim ma do czynienia, wiedział, że jest na tyle stara, aby mogła być jego... no, starszą siostrą. Wiedział, że była jego opiekunką.

Znaczyło to, że wszystko, absolutnie wszystko, co czuła, było tylko jej wymysłem. Pocałował ją ale po co się oszukiwać - nie była to pieszczota, od której krew zapłonęłaby w żyłach. No cóż, może wtedy tamten pocałunek był cudowny, ale z perspektywy czasu pojęła, że to tylko przyjacielski całus. A ich rozmowa? Ona też była normalna. Jeśli nie chciał dopuścić do tego, by usnęła, nie mógł zanudzać ją pytaniami o nauczycielkę z drugiej podstawowej.

- Dlaczego mi się tak przypatrujesz? - zapytał.

Przypatrywała mu się i myślała, że z mieszkania pod wspólnym dachem w tym odizolowanym, wymarłym miasteczku nic nie wyniknie. Przyjemnie byłoby pomyśleć, że miejskie plotkary wyobrażą sobie Bóg wie co, ale prawdę mówiąc, potraktują ją i Williama jak nauczycielkę i ucznia, nie dopatrzą się żadnego skandalu. Na pewno tak samo potraktuje to i William Jackie była jego mentorką, jego bohaterką nauczycielką. Pokazała mu, jak się łapie owady, jak huścić się na linie, nauczyła zatrzymywać oddech przez całą minutę. Tak, bez wątplenia, z Williamem nie będzie żadnych problemów.

Problemem była sama Jackie. Przez całe życie nie zdoła spojrzeć na tego wspaniałego młodego mężczyznę, nie myśląc równocześnie, że jest chłopcem a ona w porównaniu z nim starą kobietą. Kiedy mocno się czuło swoje osiemnaście lat, trudno się rozstać z tym wrażeniem. Dopiero spojrzawszy w lustro i widząc postarzałą twarz, przeżywa się szok. Już nigdy żaden mężczyzna nie powie: „Kiedy się budzisz, wyglądasz jak smarkula.” Nie będzie wyglądała jak smarkula, nawet po godzinie ślęczenia przed lustrem i nakładaniu tapety. Och, wyglądała dobrze, wiedziała o tym ale nie jak osiemnastoletnia dziewczyna i już nigdy nie będzie tak wyglądała.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli zostaniesz w Chandler-odezwała się swoim najbardziej dorosłym tonem. - Tak będzie lepiej, bo.. Po prostu będzie lepiej i już.

Starła się, jak mogła, zachować obojętność w głosie. Jeśli pożądasz mężczyzny dziesięć lat młodszego, którym opiekowałaś się w kołysce, to czy popełniasz kazirodztwo? - zastanowiła się.

- Żeby rozkręcić interes, musimy spędzić razem dużo czasu. Byłoby śmieszne, gdybym codziennie zapychał czterdzieści mil tam i z powrotem do Chandler. A co będzie, jeśli zechcemy przedyskutować coś wieczorem?

- Jest telefon.

- A jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy samolotach?

- Jak do tej pory, całkiem znośnie dawałam sobie radę bez ciebie. Wydaje mi się, że nadal to potrafię.

- A jeśli nagle ja będę miał jakiś problem?

- Zaczekasz do rana. Wiesz, tak jak czeka się do rana z otwarciem prezentów choinkowych.

Odszedł parę kroków, postawił stopę na pręcie nisko otaczającym bar, łokieć wsparł na ladzie, głowę złożył na dłoni. Teraz potrzeba mu tylko szklaneczki whisky, sześciostrażalowca u boku i będzie wyglądał jak rewolwerowiec, pomyślała Jackie. Wyrzuć go. Stanowczo wyrzuć

go z Eternity, odsuń jak najdalej od siebie.

Po chwili odwrócił się do niej. Skupiona twarz przypominała jej poważnego chłopczyka z dawnych lat.

- Nie.

Powiedział to i wyciągnął rękę, jakby chciał dopomóc jej się podnieść. Nie czuła się jeszcze tak stara, żeby potrzebowała pomocy przy wstawaniu z krzesła.

-Co ma znaczyć to „nie”?

-Znaczy tyle, że zamieszkać w Eternity na tak długo, jak mi spodoba. Zdecydowałem.

- Zde...

Słowo zamarło jej na ustach. Przez chwilę czuła się tak, jakby miała do czynienia z dawnym Billym, stojącym okoniem. Ale kiedy czekał na jej odpowiedź, musiała podnieść głowę i wtedy zajrzała w oczy mężczyźnie - nie dziecku. Wykręciła się na pięcie i wyszła z baru. Z każdego jej ruchu wyraźnie przebijała złość.

Pospacerowała dłuższy czas - daleko po opustoszałych polach, otaczających Eternity - i usiłowała przemyśleć swoje postępowanie. Czuła się bardzo zażenowana tym, że tamtej pierwszej nocy doznała tak... tak gwałtownych uczuć względem tego młodego człowieka. Dlaczego jakiś szósty zmysł nie odpowiedział jej, że wie więcej o życiu niż on? Dlaczego prześlepiła oznaki, że ma do czynienia z dużym dzieckiem, a nie z dorosłym? Na pewno były widoczne. Na przykład... No, na przykład... Ale nawet ciężko wysilając pamięć, nie mogła sobie przypomnieć niczego, co wskazywałoby, że był od niej dużo młodszy.

Może z jednym wyjątkiem. William był bardzo zabawny. Dlaczego w miarę przybywania ludziom lat maleje im ochota do śmiechu? Wydawałoby się, że powinno być na odwrót. Starość prosi śmiech o wsparcie. Dawniej z animuszem człowiek zrywał się rano z łóżka. Im więcej lat, tym mniej jest animuszu. Śmiech dopomagał znieść udręki i bóle, opór mięśni, które zamiast pracować, rdzewiały. Ale starzejący się ludzie śmieją się coraz rzadziej. Może chęć do śmiechu to właśnie probierz wieku? Śmiejesz się pięćdziesiąt razy dziennie - jesteś dzieckiem. Dwadzieścia razy dziennie śmieją się dwudziestolatki. Śmiejesz się dziesięć razy dziennie - masz trzydzieści pięć lat. Kiedy dobijasz czterdziestki, nic nie jest w stanie przywieść cię do śmiechu.

Jakiś rok temu Jackie umówiła się na kolację z bardzo miłym mężczyzną. Poznała wtedy trzy pary. Przez całą kolację nikt ani razu się nie uśmiechnął. Rozmowa ograniczyła się do pieniędzy, spłat hipotecznych i masarni, w których można najtaniej kupić steki. Później jej towarzysz zapytał, czy się dobrze bawiła. Odpowiedziała, że ci ludzie wydawali się jej... no, trochę dziwni. Sztywno odparł, że jego przyjaciele są od niej młodszy. „Tylko latami” - odpaliła i na tym znajomość się urwała. Więc teraz jej problemem był pewien młody mężczyzna, pewien bardzo młody mężczyzna nazwiskiem William Montgomery. Musiała się go pozbyć, musiała go od siebie odsunąć. Jego obecność powodowała, że nie mogła ufać samej sobie. Tej nocy, której wydobył ją z samolotu, odczuła do niego pociąg, namiętność, która dała o sobie znać dzisiejszym przedpołudniem. Może była spowodowana wyłącznie brakiem męskiego towarzystwa przez tak wiele miesięcy, zwłaszcza że Jackie tak wiele lat przebywała prawie wyłącznie wśród mężczyzn. Nie, nie w tym rzecz. Było coś w powadze Billy'ego, coś w sposobie mówienia o zamiarach na przyszłość, co do niej przemawiało. Do diabła, pomyślała. Po latach z Charleyem jestem gotowa zakochać się w niebieskookiej małpie, jeśli będzie wierna głoszonym przez siebie zasadom i będzie dotrzymywać obietnicy.

#### 4

Kiedy jechała do wymarłego miasteczka, które stało się jej domem nie mogła uciszyć wzmożonego bicia serca. Światło na werandzie słało ciepły blask i kolejne światła jaśniały z wnętrza domu. Ktoś na nią czekał. Nie były to puste cztery ściany, ale dom ogrzany ciepłem

obecności drugiego człowieka.

Otrząsnęła się, zeszła z obłoków na ziemię. Człowiek przebywający w środku tego domu to nie mężczyzna, tylko chłopiec i partner w interesach. Cicho, żeby go nie zaalarmować, zamknęła drzwi samochodu i weszła do domu. Pachniał strawą był ożywiony ciepłem i światłem. Nigdy śliczny domek Jackie nie był równie przytulny.

William stał w kuchni przy zlewie tyłem do Jackie. Podwinięte rękawy odsłaniały silne opalone ręce mokre od pełnej piany wody w której mył stopy brudnych talerzy. Przez chwilę milcząc stała w progu obserwując go. Co prawda był bankierem umiał dobrze liczyć, większość życia spędził z nosem w książce ale miał ciało atlety. Jackie wyrósłszy w Chandler wiedziała że Montgomeryowie uwielbiali wszelkie rodzaje sportów byli wioślarzami i pływakami jeździli na koniach wspinali się na szczyty gór nawet tam gdzie mogli korzystać ze środków lokomocji, odbywali piesze wędrówki.

Ciało Williama świadczyło o tych zamiłowaniach. Pod cienką bawełnianą koszulą opalone plecy były pasmem wielu mięśni wzgórz i dolin, pejzażu wielkiej urody. Silne uda napierały na spodnie, zwarte pośladki wypychały materiał. Jackie musiała przycisnąć ręce do ciała, zwinąć mocno dłonie w pięści, żeby poskromić rozziewające pragnienie. Och, dotknąć go! Objąć w talii, przytulić głowę do pleców, a potem poczuć, jak się odwraca i całuje jej uniesioną twarz.

- Masz ochotę na kawę? - zapytał cicho, nadal odwrócony plecami.

Podskoczyła na dźwięk jego głosu. Od jak dawna zdawał sobie sprawę z jej obecności? Czy obserwował jej twarz odbitą w ciemnym oknie, które miał przed sobą?

- Nie - udało się jej wyszeptać, kiedy odwracała się, wychodząc z kuchni.

Oczywiście powinna przystać na jego propozycję, siąść z nim, porozmawiać. Miała za sobą setki wieczorów spędzonych na rozmowach z mężczyznami o samolotach, o wspólnych znajomych, polityce, wszystkim, co przyszło jej do głowy. Mało który z rozmówców ją pociągał. A już z pewnością nigdy nie czuła się tak jak teraz. Zresztą co takiego wzbudza pociąg? - zastanawiała się. Co sprawia, że z jednym mężczyzną siedzisz i rozmawiasz z przyjemnością a z drugim nie? Często zdarzało się jej widywać kobiety, które bez pamięci zabujały się w takim czy innym facecie, mężczyźnie, który w niczym nic wydawał się jej nadzwyczajny. Teraz to ona się zabujała, to jej pociły się ręce, kiedy ten mężczyzna był w pobliżu. To ona nie potrafiła rozmawiać ani nawet sensownie myśleć, kiedy był blisko niej.

Cokolwiek do niego czujesz, napominała siebie, ten mężczyzna jest dla ciebie zakazany.

Podniosła głowę i najdoroślej, jak tylko potrafiła uśmiechnęła się do Williama.

- Czy już nie pora, żebyś szedł spać?

Zamierzała go obrazić, utrzczyć mu nosa, dać do zrozumienia, że jego miejsce jest w żłobku, ale nie wyglądało, by poczuł się obrażony. Zamiast tego uśmiechnął się łagodnie, od czego zrobiło się jej bardzo gorąco.

-Nie mam nic przeciwko pójściu do łóżka. A co ty na to? Ku swej konsternacji poczuła, że rumieni się jak osiemnastoletnia dziewczyna. Gorszy od konsternacji był fakt, że nie stać jej było na kpiarskie usadzenie go, danie do zrozumienia, że jest chłopcem, a ona dojrzałą wyrafinowaną kobietą.

Dostrzegając jej zmieszanie, roześmiał się krótko i rzekł:

-Wyjdźmy na dwór. Chcę ci coś pokazać.

Swobodnie wsunął jej dłoń pod swoje silne ramię i wyprowadził ją na zewnątrz.

- Brakowało mi dziś ciebie - powiedział łagodnie, trzymając jej rękę, gdy usiłowała się wyrwać. - Już dobrze - oznajmił radośnie. - Będę grzeczny, Myślałem o rozszerzeniu działalności.

To przykuło jej uwagę.

-Rozszerzenie działalności? Jak możemy poszerzać działalność czegoś, co jeszcze się

nie narodziło? Kiedy ma się twoje młode lata, wszystko wydaje się możliwe, ale z wiekiem człowiek uczy się, że są granice, których się nie przeskoczy.

Proszę, pomyślała, to powinno załatwić sprawę. To powinno nauczyć go moresu. Jej ciało może go co prawda pożądać, ale jej umysł jest o wiele mądrzejszy.

Wyglądało na to, że William nawet nie zauważył tej cząstki wiedzy, którą mu ofiarowała.

- Kiedy jest się tak bogatym jak ja, wiele rzeczy staje się możliwe.

To byłoby na tyle z mądrością pomyślała. Kiedy dochodziło do bezpośredniej konfrontacji między mądrością i pieniędzmi, na nieszczęście pieniądze zwykle wygrywały. Powiedziała sobie że powinna być obrażona tą bezpardonową wzmianką o pieniądzach ale raczej się jej spodobała. Zawsze pogardzała ludźmi, którzy udawali, że mieli trudne życie mimo że stale kręcili się wokół nich służący gotowi w każdej chwili do usług. Jednakże bez względu na to czy podobało się jej to czy nie niezamierzała stracić możliwości przypomnienia mu o dzielącej ich różnicy wieku.

- Kiedy wydorosłejesz, stwierdzisz, że są rzeczy ważniejsze niż pieniądze.

- A cóż to takiego?

- Inteligencja. Mądrość. Szczęście. Mmm... mnhm... - Pomyślała chwilę i popatrzyła na te śmiejące się oczy i ciemne włosy, na których kładł się blask miesiąca. William nadal trzymał jej dłoń w pewnym uścisku. Z westchnieniem ogłaszającym klęskę, rzekła: - Co to za pomysł?

Była kobietą czynu. To roztrząsanie filozoficznych hocków-klocków było nużące.

William roześmiał się - tym pełnym wyższości śmieszkiem, który zaczynał drażnić Jackie - pocałował ją w czoło jak dziecko i wskazał nagie pola, leżące na południe od Eternity.

- Moglibyśmy zbudować tam kolejny pas startowy dla dużych jednostek. Może Bellanek. Czy dobrze mówię?

- Tak - powiedziała cicho. - Dobrze mówisz.

- Moglibyśmy zacząć prowadzić działalność przewozową na trasie Denver-Los Angeles.

- Tu jest Chandler, nie Denver.

- Zbudujemy pas startowy pod Denver, ale będziemy prowadzić interes stąd, wozic z Denver towary dla mojej rodziny, tu dostarczać, zabierać ludzi i cargo w Denver do Los Angeles.

Chyba nie zwrócił uwagi na to, że Jackie się uspokoiła.

- Kto będzie prowadził te samoloty?

- Możesz wyuczyć ludzi. Mam kilku kuzynów, którzy z rozkoszą opanują pilotaż. A jeśli zostaniesz pierwszą kobietą która wygra Taggie, przyciągniesz wiele pań pragnących nauczyć się prowadzenia samolotu. Mogłabyś mieć wyłącznie kobiece załogi. To by ci odpowiadało, prawda?

Mówiąc to, starał się być dla niej miły i w innych okolicznościach byłaby mu wdzięczna, ale teraz skupiła się na jednym słowie. Taggie. Natychmiast odsunęła się od niego.

- Wygrać Taggie? Czyś ty z byka spadł? Nie mam zamiaru zgłaszać się do tych zawodów, co dopiero walczyć w nich.

- Dlaczego? - spytał wprost. Jesteś najlepszym pilotem na świecie, lepszym niż wielu mężczyzn na pewno lepszym niż jakakolwiek kobieta. Zakasowałaby każdego. Facet który wygrał zeszłego roku Taggie nie ma połowy twojego doświadczenia ani umiejętności. To zero w porównaniu z tobą.

Na Boga to miłe być tak otwarcie wynoszonym pod niebiosa. Zwłaszcza że wiedziała iż William mówi prawdę. Leciła raz ze zwycięzcą zeszłorocznego Taggie i pomyślała sobie



wtedy że nie powinien mieć licencji na puszczenie latawca a co dopiero na prowadzenie samolotu. Wygrał dzięki szczęściu nie umiejętnościom.

-Nie zamierzam brać udziału w tym wyścigu ani w żadnym innym - oznajmiła wykręciła się na pięcie i zaczęła się oddalać.

Złapał ją za ramię

- Ale dlaczego Jackie? Jesteś najlepszym pilotem w Ameryce może na świecie a nigdy nie startowałaś w żadnych wielkich zawodach. Ustalałaś rekordy odległości i szybkości, lecz kilka lat temu przestałaś się ścigać To tak jakby wszyscy posuwali się do przodu a ty stanęłaś w miejscu. Dawniej myślałem że straciłaś zapał, jednak to nieprawda tego ci nie brak. Więc dlaczego nie weźmiesz udziału w zawodach i nie zwyciężysz?

- Bo jestem za stara - powiedziała pierwsze co wpadło jej do głowy, byle zamknąć mu usta.- Mój refleks nie jest tak szybki jak tych dzieciaków które teraz siadają za stery. Byłam w tym interesie długi, długi czas i..

William powiedział bardzo wulgarne słowo które precyzyjnie i bardzo trafnie opisało to co starała się w niego wmówić

-Okłamujesz mnie Dlaczego?

Nie cierpiała tego kiedy ludzie nie wierzyli w to co im się mówiło. Dlaczego nie potrafiały zwyczajnie zaakceptować tego co słyszą? Dlaczego William nie potrafi zaakceptować tego że jest za stara, by startować w tych cholernych zawodach i nie poprzestanie na tym?

-Nie lubię zawodów To bezużyteczna strata benzyny gdy w kraju wszyscy zaciskają pasa. Różni ludzie są głodni a piloci bezsensownie trwonią pieniądze. Kiedy wydoroslejesz uświadomisz sobie że zasoby finansowe można spożytkować na bardziej inteligentne cele niż zawody i inne głupstwa.

Tę przemowę William zbył drwiącym prychnięciem.

- W tej chwili amerykańska gospodarka cierpi na niedobór pieniądza. Ludzie ściubią grosz do grosza i trzęsą się nad każdym wydatkiem. Temu krajowi potrzeba więcej wydatków, nie mniej. A takie wyścigi jak Taggie przynoszą umęczonym ludziom przyjemność.

Zamilkł i spojrzał na nią twardo jakby chciał dojrzeć, co dzieje się w jej duszy. Kiedy odwróciła głowę, uciekając przed jego wzrokiem wziął ją pod brodę, próbując spojrzeć jej w oczy.

-Jest coś więcej. Coś, czego mi nie mówisz. Dlaczego nie chcesz mi wyznać prawdy?

Gniewnie wyrwała mu się i odeszła w mrok nocy w głęboki cień starego zakładu krawieckiego żeby William nie mógł zajrzeć jej w oczy. To głupie, pomyślała to naprawdę głupie czuć się tak fatalnie tytko dlatego, że sprawiam mu zawód. Wielu wielu ludzi uważało, że powinna wstąpić w szranki zawodów podjąć wyzwanie. Wyśmiała te sugestie. Ale czuła irracjonalną chęć sprawienia przyjemności Williamowi.

Wiedziała, co chce powiedzieć Mimo to była zaskoczona własnymi słowami.

-Dlaczego? Dlaczego to *ma* znaczenie czy wygram jakieś zawody czy nie?

Co za proszący ton, pomyślała z obrzydzeniem Dlaczego nie lubisz mnie takiej, jaka jestem? zdawała się mówić.

-Chcę, żeby cię pamiętano - odparł wprost. Nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, o co mu chodziło

Podręczniki historii zawsze wspominają ludzi którzy dokonali najwięcej, najlepiej, którzy polecili najwyżej najszybciej, najdalej, naj, naj, naj. Jeśli Jackie przestanie ustanawiać rekordy wygrywać zawody, jej osiągnięcia umrą wraz z nią. Nigdy w życiu nie przyznała tego głośno, ale myślała o tym wiele razy. Czasem czuła gniew i sporą zazdrość, czytając, że jakiś pilot z bożej łaski, który miał mniej wiedzy w głowie niż Jackie w jednym palcu, wpisał się w annały, ustanawiając jakiś rekord awiacji.

-Myślałaś o tym - powiedział tyleż do siebie, co do niej. Kiedy kolejny raz odwróciła

się do niego plecami, zaczerpnął głęboko tchu. - W porządku, przestanę. W każdym razie na dziś, ale nie na zawsze. Powiesz mi prawdę, choćbym musiał...

-Co? - zapytała, chcąc ostro przyprzeć go do muru, ale wypadło to żartobliwie.

-Wyzwać cię na pojedynek - Nawet w ciemności widziała, że oczy mu błyszczą.

-Czy przysługuje mi prawo wyboru broni?

-Jasne - odpowiedział tym samym tonem - Wszystko, czego chcesz. Szpady, pistolety.

- Zmarszczył brwi - Zapasy.

-Samoloty - odparła. - Będziemy się pojedynkować w samo lotach.

Zaczęła się śmiać, gdy William jęknął, udając ogarniętego zgrozą. Śmiejąc się, spojrzeli sobie w oczy. Czy jest coś groźniejszego niż wspólny śmiech? Śmiech jest potężniejszy niż wszystkie pocałunki tego świata. Możesz wybronić się od uczucia do mężczyzny, który jest powabny wyłącznie w kategoriach cielesnych, ale jak nie zakochać się w mężczyźnie, który potrafi cię rozśmieszyć? Kiedy śmiejecie się razem widzisz przed sobą cudowne życie z człowiekiem, który potrafi dojrzeć jasne strony codzienności, z człowiekiem który potrafi się uśmiechnąć, kiedy zaczyna być ciężko.

- Nie rób tego - powiedziała łagodnym głosem. Zawróciła do domu.

William nie ruszył się z miejsca, ale patrzył za nią gdy się oddalała.

## 5

Dwa dni później, po kolejnej nie przespanej nocy, Jackie wiedziała że musi coś przedsięwziąć. Co wieczór kładła się do łóżka kokosiła się godzinami i wreszcie nieruchomiała, nasłuchując jakiegokolwiek odgłosu z piętra Williama. Oczywiście, dzieliły ich dwie kondygnacje i nie mogła nic usłyszeć, ale wiedziała, że tam jest, czuła jego obecność.

Bładym świtem trzeciej doby, około trzeciej nad ranem, odbyła ze sobą szczerą rozmowę, i doszła do wniosku, że albo on się wyniesie, albo ona sfiksuje. Kiedy była młodsza, zawsze lubiła postępować świadomie i jeśli uznała, że jest powodowana jakąś dziecinadą - zazdrością czy zawiścią - usiłowała pokonać ją w sobie. Ale z wiekiem zmądrzała i zrozumiała, że wszystko jest ludzkie. Jednak teraz, bez względu na targające nią uczucia, wiedziała, że musi się go pozbyć. A co będzie, jeśli Terri wpadnie z wizytą i odkryje, że zajmują z Williamem ten sam dom? Już słyszała te wszystkie małomiasteczkowe szyderstwa: „Z pieluch nie wyrósł!”, „Mleko ma pod nosem!” Gdyby tu był Paryż, może upiekłoby się jej to, o czym myślała od rana do wieczora, ale mieszkała w zapadłej dziurze, Chandler, stan Kolorado, i w Chandler trzydziestoosmioletnia kobieta nie zadaje się z mężczyzną dziesięć lat młodszym.

A jeśli różnica wieku nie była wystarczającym powodem, dochodziło gadanie Williama o Taggie. Ona musi z tym niezwłocznie skończyć. William miał oczy zeloty, upartego poprawiacza świata. Wbił sobie do łba że powinna wygrać te zawody i wejść do historii. Rozprowiał o tym z takim błyskiem w oku że gotów zrobić coś wyjątkowo głupiego. Na przykład licząc iż w ten sposób zmusi ją do zmiany zdania rozgłosi w miasteczku że Jackie zamierza wystartować.

Zaczynając się ubierać. Jackie czuła ogarniający ją niezależnie od jej woli smutek gdyż wiedziała że popełnia największe głupstwo swego życia ale nawet to nie mogło jej powstrzymać. Mieć człowieka który dysponował pieniędzmi i głową do interesów Williama Montgomeryego to marzenie każdego źle opłacanego żadnego sławy pilota. William nie usiłował wepchnąć się na jej miejsce i stać się ośrodkiem zainteresowania ani nie usiłował objąć kierownictwa interesu. Pragnął pozostać w cieniu i jedynie dbał o te finansowe nudziarstwa. Stale ustępował Jackie wygłaszając stwierdzenia w rodzaju. Bez wątplenia wiesz najlepiej.

To doprowadzało ją do szału. Ale tak naprawdę doprowadzało ją do szału to że uwielbiała jego powolny rozważny sposób bycia. Miała na to tylko jedno wytłumaczenie: przy

Williamie czuła się bezpieczna.

Pierwszego dnia zapytał ją gdzie trzyma książki, i dopiero po męczącej utarczce pojęła, że nie usiłuje się wdrzeć do jej sypialni, gdzie stała jedyna biblioteczka. Potrzebował ksiąg obrachunkowych, z których dowiedziałby się, kto i ile jest jej dłużny. „Ach, o to chodzi” - powiedziała, po czym zasypała go informacjami o tym, ile różni ludzie z miasteczka są jej winni za używanie pasa startowego, za przewóz paczek do Denver, za przejazdkę na Trynidad. Pamiętała, ile kto jej zapłacił i ile jeszcze jest winien. Pamiętała daty rejsów i czas przelotu. Pamiętała, kto płacił kurczakami, a kto gotówką

Po wysłuchaniu z zapartym tchem tego sprawozdania z jej finansowego żywota. William kilkakrotnie zamrugał i rzekł, że zakupi księgi obrachunkowe i zorganizuje księgowość z prawdziwego zdarzenia. Siłąc się na największą nonszalancję, do jakiej była zdolna Jackie wymknęła się z pokoju, rzucając przez ramię Chyba nie spodziewasz się, że będę zapisywała każdy cent w jakimś kajecie

Plan Jackie zmierzał do tego by William sam powiedział, że się wyprowadza równocześnie jasno dawała odczuć jemu i każdej osobie zjawiającej się z wizytą, że pana Montgomery'ego i pani O'Neill nie łączy nic poza interesami. Więc chyba nie była najwdzięczniejszym partnerem i w idiotyczny sposób działała na własną niekorzyść. Równocześnie z każdym dniem William coraz bardziej się jej podobał.

Wyglądało na to że nic nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. Był uosobieniem spokoju. Kiedy pewnego dnia trzech klientów zadzwoniło z wiadomością że odwołują loty do Denver, miała ochotę rozszarpać na strzępki najbliższą osobę, którą oczywiście był William. Przez cały dzień ciosała mu kołki na głowie.

- Oczywiście, co taki dzieciak jak ty wie o rozczarowaniu? - mówiła. - Nie masz dość lat, by pojąć, jak życie czasem lubi dać w kość.

William nie odezwał się słowem, jedynie podniósł brew w taki sposób, że Jackie mało nie wczółgała się pod stół. Łatwiej byłoby uwierzyć, że to dzieciak, gdyby się tak zachowywał.

Z każdą chwilą Jackie widziała, jakim niebezpieczeństwem grozi przebywanie w towarzystwie tego młodego człowieka. Więc utwierdzała się w swej decyzji i trzymała się od niego z daleka. Pierwszego wieczoru korzystał z kuchni pod jej nieobecność, ale następnego dnia zapytał Jackie, czy może zejść z góry i przygotować sobie posiłek u niej, bo dysponuje tylko kuchenką elektryczną. Uznała, że nie ma prawa odmawiać jego prośbie i przez jeden długi rozkoszny moment wyobraziła sobie siedzenie w kuchni z mężczyzną i śmianie się nad butelką wina. Musiała otrząsnąć się, odgonić od siebie ten obraz. W porze kolacji okazało się, że musi natychmiast pojechać do Chandler po pudełko papierowych chusteczek.

W lokalnej jadalni, siedząc nad talerzem czegoś, co kucharz szumnie nazwał specjalnością dnia, dojrzała Reynatę. Młoda śliczna dziewczyna zapytała, czy może się dosiąść.

-Ależ oczywiście - odparła Jackie.

Reynata zajęła miejsce przy stoliku, zamówiła colę i popatrzyła na Jackie.

-Czy zamierzasz być pierwszą kobietą która wygra Taggie? To wytrąciło Jackie z melancholii.

-Gdzie usłyszałaś coś takiego?

-Strzeliłam na ślepo. Jackie uśmiechnęła się.

-Wydaje mi się, że William wspominał coś o tym. Cierpi na ostry przypadek chorobliwego uwielbiana swego idola. Wiesz, wielu młodych mężczyzn ma podobny stosunek do starszych kobiet.

-Nie jestem przekonana, że William ma do ciebie taki właśnie stosunek. - Rey z uśmiechem bawiła się słomką.

Jackie poderwała się od stołu.

-Słuchaj, mnie i Billyego Montgomery'ego wiążą wyłącznie interesy i każdy, kto twierdzi, że jest jeszcze coś więcej, to cholerny kłamca! To dla mnie dziecko i nikt więcej. Zmieniałam mu pieluchy. Nie potrafię nawet na niego spojrzeć, żeby nie widzieć wąsów z mleka na tłustej dziecinnej japie. Zawsze mam ochotę pogłaskać go po główce i zaśpiewać mu kołysankę. Mam ochotę... - przerwała, bo wszyscy w jadłodajni przerwali rozmowę i patrzyli na nią.

Wspaniale, pomyślała. Tam, gdzie dawniej nikt nic nie podejrzewał, teraz wszyscy będą się czegoś dopatrywać,

- Muszę iść - wymamrotała do Rey i pędem wybiegła z jadłodajni.

Więc teraz po trzech dniach pełnych spokoju Williama, porządku Williama, oczu Williama, których spojrzenie czasem przyprawiało Jackie o dreszcze, wiedziała, że musi się go pozbyć. Ale jak? Wyzwiska zdawały się nie robić na nim wrażenia - nigdy nie robiły. Kiedy był malcem, nagadała mu wiele nieprzyjemnych rzeczy żeby się go pozbyć ale żadna nie poskutkowała. I co dziwne znajdowała przyjemność w jego milczącym towarzystwie. Solidny jak skała był punktem oparcia w jej życiu, któremu brakowało stabilności.

Więc jak teraz miała się go pozbyć? Jak to zrobić, zanim całe miasteczko weźmie ich na języki?

## 6

- Miałbyś ochotę polecieć ze mną, Billy? - zapytała Jackie, jak tylko potrafiła najśłodziej. - Chciałabym się przekonać, co z ciebie za pilot.

Uśmiech, jakim go obdarzyła, zamieniłby miód w truciznę. Dopiero po długim zastanowieniu się przypomniała sobie ostrożność Williama, uwielbienie poczucia bezpieczeństwa. W czasach, kiedy był jeszcze dzieckiem, jedynie raz zdołała się go pozbyć. Zaciągnęła go nad lodowatą, pełną ostrych kamieni rwącą strugę przez którą przerzucono kłodę. Przebrnął na drugi brzeg strumienia ale później oświadczył. „Już cię wcale nie lubię” i nie ujrzała go z tydzień Oczywiście słówkiem nie pisnęła że brak jej małego Billyego ale wyszło sztydło z worka. W końcu przypadkiem wpadła do niego z wizytą. Pani Montgomery wskazała gdzie Billy się podziewa i nim Jackie zdążyła pomyśleć nogi same ją tam poniosły. Nie wracali do przeszłości nie wygłupili się z żadnymi przeprosinami ale kiedy wyszła od Montgomerych mały Billy człapał za nią i dopiero po całych czterech dniach powiedziała mu że jest utrapieniem.

Dzisiaj, pomyślała, ten samolot będzie kolejną kładką nad strumieniem. Tylko że tym razem nie pójdzie po Billyego i nie przeprowadzi go na drugą stronę.

Jeden z zakupionych przez Williama Waco był wyposażony w urządzenia sterownicze dla pilota i dla ucznia, tak że samolot można było prowadzić z obu foteli William zajął przednią kabinę Jackie tylną. Pete zakręcił śmigłem i Jackie uniesionym kciukiem dała sygnał Williamowi, żeby ruszył w dół pasa.

Znów się do niego uśmiechnęła. Wyglądał tak słodko tak niewinnie i jego każdy gest mówił że chce ją olśnić swoimi umiejętnościami. Był tak metodyczny że zapewne brał lekcje tylko dlatego że jego bohaterka Jackie umiała prowadzić samolot.

Ale Jackie wiedziała że latanie jak wszystko inne w życiu to sprawa talentu a talentu nie można się nauczyć. Można osiągnąć pewien stopień umiejętności i ktoś może opanować sztukę awiacji podręcznikowo jednak talent to sprawa indywidualna.

Kilka lat temu pewien wytwórca wypuścił śliczny model małego jednopłatu. Producent uważał, że to cacko zrewolucjonizuje lotnictwo i wysłał pierwszego pilota w próbny lot. Samolot spisywał się lepiej, niż można by tego oczekiwać, ale po w kilku godzinach bez żadnej widocznej przyczyny rozbił się o skałę

Projektant na prawo i lewo wyjaśniał, że katastrofa była wynikiem błędu pilota, lecz piloci, plemię przesądne odpowiadali że na samolocie ciąży jakieś piętno. Kolejny prototyp

zjechał z linii montażowej i drugi pilot wzbil się na nim w powietrze. Historia powtórzyła się co do joty. Teraz nikt ze świątka pilotów nie mijał samolotu nie przeżegnawszy się albo nie wybuchaj śmiechem albo też robił jedno i drugie.

Zrozpaczony projektant udał się do Jackie i zaproponował jej dużą sumę za lot prototypem. Jackie uważała że jeśli przychodzi na człowieka czas, nie jest ważne, czy następuje to na ziemi czy w powietrzu, a że o wiele bardziej wolała fruwać niż chodzić więc przyjęła ofertę. Wielu ludzi prosiło ją żeby nie leciała ona jednak nie zamierzała ich słuchać.

W powietrzu samolocik był cudowny. Pięknie się prowadził, reagował tak chętnie na wolant, że wydawało się, iż można smacznie zasnąć w kabinie, i Jackie chciała zostać w górze na wieczność. Nieoczekiwanie pierwszy zbiornik paliwa wyczerpał się pół godziny wcześniej niż powinien. Silnik zakaszłał i zgasł.

Jackie niespecjalnie przejęta przerzuciła manetkę na drugi zbiornik i spróbowała uruchomić silnik. Bez skutku. Albo drugi zbiornik był pusty, albo wężyk doprowadzający paliwo zatkał się i benzyna nie doptywała do silnika.

- Więc o to chodzi - powiedziała do siebie Jackie i przez chwilę zastanawiała się, jak mogłaby przekazać ludziom w dole wiadomość, że przyczyną śmierci dwóch pilotów był uszkodzony przewód paliwowy. Co dziwne, mimo że była w obliczu pewnej śmierci, zachowała kompletną trzeźwość umysłu. Popatrzyła na przełącznik regulujący dopływ benzyny. Na małej plakietce stało drukowanymi literami WŁĄCZONE / WYŁĄCZONE a może WYŁĄCZONE / WŁĄCZONE? Zmieniła położenie przełącznika spróbowała zapuścić silnik. Zaskoczył.

Roześmiana sprowadziła samolot na ziemię i z wielką przyjemnością powiadomiła projektanta że jedyną usterką jest błędne opisanie przełącznika. Inni piloci niezmiennie wyłączali przepływ. Poza Jackie nikt nie wpadł na pomysł że należy postąpić odwrotnie. Talent Instynkt. Jak zwał tak zwał Jackie żyła bo nie latała według podręcznika.

Po dziesięciu minutach z Williamem wiedziała że nigdy nie ustawiłby przełącznika w odwrotnym położeniu. Był pilotem wzorowym. Każdy ruch wykonywał zgodnie z zasadami. Nie ryzykował można mu było absolutnie zaufać

Po półgodzinie Jackie była śmiertelnie znudzona. Czy on nie rozumie że latanie to twórczość? Samoloty nie mają żadnego związku z podręcznikami. Samoloty unoszą się w powietrzu. Czy może być coś bardziej twórczego? A tymczasem William prowadził maszynę tak jakby w chmury były powtykane znaki drogowe. Lada chwila wsunie rękę i zasygnalizuje skręt w prawo.

Po trzech kwadransach nie mogła tego znieść. Dała mu znać że przejmuje stery.

Są dwa sposoby latania: z pasażerami i bez. Zwykle Jackie starała się być grzeczna, gdy miała pasażera ale teraz chciała zmusić Williama do rezygnacji ze spółki i może też chciała się troszeczkę popisać.

Sztuczka pierwsza: wymiatanie kokpitu. Śmiali piloci uwielbiali się przechwalać, że mają wysprzątane do czysta kokpity. Wystarczyło odwrócić samolot na plecy i trochę pomachać skrzydłami. Proste. Oczywiście, należało się upewnić, czy pasy są zapięte. Bywało, że ktoś wylatywał.

Jackie odwróciła samolot na plecy i pomachała skrzydłami raz, drugi. Szybko zmieniła położenie na normalne i natychmiast znów odwróciła samolot na Plec. Nie wolno zostawić ani źdźbła. Kurz okruchy, parę opakowań po gumie do żucia frunęło obok niej. Widziała silne dłonie Williama zaciskające się na burtach.

Jackie osiągnęła niezły standard życiowy i sławę objeżdżając kraj i zachwycając tłumy. Im bardziej ryzykowała tym większe dostawała apanaże - a były spore.

Potem przyszły becзки. Obracała samolot wokół osi podłużnej, raz za razem, raz za razem. Szybko weszła w pętlę - wspięła się do góry i zatoczyła pełne koło w płaszczyźnie pionowej. Potem nastąpiło coś, co było jej własnym tworem: zwariowana pętla w beczcze,

równoczesne wykonanie obu figur.

Kiedy skończyła to wariactwo, zgasła silnik i nagle świat stał się dziwnie milczący, aż znów zapaliła.

Przed laty, kiedy uczyła się pilotażu, Charley zadbał, by wiedziała, jak sobie radzić w każdej awaryjnej sytuacji. Kazał jej startować z plaż, dróg, parków, torów wyścigowych. Kazał jej latać bokiem na plecach w prądach poziomych, podmuchach tylnych, przy bezwietrznej pogodzie. Nauczył ją jak radzić sobie z pożarem na pokładzie i z oblodzeniem skrzydeł. Kiedy miała gęstą mgłę pod sobą pokazał jej, jak zorientować się w położeniu, wypalając dziurę silnikiem. Nauczył ją, jak lądować na wodzie i co robić, gdyby została zniesiona na pełne morze.

Zdecydowała się zaprezentować Williamowi prawie wszystko, czego się nauczyła. Śmigła wokół wysokich drzew, zachowując całowite odległości. Jeden błąd i skrzydła zostałyby oderwane. Kiedy znalazła się między drzewami, zrobiła kilka korkociągów. Skierowała dziób samolotu w dół i wykonała kilka pełnych obrotów wokół osi podłużnej jeden po drugim podnosząc samolot ćwierć cała przed skałą grożącą roztrzaskaniem.

Po ucieczce z Charleyem przeżywszy tydzień, podczas którego rzadko wypuszczał ją z samolotu usłyszała.

-Dzieciaku, masz żyroskop w głowie. Lecisz na plecach do tyłu i to dla ciebie betka. Wiesz co się dzieje.

Teraz Jackie leciała przez chwilę na plecach manewrowała między drzewami, wisząc głową w dół.

Wiedziała, że kończy się paliwo więc wróciła do Eternity pisząc przy tym swoje nazwisko na niebie. Składanie autografów pod chmurkami nieco traciło na uroku gdy brakło flar ale leciało się tak samo.

Kiedy siadła na ubitym pasie startowym w Eternity silnik zgasł z braku paliwa. Idealnie, pomyślała Idealne wyliczone Charley byłby ze mnie dumny.

Po zatrzymaniu samolotu William został w fotelu. Nie poruszał się, odchylił w tył głowę, zacisnął powieki i Jackie widziała że ze wszystkich sił walczy z mdłościami. Niewielu ludzi przeszłoby to co William, nie tracąc zawartości żołądka. Ale jakoś nie zwymiotował.

Jackie wstała, wyciągnęła do niego rękę. Na krótko - na bardzo krótko - otworzył oczy, spojrzał na nią i lekko pokręcił głową. Nie zamierzał skorzystać z jej pomocy przy opuszczaniu kokpitu.

Na ziemi grzecznie odwróciła głowę kiedy wysiadł samodzielnie, a potem skierowała ku niemu wzrok. Miał bladą zlaną potem twarz i słał się na nogach.

-W porządku, Jackie - rzekł z powagą. Wziął głęboki oddech zmagając się z mdłościami. - Wygrałaś. Pakuję manatki i zjeżdżam. Za kilka godzin nie będzie po mnie śladu

Teraz, gdy dopięła swego, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nie chciała zerwania ich przyjaźni, chciała tylko pozbyć się Williama z domu i przestać go codziennie widywać.

-William, ja...

Kiedy popatrzył na nią oczy mu płonęły, a na bladej skórze wstąpił głęboki rumieniec gniewu. Nie w jego oczach było coś więcej niż gniew. Furia. Niewątpliwa staromodna zagrażająca życiu furia.

- Pewnie teraz powiesz, żebyśmy zostali przyjaciółmi - mówił bardzo łagodnym bardzo cichym głosem. - Powiesz że zawsze żywiłaś do mnie głęboki szacunek i zawsze ceniłaś sobie moją przyjaźń. Podszedł bliżej. Wiało od niego groźbą - Nie chcę twojej przyjaźni Jackie. Nigdy jej nie chciałem. Od kiedy byłem małym dzieckiem zawsze chciałem twojej miłości.

I wtedy popełniła błąd. Uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się doprawdy nieznacznie ale to spowodowało że coś w Williamie pękło. Choć zawsze już jako malec był spokojny i łagodny teraz wydało się, że zamienia się w kogoś groźnego niebezpiecznego. Kiedy uczynił ku niej kolejny krok cofnęła się.

- Czy dlatego że pragnę twojej miłości wydają ci się zabawny? Śmieszny? Głupi mały Billy Montgomery człapiący krok w krok za dużą, ekscentryczną Jackie O'Neill. O tak zawsze byłaś ekscentryczna. Nawet jako dziecko różniłaś się od wszystkich. Każdy brzdąc starał się, jak mógł, żeby być kropka w kropkę jak inne ale nie ty. Och wiem że niby chciałaś nosić najmodniejsze sukienki i należeć do paczki ale prawdę powiedziawszy uwielbiałaś włączyć na dach waszego domu i wymieniać dachówki. Byłaś wtedy szczęśliwa miałaś wymówkę aby odłączyć się od reszty klasy i robić właśnie to co ci się podobało. Kiedy miałaś szesnaście lat i każda twoja rówieśniczka wolałaby umrzeć niż być przyłapana na wspinaniu się po drzewach i huśtaniu na linie ty robiłaś właśnie to. Zawsze robiłaś to co chciałaś, i resztę świata mógł szlag trafić.

Nie ukazywał jej w nazbyt pochlebnym świetle. Opisywał dziwaczkę i egoistkę. Otworzyła usta, żeby zabrać głos, ale pochylił się nad nią, aż odgięła się w tył.

- I kochałem cię za odwagę bycia sobą. Nie starałaś się nikomu przypodobać. W tym miasteczku, w którym wszyscy znają się jak tyse konie, znalazłaś sposób, wymówkę, żeby być tym, kim chciałaś być. A kiedy zajaśniała przed tobą możliwość wyrwania się stąd nie zawahałaś się skorzystać z szansy. Bez lęku, bez namysłu nawet bez oglądania się wstecz. Zobaczyłaś coś, co cię zafascynowało i poszłaś za tym. Kochałem to w tobie Jackie. Byłem tylko małym chłopcem, ale widziałam cię dokładnie taką jaką byłaś, i widziałem, co zamierzasz zrobić, i kochałem cię za to. Teraz jestem mężczyzną i wiem, że to, co wtedy przeżywałem, to nie była szczenięca miłość. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Kochałem cię jak mężczyzna i teraz kocham cię tak samo.

-Teraz? - szepnęła, patrząc mu w oczy. W tej chwili na pewno nie było w nim nic z dziecka

- Tak teraz! Może jesteśmy podobni ale jak dwa przeciwieństwa. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Miałem zaledwie pięć lat kiedy moja matka otworzyła ci drzwi. Stałaś tak za wysoka za chuda piętnastolatka włosy opadały ci na oczy bo nie miałaś czasu żeby je związać. Byłaś piękna w jakiś nieuchwytny sposób ale żadnemu mężczyźnie na twój widok nie zamarłoby serce w piersiach. Ale mnie moje serce mało nie zamarło. Popatrzyłem na ciebie zakochałem się i od tamtej chwili nie przestałem cię kochać. - Wydawał się rosnąć gdy pochylał się nad nią. - To ja zmusiłem ojca żeby ustanowił Taggie mając nadzieję że skuszę cię do powrotu do Chandler. To ja zmusiłem ojca żeby napisał do ciebie po śmierci Charleya i zaproponował usługi przewozowe dla naszej rodziny. Ja anonimowo sponsorowałem sześć pokazów lotniczych dla ciebie i Charleya w czasach w których jak wiedziałem przepił wasze oszczędności. To mój wuj zwrócił uwagę prezydenta na twoje bohaterstwo przy ratowaniu ofiar pożaru.

Zamrugła.

-To ty? - Tyle tylko zdołała wyszeptać.

-Tak, ja. Zawsze cię kochałem. Zawsze. Bez wahania. Tak jak ty spojrziałaś na samolot i wiedziałaś, że latanie jest ci pisane. Spojrzałem na ciebie raz i wiedziałem, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Umawiałem się z niewieloma kobietami. Nigdy nie poszedłem z żadną do łóżka, bo uważałem, że zdradziłbym ciebie. Czekałem na ciebie i czekając starałem się, jak tylko mogłem najlepiej, zaopiekować tobą. Nagle wyprostował się i wbił w nią wzrok.

- A teraz proszę. Ty - Sposób w jaki powiedział to ty sprawił, że przeszły ją ciarki.

- Pomyliłem się co do ciebie Myślałem, że masz kręgosłup. Myślałem że masz odwagę realizować swoje przekonania. Potrafiłaś uciec z mężczyzną dwa razy starszym od siebie i zagrać na nosie całemu miastu. Nauczyłaś się prowadzić samolot lepiej niż jakikolwiek mężczyzna i masz prawo śmiać się na myśl, że jakiś mężczyzna może być równy tobie. Przeskakiwałaś z gałęzi na gałąź w wieku w którym inne dziewczęta bały się zmoczyć włosy. Potrafisz robić co tylko chcesz. Prowadzisz życie dokładnie takie, jak chcesz mając w nosie co reszta świata na to powie, ale w miłości jesteś tchórzem. Jesteś gotowa odepchnąć mnie

tylko dlatego że do naszych metryk wpisano różny wiek. Chciała się bronić, ale jej na to nie pozwolił.

- Nie próbuj okłamywać mnie albo siebie. Między nami stoi tylko twoje śmieszne przekonanie że nie powinniśmy być razem bo dzieli nas różnica wieku. Wzbranasz się przed poznaniem mnie. Boisz się porozmawiać ze mną bo mogłoby się okazać że mam głowę głowę mężczyzny na karku. Ani ja nie jestem chłopcem ani ty dorosłą kobietą. Urodziłem się stary, a ty Jackie urodziłaś się dzieckiem i zawsze będziesz dzieckiem. Nigdy nie dorośniesz a przynajmniej nigdy się nie zestarzejesz. Czy wiesz dlaczego na przykład tak bardzo cię kocham?

- Nie szepnęła

-Bo sprawiasz że czuję się młody. Bez względu na to, ile będziesz miała lat zawsze zachowasz świeżość dziecka. Nie znasz sposobu myślenia innych ludzi. My przeciętniacy, myślimy o hipotece o bojącym krzyżu ale ty nie. Nigdy o tym nie myślałaś i nigdy nie pomyślisz. Dla ciebie wszystko jest zawsze osiągalne. Jeśli masz chęć lecieć samolotem wsiadasz do niego i odrywasz się od ziemi. Mniejsza z tym że inni ludzie ci to odradzają. Spalała mnie zazdrość o Charleya. Wiedział dokładnie, co w tobie siedzi, i miał na tyle zdrowego rozsądku że wyciągnął rękę i złapał cię. Byłaś mu wdzięczna, ale on wiedział że powinien na kolanach całować ziemię w podzięce za przywilej spotkania ciebie. Wiedział, że będziesz się nim opiekować i napełnisz jego życie radością. Bardzo dobrze znał twoją wartość. Prychnął lekko.

-Zanim wyjechałaś, Charley zmierzwił mi włosy i powiedział: „Powadzenia następnym razem, mały.” Byłaś dla niego cenną nagrodą i teraz też jesteś nagrodą. - Jego przystojną twarz skrzywił ledwo dostrzegalny grymas. Zmierzył ją takim spojrzeniem, że poczuła głęboki wstyd. - Przynajmniej byłaś nagrodą. Nigdy nie podejrzewałem, że to nastąpi, ale zestarzałaś się, Jackie. Stałaś się starą kobietą.

Stał przez chwilę, jakby na coś czekał. Może spodziewał się, że zarzuci mu ramiona na szyję i powie, że się nie zestarzała i chce żyć z mężczyzną młodszym o dziesięć lat. Ale nie mogła tego zrobić. Po prostu nie mogła. Patrząc na niego, wciąż widziała małego Billyego Montgomeryego i dopóki nie wyrzuci z pamięci tego obrazu, zawsze będzie myślała o nim jak o dziecku.

Po długim milczeniu rzekł wreszcie:

- W porządku, Jackie, wygrałaś. A może oboje przegraliśmy. - Westchnął bardzo głęboko. - Spakuję się i natychmiast się stąd wynoszę.

Odszedł, a ona stała bez ruchu. Czuła smutek, ale i wielką ulgę. Koniec z niezdecydowaniem, koniec męki. Koniec oglądania tego silnego, młodego ciała poruszającego się po domu; koniec bezsennego leżenia i nasłuchiwania, by usłyszeć jakiś dźwięk pochodzący od niego.

Odwróciła się od domu. Pragnęła iść, iść mila za milą. Nie chciała oglądać jego wyjazdu; na tak długo, jak było to możliwe, chciała odłożyć powrót do pustego domu.

Nie płakała, więc powinna bez kłopotu widzieć, dokąd zmierza, ale z jakiegoś powodu nie widziała. Może była zbyt zaferowana, lecz cokolwiek to było nie uświadomiła sobie, że grunt urywa się jej pod stopami, że ma przed sobą ostry stok *arroyo* - wyschniętego wąwozu w którym rdzewiej odpadki porzucone przez generację śmieciarzy Zręczna jak zawsze usiłowała się zatrzymać, ale stopa oparta na obruszonym kamieniu pośliznęła się i Jackie runęła w dół.

Nie stoczyła się daleko. Wylądowała w środku najeżonej kupy żelastwa, która kiedyś była Fordem. Przez chwilę oszołomiona potrząsnęła głową i zastanowiła się, czy sobie czegoś nie złamała. Nie. Wszystko w porządku. Nie mogła powstrzymać uśmiechu ulgi. Nie przestając się uśmiechać, otarła ręką czoło i poczuła gorący, gęsty płyn. To mogła być tylko krew. Przyjrzała się ręce. Była pokryta krwią która wypływała nieprzerwanie z głębokiej rany na prawym przegubie. Wszędzie wokół były ostre metalowe krawędzie pokryte rdzą. Musiała o



którąś zahaczyć. Momentalnie pomyślała o tężcu.

Usłyszała alarmujący krzyk Williama.

-Jackie!

Nie była zaskoczona. Jako dziecko potrafił wyczuć, kiedy potrzebowała pomocy. I gdziekolwiek była, zawsze umiał ją odszukać.

- Tutaj - krzyknęła ku krawędzi *arroyo*. Z tym że to nie był krzyk. Zabrzmiał tak słabo i bezsilnie, jakby odzywała się nie żywa osoba, tylko cień. Lecz William musiał ją usłyszeć, bo pojawił się na krawędzi *arroyo*, wysoko nad Jackie. Zatrzymał się na moment. Słońce miał za plecami. Popatrzył na nią w dół.

Nie miała pojęcia, jak źle wygląda, dopóki nie ujrzała Williama. Był blady, pewnie tak samo jak ona. Opuściła głowę i zobaczyła wszędzie na sobie krew - na koszuli, na spodniach. Niewątpliwie miała ją i na twarzy. A ręka wcale nie przestawała krwawić. Nie kończący się zapas świeżej krwi powoli uchodził z przegubu.

Jackie zamknęła oczy tylko na moment, ale William błyskawicznie ześliznął się w dół. Słyszała go jak z oddali, kiedy zsuwał się po stoku, spychał kamienie. Uśmiechnęła się sennie i pomyślała, że kamienie same usuwają mu się z drogi.

-Jackie, obudź się - powiedział łagodnie. - Słyszysz mnie? Obudź się.

-Nie śpię - odparła, ale czuła się dziwnie, jakby była w swoim ciele, a równocześnie poza nim. - Czy już tego raz nie przerabialiśmy?- Uśmiechnęła się. - Chcesz mnie znowu uratować?

-Taaa, mała. Trzymaj się. Wydobędę cię stąd.

Nazwał ją „mała”. Uśmiechnęła się. Charley tak do niej mówił. Prawdę powiedziawszy, większość mężczyzn, których dobrze poznała, tak do niej mówiła przy takiej czy innej okazji. Czuła niejasno, że William jest blisko i coś robi. Kiedy usłyszała odgłos rwanego materiału, otworzyła oczy, jak tylko potrafiła najszerzej, to znaczy niezbyt szeroko. Był nagi do psa. Jego tors był gładki. Same mięśnie, żadnego włoska, tylko piękna, zachwycająca skóra.

- Słuchaj mnie, Jackie - powiedział. - Straciłaś sporo krwi i chyba jesteś w szoku. Skoncentruj się i rób, co ci powiem Rozumiesz?

Pokiwała głową i uśmiechnęła się, ale była świadoma, kiedy z kawałków koszuli zrobił opaskę uciskową wokół jej przegubu. Poprzednio nie czuła nic, teraz jednak opatrunek sprawił jej ból.

-Czy boli? - zapytał William.

-Tak - odparła. Starła się być dzielna.

-Dobrze. To nie pozwoli ci zasnąć. Teraz postaram się wynieść cię stąd, żeby lekarz mógł cię zszyć.

-Nie potrzebuję szwów. Naprawdę. To ledwie zadrapanie. Małe przecięcie. Wystarczy plaster.

-Tchórz - powiedział, zarzucił ją sobie na nagi bark i zaczął wspinać się pod górę.

Jackie zauważyła, że cała jej kibić mieści się na jego barku. Szok mijał i ręka zaczęła dawać o sobie znać.

- Jeśli ojciec cię wyrzuci, możesz zatrudnić się jako ratownik panius, które wpadły w opresję. Oczywiście, twoja garderoba na tym ucierpi. William, czy jestem strasznie ciężka? - To ostatnie zdanie praktycznie wymruczała, mając nadzieję, że usłyszy w odpowiedzi, iż jest lekka jak piórko.

- Tak. Wyglądasz na chudą, więc można by pomyśleć, że jesteś lekka, ale nie. Ważysz dobrych parę funtów.

Czego oczekiwała od mężczyzny, który zaprowadził porządek w jej szafkach kuchennych? Owijania w bawełnę?

-Wiesz, mogę iść. Rozciąłam sobie rękę, nie nogę, i teraz czuję się lepiej. Jeśli jestem

dla ciebie za ciężka, powinnam iść.

-Nie. - Tyle tylko powiedział.

Kiedy dotarł do skraju przepaścistego *arroyo*, pomyślała, że postawi ją na ziemię, lecz nie zrobił tego. Ruszył w kierunku domu. Czuła się teraz naprawdę znakomicie, poza tym, że ból rozpełzał się w górę ramienia i zaczął przenikać całe ciało. Jej ręce zwisały na plecach Williama. Miała na dłoni tyle krwi, że nie widziała dokładnie przecięcia, ale powtarzała sobie, że nie jest bardzo głębokie. A już na pewno nie takie, by wymagało szwów. Zawsze mocno krwawiła, to tylko oznaka dobrego zdrowia. Prawdę mówiąc, nie widziała potrzeby wzywania lekarza. Przemyje się trochę dłoń, mocno owinie bandażem, i będzie dobrze.

-Szywi i nie ma żadnego gadania - powiedział William, jakby czytał w jej myślach.

Skrzywiła się, opuściła głowę i przestała patrzeć na ranę.

Trzy godziny później, zaszyta - jak to określiła - jak mumia, zapakowana do łóżka, Jackie czuła się idiotycznie. Jak mogła zachować się tak głupio i spaść do wąwozu?

Kiedy kontemplowała swój brak inteligencji, otworzyły się drzwi sypialni i wszedł William, niosąc tacę zjedzeniem. Postawił ją na kolanach Jackie.

-Rosół z kury, krakersy, sałatka, lemoniada i pudding czekoladowy. Teraz jedz i zdrowiej.

-Naprawdę, Billy, potrafię się sama żywić. Zachowujesz się tak, jakbym miała ostry przypadek tyfusu. Zaraz wstanę i...

William obserwował ją z miną człowieka dobrze zorientowanego w sytuacji, ona zaś odepchnęła tacę i zaczęła się podnosić.

Natychmiast ogarnęły ją zawroty głowy i mdłości. Przyłożyła grzbiet dłoni do czoła i jak panienska z epoki wiktoriańskiej opadła na posłanie.

-Co takiego mówiłaś? Nie czujesz się źle, Jackie? To tylko zadrapano, zaledwie dwadzieścia sześć szwów, i strata takiej ilości krwi, że trzy wampiry mogłyby pożyć zdrowo przez miesiąc. Więc dlaczego jesteś w łóżku? Czemu nie wsiadasz w samolot? Nie zrobisz paru sztuczek?

Na pewno zasługiwała na ten sarkazm. Przecież podczas zabiegu zachowywała się jak niemowlę. Młody Blair przypędził tu, prowadząc samochód ojca, jakby siedział za sterami kołującego samolotu, i ledwo go ujrzała zaczęła protestować przeciwko kluciu igłą. Młody Blair zwany tak w odróżnieniu od swojej matki, również lekarki zamrugał kilka razy na wykręty Jackie i popatrzył na Williama jakby prosił o pozwolenie.

- Szyj. Potrzymam ją

I tak to zrobiono Młody Blair szył, a William trzymał Jackie w silnych ramionach i pocieszał ją, jakby była dzieckiem. Gładził ją po włosach i zadawał naprawdę głupie pytania o samoloty, zupełnie jakby chciał ją rozzłościć albo rozśmieszyć, a może tylko odwrócić jej uwagę. Do pewnego stopnia mu się udało, bo po dwudziestym szwie ta nieustanna indagacja i ból znużyły ją do tego stopnia, że powiedziała:

- Williamie Montgomery, w ogóle nie znasz się na samolotach. Masz o nich takie pojęcie, że równie dobrze mógłbyś dalej zajmować się modelami z papieru. Nie masz talentu, nie czujesz maszyn ani tego, co się dzieje w górze.

-Czemu nie chcesz wziąć udziału w Taggie? - nie pozostał dłużny, wykorzystując jej męki, by dowiedzieć się, co ukrywa.

-Bo... Och! Czym to robisz? To igła siodlarza? Przecież dziurawisz moją skórę.

Młody Blair nie zwracał na nią żadnej uwagi. Nadal robił swoje.

-Prawie skończone. Jackie, to bardzo głębokie przecięcie i przez następne kilka dni oszczędzaj tę rękę, ile się tylko da. Niech się goi. A to oznacza omijanie samolotu.

- Ale... Zaopiekuję się nią przerwał jej William.

- A kto zaopiekuje się takim dzieciakiem jak ty? - odpłaciła mu się Jackie. Tak ją bolało że nie dbała co mówi ani czyje uczucia rani.

William w najmniejszym stopniu nie był urażony złościwością.

- Wynająłem osiemnastoletnią dziewczęcę do zmieniania mi pieluch. Czy to ci przeszkadza?

Jackie poczerwieniała patrząc na młodego Blaira pochylonego nad rozciętym przegubem. Nie uniósł głowy ale czuła iż się uśmiecha. William dał do zrozumienia że jest zazdrosna i że są kochankami co oczywiście daleko różniło się z prawdą. Chciała wyjaśnić to lekarzowi ale nie wiedziała co powiedzieć.

Po zabiegu kiedy Jackie mogła wreszcie spocząć z głową na poduszce z wielkim zniecierpliwieniem słuchała kiedy młody Blair wziął Williama na stronę i rozmawiał z nim jakby ten był mężem Jackie albo choćby ojcem.

- Powinna mieć spokój - zalecał przyciszonym głosem lekarz.

-Dojdzie do siebie za parę dni, ale na razie potrzebuje opieki

- Oczywiście usłyszała Williama. Jakby było zrozumiałe że ten młody bardzo młody człowiek się nią zajmie.

Więc teraz William przygotował jej posiłek i upierał się, żeby go zjadła.

- Nie jestem głodna - odparła. Wiedziała, że marudzi jak dziecko William stał nad nią i patrzył ze swej sporej wysokości.

- W porządku niech będzie, jak chcesz - rzekł łagodnie.-Wezwę pielęgniarkę i zapłacę za opiekę przez następne kilka dni. Nie będę się więcej narzucał.

-Potrafię sama zająć się sobą - powiedziała buntowniczo.

-Tak? - Uniósł brew. - Jak zamierzasz umyć sobie głowę jedną ręką? Co prawda możesz zostawić na niej pełno zeschniętej krwi. Oczywiście, krew może przyciągnąć muchy, ale co to ma za znaczenie? Jesteś twarda. Zniesiesz to. Jak zamierzasz przygotowywać sobie posiłki jedną ręką? W tej chwili w domu nie ma dość jedzenia żeby wykarmić jedną złotą rybkę co dopiero głodną istotę ludzką płci żeńskiej. Chyba lepiej zrobię wzywając pielęgniarkę. Wydaje mi się że panna Norton jest wolna.

Na dźwięk tego nazwiska Jackie pobladła. Panna Norton była uosobieniem pielęgniarki z koszmarów sennych każdego dziecka wielka silna zdecydowanie niesympatyczna. Urodziła się w pełni dojrzała ze stalowo siwymi włosami ubrana w wykrochmalony biały kitel i zawsze wyglądała na pięćdziesiąt lat. Nie postarzała się o dzień od chwili narodzin która musiała przypaść na stulecie przed przyjściem na świat Jackie.

- Ja Hmmm Czy nie mógłby przyjść ktoś inny? Co się stało z kochaną, słodką panią Patterson?

-Niektóre matki wpadły na to, że syrop na kaszel, który podawała ich dzieciom to była czysta whisky. Zasugerowaliśmy jej, że będzie szczęśliwsza gdzie indziej, nie w Chandier. Możesz znieść mnie, wezwę pannę Norton albo wymień inną pielęgniarkę. Ale nie zostawię cię tu samej bez opieki. Nie dlatego, że zasługujesz na moją obecność po tym, co mi dziś zrobiłaś, ale nie mogę cię zostawić. - Skłonił głowę na bok - Zresztą, co masz przeciwko mnie, Jackie? Czy zachowałem się niewłaściwie wobec ciebie? Czy powiedziałem coś, co wskazywałoby, że żywię wobec ciebie jakieś występne intencje?

-Nieeeee - odparła. Musiała użyć całej siły woli, żeby się nie zarumienić. Biorąc pod uwagę, ile krwi dzisiaj straciła, to cud, że mogła się rumienić.

-Więc o co chodzi? Czy myślisz, że mogę zalecać się do ciebie? Przecież bez przerwy przypominasz mi, że jestem tylko chłopcem. Jak taki szkrab jak ja może być zdolny do rzeczy, o które mnie posądzasz? Poza tym, jesteś starą kobietą, pamiętasz?

-Tak - odpowiedziała z wahaniem - Chyba. To znaczy, jestem tego pewna.

-Dobra, Jackie, będę z tobą szczerzy. Jestem Montgomery, pamiętasz? Czyżbyś tak długo była z dala od miasta, że zapomniałaś o naszej rodowej dumie? Czy myślisz, że próbowałbym czegoś z kobietą, która dała mi wprost do zrozumienia, że ledwo może znieść mój widok? Dziś naraziłaś się na spore kłopoty, by pokazać mi, że nie chcesz mieć ze mną nic

wspólnego. Udowodniłaś mi, że wolisz zakończyć długoletnią przyjaźń, niż mieć mnie pod bokiem. Czy wiesz, jak dzięki tobie czułem się dziś po południu?

-Byłeś bardzo wymowny na ten temat - powiedziała. Usilnie starała się zatrzeć w pamięci wszystko, co od niego wtedy usłyszała. Nikt nigdy nie sprawił, że czuła się tak mała.

-Dobra, więc zepsułaś mi humor, a ja odpłaciłem ci się pięknym za nadobne. Wiem teraz jasno, że mnie nie chcesz i nigdy nie chciałaś, że jestem i zawsze byłem dla ciebie chłopcem. Niech tak pozostanie.

Usiłowała odczytać wyraz jego twarzy, ale na próżno. Nawet jako chłopiec był nieprzenikniony. Chodził za nią krok w krok ale nigdy nie rozumiała, czy mu się podoba, czy tylko uważa ją za dziwadło.

-W tej chwili potrzebujesz pomocy i łatwo mogę ci jej udzielić. Młody Blair powiedział, że nie możesz ruszać ręką przez jakiś tydzień. Zrobię, co zechcesz. Zostanę albo wyjadę i najemę kogoś, kto się tobą zajmie. Co wolisz? Jeśli zostanę, to jako... - Uśmiechnął się. - Pamiętasz te wszystkie chwile, w których się mną opiekowałeś? Może teraz mógłbym się zrewanżować. Będę twoim opiekunem. Czy to uczciwa zapłata?

-Nie... nie wiem - udało się jej wykrztusić.

Całe prawa strona ciała ją bolała, czuła swędzenie głowy i była niezwykle zmęczona. Nie chciała teraz podejmować decyzji. Chciała tylko doprowadzić się do porządku i spać.

-Daj spokój - powiedział. Wziął ją za zdrową rękę i wyciągnął z łóżka. - Nie nadajesz się teraz do myślenia. Wezmiesz kąpiel, umyję ci głowę, a potem pójdziesz spać.

-Nie myślę...

-Rzadko ci się to zdarza. Najpierw robisz, myślisz potem - Kiedy stała tak przed nim spojrzał jej w oczy. - Jackie, czy naprawdę uważasz mnie za chłopca, który wykorzystalby ranną i cierpiącą kobietę?

Zastanowiła się. Coś było w tym co powiedział. Może to, że jednym tchem wyrzekł „chłopiec” i „kobieta”. Ale cokolwiek ją dręczyło, wiedziała, że William jej nie wykorzysta. Należał do tego typu mężczyzn, których kobieta nie musiała się obawiać. To raczej on winien obawiać się kobiet.

-Nie możesz umyć mi głowy - odezwała się wreszcie. - Dam sobie z tym radę.

-Jedną ręką nie dasz.

To, co mówił i to co robił, wprowadzało ją w zmieszanie. Może nie powinna porównywać go do Charleya, ale Charley był jedynym mężczyzną, jakiego naprawdę знаła. Był wcieleniem wizerunku ojca, wydawał rozkazy i nakazy, częściej mówił „nie” niż „tak”, ale trudno wyobrazić sobie gorszą matkę od niego. Dzięki Bogu, Jackie prawie zawsze tryskała energią jak pilot po pierwszym solowym locie, bo podczas tych paru chorób, jakie się jej przytrafiły, Charley był zniecierpliwiony i przebywał poza domem aż wyzdrowiała. Pamiętała, jak zagrypiona i straszliwie osłabiona walczyła w kuchni z puszką zupy i nie mogła jej otworzyć.

Może faceci, których dobrze się poznaje, kształtują wyobrażenie o tym, jaki powinien, a jaki nie powinien być mężczyzna, bo teraz zaczęła się zastanawiać, czy mycie głowy kobiecie to naprawdę jest odpowiednie zajęcie dla mężczyzny. Oczywiście, takie dywagacje są absurdalne. Jeśli mężczyzna wykonuje „kobiece zajęcie”, to atrybut jego męskości odpada? Albo kurczy się i staje bezużyteczny? Oczywiście, nie. Rzecz tylko w tym, że jedyni dwaj mężczyźni, jakich poznała - ojciec i mąż - spędzili życie siedząc w fotelu i każąc sobie wszystko podsuwać pod nos. I może przyzwyczyła się oczekiwać od mężczyzn tego, że to kobiety dają a oni biorą i kiedy mężczyzna dawał, było to jakieś... niewłaściwe, nie całkiem męskie.

William objął ją ramieniem po koleżeńsku, bez żadnego erotycznego podtekstu, i poczuła się bardzo zmieszana. Przed południem darł się, że ją kocha, a właściwie - kochał, ale teraz nawet mu się nie podobała. Niemniej prowadził ją do łazienki, żeby... co?

-Przestań tyle główkować - powiedział, otwierając przed nią drzwi. Zostawił ją na

chwilę, nalał wody do szklanki i wyjął pigułkę z fiolki, stojącej na brzegu umywalki.

- Co to jest?

- To może być narkotyk zrobiony ze starożytnego zioła znalezionego w grobie w Ameryce Południowej, które gwarantuje, że kobieta zrobi wszystko, czego mężczyzna od niej zażąda. A może to być środek przeciwbólowy, który złagodzi rwanie w ręce. Jak myślisz?

Nawet się nie uśmiechnęła, kiedy wzięła z jego ręki pigułkę i połknęła ją popijając wodą.

- Dobra, teraz pozbadź się tej zakrwawionej koszuli.

Jackie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale co takiego mogła powiedzieć? Miała na sobie stanik, który z pewnością zakrywał to coś małego, co miała na górze. I czy tego lata często nie pokazywała się publicznie z gołym brzuchem? Co za różnica?

Nagle William złapał ją za ramiona i odwrócił do siebie. Niemal otarli się nosami.

- Jackie nie jestem gwałcicielem. Nie sądzisz przecież że mógłbym wykorzystać kobietę która straciła wiele krwi. Nie mam takiej, takiej potrzeby kobiecego towarzystwa żebym musiał uciekać się do sztuczek by którąś rozebrać. Zależy mi tylko na tym, żeby zmyć z ciebie kilka kwatek krwi. Wyglądasz obrzydliwie i śmierdzisz. Więc może pukniesz się w głowę i zdejmiesz tę koszulę? Owiń się ręcznikiem żebym niczego nie dojrzał, rób co chcesz ale daj się umyć.

Lekarstwo dawało o sobie znać ból zelżał i zaczęła czuć oszołomienie. Uśmiechając się słabo spróbowała rozpiąć bluzkę ale jedną ręką szło jej to niesporo. Kiedy chciała pomóc sobie drugą przeszył ją ból. W końcu William sprawnie rozpiął guziczki i zsunął koszulę z ramion Jackie. Wtedy całkowicie zaprzestała oporu. Jeszcze przed chwilą była trzydziestoosmioletnią kobietą a w następnie dzieckiem schylonym nad umywalką i poddającym się myciu głowy.

Jackie powoli dochodziła do wniosku że najbardziej zmysłową rzeczą na świecie jest mycie głowy przez mężczyznę. Kiedy szła do salonu fryzjerskiego i kobieta myła jej głowę robiła to sprawnie lecz zawsze w pośpiechu bo sześć innych klientek czekało na wolną umywalkę. Ale mężczyźni sądzą o czym wie każda kobieta że świat na nich zaczeka więc się nie spieszą.

Silne dłonie Williama masowały skórę na jej głowie. Ani razu jej nie zadrapał, nie wrywał jej włosów, nie miała uczucia, że ktoś chce jak najprędzej mieć to za sobą. Środek przeciwbólowy wprowadził ją w stan rozmarzenia, jakby wypijała kilka drinków po ciężko przepracowanym dniu. Nie była pijana, ale też nie całkiem trzeźwa. Po prostu odprężyła się, a jej rozgrzane ciało rozkoszowało się masażem, jaki robił William. Jego palce pieściły jej głowę, potem kark wyglądało na to, że dokładnie wiedział, które mięśnie są usztywnione i gdzie należy masować, żeby się rozluźniła.

O wiele za wcześnie sfluwał włosy po raz drugi, owinął głowę Jackie ręcznikiem, tak że poczuła się jak gwiazda filmowa, i pomógł jej się wyprostować.

- Rozbierzesz się i włożysz szlafrok a ja tymczasem naleję wodę do wanny.

Po tych słowach odwrócił się do niej plecami i odkręcił kurki nad wanną. Po zaledwie kilku sekundach wahania. Jackie szybko zrzuciła z siebie brudne, sztywne ubranie, zdjęła z haczyka na drzwiach szlafrok i włożyła go. Kiedy William spojrział na nią wanna była pełna gorącej, parującej wody, pokrytej grubą na pięć cali warstwą piany. Jeśli Jackie zanurzy się pod tę nieprzezroczystą gęstą warstwę, stanie się kompletnie niewidoczna.

- Teraz pójde po ręczniki, a ty wejdiesz do wanny. Uważaj, nie zamocz bandaża. - Zanim wyszedł, wyłączył lampę, tak że jedyne światło padało przez okienko nad drzwiami do sypialni.

Gdy została sama, zdjęła szlafrok i weszła do bardzo gorącej wody. Nie ma większego luksusu niż wanna pełna po brzegi parującej wody przykrytej łagodną pachnącą pianą. Jackie rzadko pozwalała sobie na luksus drugiego wylegiwania się w wannie. Na ogół nie miała czasu

a poza tym co ważniejsze nieczęsto pozwalała sobie na takie dekadencje zmysłowe przyjemności. Można umyć się pod prysznicem więc po co marnować tyle czasu, wody i mydła?

Zamknęła oczy i pozwoliła wodzie przenikać przez skórę. Sole do kąpeli były gwiazdkowym darem Terri sprzed dwóch lat. Terri wyobrażała sobie że takie rozkosze jak wylegiwanie się w wannie z gorącą wodą są właśnie udziałem samotnej kobiety, ale Jackie do tej pory nie otworzyła słoja. Pachniał jak kosz świeżo zebranych brzoskwiń, ogrzanych słońcem, wielkich, słodkich i soczystych.

Już prawie zasnęła, gdy William cicho uchylił drzwi i sprawdził, jak się miewa. Odwróciła głowę wspartą o brzeg wanny i uśmiechnęła się. Odpowiedział jej tym samym i zamknął drzwi.

Chyba zasnęła. Gdy William ponownie wszedł po półgodzinie i zaczął jej zmywać twarz, otworzyła usta, by zaprotestować.

- Nawet nie waż się sprzeciwić - zaprotestował.

Oparła się jeszcze wygodniej i zamknęła oczy. Była zbyt zmęczona, zbyt rozluźniona, żeby się bronić. Zmył zaschniętą krew z jej twarzy i szyi, potem umył zdrową dłoń i ramię. Siedząc przesunął się na koniec wanny, wyjął z wody stopę Jackie i zaczął masaż. Było to tak boskie, że nawet nie pomyślała o oporze.

Półmrok zalegający łazienkę, łagodny masaż stóp gorąca woda, zapach soli kąpielowych w połączeniu z działaniem pigułki przeciwbólowej spowodował, że Jackie czuła się wprost cudownie. Czasami wydawało się jej, że pracowała całe życie i nigdy nie miała czasu na zakosztowanie przyjemności. Zawsze miała przed sobą cele, które musiała osiągnąć, albo chociaż odpowiedzialność za to, aby w domu było co jeść.

William skończył masaż i Jackie uśmiechnęła się. Był tak przystojny w złotym blasku wpadającym z sypialni.

- Dziękuję - szepnęła.

Podszedł do wieszaka, zdjął puszysty biały ręcznik i podał jej.

- Wyjdź i spróbuj się wytrzeć.

Z tymi słowami odwrócił głowę na bok i zamknął oczy. Jackie niechętnie wynurzyła się z kąpeli. Stała na podłodze. Piana nadal przylegała jej do ciała. Pozwoliła okryć się ręcznikiem. Ręce miała przyciśnięte do boków, więc było absolutnie naturalne, że objął ją wycierając jej plecy ręcznikiem. Zadrzała.

- Zimno ci?

- Nie - szepnęła i bez zastanowienia położyła mu głowę na ramieniu.

Odsunął się, uniósł jej podbródek i powiedział:

- Jesteś wyczerpana.

Wziął Jackie w ramiona i zaniósł do sypialni. Postawił ją obok łóżka i podał różową piżamę.

- Nałóż to. Pomógłbym ci, ale boję się, że rano będziesz na mnie wściekła.

Rozbawiło ją to. Na komódce z lustrem William ustawiał jej kosmetyki w dokładnym wojskowym porządku. Patrząc na to wśliznęła się w piżamę i z rozkoszą weszła do łóżka.

- Przykryj się lepiej - powiedział, naciągając jej kołdrę pod brodę.

- Czy od swojej piastunki nauczyłeś się kapać innych i układać ich do snu? - zapytała żartobliwie.

Przestał otulać Jackie i posłał jej bardzo surowe spojrzenie.

- Moja piastunka wyobrażała sobie, że kąpiąc dzieci trzeba wrzasnąć: „Pali się!”, a straż pożarna szlauchami zrobi resztę.

Zachichotała.

- Kłamczuch.

- Słowo honoru. I nigdy nie układała nas do snu. Mówiła tylko: „Do łóżka!” i trzeba

było widzieć, jak gnaliśmy do sypialni! Jeśli któreś z nas ośmieliło się nie posłuchać, wiązała mu stopy i przewieszała go przez balkon, aż przemyślał swoje stanowisko na temat pójścia do łóżka.

-To też nieprawda.

-Prawda! Przysięgam

-Ta wasza piastunka musiała mieć w sobie coś dobrego. Nie mogła być zupełnym potworem.

-Mhm, tak. Była jedyna w swoim rodzaju. Nie miała bladego pojęcia, jaki powinien być porządek posiłków, więc mogliśmy jeść płatki owsiane na obiad i stek na śniadanie. I nigdy nie usiłowała nas zmieniać.

-Aha? - zachęciła go do dalszego mówienia.

-Czasem rodzice mają bardzo dziwne poglądy na temat dzieci. Wyobrażają sobie, że wszystkie powinny być jednakowe. Wydaje im się, że jest ideał dziecka, i usiłują zrobić z wszystkich taki ideał. Jeśli maluch nie lubi sportów, rodzice mówią: „Idź na dwór i poganiaj za piłką.” Jeśli dziecko lubi gry na świeżym powietrzu, rodzice mówią: „Dlaczego nigdy nie siądziesz spokojnie z książką?” Wygląda na to, że bez względu na charakter dziecka, rodzice chcą zrobić z niego kogoś innego.

-Ale twoja piastunka nie była taka?

-Nie, nie była. Lubiła albo nie lubiła ludzi za to, jakimi byli. Nie usiłowała ich zmieniać.

Jackie uznała, że ten temat jest wyjątkowo ciekawy i bardzo chciała go kontynuować, ale zapadała w sen.

-Nie próbowała was zmieniać? - szepnęła, zamykając oczy.

-Nie. Nie narzekała, że jestem... jaki jestem. Nie narzekała, że nie jestem jak inne dzieci, bo sama nie była podobna do innych ludzi i rozumiała, co to znaczy różnić się od innych.

-Wyrzutki. Oboje byliśmy wyrzutkami. - Jej głos był ledwo słyszalny.

-Nie, oboje jesteśmy jedyni w swoim rodzaju. - Pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło. - Teraz śpij i niech przyśnią ci się same kolorowe sny.

Uśmiechnęła się. Uśmiechała się nawet wtedy, gdy zgasił światło i wyszedł z pokoju.

## 7

Kiedy obudziła się następnego dnia, natychmiast poczuła rwanie w prawej dłoni i przeraźliwą pustkę w żołądku. Początkowo była zbyt słaba i zbyt ospała, by wstać z łóżka, ale powoli zdała sobie sprawę, że z kuchni dobiega jakieś dudnienie. Ciekawość przeważyła nad ospałością a poza tym czuła dolatującą z kuchni nie zidentyfikowaną woń: kurczak, zioła, świeżo pieczony chleb i coś winnego, pewnie gorący napój jabłkowy. Podniosła się z łóżka i zdała się na przewodnictwo swego nosa.

William był tuż za progiem kuchni, na małym wyłożonym brukowcem podwórzu. Stał okrakiem nad wyjętymi z zawiasów siatkowymi drzwiami i wyrównywał je małym heblem. Jasne słońce przebijało przez muślinowe zasłonki kuchenne, a okrągły sosnowy stół był zastawiony półmiskami z jedzeniem przykrytymi wykrochmalonymi serwetkami.

Przez chwilę obserwowała Williama, jego silne plecy napinające się pod białoniebieską bawełnianą koszulą wystrzępioną na mankietach. Silne, szczupłe ręce pchały strug niemal pieszczotliwym ruchem.

Jackie poprawiła włosy i stłumiła pragnienie, by pójść do łazienki i spędzić skromną godzinkę na zrobieniu twarzy, fryzury, a może nawet paznokci. Zmusiła się do pozostania na miejscu. Żadnych głupich kobiecych sztuczek.

- Co tam wyprawiasz? - zapytała.

Odwrócił się do niej. Jego uśmiech był jasny jak blask słońca.

-Doprowadzam kilka rzeczy do ładu. - Oparł drzwi o ścianę domu i podszedł do Jackie. - Pozwól, że przyjrę się mojej pacjentce.

Łagodnie ujął w obie ręce jej głowę i odwrócił do światła.

-Boli mnie ręka, nie głowa.

-Można bardzo wiele się dowiedzieć, patrząc komuś w oczy.

-Czy ktoś jest krótkowzroczny? Ile ktoś wypił zeszłego wieczora? O to chodzi?

-Nie w twoim wypadku. Twoje białka są dziś czyste, a wczoraj wieczorem były szare z bólu i zmęczenia. Jesteś głodna?

-Zjadłabym konia z kopytami.

-Tak sobie myślałem. Siądź, nałożę ci na talerz.

Pozwoliła się obsłużyć. Było to tak przyjemne, że nie protestowała, nie mówiła, że jest jej gościem i że to ona powinna się nim zająć. Dzisiaj nie czuła, że William jest jej gościem. Czuła... Nie chciała zbyt mocno zagłębiać się w swoje uczucia.

Może to był skutek środka przeciwbólowego, a może samego bólu, ale nie była zdenerwowana obecnością Williama tak jak dawniej. Zwykle miała wrażenie, że musi od niego uciec, że jej życie zależy od tego, czy zdoła się od niego uwolnić. Dziś świat wydawał się śliczny i trochę niewyraźny, jakby oglądany przez matowe szkło.

Siedziała bez słowa, a on nalewał jej gorącą kawę i nie narzekała kiedy dodał i cukru, i śmietanki. Jak dziecku - pomyślała. Wiedziała że dziś taka kawa będzie jej smakować.

- Śniadanie czy lunch? - zapytał.

Szybkie zerknięcie na zegar powiedziało jej, że dochodzi pierwsza i że spała prawie czternaście godzin. Chyba się jej to w życiu nie zdarzyło.

- Lunch - odparła i patrzyła na niego, gdy nakładał jej szczerze z ogromnego gara, w którym była potrawka z kurczęcia. Gęsty sos, mięso, marchewka i groszek. Do tego surówka z kapusty posypana koperkiem, ciepły jeszcze chleb. Gorący napój jabłkowy w glinianym kubku.

-Ty to ugotowałeś? - zapytała z niedowierzaniem. Roześmiał się.

-Niezupełnie. Upominek od kucharza rodziny. Jeden z braci podrzucił to godzinę temu.

Była zbyt zajęta, żeby zdobyć się na komentarz. Nie zwracała uwagi na to, że William przypatruje się jej z marzycielskim uśmiechem na twarzy.

-Jackie, ile czasu upłynęło od twoich ostatnich wakacji? Prawdziwych wakacji. Żadne samoloty, nic, co choćby z daleka przypomina samolot.

-Nigdy nie chciałam czegoś takiego. - Uśmiechnęła się do niego nad opróżnionym do połowy talerzem. - A ty? Kiedy miałeś ostatnie wakacje?

-Dokładnie wtedy, kiedy ty. Roześmieli się oboje.

-W porządku - powiedział. - Jestem Królem Kier i...

-Kim?

-Królem Kier, tym od Królowej Kier Alicji.

-Rozumiem.

-W każdym razie ogłaszam dziś święto. Żadnego porządkowania ksiąg, żadnego planowania przyszłości, żadnego...

-Mówienia o Taggie? - podrzuciła.

-Żadnego mówienia o Taggie. Ale co ludzie takiego robią w święto? - Popadł w autentyczne zamyślenie.

-Zastanówmy się... Wydają pieniądze ponad stan. Śpią w obcych, nieprzytulnych domach. Jedzą dziwne potrawy, od których mają mdłości. Wstają o czwartej nad ranem i przez szesnaście godzin płaczą się, oglądając rzeczy zbyt wielkie, zbyt starożytne albo tak czy inaczej zbyt trudne do pojęcia, przez cały czas marząc tylko o porządnym wyspaniu się we własnym łóżku.



- To brzmi wspaniale, no nie?
- Bosko,
- Masz jakieś wymarzone miejsce?
- Chodzi ci o coś dalekiego i egzotycznego?
- Jasne.

Uśmiechnęła się szeroko.

-A może byśmy tak wybrali się piechotą do jednego z tych starych miasteczek górniczych? Sprawdźmy, może znajdziemy coś interesującego? A nuż trafimy na kilka srebrnych samorodków?

-To w zupełności zaspokaja moją żądzę egzotyki. Czy na pewno stać cię na taki wysiłek?

-Tak - odparła. - Chciałabym wyjść na dwór, na słońce. Mimo obolałej ręki czuła się dobrze. Ogarnęło ją rozleniwienie i spokój ducha, opuściło zwykłe zdenerwowanie i niemożność znalezienia sobie miejsca. Może przyczyną była wczorajsza utrata krwi, może dlatego towarzystwo Williama było jej dziś miłe. A może troszeczkę pofolgowała sobie, jak wtedy, kiedy się jest na diecie i szuka się wymówki dla połasuchowania. Przecież możesz sobie na nie pozwolić, bo grozi ci przeziębienie. Głodzenie się w obliczu choroby jest bez sensu! I wsuwasz pięć gałek lodów z czekoladą i bitą śmietaną.

Uznała, że między nią a Williamem zaistniał wyjątkowy układ. Wczoraj William przyszedł jej z pomocą może nawet uratował jej życie, zapobiegł wykrwawieniu na śmierć. Jak więc mogła nadal wymagać, by opuścił jej dom? Dziś wypadało być uprzejmą i miłą. Jutro wskrzesi w sobie czujność i wyrzuci go. Ale dziś będzie dla niego miła. A będąc miła dla niego, być może będzie miła i dla siebie.

-Kiedy sprzątniesz półmiski do czysta weźmiemy się za ubranie ciebie a potem wychodzimy

-Stać mnie jeszcze na ubranie się rzekła sarkastycznie. Na te słowa wyciągnął rękę nad stołem i rozpiął jej dwa pierwsze guziczki góry od pizamy.

-Zapnij je teraz - powiedział. Zaczęła męczyć się z guzikami. Ledwo jednak ruszyła ręką przeszył ją ból. William siedział bez ruchu zadowolony z siebie a ona usiłowała mu udowodnić, że zdoła zapiąć guziki lewą ręką. Po kilkunastu nieudanych próbach spojrzała na niego i wystawiła język. Czasem z Williama naprawdę wychodził nieznośny urwis.

- Założę się że kiedy spałam poczułeś się tu jak u siebie w domu- rzekła z pozorną wyniosłością. - Nie wspomnę już o drzwiach kuchennych. Na co jeszcze sobie pozwoliłeś?

Nie przestawał się uśmiechać.

-Zrobiłem porządek z tym i owym.

Wstała i zaczęła otwierać szuflady. Była tak dumna ze swego ślicznego domku, że rozmieściła rzeczy dopiero po dłuższym zastanowieniu. Przybory do kucharzenia włożyła do szuflady przy piecu. To co było używane przy zlewie, włożyła koło zlewu. Wyposażenie, z którego korzystała częściej, leżało z brzegu szuflad, rzeczy takie jak krajarka do jajek spoczywały w głębi.

William pozmieniał wszystko w szufladach. Tam gdzie dawniej kwitł przyjazny twórczy nieład, teraz zapanował ponury koszarowy rygor. Łyżki i łyżeczki z całej kuchni spoczęły w jednej szufladzie uporządkowane precyzyjnie wedle rozmiaru i rodzaju. Najpierw drewniane, potem emaliowane, potem z nierdzewnej stali. To nieważne, że niektóre z nich służyły do mieszania potraw, inne do farbowania pończoch, a jeszcze inne do przetykania rur. Teraz wszystkie leżały razem. To samo z nożami. Ząbkowane ostrza obok noży do chleba. Na parapecie doniczki z roślinami ustawione były według rozmiarów, jak ruskie drewniane baby. William postawił pachnące geranium obok ziół, więc miast zwyczajnie sięgnąć po łyżkę bazylii, będzie musiała wysilać wzrok i czytać naklejki.

Jego szarogęsienie się było co najmniej uciążliwe i wiele czasu zabierze przywrócenie

szufladom dawnego porządku, ale na razie najdelikatniej jak umie da mu znać, co myśli o jego męskim przekonaniu, że lepiej od niej zgłębił tajniki organizacji i że ma prawo do wprowadzania swych porządków w jej osobistych rzeczach.

Obdarzyła go uroczym uśmiechem. A potem otwierała szuflady jedną po drugiej i zdrową ręką dokładnie burzyła ten maniackalny porządek.

Przy trzeciej William skrzywił się i poderwał od stołu.

- Robisz to z przekory, ale o wiele rozsądniej jest mieć uporządkowaną kuchnię i uporządkowane życie, jeśli już o tym mowa. Postarałem się, żebyś mogła znaleźć na ślepo każdą rzecz.

- Ale ja nie jestem ślepa, prawda?

Otworzyła szufladę numer cztery, lecz William złapał ją za rękę.

- Przestań.

Kiedy usiłowała wyrwać dłoń, nie puścił jej. Przyciągnął Jackie do siebie.

- Nie ma żadnego wytłumaczenia dla braku organizacji! - powiedział ostro i Jackie zaczęła się śmiać, więc William też się uśmiechnął. - Nie pozwolę ci na to. Masz pojęcie, ile czasu zabrało mi uporządkowanie wszystkiego w tych szufladach?

- Mniej, niż zajęło mi ułożenie wszystkiego po raz pierwszy. Ich kłótnia szybko przeszła w żartobliwą przepychankę. Za każdym razem, kiedy Jackie sięgała do gałki szuflady, William łapał ją za rękę.

- Jesteś bęcwał, rozumiesz? - powiedziała ze śmiechem. - To głupi rodzaj organizacji. Kładę przedmioty tam, gdzie ich używam.

- Ha! Może tak było na początku, ale teraz wkładasz wszystko tam, gdzie ci najbliżiej. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych rzeczy leżało w szufladzie najbliższej zlewu. Ładujesz je tam prosto z suszarki. Twoją organizacją rządzi lenistwo.

A jeśli w tych słowach było sporo prawdy? To straszne, kiedy ludzie poznają cię na tyle dobrze, że zaczynają dostrzegać twoje wady. O ilez lepiej było wcześniej, kiedy znali cię gorzej i uważali za wcielenie doskonałości.

- Puść - prosiła, walcząc z nim. I nagle, nie wiadomo jak, znalazła się w jego ramionach, twarzą w twarz, z rękami unieruchomionymi po bokach.

- To mi się podoba - rzekł, łaskocząc ją nosem po karku. - Ładnie pachniesz, jak śpiące perfumy.

- Jak co?

Całował jej szyję. Jego silne ręce spoczywały na jej plecach, na cienkim materiale szlafrocza i piżamy.

- Chyba... chyba nie wypada nam tego robić.

Odchyliła głowę i przymknęła oczy. Powinnam go powstrzymać, myślała. Ale uległa temu miłemu wykrętowi żeby zjeść lody. Jakim cudem ma powstrzymać dorosłego mężczyznę, kiedy jest tak osłabiona utratą krwi? Zatrzyma go, kiedy poczuje się lepiej.

- Jackie, jesteś taka piękna. Masz pojęcie, jak wyglądasz rano?

- Jakbym spała w stodole?

- Tak. - Teraz przesunął usta po płatku jej ucha. - Jesteś ciepła, rozkwitła i słodka, taka słodka. Masz lekką chrypkę i na wpół zamknięte oczy.

Przesunął rękę w dół, ku zaokrągleniu jej pośladka. Nie dalej. Jego dłoń pewnie spoczywała na tej wypukłości, a usta przesunęły się w dół szyi.

- William, och... chyba lepiej, och... się ubiorę.

- Jasne - odparł i cofnął się tak szybko, że zatoczyła się w kierunku ziewu. Przytrzymała się go zdrową ręką.

Podszedł do drzwi kuchennych. Stał tam chwilę, odwrócony plecami do Jackie. Widziała jego pracujące barki. Usiłował się opanować.

- Uważam, że nie powinniśmy więcej tak postępować - powiedziała łagodnie.

-Też tak sądzę. - Rzekł to stanowczo, jakby wzbraniał sobie na przyszłość tego, co właśnie zrobił. Gdy się odwrócił, był uśmiechnięty jak poprzednio. Dostrzegła jedną różnicę - leciutko zaczerwienił się na szyi.

Z obojętnym wyrazem twarzy podszedł bliżej i zręcznie, szybko rozpiął jej całą górę od piżamy.

- Idź się ubrać. Ja zapnę ci guziki i zawiążę sznurówki. - Podniósł głowę i popatrzył prosząco. - Ale Jackie, błagam, zatroszcz się sama o zamki błyskawiczne.

Zaczęła się śmiać, on jednak był aż nazbyt poważny.

- Postaram się najlepiej, jak mogę - zobowiązała się solennie, ale w duchu pękała ze śmiechu.

Cudownie jest czuć się pożądaną - pomyślała i dosłownie uciekła do łazienki. Kiedy masz siedemnaście lat i czujesz męskie pożądanie ogarnia cię strach. Nie wiesz jak na to reagować. W tym wieku chcesz żeby uznano cię za inteligentną kobietę i przestano traktować jak dziecko. Kiedy masz siedemnaście lat chcesz udowodnić matce, że jesteś dorosła i potrafisz zdobyć mężczyznę tak jak ona to zrobiła że jesteś na tyle dorosła by prowadzić dom i zaopiekować się mężczyzną tak jak matka. To irytujące że mężczyźni potrafią jedynie pchać się z łapami pod sukienkę. Dlaczego siedemnastoletni chłopcy nie umieją poważnie pomyśleć o życiu i przyszłości? Czy nie wiedzą, co ich czeka? Mało jest w świecie bardziej poważnych, bardziej zasadniczych bardziej zagubionych istot niż siedemnastoletnia dziewczyna.

Ale kiedy masz trzydzieści osiem lat nie musisz już sprawdzać się w oczach swojej matki. Doszedłszy do tego wieku wiesz że prowadzenie domu i opiekowanie się mężczyzną to żadne wielkie wyzwanie to jedynie powtarzanie w kółko tego samego. Na okrągło pierzesz mu skarpetki kombinujesz co podać jutro na obiad wykonujesz te same czynności co wczoraj. Kiedy masz trzydzieści osiem lat chcesz być pożądana i zastanawiasz się, gdzie podziali się ci wszyscy siedemnastoletni chłopcy którzy wciąż kleili się do dziewcząt. Właśnie wtedy kiedy kobieta nabywa nieco luzu i chce troszkę użyć życia, spostrzega, że wyszła za mężczyznę, którego jedynym pragnieniem jest chrapanie do kolacji, a potem chrapanie aż do pójścia do łóżka. Gdzie podziała się ta cała energia?! Całe to pożądanie?!

Czasami Jackie miała wrażenie, że jakaś para jest źle dobrana. Zaraz po ślubie z Charleyem chciała mu udowodnić, że jest go warta. Znaczyło to zajmowanie się kuchnią, pranie i, oczywiście, latanie. Bardzo chciała mu zaimponować lataniem. Ale Charley lubił spędzać popołudnia w łóżku, ona natomiast chciała spędzać je w samolocie. Teraz, po wielu latach, Jackie czuła, że znajduje się w tym miejscu, w którym Charley był wtedy. Sprawdziła się we własnych oczach - również w oczach świata - i teraz nie miała nic przeciwko temu... żeby spędzić popołudnie w łóżku z mężczyzną.

Oczywiście napominała siebie nie z tym mężczyzną.

Ten mężczyzna ten bardzo młody mężczyzna William Montgomery, nie wchodził tu w rachubę. Jeśli brakowało jej męskiego towarzystwa powinna szukać kogoś bardziej odpowiedniego. Tak, to właściwe słowo. Odpowiedni to znaczy w stosownym wieku, ze stosownej klasy społecznej, stosowny we wszystkim. To oznacza mężczyznę który pomógłby jej na drodze życia. Tak, zgadza się. Starszy mężczyzna umiałby pomóc kobiecie. Na tę myśl Jackie skrzywiła się. Miała już w życiu takiego mężczyznę, który był w równej mierze ojcem co mężem. Nie potrzebowała trzeciego taty. Potrząsnęła głową żeby opędzić się od zbędnych myśli. Po prostu ciesz się tym, co jest pomyślała. William zakochał się w starszej od niego kobiecie. Tak jak uczeń z podstawówki w nauczycielce. Była przecież na tyle dojrzała by cieszyć się tą fascynacją. Cieszyć się i pokierować nią.

Uśmiechnięta pełna uznania dla dojrzałości swego umysłu, uporała się, jak mogła najlepiej, z piżamą. Nałożyła luźne gabardynowe spodnie koszulę z surowego jedwabiu z naszywanymi kieszeniami na ramiona narzuciła luźną kamizelkę z białej wełny. Zdołała zasunąć zamek u spodni ale guziki okazały się zaporą nie do pokonania. Poświęciła włosom i

makijażowi nieco więcej czasu niż zazwyczaj, i znalazła na to wytłumaczenie. Każda kobieta chce wyglądać ładnie, kiedy wychodzi z domu, prawda? Mniejsza z tym że wiele razy w przeszłości śmiała się z kobiet, które czesały się starannie przed zajęciem miejsca w kabinie pilota. Godzina w burzy piaskowej i miało się szczęście, jeśli został jakiś włos na głowie, co dopiero mówić o fryzurze.

Zebrała poły koszuli i weszła do salonu, w którym William zajmował się przekładaniem zawartości szuflad. Odwrócił się i zupełnie szczerze powiedział, że Jackie wygląda pięknie.

-Może tak trzymałbyś się z daleka od moich osobistych rzeczy? - parsknęła gniewnie.

Zapinał jej koszulę.

-A o jakie to osobiste rzeczy ci chodzi?

-No wiesz! - Zbeształa go jak stara nauczycielka. - Zachowuj się!

-To zależy od definicji właściwego zachowania Z mojego punktu widzenia zachowuję się właściwie

- Więc zachowuj się właściwie z mojego punktu widzenia!

Schylił się po kosz z jedzeniem zawiesił go sobie na rękę a drugą ręką ujął Jackie

- Gdy tylko wybierzesz swój punkt widzenia Nic pozwolił jej odpowiedzieć na ten nonsens - Jesteś pewna że dasz radę?

Wiedziała że pyta o ranę ale nie wiadomo dlaczego wezbrała w niej irytacja. Co on sobie wyobraża? Że jest za stara na pieszą wędrówkę?! Daje do zrozumienia że bardziej przystoi jej bujany fotel przy kominku?

-Mieszczuchu przegonię cię po górkach gdy tylko zechcę! Kiedy ty gryzmołeś ołówkiem w zeszycie ja wspinałam się po kadłubach samolotów patroszyłam silniki. Urwała bo William roześmiał się. Groźnie zmarszczyła brwi ale tylko pobudziła go do większej radości.

-Już dobrze, Tarzanie, chodźmy - powiedział, ujął ją pod ramię i poprowadził do drzwi.

Kto by uwierzył dziwiła się że mały Billy Montgomery kiedy dorośnie, będzie miał w sobie tyle humoru? Zwyczajnego bezpretensjonalnego humoru. Może nie przepadał za lataniem na plecach samolotami ale wielu ludzi również nie uznałoby tego za przyjemność. Lecz William lubił i to jak inne rzeczy.

Przed wszystkim jego poczucie humoru było dziecinne i fizyczne. Jackie lubiła posłuchać w barze *bon-motów* ale przepadała też za dowcipem prostym i niewyszukanym. William aż za dobrze zrozumiał jej wybuch gdy zapytał czy ma dość sił na przechadzkę więc udawał, że jest stary, zmęczony i chory zmuszając Jackie by pchała go pod górę. To pchanie a potem wywrócenie się na nią w udawanym wyczerpaniu dawało okazję fizycznego kontaktu. Co chwila obejmował ją, opierał głowę na jej ramieniu, wciskał nos w jej kark. Kazała mu przestać, ale jej głos i gesty były tak samo nieugięte jak trawa, gnąca się na wietrze.

Bogiem a prawdą. Jackie musiała przyznać, że te harce z Williamem były jej miłe.- W dzieciństwie i jako nastolatka cierpiała na brak zabawy. Choć William słusznie powiedział, że dorastając robiła co chciała, to prawdę powiedziawszy przede wszystkim chciała być dorosła, niezależna. W wieku dziesięciu lat pragnęła dojrzałości. Pewnego razu wyprowadzona z równowagi matka rzekła „Jackie, czy ty kiedyś będziesz dzieckiem?”

Czy można zmieniać się wbrew czasowi? Czy starzejąc się można stawać się młodszym? Kiedy w liceum wszystkie dzieciaki chciały tylko bawić się i szaleć, budziły w Jackie kompletną pogardę. Myślała jedynie o przyszłości - jak wyrwać się z tej zapadłej dziury i co zrobić ze swoim życiem. Inne dziewczęta w jej wieku chciały „wyjść za Bobby'ego i zostać najlepszą żoną na świecie” Kiedy Jackie przypominała sobie swój ówczesny arogancki śmiech była zakłopotana.

Potrzebowała zabawy. Brakowało jej okresu zalotów z Charleyem. Swój miodowy

miesiąc przeżyli w samolocie. Charley był tyleż jej nauczycielem, co mężem. Wtedy uwielbiała to i była mu za to wdzięczna, ale teraz chciała odpocząć... cieszyć się życiem.

William sprawiał, że mogła się śmiać. Żartował z niej i gonił ją wokół drzewa a późnym popołudniem rozłożył na trawie obrus, na ciepłej od słońca skale blisko skraju urwiska. Mogli na siedząco podziwiać spektakularny widok. Opróżnił koszyk: wino, sery, chleb oliwki musztarda pieczony kurczak na zimno, pasztet porcjowany w kształcie kwiatów krajane pomidory, zimna lemoniada ucza!

Jackie wsparta o ciepłą skałę pozwoliła się obsługiwać.

- Cały dzień tęgo myślałaś - powiedział William, nalewając jej wina

- Nie cierpię kiedy wiesz co dzieje się w mojej głowie.

Po chwili milczenia zapytał

-Masz ochotę podzielić się ze mną jej zawartością?

Nie chciała mu się zwierzać ze wszystkiego. Przez cały czas nie zapomniała, że to, co jest między nimi, wkrótce się skończy i wcale nie miała ochoty zaglądać w dalszą przyszłość. Bo prawdę powiedziawszy czuła się z nim związana.

-Myślałam o tych wszystkich sprawach, o których mówiłeś wczoraj.

Jackie zaczął i wyczuła że zabiera się do przeprosin. Przerwała mu machnięciem ręki

- Nie nic nie mów Zasłużyłam na wszystko co powiedziałeś. Kiedy byłam mała sądziłam że muszę zostać najlepsza że musi mi się udać. Nigdy nikomu do głowy nie przyszło że tak naprawdę to marzę żeby być jak inne dzieci! Staralam się. Usiłowałam przyłączyć się do dziewcząt które po szkole chodziły do drug-storeu popijały zimne napoje i flirtowały z chłopakami. Ale nie wiadomo dlaczego zawsze robiłam coś nie tak. Wypiła wino i zatopiła wzrok w słońcu wiszącym nisko nad horyzontem. Znasz moją przyjaciółkę Terri Pelman? No wtedy znałam ją zupełnie powierzchownie, ale bardzo jej zazdrościłam. W szkole była tak popularna, chłopcy zawsze tłoczyli się wokół niej. Zawsze znała najmodniejsze fasony i zawsze była bez zarzutu ubrana. Nie popełniała żadnych błędów, zawsze robiła wszystko tak jak powinna odwrotnie niż ja. Chciałam prowadzić życie takie jak ona chciałam żeby kapitan drużyny futbolowej szalał na moim punkcie ale nigdy do tego nie doszło. Masz pojęcie, jak ja się z tym wszystkim czułam?

-Tak - odparł po prostu i wiedziała, że ją zrozumiał Wspomniała, ile to razy słyszała inne dzieci, natrząsające się z niego, bo nie odstępował jej na krok. Jeden z jego starszych braci stłukł paru chłopaków, bo przygadywali Williamowi. Malec się nie skarżył, ale jego siostrzyczka dosłyszała co trzeba i powtórzyła a brat stanął w jego obronie.

Jackie chyba nie dowiedziałyby się o niczym, ale że nie widziała Billy'ego przez kilka dni, zawędrowała w sąsiedztwo jego domu - oczywiście nie po to, by się z nim spotkać jednak pani Montgomery mogła mieć dla niej jakieś polecenie.

William grabiami dwa razy większymi od siebie zbierał liście z ogromnego trawnika, otaczającego dom Montgomerych podczas gdy jego starszy brat z pięknym siniakiem pod okiem spał smacznie w cieniu drzewa. Billy nie powiedział Jackie o co chodzi więc wyrwała ze snu większego z małych Montgomerych i wydusiła z niego prawdę. Nikt dowolnej postury i wieku nie potrafił onieśmielić Billyego, ale Jackie przy swoim wzroście i latach łatwo onieśmieliła jego brata i dowiedziała się prawdy. Wyglądało na to, że kilku chłopaków starszych o cztery lata od Billyego plątało się koło mostu, nie mając absolutnie żadnego zajęcia, aż jeden z nich powiedział: „Zawsze możemy zrobić wyścig kamieni. William przeciwko tamtemu głązowi. Stawiam całą forszę na kamień.”

Kiedy Jackie to usłyszała, wiele sił kosztowało ją zapanowanie nad sobą. A popołudniem, gdy znalazła się sama, zaśmiewała się do rozpuku. Brat za wywołaną awanturę został skazany na grabienie trawnika. Billy wziął na siebie całą karę.

Teraz, wiele lat po tamtym wydarzeniu, spojrzała na dorosłego Billyego i zapytała:

- Startowałeś ostatnio w jakichś wyścigach kamieni?

Nieomal widziała, jak natężyła umysł, usiłując zrozumieć, o co jej chodzi. Kiedy sobie przypomniała, twarz mu się rozjaśniła i z błyskiem w oku zwrócił się do Jackie.

-Wiesz, brat obraził się o tę uwagę, ale na mnie nie wywarła najmniejszego wrażenia. Inne dzieci wydawały mi się grupie, bo przez chwilę nie potrafiły zająć się jedną sprawą. Nie potrafiły zrozumieć, że życie wymaga planowania. To połowa przyjemności. Może byłem małowimny i stąd uważały, że jestem tępy, ale zawsze planowałem, co zrobię jutro, pojutrze i popojutrze. - Przerwał na chwilę. - Odkryłem w życiu to, czego inni chyba nie wiedzieli: jeśli mocno przyłożysz się do planowania, możesz sprawić, że twoje plany się zrealizują.

-Tak - odparła, ale nie zapytała go, co zamierza zrealizować. Nie chciała tego słyszeć. - Ty naprawdę rozumiesz. Ty, chcąc nie chcąc, byłeś inny. Ja podobnie. Byłam wyrzutkiem i zaczęłam grać innym na nosie, mówiłam im i sobie, że nie są mi potrzebni.

-A potem się zakochałaś - powiedział łagodnie.

- W Charleyu? W jej głosie zabrzmiało niedowierzenie.

- W czymś trochę większym niż Charley. Uśmiechnęła się.

- Ach tak w samolotach. Wiesz zwykłam sobie wyobrażać, że samoloty są rodzaju męskiego, ale im bardziej się starzeję, tym częściej myślę o nich jako o kobietach. Przestały być czymś, co chcę opanować są moimi najbliższymi przyjaciółkami. Przeżyłam z nimi wiele wspólnych chwil. A co z mężczyznami? Przeniosła spojrzenie ku horyzontowi i nie odpowiedziała. Nie ustępował.

- Co chcesz zrobić ze swoim życiem, Jackie?

Nie odwróciła wzroku, a kiedy przemówiła, w jej głosie zabrzmiały emocje

- Coś się we mnie zmieniło. Nie wiem co. Przez tak wiele lat chciałam podbić świat. Jasno wyobrażałam sobie, co chcę i jak to osiągnę ale udało mi się zdobyć wszystko, co sobie założyłam, i nie wiem za co się teraz zabrać. Częściowo jestem zła na to, że świat się zmienia podczas gdy ja stoję w miejscu, ale częściowo chcę tylko siedzieć spokojnie i obserwować życie, gdy toczy się dalej. Chcę uprawiać róże i... Nagle przerwała i popiła duży łyk wina.

- I mieć dzieci dopowiedział za nią z zadziwiającą i irytującą dokładnością

- Śmieszne! Masz pojęcie, że dwie dziewczyny z mojej klasy w liceum są już babkami? Zresztą, co ja bym zrobiła z dziećmi? Poza tym, jaki mężczyzna w moim wieku chciałby założyć rodzinę?

Przerwała, bo za mocno protestowała. Dotychczas niezbyt dużo myślała o własnej rodzinie. Była zbyt zaabsorbowana samolotami i opieką nad Charleyem, żeby pomyśleć o gromadce dzieciaków. Obecnie żądza poznania świata ustąpiła, ale Jackie nadal chciała mieć w nim swoje miejsce.

- Przypuszczam że tak naprawdę zależy mi na wszystkim. Chcę wszystkiego, co świat może mi dać. Nie chcę rezygnować z niczego, co mam, a równocześnie chcę wszystkiego, czego nie mam.

Uśmiechał się i blask słońca na twarzy sprawiał, że William był wyjątkowo przystojny.

- Nie mogę dać ci wszystkiego, ale z rozkoszą ożenię się z tobą i postaram o tyle dzieciaków, ile zechcesz.

Jackie wiedziała, że to poważna propozycja. Na moment zaschło jej w ustach. Ogarnęła ją nieprzeparta wręcz ochota, żeby powiedzieć „tak”. To uczucie było tak samo intensywne jak to, którego doznała, widząc pierwszy raz samoloty. Wtedy nie miała pojęcia o świecie. Nie znała okrucieństwa ludzi nie wiedziała o tym że będą osądzać ją i jej zdolności, nic o niej nie wiedząc. Teraz była starsza, doznała wiele bólu i radości i wiedziała co ludzie powiedzą. Jeśli wyjdzie za mąż za Williama dostrzegą tylko dzielącą ich różnicę wieku.

-Nie odpowiadaj - powiedział zdobywając się na uśmiech. - To tylko taki pomysł. Dobry jak każdy inny

-Tak, dobry jak każdy inny. - Starła się przybrać obojętny wyraz twarzy, by nie mógł wyczytać nic z jej oczu.

-Jesteśmy zbyt poważni. Zamiast tego powinniśmy ustalić, kto zrobi porządek w kuchni. Bo przywrócisz moją kuchnię do tego stanu, jaki mnie odpowiada. I biurko też.

-Ha! Czy wiesz, że znalazłem poduszeczkę z igłami i nici w biurku, a spinacz w koszyczku z niemi?

Nie miała o tym zielonego pojęcia, ale nie wątpiła, że to prawda. Czasem się spieszyła i kładła rzeczy tam, gdzie jej było wygodnie, ale to nie była sprawa Williama.

-Nie ma znaczenia, gdzie co leży. To mój dom!

-Tylko chwilowo. Czy wspominałem ci, że jestem właścicielem wszystkich zabudowań i gruntów w Eternity?

Jackie wybuchnęła śmiechem. Tylko Montgomery mógł oznajmiać takim niedbałym tonem że jest właścicielem miasteczka

- A więc dostałeś te budynki na dwudzieste pierwsze urodziny? To miał być dowcip ale gdy William zaczerwienił się po białka oczu, wiedziała że dobrze odgadła i zaniósła się śmiechem.

-Każdy człowiek na świecie poprosiłby o podróż dookoła świata, rezydencję albo chociaż diamentowy naszyjnik ale czego chce mój solidny jak skała zawsze myślący naprzód Williamek? Wymarłego miasteczka! Zrujnowanego bezwartościowego starego miasteczka którego nikt nie chciał nawet wtedy gdy tętniło życiem. Co na Boga podkusiło cię, żeby o to prosić ?

Spojrzał na nią poważnie

-Mogłem tu zbudować lotnisko

To była prosta odpowiedź, ale znaczyła wiele. Znaczyła, że dawno założył sobie pewien plan i to lotnisko było dla niej przynętą. Chociaż poślubiła innego i wcale nie miała zamiaru wracać do rodzinnego miasta, William planował ściągnięcie jej z powrotem. Jak to powiedział? „Jeśli mocno przyłożysz się do planowania, możesz sprawić, że twoje plany się zrealizują.” Czy była tu dziś dlatego, że tak bardzo jej pragnął i tak mocno przyłożył się do planowania, iż wróciła? Uśmiechnęła się do niego. Bez względu na to, czy sprawy między nimi układały się czy nie czuła się pochlebiona. Charley wcale się do niej nie zalecał. Zawsze dawał do zrozumienia, że zrobił jej przysługę zabierając ją z dziadowskiego Chandler. Pozwalał Jackie zalecać się do siebie pracą pracą i jeszcze raz pracą. Ale oto jest mężczyzna który spędził lata planując zdobycie jej.

- Sprawiasz że czuję się bardzo ważna - powiedziała cicho. Sprawiasz że wydaję się sobie kimś najbardziej wartościowym na świecie.

-Bo tak jest

W jego głosie było tyle szczerości, że Jackie nie wiedziała, czy powinna czuć zadowolenie czy zażenowanie. Doznawała jednego i drugiego. W końcu zdobyła się tylko na krótkie:

-Dziękuję ci.

## 8

Jest mi jak w niebie pomyślała Jackie. Oto, co w życiu najlepsze poza długim korkociągiem.

Leżała na swojej ślicznej kanapie William włączył radio i Jackie ze wszystkich sił starała się skupić na programie, ale przede wszystkim przyglądała się Williamowi który pastował pokaźną stertę butów zarówno własnych jak i jej. Narzekała na jego szarogęsienie się nie cierpiała tego ale przecież całkiem miło jest otworzyć koszyk z przyborami do szycia i wyjąć nożyczki zamiast zszywacza. I będzie jej miło włożyć błyszczące buty.

Na dworze padało więc William rozniecił ogień, aby odgonić chłód górskiej nocy. Zmusił Jackie do położenia się na kanapie. przykrył ją grubym kocem. Miała tylko być cicho i słuchać radia. I patrzeć na niego, pomyślała. Kto by pomyślał, że obserwowanie mężczyzny

wykonywającego tak prozaiczną czynność jak czyszczenie butów może równie mocno oddziaływać na kobietę. Nie wiedzieć dlaczego pastowanie i glansowanie obuwia skuteczniej pobudzało do myślenia o miłości niż wszystkie pocałunki świata. Jackie wiedziała dobrze, że nie namiętność stanowi o dobrym małżeństwie, lecz drobiazgi. Na przykład to, czy jedno potrafi czytać instrukcję, a drugie montować urządzenie, jeśli trzeba coś złożyć. Z doświadczenia Jackie wynikało, że mężczyzna nie cierpi słuchać rozkazów kobiety. A kłótnie... Drobne spory potrafią zatruć popołudnia i wieczory.

Jackie nauczyła się, że nie wystarczy, żeby ludzie się zakochali. Muszą dotrzeć się w sprawach codziennych, muszą nauczyć się żyć w zgodzie i harmonii.

Ina tym polegał jej problem z Williamem. Był bardzo zgodny we współżyciu. Poza tym wyjątkowo głupim przekonaniem na temat organizacji i obsesją układania wszystkiego we wzorowym - w jego mniemaniu - porządku, na co dzień był bardzo zgodny. Kiedy doskwierał mu głód, nie zerkał na najbliższą kobietę, by stworzyła mu gorące, pyszne danie, jakby to była jakaś wydzielina hormonalna. Nie oczekiwał też, że Jackie wypełni za niego wszystkie obowiązki. Właśnie teraz pastował jej buty, czego dokonała zaledwie kilka razy w życiu. No, bo kto mógł zauważyć, że ma nie wypastowane buty? Inni piloci? Charley? Samoloty?

Uniosła głowę na dźwięk jego głosu.

-Jackie - rzekł i niewinny ton, z jakim to powiedział, natychmiast obudził w niej czujność. Odezwał się tak, jakby zrobił coś czego nie powinien robić, albo jakby miał taki zamiar.

-Tak? - zapytała. Miała nadzieję, że zabrzmiało to równie niewinnie.

-Przy sprzątaniu twojego biurka wpadło mi w ręce coś interesującego.

-Och, tak? A co takiego? Nożyczki leżące o cal od wyznaczonej pozycji?

Zignorował ten sarkazm, więc wiedziała, że chodzi o coś poważnego.

-Znalazłem list od redakcji ogólnokrajowego czasopisma. Proszą cię o napisanie czegoś o lataniu.

-Och.

Usiłowała znaleźć jakiś inny temat do rozmowy, ale wiedziała, że głównym zadaniem Williama jest wypracowanie dla niej miejsca w podręcznikach historii i jeśli nie ziszczy tego celu, zachęcając ją do brania udziału w zawodach, być może dopnie swego, zamieniając ją w pisarkę.

-Uważam to za wspaniały pomysł - kontynuował niewinnie. - Twoja wiedza na temat samolotów jest bezcenna. Mogłabyś pomóc nowemu pokoleniu kobiet w nauce pilotażu, zachęciłabyś je do latania. Dzieląc się swymi umiejętnościami mogłabyś zainspirować cały naród.

-To prawda, ale jeśli jestem aż tak dobra, nie musiałabym w ogóle nigdy więcej siadać za stery. Rozwinęłabym skrzydła i pofrunęła wprost do nieba.

Znów zignorował ten ton.

-Popatrz na to. Czasopismo przesłało ci na wzór artykuł: *Nita Stinson, Latająca Maszynistka, wspomina pierwszy lot* - Patrząc na gazetę, William prychnął ze wzgardą. - Latająca Maszynistka, też mi ktoś. Ty jesteś prawdziwą pilotką.

-Wyobraź sobie że Nita jest przypadkiem moją przyjaciółką. To znakomita pilotka. W jej głosie pojawiła się wrogość, jakby była gotowa walczyć o koleżankę.

-Przepraszam. Nie zamierzałem nikogo obrazić. Wybacz mi, jeśli przypadkiem pomyślałem że jesteś najlepszym pilotem zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet całego świata. Latając z tobą archanioł Gabriel dostałby zawrotu głowy i na pewno by zwymiotował.

Kiedy zerknęła na niego, zobaczyła uśmiech oznaczający, że William odpląca się jej pięknym za nadobne.

- A więc, dlaczego nie spróbujesz pisać? - zapytał.



Z wyrazem bezradności na twarzy podniosła zabandażowaną rękę, pokazując, że jest niezdolna do wykonania takiego zadania. William natychmiast złapał pióro i papier.

-Mów, co mam pisać.

-Latanie to dobra zabawa. Powinnyście spróbować.

-Jackie, przestań, bądź poważna. Musisz mieć coś do powiedzenia milionom kobiet w szerokim świecie, które zastanawiają się, co to znaczy być pilotką.

Pomyślała przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

-Tak, jest coś, co chciałabym powiedzieć milionom kobiet w szerokim świecie, które zastanawiają się, co to znaczy być pilotką.

Z uśmiechem satysfakcji William zaczął pisać pod dyktando Jackie.

- Najskromniejszy zawód, jaki kobieta kiedykolwiek uprawiała, wyznacza jej status przez resztę życia. Nawet gdyby została prezydentem świata, ludzi będą mówić: „Panna Jones, była recepcjonistka, jest teraz prezydentem świata.” W ten sposób daje się wszystkim do zrozumienia, że w głębi duszy panna Jones wciąż jest tylko recepcjonistką. Z drugiej strony, jeśli mężczyzna zostanie prezydentem świata, ludzie mówią: „Pan Jones, który dawniej pracował na poczcie, teraz rządzi światem.” W ten sposób daje się ogłowi do zrozumienia, że pan Jones jest wspaniały, bo zdołał się wspiąć wysoko ze swego niskiego stanowiska. Różnica między nimi polega na tym, że panna Jones to recepcjonistka, która udaje, że jest przywódcą świata, podczas gdy pan Jones był przyszłym przywódcą świata nawet wtedy, kiedy sortował pocztę.

Zanim skończyła pierwsze zdanie, William odłożył pióro. Kiedy skończyła całą wypowiedź, uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem. Ani jej się śniło pisać stos osłodzonych, pachnących fiołkami artykułików które miałyby zachęcić młode kobiety do nauki pilotażu. Kobieta musi być gruntownie przekonana do tego, co robi żeby latać samolotem, bo świat lotników jest z gruntu światem twardzieli, pewnych, że kobieta-pilot zawiedzie tylko dlatego że jest kobietą istotą nieinteligentną i niekompetentną.

- Czy o tym myślałaś? - spytała słodko.

- Może i o tym ale nie sądzę, żeby czasopisma tego chciały. Rusz się jestem głodny. Pokłóćmy się o to, kto zrobi ci jeść. Uwielbiam wygrywać. Śmiejąc się przyjęła jego pomoc w kuchni.

Następnego rana Jackie obudziła się z cudownym samopoczuciem. Wciąż była chora. No, może nie naprawdę chora ale na tyle niesprawna, że nie musiała decydować, czy William ma opuścić dom. Oczywiście, kiedy poczuje się lepiej, będzie musiał się wynieść, ale teraz z czystym sumieniem mogła odłożyć tę decyzję. Był przyjacielem, który przyszedł jej z pomocą. Nic więcej ich nie łączyło.

Cóż to był za rozkoszny niedzielny poranek! William zrobił placuszki z jeżynami; podał je z masłem i syropem, i śmiali się jak dzieci. To przedziwne, jak dziecinnie może zachowywać się para dorosłych ludzi, kiedy jest sama. Wszystko, co jedno z nich powiedziało, było dla drugiego albo genialne, albo śmieszne. Nie pamiętała, żeby śmiali się tyle, będąc dziećmi. Zawsze uważała życie za rodzaj wyzwania, coś, z czym należało walczyć, a William zdawał się uważać, że jego wyzwaniem jest sama Jackie. Jednak bez względu na to, jak to było w przeszłości, teraźniejszość wydawała się inna, bo dopasowali się do siebie łatwo i radośnie.

Po śniadaniu William zmył naczynia, a Jackie demonstrując wielkie cierpienie, którego naprawdę nie czuła, wytarła kubki i talerze. Po sprząnięciu kuchni przeszli do salonu i William zaproponował, że poczyta jej komiksy z gazety. Było rzeczą najnaturalniejszą w świecie, że usiadła w jego objęciach, żeby widzieć obrazki. Jadła przy tym jabłko, więc raz gryzła je ona, raz William, a potem znowu ona. Scenka jak z raj.

Buczenie klaksonu i chrzęst żwiru pod zbliżającym się pojazdem wzbudził na twarzy Jackie wyraz grozy.

- To Terri - oznajmiła przerażona, jakby świat się walił. Natychmiast odepchnęła rękę Williama ze swoich ramion zerwała się na równe nogi i rozpoczęła gorączkowe sprzątanę. Wszystko krzyczało, że współlokatorem jest tu mężczyzna. Zatrzeć po nim wszelkie ślady!

- Co się z tobą dzieje? - zapytał, nie ruszając się z kanapy.

- To Terri - odparła, jakby te słowa wszystko wyjaśniały. Kaptcie Williama leżały na podłodze przy fotelu. Jego koszula z oderwaną kieszenią zakrywała koszyczek z niemi - Jackie obiecała ją zaszyć, kiedy tylko ręka się zagoi. Trzy czasopisma przysłane na jego nazwisko i adres leżały na stolyczku. Jego płaszcz wisiał na kołku przy drzwiach.

Gorączkowo starała się zebrać wszystkie te rzeczy i kiedy miała ich pełne ręce, rozejrzała się, gdzie je ukryć. A jeśli Terri z jakiegoś powodu zajrzy do szafy ściennej? A jeśli zerknie do spiżarni? Jackie ruszyła do sypialni, ale zatrzymała się. To ostatnie miejsce w którym powinna ukrywać jego rzeczy

William spokojnie podszedł do niej i uwolnił ją od całego ciężaru

- Zajmę się tym powiedział cicho. W jego głosie było coś, czego wolałaby nie usłyszeć. Bez wątpienia zraniła go ale nie mogła tego w tej chwili rozważyć. Później będzie się martwić, jak go ugłaskać.

- Terri nie może się dowiedzieć że mieszkam z mężczyzną. To było bezsensowne kłamstwo. Wiedziała o tym. Wystarczyło jej raz zerknąć na Williama by wiedzieć że nie dał się nabrać. Była zażenowana bo rzeczy rozrzucone po pokoju należały do niewłaściwego mężczyzny młodszego od niej mężczyzny którego nie mogła z dumą przedstawić przyjaciołom.

Kiedy Jackie miotła się szukając reszty dowodów obecności Williama usiłowała nie myśleć o tym co robi. Później wmówi jemu i sobie że jedynie starała się ochronić ich reputację. William stał na środku salonu obładowany rzeczami będącymi niewątpliwie jego własnością.

- Może byś..... zaczęła

- Jasne - powiedział odwrócił się i ruszył do schodów. Otworzyła usta by za nim zawołać ale powstrzymała się słysząc natarczywe stukanie do drzwi. Podeszła je otworzyć

- Co ty na Boga robisz? zapytała Terri. Stukałam chyba cztery razy. Dopiero dziś dowiedziałam się o twoim wypadku. Dlaczego nie zatelefonowałaś? Może zdołałabym przyjechać i zająć się tobą?

- To bardzo uprzejme z twojej strony że o tym pomyślałaś, ale czułam się dobrze. Naprawdę.

- Słyszałam co innego.

Terri minęła Jackie i rozejrzała się po pokoju. Niewiele wskazywało na obecność innej osoby ale nawet w oczach Jackie salon się zmienił był bardziej zadbane bardziej uporządkowany i czysty.

- Tu się coś dzieje oznajmiła Terri. Przenikliwie popatrzyła na przyjaciółkę. Co mianowicie?

- Nic - odpowiedziała Jackie ale zaraz musiała odchrząknąć. Sama wiedziała że kłamie w żywe oczy

- Mmm - Terri była wyraźnie nieusatisfakcjonowana Więc jak dawałaś sobie radę przez ten tydzień?

Terri klapnęła na wielki zapadający się fotel jakby była wyjątkowo zmęczona co zresztą pokrywało się z prawdą Jej mąż stracił w tym tygodniu kolejną pracę i mieli zażartą kłótnię

„Praca to nie pęk kluczy który można sobie ot tak posiać! – wrzeszczała. Bez powodu się jej nie traci. Co takiego narobiłeś? Lepiej nie wspominać co się potem działo. Tylko dlatego że Jackie była ranna pozwolono Terri wyjść dziś z domu.

Ale nie chciała rozmawiać o swoim życiu. Nie chciała o nim rozmawiać ani nawet

myśleć. Jackie wiodła życie podniecające miała wszystko co w życiu najlepsze wszystko czego można zapragnąć.

Terri przeniosła ciężar ciała na jeden bok starając się odciążyć stłuczone biodro wsuwając przy tym rękę za poduszkę fotela. Niczym poszukiwacz złota wybierający z górskiego strumienia bezcenny samorodek wyciągnęła swoje znalezisko. Miało postać męskiej skarpetki.

Uniosła ją do góry. Początkowo była tylko zdezorientowana. Ale gdy zobaczyła rumieniec na twarzy Jackie, która wyrwała jej skarpetkę z dłoni, wybuchnęła śmiechem.

- Masz chłopca - powiedziała. - Dlatego tak długo nie otwierałaś drzwi. Och, proszę cię, powiedz mi, kto to jest!

Wyglądało na to, że nawet złe małżeństwo nie potrafi wyleczyć kobiety z wiary w romanse. Chociaż mąż Terri był łajdakiem święcie wierzyła, że gdzieś tam czeka na nią rycerz w lśniącej zbroi. Kiedy na twarzy Jackie pokazało się zażenowanie, Terri zaczęła naciskać przyjaciółkę.

- Kto to jest? Jak to, coś się dzieje, a ty nic mi nie mówisz? W miasteczku nikt słowa nie pisnął, więc ukrywasz to koncertowo. Musisz mi powiedzieć, kto to jest.

- Nikt - rzekła sztywno Jackie. - Chcesz herbaty?

- Jasne, ale bardziej chcę informacji.

Jackie mocno zacisnęła zęby, by nie odszczeknąć, że to, co dzieje się w jej życiu, w ogóle nie powinno Terri obchodzić. Ale przyjaciółka była niewinna, więc bez względu na to, czyjej pytania były dziwaczne, wścibskie czy kłopotliwe, Jackie starała się nie tracić cierpliwości.

- Jaką chcesz herbatę? - zapytała wreszcie. Ścisnęła puszkę z herbatą tak mocno, że kłykcie jej zbieleły.

- Taką jaką pije on - odparła bezczelnie Terri, przyprowadzając Jackie o grymas.

- Szukasz czegoś? - zapytał William syna Terri.

Na pierwszy rzut oka ten miły chłopiec nie robił nic złego, obchodził tylko samolot, stojący w hangarze, ale William znał całe Chandier. Męska część rodziny Pelmanów była nic niewarta, głupia i wredna, William podejrzewał, że ten wyrosnięty gbur nawet idąc do kościoła ma podłe zamiary.

- Co tu robisz? - spytał dryblas, marszcząc ponuro gęste czarne brwi. Miał przystojne, ale toporne rysy: grube wargi, głęboko osadzone oczy. Jak to często bywa w przypadku osobników głupich i aroganckich, stale szukał zaczepki. Świadomie czy też nie, prowokował ludzi, Niech no ktoś spróbuje mu powiedzieć, że jest od niego sprytniejszy!

Nagle twarz mu się rozjaśniła. Był zadowolony z siebie jak małpa, która rozwiązała jakiś problem postawiony jej przez naukowca.

- Lecisz na nią co nie?

- Przepraszam? - sztywno zapytał William. Nie był pewien ale wydawało mu się że ten Pelman ma około osiemnastu lat i nazywa się Larry.

- Na Jackie. Lecisz na nią co? - Williama ogarnęła zgroza gdy Larry trącił go łokciem jakby byli wspólne coś knującymi najlepszymi kumplami.

- Wpadła mi w oko jak tylko zjechała do miasta. Mama mówi chociaż nie ma o niczym pojęcia że ta szanowna lotniczka poznała cały świat więc pewnie naumiała się tego i owego. Wiesz o co się rozchodzi co nie? Mrugnął do Williama. Robiła sztuki, o jakich damulkom z Chandier ani się nie śniło. No więc siedzi sobie teraz bidula w tej dziurze i nie słyszałem żeby z kim kręciła. Wiesz o co się rozchodzi, co nie? No to se pomyślałem że pewnikiem jest ostro napalona. No i że trza jej ulżyć w tym i owym. Swoje lata już ma ale chyba będzie umiała okazać wdzięczność jak się jej trafi w łóżku prawdziwy chłop. Pewnie aż ją nosi po tych wszystkich latach kiedy musiała się obejść tymi zagranicznymi cudakami.

Widzę żeś był u niej pierwszy to rób se z nią co tam chcesz. Przecieżś Montgomery i tak dalej. Ale ale. Może byś później mógł dać mi trochę forsy bo mnie pierwszemu wpadła w oko. Mógłbyś dać mi i tacie jakąś robotę. Nic ciężkiego, co to to nie, coś tak po przyjacielsku i od czasu do czasu jakąś premię. Co ty na to, he?

- Widziałaś moje buty?

Groza odebrała jej mowę i Jackie bez słowa odwróciła się w kierunku kuchennych drzwi. Stał w nich William, wyglądając jak mały, zagubiony chłopczyk. Jackie właśnie spędziła pół godziny na zapewnianiu Terri, że w jej życiu nie ma żadnego mężczyzny, na pewno nie z Chandler, a tu nagle pokazuje się William. I do tego pyta o buty!

Najchętniej nawrzeszczałaby na niego, ale wiedziała, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Za godzinę miasteczko Chandler obiegałaby wieść, że stara Jackie ma romans z młodym Williamem.

- Ależ to Billy Montgomery - powiedziała Terri. - Wieki cię nie widziałam Co porabiasz?

Jackie wstrzymała oddech. Co William odpowie? Prawdę? Że cały boży dzień łązi za Jackie tak samo, jak to robił w dzieciństwie?

- Jackie i ja otwieramy wspólny interes.

- To ładnie. Jak się ma twoja matka? A ojciec?

Kiedy William udzielał odpowiedzi na te pytania, Jackie mu się przypatrywała. Zwykle był zadbany, każdy włoszek porządnie zaczesany, koszula wsadzona w spodnie. Ale teraz był lekko rozchełstany, na policzku miał ciemniejszą plamę przypominającą siniec. Zerknęła na jego rękę. Kłykcie prawej dłoni lekko krwawiły. Kiedy zauważył, gdzie skierowała wzrok, schował dłoń za plecy i konwersował z Terri, udzielając jej informacji na temat swojej rodziny.

- A jak ci poszło w szkole? - pytała Terri.

Dopiero po dłuższej chwili Jackie uświadomiła sobie, że Terri nie wpadło do głowy, iż to William może być tym mężczyzną który przebywa z Jackie, mężczyzną, o którego przyjaciółka dopytywała się z delikatnością i wdziękiem hiszpańskiego inkwizytora.

Prawdę powiedziawszy Terri rozmawiała z Williamem tonem jakiego dorośli używają wobec dzieci. Tonem oznaczającym - prawdziwy z ciebie milusiński. W każdej chwili można się spodziewać pytania o to, czy William dobrze wymyślił buzię.

- Więc opiekowałaś się Jackie - mówiła Terri. - To bardzo uprzejme z twojej strony, zwłaszcza że masz swoje sprawy na głowie. Taki przystojny młodzieniec musi mieć bez liku sympatii.

- Kilka - łagodnie uśmiechnął się William

Ten uśmiech doprowadził Jackie do wrzenia. Był to uśmiech, jakim dobrze wychowany chłopiec obdarza starszą panią. Na dworze klakson zaczął trąbić nieprzerwanie - koszmarny syn Terri domagał się, by matka wyszła, i to zaraz.

- Jeśli będzie ci potrzebna jakaś pomoc przy Jackie, daj mi znać - powiedziała Terri, wkładając płaszcz. William uprzejmie podał jej okrycie. - Zawsze byłeś dżentelmenem. Prawda, Jackie? Pamiętasz, jaki on był? Nawet jako mały chłopczyk był bardzo grzeczny.

Jackie nie odezwała się. Nie chciała pamiętać Williama jako małego chłopczyka.

- Ależ oczywiście, że pamiętasz - odezwała się Terri, kiedy Jackie nadal milczała. - Ty byłaś jego opiekunką a on wszędzie za tobą chodził. Ach, te wasze eskapady! Billy, to bardzo miło, że teraz pomagasz Jackie w potrzebie. Pozdrów ode mnie rodziców. Pewnie znalazłbyś wspólny język z moimi dziećmi.

- Oczywiście - powiedziała Jackie bardzo zjadliwym tonem.

- Może mogłybyśmy umówić ich na wspólną zabawę. W piaskownicy. A może zabrałybyśmy ich do cyrku. Pojeździliby sobie na słoniu i zjedli watę cukrową.

Słyszac nienawisc w gl6sio Jackie, Terri byla r6wnoczeŝnie zaskoczona i zdezorientowana.

-No, tak, moze.

-R6ka sprawia Jackie wiele b6lu - powiedzial uspokajajaco William i jego opanowanie tylko spot6gowalo zloŝc Jackie. - Jest przez to troche najezona.

-Odprowadz mnie do samochodu, dobrze? - Terri zwr6ciła si6 do Jackie.

Z r6kami przycisnietymi do bok6w Jackie towarzyszyła Terri do auta, w kt6rym za kierownicą siedzial jej naburmuszony synalek. Na ich widok odwr6cił g6low6, ale Jackie zdazyła dostrzec smug6 zaschnietej krwi z nosa, roztartą na policzku.

-Nie myŝl sobie, ze mozesz mnie zbyc - powiedziala radoŝnie Terri. - I tak dowiem si6, kim jest tw6j ch6p.

Jackie zacisnęła z6by.

-Wiesz, William nie jest dzieckiem. Moze tego nie zauwazyłaŝ, ale to m6czyzna. - Powiedziala to wbrew swej woli.

Terri wygladala na zdezorientowaną, jakby Jackie powiedziala coŝ nie majacego związku z tematem rozmowy.

-Oczywiŝcie to m6ldy m6czyzna. Nie chciałam dać do zrozumienia, ze tak nie jest. Czy uwazyasz ze zrobilam mu przykroŝc, pytajac o rodzic6w? Dzieci w jego wieku sà tak wrażliwe.

-William nie jest dzieckiem!!! - Wypowiedziala te slowa z nie zamierzonym naciskiem. Dlaczego nie stać jej na wyrafinowanie i dystans? R6wnie dobrze mogła powiedziec Terri, co zaczyna odczuwac wobec Williama.

-Nie jest - odparła spokojnie Terri. - Billy nie jest dzieckiem, ale kiedy raz si6 ujrzalo kogoŝ w pieluchach, zawsze si6 go traktuje jak niemowlaka. - Przekrzywiła na bok g6low6. - Co si6 z tobą dzieje? To bardzo miłe ze strony Billy'ego, ze si6 tobą zajal. Przeciež ty zajmowałaŝ si6 nim prawie stale. Pamietam, ze zawsze szedł za tobą krok w krok. Každy w mieŝcie ŝmiał si6 z tego, ze mały Billy Montgomery chodzi za tobą jak cień. - Poklepala Jackie po ramieniu i popatrzyła na nià smutno. - Myŝlę, ze w pewien spos6b zast6puje ci dziecko.

-Zwlaszcza ze rodzac go miałabym dziesieć lat - odpalila zjadliwie Jackie.

Terri wyraźnie zrobilo si6 nieswojo po tym wybuchu.

-Przepraszam ci6 - powiedziala łagodnie. - Brak dziecka musi byc dla ciebie bardzo bolesny. Nic chciałam, by to zabrzmialo jak wym6wka. To miło i uprzejmie ze strony Billy'ego, ze dotrzymuje ci towarzystwa. To jedynie miałam na myŝli.

Jackie nie mogła nic na to odpowiedziec, absolutnie nic. Terri miała dobre ch6ci, ale doprowadzila do tego, ze Jackie poczula si6 stuletnią staruszką. Terri postrzegala ją jako bezpłodną babinę, majacą zycie za sobà i pozbawioną wszelkiej nadziei na przyszłość. Jackie powinna byc wdzieczna, ze taki m6ldzieniec jak William pomaga jej, kiedy jest niesprawna. W wyobraźni Terri przeciecie na dłoni zamienilo si6 w starczy artretyzm. Jackie zostala przykuta do w6zka inwalidzkiego, a słodki i m6ldziutki Billy Montgomery z dobrego serca wozil ją po domu.

Terri juž kładła d6ł6 na klamce drzwi samochodu, ale nagle szybko złapala Jackie za rami6 i odciagnęła poza zasi6g synowskich uszu.

-Tylko nie myŝl sobie, ze zapomnialam o twoim ch6pie. Nie uda ci si6 ukryc przede mnà tajemnicy.

-Nie ukrywam przed tobą zadnych tajemnic - powiedziala gniewnie i szczerze Jackie.

Terri zebrało si6 na płacz. Jackie byla ŝwiatłem jej zycia i Terri nie mogła pojąć, czym ją tak obrazila. Moze Jackie mówiła prawdę. Moze naprawdę nie ma zadnego ch6pa! Moze jej nagła, niewytłumaczalna wrogoŝc zostala wywołana tym, ze Terri ubzdurala sobie coŝ i teraz Jackie byla zakłopotana właŝnie dlatego, ze nie ma nikogo.

-Pamietasz na pewno, ze wspomnialam ci o Edwardzie Brownie? Zn6w pyta o ciebie -

rzekła cicho, zerkając na syna, który z posępną miną tkwił w aucie. - Pytał kilka razy. Ty mu się naprawdę podobasz. To znakomita partia.

Taka wielość emocji kotłowała się w Jackie, że nie mogła wydusić słowa, więc Terri uznała milczenie za oznakę zachęty.

- Jackie, Edward to przemiły mężczyzna - perswadowała. - Ma jakieś pięćdziesiąt pięć lat, jest wdowcem. Ma dorosłe dzieci, więc tu nie będzie żadnego problemu. Wiesz, pasierbowie łatwo dają się prowadzić. Jest całkiem zamożny, więc zdoła cię utrzymać, kiedy przestaniesz latać.

Jackie czuła, że przyjaciółka naprawdę chce jej powiedzieć: „Kiedy pójdziesz po rozum do głowy, zdecydujesz się dorosnąć, i przestaniesz zabawiać się tymi głupimi samolotami, znajdzie się mężczyzna, który się tobą zaopiekuje.”

Terri nie miała pojęcia, co przeżywa Jackie. Dla niej Edward Browne był uosobieniem ideału. Właściciel każdego sklepu z obuwiem w promieniu stu mil i ślicznego domu wypełnionego antykami odziedziczonymi po rodzicach. Dla Terri wyobrażenie zrównoważonego, solidnego mężczyzny z zadbanym domem pokrywało się z wizją niebios. Terri już nie marzyła o ekscytującym życiu. Ataki pijackiej furii męża i krwawe burdy, jakie wszczynał z synami, aż nadto zaspokoili jej potrzebę wielkich przeżyć. Według Terri szczęście to możliwość kupienia czegoś ślicznego i delikatnego, co nie zostanie stłuczone w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.

-Edward Browne to taki dobry człowiek. - Terri zachęcała Jackie, jak mogła. - Mieszka w Chandler od piętnastu lat i nikt złego słowa o nim nie powie. Nie zrobił nigdy żadnego głupstwa. Miał uroczą żonę i byli szczęśliwą parą. Zmarła dwa lata temu i był zdruzgotany. Domyślam się, że jest bardzo samotny. Wszystkie wolne kobiety w Chandler między dwudziestym a pięćdziesiątym rokiem życia oczy sobie za nim wypatrują. Od czasu do czasu zaprasza kogoś na kolację, ale nigdy nie pokazał się z tą samą więcej niż dwukrotnie. A o ciebie zapytał dobrych kilka razy! Podsunęłam mu myśl, że powinien do ciebie zadzwonić, ale chce wiedzieć, czy będzie mile przyjęty. Wydaje mi się bardzo nieśmiały, a ty, Jackie, sama wiesz, umiesz onieśmielać ludzi. Chyba uważa cię za sławę, więc trochę się boi zadzwonić bez twojego wcześniejszego pozwolenia. - Wpiła się wzrokiem w Jackie. - Czy mogę mu przekazać, że postąpi właściwie, telefonując do ciebie?

-Nie... nie wiem - odparła szczerze Jackie. Dlaczego życie musi być tak skomplikowane?

Wyglądało na to, że nie ma innego sposobu pozbycia się Terri, jak zgodzić się, by przekazała Edwardowi Browne'owi, że może do niej zatelefonować. A dlaczego to nie mogłaby wyjść do miasta z tym bardzo, bardzo stosownym mężczyzną? Czy jest z kimś zaręczona? Czy chociażby się z kimś spotyka? Jest w kimś zakochana? Nie, skądże. A poza tym oczarowanie Williamem było w dziewięćdziesięciu procentach spowodowane samotnością. Nawykła do życia wśród ludzi, teraz znalazła się sama, więc prawdopodobnie każdy mężczyzna, bez względu na wiek, zrobiłby na niej wrażenie.

-Powiedz mu, żeby zadzwonił - oznajmiła częściowo przekonana Jackie. Nie do końca, tylko częściowo.

Terri uściskała przyjaciółkę i wsiadła do starego zardzewiałego samochodu obok rozłozszczonego syna, który odjechał tak szybko, że żwir bryznął Jackie na nogi.

Kiedy Terri wreszcie znikła, Jackie zebrała się w sobie, by porozmawiać z Williamem. Nie podobało się jej to, że tak otwarcie wyjawiał swą obecność Terri. Gdyby ta była trochę bardziej bystra, domyśliłaby się, że między Jackie i Williamem jest... no, jest to, co jest.

William siedział na kanapie, spokojnie pogrążony w lekturze. Podniósł głowę nad gazety i spojrzał tak, jakby spodziewał się, że usiądzie obok niego i razem dokończą komiks. Wydawało się, że Terri nigdy tu nie było.

- Chcę z tobą porozmawiać - rzekła stanowczym tonem, ledwo zamknęła drzwi.

- Co ja takiego zrobiłem? - zapytał z rozbawieniem w głosie. Nie zamierzała traktować lekko tej sprawy. Czy nie wiedział, jakie plotki mogą się roznieść?

- Małego chłopczyka możesz odgrywać wobec Terri, ale nie wobec mnie. Ze mną ci się to nie uda. - Postanowiła zbesztać go ostro. Wchodząc do pokoju z pytaniem o buty, naraził na szwank jej reputację, bo wyszło na to, że mieszkają razem. Ale ku swej zgrozie przemówiła w zupełnie innym duchu. - Dlaczego pozwoliłeś Terri traktować się jak dziecko?

William zamrugał kilka razy.

- Czy to dlatego tak się zdenerwowałaś? - Z powrotem zasłonił się gazetą - Starsi ludzie zawsze traktują młodszych jak dzieci. Po wieczne czasy. Bez względu na wiek, nigdy się to nie zmienia.

Wyglądało na to, że William zamierza na tym zakończyć dyskusję, ale Jackie nagle się rozżłościła.

- Starsi?! - Niemal wypluła to słowo. - Co to znaczy? Terri ma dokładnie moje lata. Prawdę mówiąc, jest trzy miesiące młodsza ode mnie!

Zupełnie niewzruszony William przewrócił stronę gazety.

-Niektórzy ludzie są starzy w wieku dwudziestu lat, a inni są młodzi w wieku lat sześćdziesięciu.

-A co to niby ma znaczyć?

Ku jej rosnącemu wzburzeniu William nie raczył odpowiedzieć. Wciąż czytał tę przeklętą gazetę, krył twarz za płachtą zadrukowanego papieru. Jest trudne - jeśli nie wręcz niemożliwe - spierać się na serio samemu z sobą w najpoważniejszych zagadnieniach życiowych. Od początku podejrzewała, iż William nie traktuje poważnie dzielącej ich różnicy wieku. Zachowywał się tak, jakby to w ogóle nie miało znaczenia.

-Co zrobiłeś synowi Terri? - zapytała, chcąc innym sposobem wzbudzić w nim jakąś reakcję.

-Zrobiłem, co w mojej mocy, by nauczyć go dobrych manier. Ma w tej dziedzinie spore braki.

Jackie częściowo była mu wdzięczna za to, że się wtrącił, lecz wezbrała w niej irytacja. Każda kobieta chciałaby być śliczną księżniczką, której honoru broni przystojny młodzieniec i który, oczywiście, okazuje się księciem. Ale Jackie żyła w prawdziwym świecie. Nie podobało się jej, że William zachowuje się, jakby była jego własnością.

Bez względu na to, czy była księżniczką czy też nie, brak reakcji Williama pozbawił ją ochoty do walki. Chciała od niego czegoś, ale nie wiedziała, czego.

- Pewien mężczyzna z Chandler chce się ze mną umówić -powiedziała niedbałym tonem, jak o czymś absolutnie normalnym, ale od razu złapała się na tym, że w gruncie rzeczy zależy jej na wzbudzeniu zazdrości. Gdy nie wyjrzał zza gazety, kontynuowała. - Terri mówi, że jest bardzo miły. - Dochodząc do sedna rzeczy, dosłownie szczebiotała, patrząc na gazetę, którą William się zasłaniał.- Edward Browne. Znasz go? Terri mówi o nim w samych superlatywach. Starszy, doświadczony. Był całe lata żonaty, więc można powiedzieć, że wie, czym się to je. Zna mnóstwo kobiet.

Stała bez ruchu i czekała na jakąś reakcję Williama. Po chwili powoli złożył czytane strony - zrobił to tak pieczołowicie, że wyglądały na nie otwierane - sięgnął po kolejne i rozłożył je.

-Uważam, że powinnaś się z nim spotkać - powiedział zza gazety.

-C... co?

-Pan Browne to naprawdę miły człowiek. Matka bardzo go lubi. Ojciec też.

-Chcesz, żebym się z nim umówiła? - Sama słyszała niewiarę we własnym głosie.

-Uważam, że powinnaś. - Wychynął spoza rozpostartej płachty. - Doprawdy, Jackie, musisz częściej wychodzić z domu. Nie możesz ot tak przejść od Charleya do mnie. Musisz rozeznąć się w innych możliwościach.

Nie wiedziała, czy te słowa złoścą ją, czy tylko zupełnie zbijają z tropu.

- Dla twojej informacji: poznałam wielu mężczyzn poza tobą i Charleyem,

- Mhm Zagranicznych cudaków.

- Zagranic... - To słowo nie pasowała do Williama. Zabrzmiało w jego ustach jak cytat.

- Na Boga, co się z tobą dzieje?

- Nie mam pojęcia, o *co* ci chodzi. Terri podsunęła ci *myśl* żebyś się z umówiła z Edwardem Browne'em. Pochwalam ten pomysł. Czy zrobiłem coś nie tak? Zakładam, że naprawdę chcesz się umówić z panem Browne'em, gdyż inaczej nie wspominałabyś o tym, nieprawdaż?

Co mogła odpowiedzieć? Że chciała wzbudzić w nim zazdrość?

- Tak, oczywiście, to dobry pomysł. Za... zadzwonię do Terri. Ale zanim udało się jej sformułować następną myśl, zaterkotał telefon. Bez słowa uniosła słuchawkę. Terri dzwoniła z wiadomością że przypadkiem spotkała na ulicy Edwarda Browne'a, zaczęli rozmawiać i okazało się, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł zabrać Jackie na kolację dziś wieczór. Czy to jej odpowiada? Terri mówiła takim tonem, jakby pytała, czy Jackie chce dostać parę milionów dolarów.

Jackie nie pozwoliła sobie na moment zastanowienia. Tak, zaproszenie na dziś jej odpowiada. Spotka się z Edwardem o ósmej wieczór w „Conservatory”, najsympatyczniejszej restauracji w Chandler.

- Och, uhm, Jackie, włóż tę beżową jedwabną sukienkę - powiedziała Terri. - Tę ze złotymi guzikami.

- Myślałam, że włożę dres, w którym naprawiam samoloty - odparła z wielkim sarkazmem Jackie. Miała po dziurki w nosie ludzi, którzy dawali jej do zrozumienia, że nie umie się zachować, ubrać, żyć. Natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że jest tak uszczypliwa wobec Terri. - Będę tam i postaram się ubrać, jak tylko potrafię najstaranniej.

- W porządku-nieśmiało zakończyła rozmowę Terri. Wiedziała, że znów zrobiła coś nie tak Ale tym razem uznała, że cel uświęca środki, bo przecież Jackie i Edward są wprost stworzeni dla siebie i zakochają się w sobie jak szaleni. Któregoś dnia Jackie podziękuje jej za to, że ich sobie przedstawiła.

Odkładając słuchawkę, Jackie popatrzyła na Williama nadal ukrytego za gazetą.

- Umówiłam się na dziś wieczór - rzekła i przeklęła się za to, że serce skoczyło jej do gardła. Miała kretyńską wizję. William ciska na bok gazetę, łapiąc ją w ramiona i zakazuje wychodzić z jakimkolwiek mężczyzną.

Ale nic się nie wydarzyło. Prawdę powiedziawszy jedynym komentarzem Williama było obojętne chrząknięcie, więc Jackie zgarbiła się i opuściła salon.

Nie dane jej było ujrzeć, jak William mnie gazetę w kulę i ciska do kominka z taką siłą że rusza polano, które trąca następne polano, to z kolei stacza się na podłogę i prawie zapala dywan. Jackie nie dane było ujrzeć, jak William depta płomienie przy palenisku z furią która mniej solidne klepki na pewno by zniszczyła. Po jakiejś godzinie Jackie ubrana na randkę przysłała do salonu i zobaczyła Williama spokojnie czytającego gazetę, jakby jej widok wychodzącej na spotkanie z innym mężczyzną nic dla niego nie znaczył.

Jackie musiała przyznać, że gdyby oceniać Edwarda Browne'a wyłącznie według poradników dla pań to miał w sobie wszystko, czego kobieta może sobie życzyć: wysoki wzrost, dobrą muskulaturę z taką ilością tłuszczu, by kobiece oko mogło dostrzec, iż lubi dobrą kuchnię, szerokie bary i wąskie biodra. Był brunetem lekko siwiejącym na skroniach. Miał piękne ciemne oczy. Chociaż bardzo przystojny, emanował spokojem, który mówił, że Edward Browne nie ma pojęcia o własnej atrakcyjności.

Nic dziwnego, że kobiety z Chandler za nim szaleją pomyślała Jackie

- Panno O'Neill - rzekł, wyciągając dłoń - Brak mi słów, by wyrazić, jak się cieszę że przyjęła pani moje zaproszenie. Od lat jestem pani wielbicielem



-Mam nadzieję że nie od nazbyt wielu lat odparła z chochlikiem w oczach ale wyglądał na zdezorientowanego i najwidoczniej nie pojął dowcipu.

Z wdziękiem i okazując dobre maniery, które prawdopodobnie wyniósł z domu, podsunął jej krzesło. Potem zapadła nieco przydługa, nieprzyjemna cisza, podczas której przeglądali menu. Wreszcie Edward ze znużeniem wybrał butelkę francuskiego wina.

Po złożeniu zamówień Jackie musiała zapanować nad sobą by nie popatrzeć na zegarek. Zapowiadał się bardzo długi wieczór. Miała nadzieję, że William będzie sobie łamał głowę nad tym co ona porabia. Surowo się upomniała. Nie ma znaczenia co młody Billy Montgomery robi lub myśli. Był tylko mało ważnym elementem jej życia.

- Ten cały rytuał umawiania się jest godny potępienia, nieprawdaż? - rzekł Edward, patrząc między świecami na Jackie. - Zupełnie normalni ludzie stają się zdenerwowani w tej nieznośnej sytuacji i każdy stara się odkryć w drugim dobre cechy.

Jackie uśmiechnęła się.

- Tak, to rzecz straszna.

Jego oczy zabłyśły.

-Czy Terri powiedziała pani tyle o mnie, ile ja dowiedziałem się od niej o pani?

Wybuchnęła śmiechem. FBI nie wiedziało tyle o kryminalistach, ile Terri naopowiadała jej przez telefon o Edwardzie Browne. Terri wielokrotnie podkreślała, jak bardzo Edward interesuje się Jackie.

- Mam wrażenie, że od dawna kocha się w tobie na odległość - powiedziała Terri. - Wiele o tobie wie i zadawał mi tysiące pytań.

-I bez wątpienia zrobiłaś ze mnie świętą - rzekła Jackie.

-Czy oczekiwałaś ode mnie, że wyznam mu twoje grzeszki? - odparła, a potem powiedziała coś, co spowodowało, że Jackie jęknęła:- Uwielbia oglądać mój album z wycinkami o tobie.

Więc teraz Jackie zastanawiała się, co dokładnie Terri mu opowiedziała.

-Tak. Terri mówiła o panu na okrągło. Nie wspomniała jedynie, czy ma pan jakiś tatuaż.

Edward znów wyglądał na zbitego z tropu.

- Nie, nie mam ani jednego - wyjaśnił poważnie. - Ach rozumiem. Nawiązuje pani do mojej służby w marynarce wojennej.

Jackie do niczego nie nawiązywała, próbowała jedynie nadać rozmowie trochę lekkości, ale bez skutku. Pojawienie się sałatek uwolniło ją od wyjaśnień.

-Przypuszczam, że możemy darować sobie opowieści o naszej przeszłości - powiedział Browne. - Oczywiście, pani jest w wygodniejszej sytuacji, gdyż jest osobą znaną na całym świecie.

Jackie nic cierpiała, gdy tak mówiono. Brzmiało to lak, jakby nie miała normalnych ludzkich potrzeb - miłości, przyjaźni, ciepła.

Przez chwilę przyglądała się Edwardowi, grzebiącemu widelcem w sałatce. Oczywiście, nie znała go wcale i przyjęła zaproszenie pod wpływem rozgoryczenia, ale kiedy na niego patrzyła, pomyślała: Oto mężczyzna, za którego powinnam wyjść. Jest idealny: ma idealny wiek, pochodzenie, wychowanie. Oto mężczyzna, którego mogę przedstawić publicznie i każdy powie: „Jakiego masz cudownego męża!”

- Czy brak pani męża tak samo, jak mnie brakuje żony? - spytał cicho, tak cicho, że Jackie ledwo go usłyszała.

To pytanie szło z głębi serca i Jackie udzieliła odpowiedzi w podobnym duchu

- Tak odparła i czekała aż on się znów odezwie. Ma w sobie smutek romantyczny smutek pomyślała i kolejny raz zrozumiała, dlaczego Terri i inne kobiety wyłażą wprost ze skóry, by go wyswatać.

- Wie pani, czego mi najbardziej brakuje? - Kiedy pokręciła głową kontynuował.

Brakuje mi kogoś kto mnie zna. Byliśmy z żoną starym małżeństwem i wystarczyło jej popatrzeć na mnie, by stwierdzić „Głowa cię boli, prawda?” Na każde Boże Narodzenie dostaję od dzieci kaptcie i krawaty, ale żona dawała mi małe stateczki w butelkach albo modele rzeźbione w kości słoniowej, bo wiedziała, że moim marzeniem po przejściu na emeryturę jest popłynąć w podróż dookoła świata. Ubrania kupowała mi dokładnie takie, jakie mi odpowiadają gotowała dokładnie to, co lubię. Wiele lat wspólnego życia zabrało nam osiągnięcie takiego komfortu. Tego mi najbardziej brakuje.

Jackie milczała. Myślała o Charleyu, o tym, jak dokładnie poznała jego dobre i złe strony.

- Kiedy mąż chciał, żebym zrobiła coś, na co nie miałam ochoty, wiedział, jakimi pochlebstwami na mnie wpłynąć.

Edward uśmiechnął się.

- Córa zawsze wydawała za dużo pieniędzy. Nic na siebie, ale na mnie i dzieciaki. Czasem doprowadzała mnie do furii, ale zawsze umiała mnie uspokoić.

Zabrano talerze z sałatkami. Jackie wiedziała, że tematem rozmowy stała się samotność, wielka samotność, którą czuje się po stracie kogoś bliskiego. Rozmawiali o rzeczach, których im brakowało. Na przykład o czułych imionach, jakimi Charley ją obdarzał. W dniu poznania nazwał ją aniołkiem i bardzo się jej to spodobało, ale po tygodniu przestał się tak do niej zwracać. W jakiś rok po ślubie zapytała go, dlaczego porzucił ten zwyczaj. Charley uśmiechnął się i powiedział: „Bo ty, moja droga, nie jesteś aniołkiem. Jesteś diabełkiem.”

Jackie obawiała się, że jej pociąg do Williama jest wywołany głęboką samotnością. Czyż każde ciepłe ciało nie jest lepsze niż żadne? Prawdę powiedziawszy ona i William byli źle dobrani. Miał zbyt wiele głęboko utrwalonych przyzwyczajzeń, które jej nie odpowiadały. Dzieliło ich tyle różnic.

-Jakie ma pani plany na przyszłość - zapytał Edward.

-Razem z Williamem Montgomeryem, moim wspólnikiem rozszerzam usługi pasażerskie i przewóz towarów.

-Williamem Montgomeryem? Och, chodzi o Billy'ego?- Zachichotał. - Chyba już nie jest taki mały, prawda? Ile on ma lat?

-Dwadzieścia osiem - mówiąc to zacisnęła palce na nóżce kieliszka.

-Ale te dzieci rosną! Czy to nie zdumiewające, że jednego dnia widzisz dziecko pedałujące na trójkołowym rowerku, a następnego dnia bierze ślub? - Uśmiechnął się ciepło. Kelner właśnie podał danie główne. - Oczywiście, to odnosi się i do nas. Jednego dnia jesteśmy roześmianymi nastolatkami, a następnego dobijamy wieku średniego.

Jackie usiłowała zrewanżować się uśmiechem. Czy każda kobieta doznaje szoku, kiedy po raz pierwszy słyszy, że jest w średnim wieku? Jackie zgadzała się, iż trzydzieści osiem lat to wiek średni, ale to określenie nadal wydawało się jej odpowiedniejsze dla rodziców niż dla niej.

-Nie ma pani dzieci?

-Nie - odparła cicho. Zapytał takim tonem że odpowiedziała przeprasząc, jakby na zawsze miała pozostać bezdzietna.

Wbił wzrok w talerz i widziała, że szykuje się do powiedzenia czegoś ważnego.

-Kobieta, która za mnie wyjdzie, będzie musiała mieć dzieci.

-Tak? - zapytała zachęcająco Jackie.

-Tak. - Uśmiechnął się ciepło, wyraźnie rozradowany jej entuzjazmem. Jego żona współczuła każdej kobiecie, która nie mogła mieć dzieci. Mówiła, że bezdzietna kobieta jest „wybrakowana”. - Syn i córka mieszkają w Denver i z dumą mogą rzec, że jestem podwójnym dziadkiem - mam półrocznego wnuka i dwuletnią wnuczkę. Śliczne, mądre, utalentowane... - urwał i roześmiał się ze skrępowaniem. - Lada chwila zacznę demonstrować zdjęcia. - Kiedy Jackie poprosiła o pokazanie fotografii, pomachał odmownie ręką. - Nie ma

mowy. Proszę powiedzieć mi coś o sobie. To mądrze z pani strony, że weszła pani w spółkę z takim młodym człowiekiem jak Billy. Ma za sobą fortunę Montgomerych, a jest tak młody, że może latać zamiast pani. Jackie posłała mu wiele mówiące spojrzenie

-William nie jest zbyt dobrym pilotem

-Ach, to wielka szkoda, ale z pewnością można wynająć innych. Czy jego kuzyni nie znają się na pilotażu? Chyba niektórzy latają jak najęci.

-Sama najchętniej nic bym nie robiła, tylko latała jak najęta - powiedziała z opuszczoną głową.

Edward natychmiast zorientował się, że ją uraził.

- Ależ to oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Nie miałem nic złego na myśli. Ma pani przed sobą lata czynnego życia. Wie pani, sam jestem blisko emerytury, więc wydaje mi się, że inni są w podobnej sytuacji.

Za dużo protestował, za bardzo wycofywał się z tego, co powiedział. Robił to wyłącznie po to, by poprawić jej humor. Zapadła krępująca cisza. Jackie nadal ze zwieszoną głową przesuwiała rybę na talerzu. Zamówiła rybę, bo mogła pokawałkować ją widelcem; nie chciała prosić tego mężczyzny o pokrojenie steku. Tylko William... Przestań, nakazała sobie.

Edward nie wiedział, czym ją uraził. Kiedy jego żona przekroczyła czterdziestkę - wiek, ku któremu Jackie szybko się zbliżała - płakała dwa dni. Powiedziała wtedy, że to koniec jej młodości i nie chce być panią w średnim wieku. Może na tym polegał problem Jackie. Nie chciała spojrzeć prawdzie w oczy. Przestała być dzieckiem. Już nigdy gazety nie napiszą że zrobiła to czy tamto jako najmłodsza osoba na świecie. Może miała kłopoty ze wzrokiem albo traciła refleks. Może oglądała młodszych pilotów, spisujących się wspaniale, a potem własne starzejące się ciało, i to wywoływało w niej gniew. Starzenie się często w pierwszym odruchu pobudza ludzi do gniewu.

Może martwi się, że nie jest już atrakcyjna dla mężczyzn pomyślał.

- Lubię dojrzałe kobiety - rzekł. Znają lepiej życie. Oczy mu zabłyśły. - Nie oczekują od mężczyzny zbyt wiele

Chciał zakpić z siebie, ale Jackie nie tak to odebrała

- Chce pan przez to powiedzieć że starsze kobiety muszą zadowolić się byle kim, nie mogą oczekiwać że jakiś cudowny młody człowiek porwie je na ręce?

Wcale nie to chciał powiedzieć ale nie zdołał rozwiązać nieporozumienia. Coś dręczyło tę O'Neill, a zbyt słabo ją znał, by dojść istoty rzeczy. Zdecydował, iż lepiej postąpi, zmieniając temat

-Któregoś dnia opłynę cały świat oznajmił promiennie by wprowadzić do rozmowy zupełnie nowy temat przyjemniejszy niż problem starzenia się.

-Tak? - Zapytała Jackie starając się wzbudzić w sobie jakieś zainteresowanie. Wiedziała że Browne nie zamierzał jej dotknąć mówiąc, że lubi dojrzałe kobiety. Była dojrzałą kobietą. Więc dlaczego słowa Williama: „Z rozkoszą ożenię się z tobą i postaram o tyle dzieciaków, ile zechcesz krążyć jej po głowie? Nie powiedział: „tyle dzieciaków, ile będziesz mogła urodzić do zakończenia okresu płodności”. Czy dojrzała kobieta może mieć tuzin dzieci?

Zdobyła się na pytanie:

-Od dawna jest pan żeglarzem?

Wpędziła Edwarda w zakłopotanie. Najwidoczniej sądziła, że zamierza popłynąć sam Biorąc pod uwagę jej umiejętności pilotki, to zrozumiałe, że spodziewała się u innych podobnych zdolności.

-Mam zamiar wsiąść na statek wycieczkowy wraz z paroma setkami innych ludzi.

-Och. - Zdobyła się jedynie na tak skąpą reakcję. Gdy do miasta, w którym była zawijał statek wycieczkowy, nagle każdy sklep i bar był pełen turystów kupujących wszystko, co mogło uchodzić za pamiątkę

-Jedź ze mną Jackie - powiedział ku zaskoczeniu i jej, i samego siebie.

-Co?

-Zorganizuję wszystko, poniosę wszelkie koszty. Nie oczekuję, żebyś chciała wyjść za mnie za mąż. Zamówię osobne kabiny i będziemy towarzyszami podróży, przyjaciółmi. Zobaczymy razem świat. Czy raczej ty zobaczysz świat po raz wtóry. - Ujął jej dłoń w swoją dużą ciepłą rękę. - Wiem że moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Wiele o tobie czytałem i z uwielbieniem śledziłem twoje ekscytujące przygody. Z uwielbieniem słuchałem o tym, jak przewoziłaś do szpitala te poparzone dzieci i jak prezydent do ciebie zadzwonił. Musisz mieć pod ręką setki takich opowieści.

-Zupełnie jakby pan zabrał ze sobą radio, prawda?

-Przepraszam?

-Zabranie mnie ze sobą byłoby jak wzięcie radia, które można włączyć w dowolnym momencie. Nakarmiłby mnie pan i znowu usłyszał opowieść. Kupiłby mi pan jakiś śmieć i znowu usłyszał opowieść. Zapłaciłby pan za całą wycieczkę i miał rozwiązany bolesny problem co robić z tym całym pustym czasem na statku.

Zanim skończyła siedział sztywno wyprostowany na krześle. Przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Była to raczej mina człowieka interesu niż mina wyrażająca uczucia jestem na kolacji z piękną kobietą.

- Proszę mi wybaczyć powiedziała i ciężko westchnęła - Panie Browne nie chcę pana obrazić, ale wydaje mi się że zakochał się pan w moim wizerunku powleczonym pozłotką przez Terri, a on tylko częściowo jest prawdziwy. Jestem kobietą tak jak pańska żona była kobietą nie publiczną instytucją ani wyśmienitą gawędziarką. Prowadzę ekscytujące życie i jeszcze nie mam zamiaru odcinać kuponów od własnej przeszłości.

O Boże, ale narozrabiałam, pomyślała. To przecież taki miły człowiek, zupełnie jak Terri. Skąd więc to przekonanie, że dziewięćdziesiąt procent zainteresowania Terri i Edwarda jest spowodowane nie nią samą tylko jej sławą? Ale z jakiego innego powodu ten mężczyzna miałby rozpytywać się o nią? Przecież na pewno nie jest najładniejszą kobietą w miasteczku. Dlaczego akurat nią miałby być zainteresowany?

Odpowiedział na to pytanie: łaknął towarzystwa. Miał pięćdziesiąt pięć lat i już nie rozglądał się za istotami z długimi nogami, nie chciał zakładać rodziny. W tej fazie życia potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać, a kto był lepszym kandydatem do tej roli niż kobieta, która podróżowała po całym świecie i „miała pod ręką setki opowieści”?

Po wybuchu Jackie wieczór był stracony. Resztę kolacji spędzili w przygnębiającym milczeniu.

## 9

Gdy Jackie wróciła do domu, nie była zaskoczona widokiem ciemnych okien i brakiem Williama. A czego się spodziewała? Że będzie na nią wyczekiwał?

Potrząsnęła głową. Och, żeby się tam przejaśniło! Nie było nic między nią i Williamem, zupełnie nic, i nic nie będzie. Powiedział, że ją kocha, chociaż zrobiła wszystko, co się dało, żeby przestał ją kochać. Skrzywiła się z bólem, kiedy przypomniała sobie latanie na plecach samolotem i przyprawianie go o mdłości. Nie dość, że nie odwzajemniła jego uczuć to jeszcze była dla niego wyjątkowo wredna.

Zmierzała do sypialni i czuła się tak jakby każda noga ważyła tysiąc funtów. William William William tłukło się jej po głowie. Wydawało się że nie potrafi myśleć o niczym innym a przecież był dla niej kimś niedozwolonym. Był zakazanym owocem z rajskiego ogrodu.

- Ciekawe, co się tam wydarzyło - powiedziała na głos, otwierając drzwi.

Ledwo zapaliła światło, wiedziała, że coś jest nie w porządku. Początkowo nie wiedziała co i przez chwilę stała na progu, rozglądając się po kuchni. Wyglądała dokładnie tak jak wtedy, kiedy ją opuściła; Jackie nie mogła dopatrzeć się żadnej różnicy, a tym bardziej czegokolwiek nie w porządku. To ta sama kuchnia. Wszystko było takie, jakie zostawiła.

Nagle pojęła, co jest nie w porządku: wszystko było po staremu. Błyskawicznie przyzwyczała się do skrupulatności Williama, jego porządków - może kładł rzeczy nie na swoim miejscu, ale przynajmniej je chował. Ale dziś wieczór nic nie było schowane. Po kuchennym blacie widać było, że William przygotowywał tu sobie posiłek a brudne naczynia nadal leżały w zlewie nawet nie napełnionym wodą by odmokły. Bez namysłu otworzyła lodówkę. Zamiast wzorowego porządku panował w niej chaos. Wyglądało to tak jakby pijany dwulatek szukał wielkanocnych jajek w pojemniku na lód.

Nie wiedzieć dlaczego nieporządek w lodówce doprowadził ją do załamania. Powinna czuć się lepiej, widząc dowody zdenerwowania Williama po tym jak poszła na spotkanie z innym mężczyzną a jednak poczuła się gorzej. Beznadziejnie to właściwe określenie.

- Jackie to ty jesteś beznadziejna - powiedziała głośno. Właśnie poznałaś idealnego mężczyznę któremu się podobasz i jesteś załamana bo twój wspólnik w interesach nie posprzątał kuchni.

Przygnębiona szła po ciemnym domu do łazienki. Wiedziała, że ma teraz szansę zerwać stosunki z Williamem. Rano powinna mu powiedzieć że wspaniale bawiła się ze wspaniałym mężczyzną i jest gorąco zainteresowana wspólną z nim przyszłością. Jakie było to francuskie słowo? *Insouciance*, beztroska. Tak, powinna zdać Williamowi relację z wieczoru w nastroju *insouciance*.

Ale zamiast odgrywać damę, której wszystko jest obojętne, zaraz po wejściu do sypialni rzuciła się na łóżko i zalała się łzami. Dlaczego musiało się jej wydarzyć coś tak strasznego? Dlaczego nie może przestać myśleć o Williamie? Dziś wieczorem nie było chwili, by nie zastanawiała się, co on robi, co myśli. Przez co cały czas bez względu na to, co ten miły pan Browne robił lub mówił, porównywała go do Williama.

Kiedy poczuła na włosach silną męską rękę, która mogła należeć tylko do Williama, nie była zaskoczona. Czy nie pojawiał się zawsze u jej boku, gdy go potrzebowała? Kiedy samolot rozbił się o skałę, William był tam i uratował ją. Kiedy przecięła sobie rękę, zatamował krwotok. I wcześniej, kiedy jej mąż potrzebował pieniędzy, William wiedział, co się dzieje, i anonimowo im pomagał.

-Chcesz mi powiedzieć, co się stało?

Potrząsnęła głową wciśniętą w okrycie. Nie, nie chciała mu opowiedzieć, chociażby z tego powodu, że sama nie wiedziała, na czym polega problem.

To było całkiem naturalne, że William wziął ją w ramiona. Oparł się o wezgiółki, długie nogi wystawił poza materac i przyciągnął Jackie do siebie. Jej głowa spoczęła na jego szerokiej piersi.

-Wypij to - powiedział. Przysunął do jej ust dużą koniakówkę. Wypiła kilka głębokich łyków. Odstawił szkło na nocny stolik. - Teraz powiedz mi, dlaczego płaczesz.

-Nie mogę - zakwiliła.

-No, to komu powiesz?

Tu, na nieszczęście miał rację. Nie mogła opowiedzieć Terii, bo nie chciała jej nic mówić o Williamie. Stanowił jej sekret. Ale był przyjacielem Jackie od dawien dawna.

-Jak się udało... spotkanie? - spytał rwącym głosem. Przyciskając głowę do serca Williama, Jackie czuła jego emocje.

Teraz mogła szczegółowo opowiedzieć o dzisiejszym wieczorze. Mogła powstrzymać Williama - i siebie - od myśli, że między nimi może coś być.

-Było idealnie - powiedziała. - On był idealny.

Ton jej głosu zdawał się wskazywać, że idealny znaczy - okropny. Łzy popłynęły nową falą.

- Och, Williamie - rzekła, tuląc się do niego i mocząc mu koszulę. - Wiem, co powinnam zrobić. Powinnam wyjść za kogoś takiego jak Edward Browne. Jest dla mnie idealny. Ma tyle lat, ile trzeba, pochodzenie takie, jak trzeba. Nawet wzrost ma odpowiedni.

Wszystko w nim jest idealne. Jest samotny, ja jestem samotna. Jesteśmy stworzeni dla siebie.

William podał jej chusteczkę Głośno wysmarkała nos.

-To taki miły mężczyzna a ja byłam dla niego okropna. Wszystko, co powiedział brałam na opak. Powiedział, że jestem... że jestem dojrzałą kobietą.

-To wskazuje że nie ma o tobie bladego pojęcia - powiedział z sarkazmem William Jackie pociągnęła nosem

- Nic o mnie nie wie. Chciał, żebym mu opowiadała historyjki o moim podniecającym życiu. Zrobił ze mnie jakąś podróżniczkę, pokazującą slajdy z dzikimi tubylcami. - Znów się rozszlochała.

-Ale był taki miły. Dlaczego okazałam się taka okropna? I dlaczego nigdy nie robię tego, co dla mnie dobre? Dlaczego nigdy nie robię tego, co powinnam?

-Dlaczego nie pokochasz tego mężczyzny, skoro jest tak idealny? - Głos Williama był spokojny, ale dotykając twarzą jego torsu, czuła mocno bijące serce, napięcie w ciele, mówiące o tym, jak *ważne jest to pytanie*.

-Bo... bo jest taki stary - wyrzuciła z siebie Jackie. - Nie ma poczucia humoru! Inaczej niż ty. Ty doprowadzasz mnie do śmiechu. Dzięki tobie... - Przerwała i uniosła głowę. - Dlaczego się śmiesz? - Poczwała się urażona. - Odsłaniam przed tobą serce, a ty się śmiesz?!

-Jackie, kochanie - rzekł powoli, przyciągając ją bliżej. - Tylko ciebie stać na powiedzenie, że mam poczucie humoru. Żadna dziewczyna nie oskarżyła mnie o to, że mam poczucie humoru. Wiele razy byłem w grupie, która chciała zrobić coś, co wydawało mi się głupie albo niebezpieczne, i kiedy o tym mówiłem, słyszałem, że jestem dziadkiem.

-Dzieciaki! - rzekła z pogardą Jackie. Zachichotał i pogładził ją po ramieniu.

-Wiesz, co w tobie kocham, Jackie?

-Nic we mnie nie jest warte kochania - odparła ciężko.

-Jestem

idiotką

Zignorował te słowa.

- Między innymi kocham w tobie to, że gdy byłaś dzieckiem, byłaś dorosła a teraz kiedy jesteś dorosła, jesteś dzieckiem. Kiedy się urodziłaś, miałaś około dwudziestu pięciu lat i od tej pory wcale się nie zmieniłaś. I prawdopodobnie nigdy się nie zmienisz.

- Nie mam dwudziestu pięciu lat. Jestem dojrzałą kobietą. Och, William co ja mam zrobić? Ten mężczyzna tak dobrze na mnie działa.

- Jak brukselka

-Co?

- Brukselka ma bardzo dobre działanie. Powinno się codziennie jeść brukselkę. Prawdę powiedziawszy, ludzie powinni jeść tylko gotowanego kurczaka brukselkę i nie łuskany ryż. Nie powinno się brać do ust czekolady lodów ani smarowanej masłem kukurydzy.

- O czym ty mówisz?

- O Edwardzie Brownie. On jest brukselką.

- Och Zaczęła rozumieć. - Więc ty pewnie jesteś lodami czekoladowymi.

- Rzekłbym iż raczej waniliowymi. Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Masz o sobie wysokie mniemanie, co? - Jej uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił. - Williamie, co ja mam zrobić? My nie możemy... Nie możemy być razem. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Ale ja myślę o tobie bez przerwy. Nawet dziś wieczór, kiedy byłam z tym miłym mężczyzną... Och, Williamie, co mam zrobić?

Tylko dudnienie serca, które czuła policzkiem, zdradzało, że William jest poruszony jej słowami. Prawie dała mu do zrozumienia, że go kocha.

- Mam do ciebie jedno pytanie - rzekł. - Gdybyś nie znała mnie w dzieciństwie i spotkała po raz pierwszy wtedy, kiedy musiałaś lądować, gdybym miał tyle lat co ty albo był trochę starszy, co byś do mnie czuła?

Nie odpowiedziała od razu. Dobrze się zastanowiła. William miał poczucie humoru, jakże różne od poczucia humoru innych. Uwielbiała jego uczciwość i autoironię. Oczywiście, świat był pełen mężczyzn, którzy mieli poczucie humoru, William nie był jedyny. Ale świat był też pełen Edwardów Browne'ów, mężczyzn, którzy nie umieli się śmiać. Było zbyt wielu Edwardów Browne'ów którzy uważali że są starzy bo tak wynikało z ich paszportów.

Ale czy William byłby inny gdyby zamiast dwudziestu ośmiu lat miał trzydzieści osiem? Nagle i niespodziewanie ogarnęła w pełni jego charakter. Gdyby ożenił się z młodszą kobietą, wzięłby na siebie odpowiedzialność nauczania jej. Jackie wiedziała aż za dobrze że starsi mężczyźni uważali że dwie trzecie ich zajęć polega na uczeniu młodych małżonek życia z taką powagą, że pięć minut po sakramentalnym tak zamieniłby się w starca. Co zaskakujące wiedziała że jest mu potrzebny ktoś taki jak ona by mógł zachować młodość. Potrzebował kogoś kto latał na plecach samolotami kogoś kto nie pozwoliłby mu zamienić się w kamień do którego kiedyś porównywały go dzieciaki.

- Jackie czy w ogóle zamierzasz mi odpowiedzieć? Powiedz prawdę. Co pomyślałabyś sobie o mnie gdybyś zupełnie nie знаła mojej przeszłości? I gdyby na moim świadectwie urodzenia była inna data?

- Pomyślałabym sobie że jestem ci potrzebna - rzekła cicho. - Potrzebna do zachowania młodości.

Jackie nadal mówiła nie miała pojęcia o czym - kiedy poczuła na włosach oddech Williama. Stało się to tak jakby byli niewinnymi dziećmi pocieszającymi się nawzajem które nagle poczuły, że są dorosłymi ludźmi zdolnymi do bardzo dorosłych uczuć.

Zupełnie nagle stała się świadoma jego silnych dłoni na swoich plecach ust które przylgnęły do jej szyi.

- William szepnęła

Zdawał się nie słyszeć tylko przyciągnął ją do siebie. Jej ciało, jej piersi, mocno przywarły do jego torsu. Bardziej poczuła, niż usłyszała jego westchnienie, gdy jej miękkość dotknęła stalowej siły jego torsu.

Powoli, jakby robił rzecz najważniejszą w świecie, William zanurzył dłonie w jej włosach i spoczął ustami na jej ustach.

Całował ją już przedtem, ale nie tak. Poprzednio panował nad sobą wydawało się, że chce jej coś udowodnić. Tamte pocałunki miały początek i koniec

Ten był czułością. Samą czułością łagodnością i wrażliwością. Jakby mówił że William chciał już dawno przycisnąć usta do jej ust i teraz gdy mu na to pozwoliła zamierzał rozkoszować się każdą sekundą pieśczoły. Jeszcze coś innego było w tym pocałunku odsłonięcie się. William ukazał jej, ile dla niego znaczy pozwałał jej zobaczyć swe pragnienie tęsknotę i miłość. Ukazywał jak łatwo mogła go zranić. Całując ją, nie chronił się, ale obnażał dawał odczuć swoje najgłębsze pragnienia. Ufał jej.

Wiedziała że nigdy nie sięgnie po to co nie zostanie mu ofiarowane więc by nie poprzestać na pocałunku sama musiała zrobić kolejny krok. William żywił dla niej zbyt wiele szacunku by zrobić cokolwiek czego mogłaby później żałować.

Pocałunek trwał, był coraz gorętszy i poczuła rosnące pożądanie Williama. Czowała w tym pocałunku niemal całą jego duszę. Kiedy oderwał się od niej, drżał, hamowany żelazną wolą trzymającą go w karchach. Był gotów rzucić się na nią kochać się szaleńczo. Ale ograniczył się do jednego, łagodnego, długiego pocałunku.

- William - szepnęła.

- Tak? - Jego zwykle głęboki głos był chrapliwy od namiętności.

- Ja... - Nie wiedziała, co powiedzieć.

Kobietom od dzieciństwa wpaja się, że to mężczyzna powinien być stroną atakującą. Oczywiście, po latach małżeństwa kobieta często odkrywa, że jeśli ona nie zacznie, to nic z tego nie będzie. Więc teraz chciała powiedzieć Williamowi, że wszystko jest w porządku, że

pragnie go tak samo jak on jej. Może to niedobrze i może pożałuje tego jutro, ale może nastąpi koniec świata i może jutro nigdy nie nadejdzie.

Nie odezwała się, ale skorzystała z odwiecznego sposobu - otwarła się na niego. Ciało powiedziało za nią tak. Zwróciła się do niego, otworzyła usta pod jego ustami, rozluźniła się zupełnie.

Obawiała się, że zapyta, czy jest pewna, że chce się z nim kochać stawiając ją przed kolejną decyzją. Ale William nie tracił czasu na słowa. Nie odezwał się popatrzył tylko najdelikatniejszym spojrzeniem jakie widziała w życiu. Było to spojrzenie chłopca który pierwszy raz w życiu skosztował lodów i teraz zamierza spałaszować je do końca.

Oczywiście myślała o tym więcej niż chciała się przyznać, co William wspomniał w bardzo burzliwej chwili. Był dziewiczy. Nieraz budziła się w nocy i wyobrażała sobie, że jest starszą kobietą uczącą nieśmiałego a równocześnie bardzo pociągającego i absolutnie cudownego młodego mężczyznę. Widziała siebie jako doświadczoną francuską kurtyzanę łagodną i ostrożną, dbałą o jego pragnienia i pierwsze wrażenia. Postara się, aby jego pierwsze seksualne doznania były nieskazitelnie piękne i warte zapamiętania.

Samotne sny nie miały żadnego związku z rzeczywistością którą było dwieście funtów pełnego entuzjazmu mężczyzny. Żadnej nieśmiałości. Żadnego wahania. Piękno tego wszystkiego płynęło z bogactwa uczuć, nadmiaru energii, nie skażonego niczym zachwytem, wyrażające się w czystej radości i zaskoczeniu Williama.

Ależ on umiał szybko rozpinąć guziki. Była kompletnie ubrana i szast-prast! - nie miała na sobie nic. Oczekiwała rozmarzenia, tymczasem zaraz uśmiechała się uszczęśliwiona, gdy William zaczął dotykać jej skóry.

Jego ręce w jednej sekundzie były wszędzie, szukały, badały. Podążyły za nimi usta i Jackie aż jęknęła z rozkoszy - wyglądało na to, że William znalazł klucz do niebios. Ręką dotykał jednej piersi, ustami gładził drugą. Próbował różnych pieszczot, szukał tego, co by im obojemu najbardziej odpowiadało.

- William - usiłowała coś powiedzieć, ale pieścił ją całą i te wspaniałe usta wprawiły ją w takie dreszcze zachwytem, że ledwo mogła myśleć. - Twoje... - Nie mogła się skupić. Nie wiedziała, co chce powiedzieć. Jego dłonie były na jej udach, jego silne palce przesuwają się po obłych mięśniach jej nóg. Teraz rozumiała zafascynowanie mężczyzn dziewczycami. Pomyśleć, że ten mężczyzna nigdy nie robił tego z inną! Poczła się kimś naprawdę niezwykłym wyjątkowym wywyższonym, niczym królowa świata. Dzięki temu, że żadna kobieta nie dotykała tego boskiego mężczyzny, Jackie poczuła, że należy on do niej jak nic do tej pory.

Jej ciało roztapiało się, gięło, rozpływało na granicy ekstazy.

-Twoje... - spróbowała po raz drugi.

-Co moje? - zdołał wyszeptać. Jego głos świadczył o pełni doznawanej rozkoszy.

Szarpnęła za kołnierzyk jego koszuli. Jackie była całkiem naga, cudownie naga dostępną oczom, rękom Williama, ale on miał na sobie ubranie.

Po tym, jak z łatwością ją rozebrał, nie była zaskoczona, gdy w mgnieniu oka zrzucił wszystko z siebie.

Wielkie nieba! Ależ był piękny! Skóra jak u stworzenia, które dopiero wyjrzało na świat, jak u kogoś narodzonego wczoraj. Miękki puch włosów na klatce piersiowej, mięśnie silne i sprężyste, błyszczące tężyzną i młodością. Dopiero teraz, gdy ujrzała jego piękne ciało, przekonała się, że pożądanie może jeszcze wzrosnąć i jeszcze bardziej wyzuć ją z sił. Dłońmi gorączkowo przebiegła wszędzie tam gdzie był jej dostępny; potem przekręciła się na bok, dotknęła ustami jego nagiego barku, a ręce przesunęła w dół.

Nie była przygotowana na błogość, zachwytem, jaki zajaśniał na twarzy Williama i znalazł wyraz w jego głosie, gdy dotknęła dłońmi najbardziej intymnych zakątków jego ciała. A sama czerpała przyjemność już z tego, że nie porównywał jej z nikim. Żadna inna kobieta go



nie dotykała. Żadna kobieta nie gładziła go, nie całowała. Był tylko jej.

Gdy przemieścił swoje wielkie, ciężkie ciało i znalazł się nad Jackie, gotów wśliznąć się w nią uniosła biodra na spotkanie. Nic nigdy nie wydało się jej tak właściwe, tak odpowiednie, takie jak powinno być" jak to cielesne zespolenie się z Williamem. Przez myśl przemknęło jej określenie „dom rodzinny” - on dotarł do domu, ona dom znalazła. Byli tam gdzie być powinni.

-Tak, tak. - Nie potrafiła wyrzec nic więcej, gdy William zaczął się w niej poruszać.

Słowo „ekstaza” nie oddaje nawet cienia tego, do czego ją doprowadzał. Żadne określenie nie mogło opisać tej radości. Czuła podniecenie, które zawsze towarzyszy seksowi, ale William wiódł ją dalej i dalej. Wydawało się, że porusza w niej jakąś ukrytą, daleką strunę, która dotąd była uśpiona. Akt, jaki znała do tej pory, miał wymiary fizyczne. Teraz było to coś głębszego niemal duchowego bo czuła się związana z Williamem węzłami najmocniejszymi z możliwych. Byli już przyjaciółmi, zwierzali sobie myśli i sekrety ale do tej pory nie dane było im zaznać tej najgłębszej wymiany.

Jeśli Jackie myślała o tym kiedykolwiek a myślała i to częściej, niż chciała się przyznać sądziła że pierwszy raz z Williamem potrwa króciutko. Ku jej radości ku jej wielkiej radości myliła się. Po kilku chwilach znów poczęła budzić się w środku.

- William jesteś cudooooownyyy - rzekła rozmarzona, wyginając się w łuk i zamykając oczy. Usłyszała śmiech, ten pełen samozadowolenia śmiech samca, który jest bardzo dumny z siebie.

Potem William przytulił spoconą klatkę piersiową do jej ciała i schował twarz w zagłębieniu jej szyi.

Następny tydzień Jackie żyła jak we śnie.

Jej całe życie seksualne wiązało się z Charleyem, więc w pewnym sensie była tak niedoświadczona jak William. Kiedy poznała Charleya, ten zaliczył już w łóżku każdą kobietę, która powiedziała „tak”, a choćby nawet „może”. Przed spotkaniem z Jackie wiedział, co mu odpowiada, i jak ma się to odbywać. Spróbował każdej pozycji, każdej odmiany. Jackie jak wszystkie kobiety była bardzo ciekawa i pytała go o poprzednie doświadczenia. Kiedyś słyszała, że pewna dziewczyna w Singapurze jest wspaniała w tym i owym a znowu innej na Florydzie żadna nie dorówna w tamtym. Wtedy nie myślała o tym, ale po latach zrozumiała, że uczucie, jakie jej wówczas najczęściej towarzyszyło, to było zażenowanie. No bo jak taki strach na wróble jak ona mógł współzawodniczyć z kobietami, które tyle umiały? Pewnego razu powiedziała to Charleyowi, a on uśmieł się i oznajmił że jest najlepsza ze wszystkich i że woli iść do łóżka z nią niż z każdą inną kobietą na świecie. Poczuli się lepiej, ale mimo to nadal dręczyła ją niepewność czy inne kobiety nie są bardziej, bardziej jakie? Podniecające? Doskonalsze technicznie?

Przy Williamie czuła się wolna. Wolna od porównań wolna od przymusu sprostania jakimkolwiek standardom. I kto by pomyślał że wolność jest najbardziej odurzającym afrodyzjakiem?

A kto by przypuścił że solidny godny zaufania wzorowy i zacny obywatel William Montgomery okaże się takim demonem w łóżku? Dotąd nie popisał się twórczymi zdolnościami. Przeciwnie zdawał się być wzorem człowieka trzymającego się reguł. Już jako dziecko kolorował obrazki dokładnie według wzoru nie wykraczając poza linie.

Przez tydzień nie robili nic absolutnie nic. Znaleźli sobie wymówkę oznajmili ją też Pete’owi że muszą poczekać aż ręka Jackie się zagoi. Wtedy dopiero będą mogli latać pracować przy silnikach czy nawet rozpatrywać finansowe aspekty interesu. Po prawdzie którą ukrywali wobec siebie byli tak zainteresowani cielesnie jedno drugim że nie potrafili myśleć o niczym innym.

Jackie mówiła sobie że nie powinna porównywać Williama do Charleya ale nie mogła się przed tym powstrzymać Charley był bardzo pobudliwy seksualnie. Myślał bez przerwy o

seksie i uwielbiał erotyczne podteksty. Wszystko latające wysoko samoloty fotele wszystko kojarzyło mu się z seksem. Myślał o nim żartował na jego temat chciał o tym mówić.

Trudno było znaleźć kogoś bardziej odmiennego od niego niż William. Patrząc na niego gdy zapięty pod szyję siedział po drugiej stronie śniadaniowego stolika nie mogła uwierzyć, że z tym samym mężczyzną była przed godziną w łóżku William ubrany uosabiał poczucie godności. Był tak chłodny, tak pełen dystansu, że chyba masło nie topiło mu się w ustach. Mimo swego młodego wieku był starcem, miał ustalone zwyczaje starego człowieka. Widziała ludzi liczących dużo więcej lat niż on i pytających go o radę, a gdy pierwszy raz miała problem, to chociaż nie dotyczył Williama, natychmiast pomyślała o nim. Więc gdyby zapytano ją o to, jaki jest w łóżku, z góry założyłaby, że z pewnością trochę nieśmiały. Zresztą sama bez niczyjego pytania zastanawiała się nad tym. To prawda był wcześniej wobec niej czuły i delikatny, niemniej jego zapach ją zaskoczył.

Ku jej zachwytowi okazało się że kiedy tylko William się rozebrał stawał się zmysłowy jak dziecko. Dziecko widzi kałużę myśli sobie że błoto jest miłe i chłodne więc zrzuca ubranko i smaruje się szlamem. Nie wie z góry, że nie powinno się lubić błota bo jest brzydkie i zabawa nim jest niekulturalna. Tę niewinność tę zmysłowość William przejawiał w łóżku.

Jackie nigdy ani przez chwilę nie wyobrażała sobie że jest erotycznie zacofana. Prawdę powiedziawszy pewna kobieta zapytała ją raz co widzi w tak starym mężczyźnie jak Charley i Jackie roześmiała się jak ktoś bardzo zepsuty. Kłóciła się z Charleyem miała do niego pretensje ale nigdy nie było między nimi problemów łóżkowych.

Przynajmniej tak się jej wydawało dopóki nie poznała Williama. Nic dziwnego że mężczyźni pożądamy kobiety dziewicy. Nic dziwnego że niektórzy gotowi są zabić gdy ich kobieta dotknie innego. Gdyby kobietom wolno było wskakiwać do łóżek wielu mężczyzn mogłyby zacząć porównywać tak jak Jackie porównywała teraz Charleya z Williamem. Co by się stało gdyby kobiety porównywały kochanków? Może mężczyźni musieliby przestać się chełpić. Jestem najlepszy małeńka a musieliby zacząć udawadniać że są choćby dobrzy?

Gdyby przed Charleyem poszła do łóżka z takim mężczyzną jak William... no, wołała o tym nie myśleć.

Po paru pierwszych dniach zarzuciła porównywanie obu mężczyzn i tylko rozkoszowała się nową sytuacją. Nie potrafiłaby wyjaśnić tego nikomu, ale William sprawił, że ona też czuła się dziewicą. Wymieniali pieścizny, spoglądali na siebie, dotykali się, jakby byli pierwszą parą, która odkryła, jak miłe może być muśnięcie.

Nie rozmawiali o seksie, nawet zdawali się o nim nie myśleć. Był czymś, co stawało się samo z siebie, czymś spontanicznym i radosnym, czymś czystym, szczęśliwym i rozkosznym. Zdawali się mówić: „A co będzie, jeśli zrobię to? Albo tamto?” William leżał posłusznie bez ruchu, gdy gładziła go po twardych udach lub szerokiej klatce piersiowej.

A całowanie się z Williamem smakowało tak, jakby sami wynaleźli tę rozkoszną czynność. Charley zawsze uważał pocałunki za stratę czasu.” Wolę poważniejsze sprawy, mała”, mówił. Jackie nie miała pojęcia, że jest spragniona pocałunków, jak podróżny wody na pustyni. Z Williamem całowali się nieustannie. Naga spoczywała na nim i całowała go po twarzy - po oczach, po długim nosie, kpiąc, że dopiero po szesnastu pocałunkach dochodzi do jego dolnej wargi. Ssała ją delikatnie. Dotykała jego zębów językiem, obwodziła nim jego usta.

A potem zmieniali pozycję i on całował ją pieścił dłońmi jej ramiona i barki równocześnie sunąc ustami po jej twarzy. Spędzali w łóżku godziny dotykając się patrząc, całując, badając. Jackie czasem myślała że są jak Adam i Ewa, jak pierwsza para, która zaznała takich przyjemności.

Kiedy się kochali za każdym razem przeżywali to inaczej. Czasem trawiła ich taka żądza że nie mieli czasu na porządne rozebranie się. Kiedy indziej trwało to godzinami. Bez

względu na to ile trwało zawsze zaskakiwało ich niespodziewanie. Siedzieli sobie na kanapie William zajęty lekturą gazety, Jackie przyszywaniem guzika do jego koszuli - i nagle ubrania zwisały z żyrandola. Potem spoglądali na siebie ze zdumieniem, jakby chcieli powiedzieć. „Jak to się stało?!”

Samo kochanie się było boskie To jest wolność, myślała Jackie.

Szaleństwo wolności. Przy Williamie wiedziała że nie jest oceniana lub porównywana. Wiedziała że bez względu na to co robi, w jego oczach jest to słuszne i właściwe. Zadziwiająca jak świadomość że wszystko co robi podoba się drugiej osobie zmieniła perspektywę Jackie. Po paru pierwszych dniach William i Jackie przyjęli postawę spróbujmy tego przekonamy się, jak to jest. Zmysł dotyku posługiwanie się nim pochłonęło ich całkowicie. Dotykające ręce, dotykające usta próbowanie różnych pozycji podczas aktu.

A do tego wszystkiego dochodziły twórcze pomysły Williama. Miało się wrażenie że zachował całą wyobraźnię na to jedno długotrwałe wydarzenie. Siedział w szkole wkuwał zdania innych ludzi i wypluwał je z powrotem z inwencją wzorowej papugi ale tu w końcu znalazł sytuację, w której mógł odrzucić wszystkie zasady. Gdzieś podczas trzeciego dnia w chwili w której pot lał się ciurkiem z obojga powiedział.

-Jackie ale mi się to podoba. Powiedział to z takim żarem iż roześmiała się głośno

-Mnie też - oznajmiła.

Jedyną osobą, z którą spotykali się podczas tego tygodnia, był milczący Pete. Starali się, jak mogli, ukryć przed nim uczucie, ale na próżno. Jackie przypomniała sobie arabskie powiedzenie: „Trzech rzeczy nie schowasz: ciąży, miłości i człowieka jadącego na wielbłądzie.” Ona i William udowodnili, że jeśli chodzi o drugą z tych rzeczy, twierdzenie jest prawdziwe. Rankiem po pierwszej wspólnej nocy udzielili sobie ostrzeżenia, że powinni ukryć swoje świeże uczucie przed ludźmi. William zgodził się z oporami.

-Jeśli nie masz zamiaru wyjść za mnie, to chyba tak -powiedział.

Jackie odparła jedynie, iż tak będzie lepiej dla ich reputacji.

Wyszli z domu przekonani, że są najlepszymi aktorami świata i nikt nie dowie się, że coś zaszło między nimi. Przez całe jedenaście minut udawało im się zwodzić Pete'a. Szmata nasączoną naftą czyścił rozłożony dystrybutor, a oni, usiłując zachować się tak, jakby wszystko było po staremu, stali po bokach mechanika i omawiali zadania, które należało tego dnia wykonać. Przez kilka minut nie patrzyli na siebie. Potem William wspomniął o zabranii jakichś pasażerów z Denver i gdy Jackie odpowiadała, popełniła błąd - spojrzała mu w oczy. Przez parę chwil stali w milczeniu, patrząc na siebie ponad głową Pete a Gdy Pete uniósł głowę, zaczerwienił się tak jakby wtargnął do sypialni nowożeńców. W mgnieniu oka opuścił hangar zostawiając Jackie i Williama stojących bez ruchu wpatrzonych w siebie. Było w tym spojrzeniu tyle żaru że nafta o mało nie wybuchła.

Bez słowa nie porozumiewając się nawet ruchem brwi, ruszyli do domu. Ledwie drzwi zamknęły się za nimi ubrania spadły na podłogę i ręce objęły ciało partnera. Nie wynurzyli się z domu przez dwa dni.

Idylla skończyła się ósmego dnia, kiedy pani Beasley, miejska plotkara, weszła do ich sypialni i ujrzała Jackie i Williama w łóżku.

## 10

William i Jackie byli sami w domu. Siedzieli razem na kanapie w salonie. Razem to może nie było odpowiednie słowo gdyż Jackie przycupnęła w jednym rogu najdalej, jak to było możliwe od Williama. Tego ranka najbardziej wścibska osoba z miasta która chlubiła się tym że nie rozumie co to znaczy zastać gdzieś drzwi zamknięte wmaszerowała do ich sypialni. Niewątpliwie uznała za swój obowiązek dokładne sprawdzenie co dzieje się tam w tym wymarłym miasteczku więc włożyła na głowę najlepszy kapeluszek i uzbroiła się w wymówkę że musi coś pożyczyć od Jackie. Oczywiście było to absurdalne gdyż pani Beasley

miała o wiele bliżej sklepy nie mówiąc już o sąsiadach.

Ale ujrzała to co miała nadzieję ujrzyć: coś, co zaspokoiło jej głód plotki. Wybiegła za drzwi i odjechała w pośpiechu małym samochodzikiem tak szybko, że William nie zdążył wskoczyć w spodnie i dopaść jej. W miasteczku zawsze był aktualny dowcip, że najszybszą istotą świata jest dziewczyna Beasleyów, gdy usłyszy najświeższą plotkę.

Więc teraz nastąpiło wszystko, czego Jackie próbowała w Chandler uniknąć. Chciała zostać szanowaną obywatelką udowodnić mieszkańcom miasteczka, że nie biega za chłopami, że się nie puszcza, że zasługuje na swoje miejsce wśród miejscowej społeczności. Raz w życiu chciała się dostosować, nie być outsiderem. Ale tego ranka pani Beasley zniszczyła tę szansę. Teraz, kiedy Jackie pojedzie do miasteczka, ludzie będą unikać jej wzroku. Wiedziała, że wszyscy przypomną sobie historyjki, jakie dawniej krążyły na jej temat.

William nie chciał jej zostawiać, ale Jackie wyblała, by wyjechał na kilka dni do Denver.

- Muszę stawić temu czoło sama - powiedziała, mając na myśli mieszkańców Chandler.

- Czemu masz stawiać czoło, Jackie? Co to takiego? Czy myślisz, że jesteśmy tu pierwszymi ludźmi, którzy poszli do łóżka przed ślubem? O połowie dzieci w tym miasteczku grzecznie mówi się „przedwczesne”, bo urodziły się pół roku po ślubie.

Nic nie odpowiedziała. Wiedziała równie dobrze jak on, że nie są przeciętną parą.

Kiedy nie zareagowała, odwrócił się, wyszedł z pokoju, a w chwilę potem wrócił z walizkami. Chciał wziąć ją w ramiona, ale go odsunęła. Niósł bagaże, zaciskając szczęki.

- Wrócę za trzy dni - oświadczył i wyszedł z domu.

Jackie nie musiała długo czekać na gniew niebios. Ujawnił się w postaci Terri. Miała wypisaną złość na twarzy i kanciaste ruchy, gdy zdecydowanym krokiem zmierzała ku domowi Jackie, gotowa grzmieć i piorunować.

- Czy to prawda? - zapytała, gdy tylko gospodyni otworzyła drzwi. Nawet nie zwracała sobie głowy konwencjonalnym przywitaniem.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzekła Jackie, usiłując zachować godność. Dlaczego ludzie zawsze chętnie prawią innym morały twierdząc, że to dla ich własnego dobra?

- Masz ochotę na herbatę?

- Nie, nie chcę herbaty. Chcę wlać ci do głowy trochę oleju. Chyba nie myślisz o małżeństwie z tym.. z tym dzieckiem, co?

Jackie ciężko westchnęła.

- William nie jest dzieckiem. To dorosły mężczyzna.

Ku jej konsternacji Terri rozszlochała się i padła na kanapę. Tego się Jackie nie spodziewała. Była przygotowana na święte oburzenie i gniew, ale nie na łzy. Podeszła i objęła przyjaciółkę.

- Powiedz coś.

- Po co? Ty nie chcesz słuchać. Czy wiesz, ile dla mnie znaczysz, Jackie? Czy masz pojęcie, jak ważną rolę grasz w moim życiu?

Na nieszczęście Jackie wiedziała, czym jest dla Terri. Nie mogła nie dostrzec okropnych synalków przyjaciółki, słyszała też to i owo o mężu, który stale bywał wyrzucany z pracy. Kilka razy niepostrzeżenie przyjrzała się Terri idącej po mieście - widziała jej smutek i przygnębienie. Trochę inne oblicze zwykle ukazywała w Eternity.

- Tak - rzekła Jackie, podając jej kilka chusteczek higienicznych. - Chyba wiem.

- Jesteś moim idolem. Jesteś idolem wielu kobiet w Ameryce. Nie byle kim, tak jak ja. Jesteś wyjątkowa.

Tak, i to jest jeden z głównym problemów mojego życia, pomyślała Jackie.

- Chciałam latać samolotami, ale nigdy nie zależało mi na sławie. Terri spojrzała na nią.

- Wyjdiesz za niego?

- N... nie wiem.

- Ale prosił cię o rękę?

Jackie nie odpowiedziała, co wystarczyło za wszelką odpowiedź.

- Przemyślałaś to?

- Tak, oczywiście. Przemyślałam wszystko. Wszystko, co powiesz, przemyślałam tysiącrotnie.

- Czy pomyślałaś o tym, że zawsze będziesz wyglądać starzej od niego? Młodsze kobiety będą z nim flirtować, a kiedy cię zobaczą powiedzą: „Twoja żona jest stara.” Lepiej być młodszą i ładniejszą niż mąż.

Terri powtarzała słowo w słowo myśli Jackie, która sama tysiące razy była własnym *advocatus diaboli*.

- Zbliżony wiek nie gwarantuje szczęścia - rzekła ze znużeniem, ale jej ton nie powstrzymał Terri od kontynuowania.

- Wszyscy twoi przyjaciele będą traktować go jak chłopca, nie jak mężczyznę. - Wysiadała nos. - Będziesz mówiła o rzeczach, które ci się przytrafiły, a których on nie zna, bo nastąpiły, zanim nauczył się chodzić.

Jackie nie chciała zagłębiać się w ten temat, tym bardziej że Terri zaczynała ją już złościć.

- Dlaczego zwraca się uwagę na wiek, kiedy kobieta jest starsza, a jest nieistotny w wypadku starszego mężczyzny? Czy mężczyzna zakochany w młodszej kobiecie zamartwia się, że będzie mówił o rzeczach, które miały miejsce przed jej narodzeniem? Czy też śmieje się, klepie ja po pupie i mówi mniej więcej tak: „Teraz, skarbie, idź do kuchni i nie przeszkadzaj dorosłym panom pogadać.” Twierdzisz, że takie zachowanie jest właściwe? Że jest godne pochwały?

Terri nie odpowiedziała. Te same pytania chodziły jej po głowie przez ostatnie półtora dnia, od chwili gdy dowiedziała się, co pani Beasley zobaczyła.

- Jak on może się tobą opiekować? Jesteś dorosłą kobietą.

- Jeśli dwudziestoczteroletnia kobieta wychodzi za mąż, nikt nie kwestionuje zdolności dwudziestoosmioletniego mężczyzny do zaopiekowania się nią. Nikt nie będzie kwestionował tego, że jest dojrzała. Czemu uznaje się go za dziecko tylko dlatego, że ma żonę starszą od siebie? - Jackie zaczęła dotykać istoty rzeczy. - A jak już przy tym jesteśmy, to chciałabym wiedzieć, czego potrzebuje dwudziestoczterolatka, bez czego ja mogę się obejść? Towarzystwa? Mężczyzny, który bierze odpowiedzialność za żonę, a może i dzieci? Seksu? Pomocy w potrzebie? Czego potrzebuje młodsza kobieta, a ja nie?

Terri popatrzyła na nią ze smutkiem.

- To sprawa doświadczenia życiowego. Mam nadzieję, że przez trzydzieści osiem lat dowiedziałaś się więcej od niego. Pomyśl, jak głupia i niedojrzała byłaś w wieku dwudziestu ośmiu lat. Pomyśl, czego nauczyłaś się od tej pory.

Zniecierpliwiona Jackie wyrzuciła w górę rękę.

- Wiesz, czego nauczyłam się przez całe moje życie? Nauczyłam się, że nie chcę spędzić następnych lat z mężczyzną który będzie uważał siebie za jakiegoś półboga. Charley był nie tylko moim mężem. Był dyktatorem. On ustanawiał wszelkie reguły, on wiedział wszystko.

- Ale tak powinno być! - Terri wręcz krzyknęła, czując bezradność i lęk. Bardzo dobrze wiedziała, jakim piekłem może stać się małżeństwo i chciała ustrzec przyjaciółkę przed nieszczęściem które widziała tak wyraźnie, jakby miała kryształową kulę.

- A kto to powiedział? - odcięła się Jackie, ale zaraz spróbowała się uspokoić. Wiedziała, że Terri ma jak najlepsze intencje - myśli, że przyjaciółka robi straszny błąd, i chce temu zapobiec. - Kto powiedział, że mąż musi być nauczycielem i instruktorem własnej żony? Dlaczego nie mogą być równi? William i ja jesteśmy równi. On wie, co to dom rodzina, stabilizacja. Ja wiem co to emocje, impulsywność i życie chwilą. Gdybyśmy byli

równi wiekiem albo gdyby przypominał tego idealnego mężczyznę za którego chciałaś mnie wydać musiałabym przystosować się do jego stylu życia. Starszy mężczyzna nigdy nie przystosowałby się do mnie. Gdyby William ożenił się z młodszą kobietą zmusiłby ją do kładzenia w idealnym porządku spinek do włosów. Ona oczekiwałaby od niego rozwiązywania wszelkich problemów a biedny William czułby się zobowiązany do wynajdywania właściwych odpowiedzi w miarę swoich możliwości. Natomiast ja która poznałam świat wiem że nie ma jedynych słusznych odpowiedzi na żadne pytania. Nie oczekuję od Williama, by mówił mi, jak myśleć, jak żyć, gdzie co ma leżeć na mojej toalecie. Chcę tylko żeby... żeby...

- Co? zapytała Terri. Jej usta zaciśnięte w wąską linię wskazywały że nie uwierzy w nic, co teraz usłyszysz.

Ale Jackie nie dbała o to, że walczy na straconej pozycji.

- Żeby mnie kochał. Żeby był moim przyjacielem. Żeby cenił mnie taką jaka jestem. Nie chcę go zmieniać i on nie chce zmieniać mnie. Nie chcę kłaść na jego barki ciężaru nie do uniesienia nie musi znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Jesteśmy równi.

- Ależ Jackie mężczyzna nie może żyć bez przekonania, że jest najwspanialszy - powiedziała łagodnie Terri, jakby wyjaśniała coś, co wie każda ludzka istota. - Może tobie i mnie wiadomo, że na świecie nie ma pięciu mężczyzn, którzy ogarnialiby rozumem połowę tego, co ogarnia byle kobieta ale mężczyzna musi być przekonany, że wie więcej, niż ta, którą kocha Jackie roześmiała się.

-Terri, jeśli myślisz, że William szczerze uważa że wiem więcej od niego, bo jestem starsza, to nie masz zielonego pojęcia o mężczyznach. Ile lat mieli twoi synowie gdy uznali że wiedzą więcej o świecie od ciebie tylko dlatego że jesteś kobietą?

Mimo że czuła bliską klęskę, Terri nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

-Dziewięć. Nie, osiem

-Właśnie. To ja twierdzę, że jesteśmy równi, nie on. Jesteśmy równi, bo nie oczekuję od niego odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania. Kiedy wyszłam za Charleya, uważałam, że z racji starszeństwa wie wszystko, co tylko możliwe. Przyszły na nas trudne chwile, gdy zaczęłam sobie uświadamiać, że jest człowiekiem jak my wszyscy. Oboje chcieliśmy wrócić do tych czasów, kiedy unosiłam ku niemu promienne oczy, pełne wiary, że potrafi dokonać wszystkiego, ale kiedy ta wiara ulotniła się raz, to już na dobre. Nie oczekuję po Williamie, by wiedział wszystko. Spodziewam się tylko tego, czego mu nie brakuje - równowagi ducha, spokoju podczas burz mojego życia. Nie buduję mu ołtarzyka. Widzę go takim jaki jest, i podoba mi się to, co widzę. - Jackie uśmiechnęła się. - Wiesz, musi czuć ulgę, będąc lubiany za to, jaki jest, i nie musząc sprostać wymaganiom jakiejś romantycznej młodej kozy. - Zaczęła się czuć lepiej. W miarę jak słowa spływały z jej ust, coraz bardziej przekonywała się o słuszności swych przekonań. - Dlaczego mężczyzna ma być dorosły w wieku lat pięćdziesięciu, a nie dwudziestu ośmiu? Kobiety często narzekają że ich mężowie wymagają więcej troski niż para dwulatków, więc dlaczego jest nie do pomyślenia, że mężczyzna może być dorosły w wieku dwudziestu ośmiu lat? William mówi...

Terri spostrzegła, że nie przekona Jackie, że raz jeszcze Jackie zrobi to, na co ma ochotę, i resztę świata może szlag trafić.

- A my obie wiemy, jakie byłyśmy rozsądne w wieku dwudziestu ośmiu lat. - W jej głosie wyraźnie słyszano sarkazm. - Ja byłam obciążona dwójką dzieciaków i mężem, który zawsze umiał znaleźć butelkę, a nie pracę. A ty latałaś samolotami przez płonące stodoły.

-Nie wolno człowieka określać jedną cechą - jego wiekiem - rzekła gniewnie Jackie. - Zapytaj mnie, czy można na nim polegać, czy umie myśleć w sytuacjach alarmowych, czy jest łagodny, honorowy, uczciwy, dowcipny, czy umie opiekować się innymi. Czemu te cechy miałyby nic nie znaczyć, a jego wiek miałby być najważniejszy?

Terri otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zamknęła je. Widziała, że dalsza

rozmowa jest pozbawiona sensu. Jackie podjęła już decyzję. Terri podniosła się z kanapy.

-Najwyraźniej strzępię język na próżno. Kiedy ten chłopak złamie ci serce, Jackie, pomogę ci się odnaleźć.

To doprowadziło Jackie do wybuchu.

- Czy to, że jestem starsza od Williama latami, a nie duchem musi oznaczać niepowodzenie?

Terri ruszyła do drzwi, zamierzając nie odezwać się słowem, ale zawróciła.

-Masz odpowiedź na wszystko, prawda, Jackie? Byłaś wszędzie, robiłaś, co tylko się dało, więc, oczywiście, masz odpowiedź na wszystko. Skąd ja miałabym coś wiedzieć? Przez całe życie mieszkałam w jednym miasteczku, zapowiada się, że mój mąż obejmie etat miejskiego pijaczyny, moje dzieci, kiedy dorosną niewątpliwie spędzą życie w więzieniu. Więc jak ktoś tak mizerny jak ja mógłby cokolwiek wiedzieć?

-Terri... - zaczęła Jackie wyciągając rękę, by objąć przyjaciółkę, ale ta się cofnęła.

- Jackie, przyjadę, kiedy będziesz mnie potrzebowała - oznajmiła Terri i wyszła.

Jackie oparła się o drzwi i zaczęła płakać.

- Dlaczego życie nie może być proste? - szepnęła, a łzy płynęły jej po twarzy. - Dlaczego nie mogę być taka jak inni?

Nikt jej nie odpowiedział.

## 11

- Niespodzianka!

Oślupiała Jackie wpatrywała się z rozdziawionymi ustami w ludzi stojących na progu domu; pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Daleko było jej do radości i zadowolenia, jakie widniały na ich twarzach.

-Pewnie nie spodziewałaś się nas, co, Jackie?

-Nie - odparła, jak umiała najgrzeczniej, ale była doszczętnie załamana. Zaledwie wczoraj miała do czynienia z Terri i od tamtej pory nie wychyliła nosa za próg, obawiając się tego, co ludzie z Chandler mówią o niej i Williamie.

Teraz siódemka gości wyrosła na jej progu, starzy przyjaciele Charleya, kumple od butelki. Mężczyźni i kobiety, którzy kiedyś byli częścią jej życia.

Patrząc na nich śmiejących się, dzierzących butelki z winem, szykujących się pozostać na całą noc, by uczcić spotkanie, uświadomiła sobie, jak bardzo zmieniło się jej życie od przyjazdu do Chandler. Tutaj, jeśli ktoś zobaczył u kogoś światło o trzeciej w nocy, telefonował następnego dnia, zwykle o szóstej rano, i pytał, co się stało.

-Wejdźcie - powiedziała uśmiechnięta, szeroko otwierając drzwi. Władowali się do środka, a ona powlokła się do kuchni, wiedząc, że są głodni i że prawdopodobnie co najmniej dwoje z nich będzie potrzebowało gotówki.

- Jackie, chodź tu i opowiedz nam, co porabiałaś przez te dwa lata. Widzieliśmy tu stodołę pełną samolotów. Skąd się wzięły?

Na te słowa Jackie przygotowująca czwartą kanapkę zamarła. Więc to dlatego się zjawili. Jakimś cudem dowiedzieli się o jej nowym interesie i chcieli się w niego wkręcić.

Nagle ogromnie zatęskniła za Williamem. Bardzo uprzejmie ale bardzo stanowczo poinformowałby ich że zatrudniają tylko osoby godne zaufania nie minione sławy które najlepsze lata mają za sobą.

Potrząsnęła głową, by uporządkować myśli. Ona jest minioną sławą. To jej rówieśnicy ludzie w jej wieku.

- Chodźcie i częstujcie się zawołała wnosząc tacę z kanapkami i piklami do jadalni w której stół był już zastawiony butelkami z piwem i winem. Jeden z mężczyzn wnosił walizki.

- Mam nadzieję, że trochę towarzystwa przez kilka dni ci nie przeszkodzi- rzekł - Tak sobie pomyśleliśmy. Masz przecież dla siebie cały ten hotel. Musi ci być czasem samotnie i

potrzebujesz trochę towarzystwa.

- Nie ależ skąd. Jasna sprawa - powiedziała zmuszając się do uśmiechu. Powróciły czasy kiedy żyła z Charleyem. Był bardzo hojny Dzielił się z każdym tym co miał. Wszyscy uważali go za hojnego ale to nie on tylko Jackie robiła zakupy gotowała i opierała wszystkich.

Więc teraz zjawili się po pracę, jedzenie i darmowe utrzymanie. Jak miała im powiedzieć żeby się wynieśli?

- Cześć

Podniosła głowę. Przed nią stał William - silny, wysoki i czysty. Promienie słońca padające zza jego głowy sprawiały, że wyglądał jak anioł stróż. Jackie upuściła trzy opróżnione butelki i rzuciła się do niego. Rozwarł ramiona, przycisnął ją do szerokiej piersi, mocno przycisnął. Niejasno zdała sobie sprawę, że za jej plecami zapadła cisza, ale nie dbała o to, co sobie pomyśla nieproszeni goście. Do tej chwili nie uświadamiała sobie, jak bardzo polega na Williamie, na jego sile.

- Hej, Jackie, nie przedstawiś nas?

Po kolei dokonała prezentacji sześciu osób, bo jeden z mężczyzn, najstarszy przyjaciel Charleya, wyszedł na moment na dwór. Z entuzjazmem przywitali się z Williamem i zaprosili go do stołu.

Jackie wstrzymała oddech, ponieważ byli to pierwsi ludzie, którym przedstawiała Williama jako swojego mężczyznę. Czekwała na reakcję. W ich zachowaniu nie było nic niezwykłego. Niebawem opowiadali Williamowi o swych podniebnych wyczynach, a on roztaczał przed nimi uroki hotelików, w których mogli się zatrzymać. Jackie musiała powstrzymać się od uśmiechu. Teraz mogła się odprężyć William weźmie ją w opiekę. Nie pozwoli tym ludziom zająć domu, nie da im pracy, dopóki nie sprawdzi się ich kwalifikacji.

Pięć minut później Arnold, przyjaciel Charleya, wrócił do pokoju.

Gładys, która z nadmierną poufałością przyciskała biust do ramienia Williama, rzekła:

- A to cudowne młode stworzenie należy do Jackie. Arnold uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

-Nie wiedziałem, że Jackie i Charley mają jakieś dzieci - powiedział.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Tylko William zdawał się być niczym nie przejęty. Ujął dłoń Arnolda i potrząsnął nią

- Liczę, że przekonam Jackie do wyjścia za mnie – oznajmił gładko, jakby to, co właśnie padło, wcale go nie obeszło.

Jackie natomiast modliła się, by podłoga zapadła się pod jej stopami, a ona sama mogła wśliznąć się do środka ziemi i nigdy więcej nikomu nie pokazać na oczy. Wykręciła się na pięcie i wyszła, nie zwracając uwagi na niezdarne przeprosiny Arnolda, które rozległy się za jej plecami, ani na chóralne błagania o powrót.

Gdy znalazła się na dworze, nie była zaskoczona, czując rękę Williama na ramieniu. Usiłował ją zatrzymać, ale postanowiła iść do samolotu, bo tylko w kabinie maszyny czuła się naprawdę bezpieczna.

- Jackie ten facet jest na wpół pijany a gdyby nawet był trzeźwy to wątpię czy wdziałby dalej czubka swego nosa - powiedział William

- Zobaczył to co widzą wszyscy

William złapał ją za ramiona

- Jackie wysłuchałem już na nasz temat wszystkiego co tylko można wymyślić. Kocham cię Kocham! Nie obchodzi mnie twój wiek twój kolor skóry to czy jesteś gruba czy chuda. Kocham to co jest w tobie w środku. - Kiedy nie zareagowała zdjął ręce z jej ramion i rzekł zimno. - Ale decyzja należy do ciebie. Ty musisz zadecydować.

Zostawiła go poszła do samolotu i zaraz uniosła się w powietrze

Jeśli William myślał że latała szaleńczo tego dnia w którym zabrała go ze sobą widząc ją teraz musiał być przerażony Prześlizgiwała się między drzewami unosiła tak nisko iż górne



gałęzie szorowały kadłub. Leciąca prosto na skałę nie wiedząc aż do chwili ściągnięcia drążka czy uderzy w nią czy nie. Nie przejęła się, kiedy samolot wyjąc silnikiem ledwo ominął przeszkodę.

Latała godzinami bokiem na plecach wykonywała każdy możliwy manewr.

Gdy zabrakło paliwa była na dziesięciu tysiącach stóp nad górskim wzniesieniem. Niżej rozciągał się bezdrzewny płaskowyż i siadła na nim nie wiedząc nie dbając czy samolot zatrzyma się przed krawędzią czy skoczy dalej i runie ku zagładzie.

Lądowanie powiodło się. Dziób zawisł nad przepaścią koła zaryły się na skraju urwiska.

Kiedy silnik zakrzuszył się i zgasł, siedziała bez ruchu, z odrzuconą w tył głową, zamknawszy oczy osłonięte goglami. Utknęła na szczycie góry. Bak był pusty. Pozostawało tylko zejść i wnieść kanister benzyny.

Wyszła z kabiny, ale nie ruszyła w dół stromizny. Siadła na skraju urwiska, pochłaniała wzrokiem daleki, majestatyczny widok i czekała, aż coś mądrego wykluje się jej w głowie.

Nic się tam nie wykluło, natomiast dostała po głowie gradem. Późnym popołudniem rozwarły się niebiosy i kulki gradowe zaczęły siec ją po głowie. Przesiadła się pod skrzydło.

Kiedy zapadła noc, zwinęła się w kłębek, pozapinała skórzany kombinezon, w jaki szybko wskoczyła przed uniesieniem się w powietrze, i poddrzemywała. Nadal nie mogła pozbierać myśli. Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że już nigdy nie będzie myśleć. Marzyła, by powróciły czasy, w których życie było proste i łatwe, a ona młodsza i miała na wszystko receptę.

Wczesnym rankiem nie zaskoczył jej warkot nadlatującego samolotu. Oczywiście, należało się spodziewać, iż William zacznie jej szukać. Przecież zawsze przybywał na ratunek. Był zawsze u jej boku gotów do pomocy - czy chodziło o pieniądze, czy o założenie szwów, czy usunięcie z domu nieproszonych gości. Kiedy maszyna znalazła się bezpośrednio nad Jackie, wyszła spod skrzydła i pokiwała pilotowi na znak że jest cała i zdrowa. W odpowiedzi pomachał skrzydłami. Z tej odległości wyglądał na jednego z przyjaciół Charleya. William na pewno zaprzągnął ich wszystkich do roboty. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Spowodowała tak wiele zamieszania.

Była zmęczona głodna i wiedziała że napsuła dużo krwi wielu ludziom, którzy się o nią zamartwiali ale mimo to nie zeszła w dolinę. I miała nadzieję że nikt nie wdrapie się na górę. Zwłaszcza William. W tej chwili musiała pomyśleć.

Ale był jeden szkopał nie mogła się do tego zmusić. W głowie słyszała zbyt wiele głosów Głos Williama przejęty i nagłący. Głos Charleya mówiący. A jakie to będzie miało znaczenie za sto lat! Głos Arnolda i głos Terri. Jakże głos Terri huczał w głowie Jackie!

Ale przede wszystkim słyszała swój głos. „On będzie chciał młodszej kobiety. Zasługuje na lepszy los. Zasługuje na kobietę, która urodzi mu dzieciaków na pęczki.”

- Przestań! - krzyknęła, zasłaniając uszy rękoma. Dlaczego nie mogła usłyszeć tego, co mówiła Terri? Taka była wtedy mądra, taka bardzo mądra. Mówiła same słuszne rzeczy. Więc dlaczego w nie nie wierzyła?

Było późne popołudnie i Jackie miała zawroty głowy z głodu. Wiedziała że powinna zejść w dół, ale wciąż tkwiła na miejscu. Nadal nie podjęła decyzji.

Kiedy usłyszała wyraźne odgłosy kogoś wspinającego się na szczyt starym szlakiem kozic była pewna, że to kroki Williama. Zaciśnięta szczęka skrzyżowała ramiona na piersi i szykowała się do rozmowy. Ciekawe co takiego zamierza wygłosić.

Ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu zobaczyła nie Williama, ale jego łagodną, pulchną matkę, Nellie, pokonującą z trudem wzniesienie. Na jej ramieniu zwisał wielki, ciężki kosz piknikowy.

Jackie kilka chwil nie mogła wyjść ze zdumienia. Przez sekundę myślała nawet że ma

halucynacje.

Ale słowa Nellie otrzeźwiły ją.

- To na pewno atak serca - rzekła starsza pani, uśmiechając się słabo. I powoli osunęła się na ziemię.

## 12

To nie był atak serca. Nellie po prostu nie nawykła do wspinaczki i wysiłek w połączeniu z wysokością sprawił, że poczuła się, jakby była w obliczu śmierci. Przez kilka chwil opieka nad Nellie tak pochłonęła Jackie, że zapomniała o sobie, ale niebawem zasiadły w cieniu skrzydła samolotu i posilały się, czerpiąc z niebywałego zasobu wiktuałów, jaki Nellie wtaszczyła na górę.

Jackie cierpliwie czekała na początek kazania, lecz Nellie nie mówiła nic o Williamie ani w ogóle o nich. Wymieniała uwagi o pogodzie i o tym, że maszyna Jackie wisi prawie na skraju urwiska, i nie zahaczyła o żaden ważny temat.

Wreszcie Jackie nie mogła znieść oczekiwania na początek kazania.

-Myśli pani, że jestem głupia?

Bezpośredniość Jackie nie wytrąciła Nellie z równowagi.

-Nie, złotko, myślę sobie, że jesteś jedną z najwspanialszych młodych kobiet, jakie w życiu poznałam.

Jackie za całą odpowiedź parsknęła.

Nellie zdawała się nie zauważać tej reakcji. Zmieniła temat.

-Dlaczego nie wystartujesz w Taggie?

Jackie uśmiechnęła się. Mogła odmówić odpowiedzi Williamowi, ale nie jego matce.

- Nie odpowiada mi rola sławnej postaci i nie znoszę latania według przyrządów. A tak lata się dzisiaj. Do tego nie trzeba talentu, wystarczy skończyć matematykę. Jeszcze kilka lat i tacy jak William będą lepszym pilotami ode mnie. Ta niewinna próżność wzbudziła uśmiech Nellie.

-Czemu nie chcesz wyjść za mojego syna?

Zaczęło się, pomyślała Jackie

-Jest wiele przyczyn. Po pierwsze on zasługuje na lepszy los. Dochodzi moja próżność. Nie podobają mi się plotki i całe to gadanie.

Nellie roześmiała się.

-Doprawdy, wsadziliście kij w mrowisko. Mój biedny mąż nie może przejść ulicą by ktoś nie opowiedział mu ostatniej plotki o niezamężnej parze przyłapanej w łóżku. Wywołaliście skandal na całe Chandler. Jestem przekonana, że w miasteczku pierwsi zaczęliście sypiać przed ślubem.

Jackie poczerwieniała ze wstydu i wbiła wzrok w ziemię.

-Wiesz, co teraz mówią? Że może coś było między wami w dzieciństwie.

Jackie zamrugnęła kilkakrotnie na te słowa.

-Co???

-Tak. Pani Beasley twierdzi, że stosunki łączące przez wszystkie te lata ciebie i mojego syna nie były normalne.

Jackie chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Wybuchnęła śmiechem.

-Przecież William był dzieckiem! I utrapieniem. Koszmarnym utrapieniem. Robiłam wszystko, aby się go pozbyć. Trudno wyobrazić sobie coś naturalniejszego

-Nie wiem, czy naprawdę go unikałaś. Zdaje mi się że byliście nierozłączni. Pamiętam, że nieustannie kładłaś mu do głowy, żeby ci dał spokój, ale kiedy zostawał w domu zawsze po niego przychodziłaś.

-Nic takiego nie robiłam - odparła z oburzeniem Jackie.

-A kiedy miał grypę? Co wtedy? Zachodziłaś codziennie.

- Martwiłam się o całą pani rodzinę.

- Tylko William był chory.

Jackie wzięła do ręki patyk i zaczęła rysować kółka na wychniętej ziemi.

- Był tylko dzieckiem Nadal nim jest. Jak zawsze.

- Wcale tak nie uważałaś. Pytałaś go o radę w każdej sprawie. Zawsze lubiłaś przygody ale zanim na cokolwiek się odważyłaś, pytałaś Williama czy uważa to za właściwe.

- Właśnie że nie pytałam - odezwała się Jackie tonem małej dziewczynki.

Nellie zamilkła na chwilę.

- Czy wiesz że po twoim wyjeździe z Chandler William nie odzywał się przez miesiąc? Nie przemówił słowa, niewiele jadł. Wieczorami musiałam brać go w ramiona i kołysać do snu. Bałam się że stracił chęć do życia

- Ja wtedy wcale o nim nie myślałam. - Jackie przetarła dłonią oczy. - A teraz myślę tylko o nim. Nie wiem, co mam robić. William chce się ze mną ożenić. Ale dzieli nas... różnice. Ludzie...

- Niech szlag trafi ludzi! - powiedziała Nellie.

Nic nigdy nie zaskoczyło bardziej Jackie, niż to, co usłyszała teraz z ust matki Williama. Nellie Montgomery była najspokojniejszą najłagodniejszą najłatwiejszą we współżyciu osobą na świecie. Nic nigdy nie potrafiło wyprowadzić jej z równowagi włącznie z tuzinem własnych dzieci płaczących się pod nogami, nawet gdyby troje z nich broczyło przy tym krwią. Nellie była wymarzoną towarzyszką na czas niedoli. Potrafiłaby zachować spokój pod ogniem karabinów.

A teraz klęła.

Kiedy Jackie spojrzała na nią zobaczyła nie łagodną słodką twarzyczkę, do której była przyzwyczajona. Ujrzała gniewne oblicze.

- Jackie, wydorosłej!

Jackie wyprostowała się jak struna i wybałuszyła oczy.

- Czy myślisz, że wszyscy inni żyją sobie łatwo i wygodnie, a ty jedna masz problemy? Do tej pory byłaś szczęśliwa.

- Szczęśliwa? - wyszeptła Jackie. Jej życie pełne biedy i walki o związanie końca z końcem było szczęśliwe?

- pch, wiem, o czym myślisz. Jestem jedną z Montgomerych i stąd znam tylko luksusy i łatwe życie. Ale się mylisz. Ty zawsze mogłaś robić to, co ci się żywnie podobało i kiedy ci się podobało. I miałaś przy sobie ludzi, którzy niezmiennie cię kochali. Teraz, kiedy spotykasz jedną drobną przeszkodę, chowasz ogon pod siebie i zmykasz. Kiedy przestaniesz być taką egoistką i zaczniesz myśleć o innych, nie tylko o sobie?

Pograżona w milczącym odrętwieniu po tym wybuchu Jackie doznała jeszcze większego wstrząsu, gdy Nellie zaczęła zbierać rzeczy, szykując się do zejścia.

Chciała się bronić.

- Nie rozumiem. Nie jestem egoistką. Myślę o Williamie. Zależy mi tak samo na nim co na sobie.

- Nie, nie zależy ci! - powiedziała z werwą Nellie. Nagle ukryła twarz w dłoniach i zaniósła się płaczem.

Jackie potrafiła zrobić tylko jedno - objęła Nellie i przytuliła ją do siebie.

- Przepraszam - szepnęła Nellie. Pociągnęła nosem i wyswobodziła się z objęć Jackie. - To tylko dlatego, że widzę sprawy wyraźniej niż ty, bo przeżyłam te same problemy. Przed laty miałam taką samą sytuację z moim mężem.

- Nie rozumiem. Pani mąż nie jest młodszy od pani. Nellie uśmiechnęła się.

- Tak, złotko, Jace nie jest ode mnie młodszy. Ale w moim i w twoim przypadku wiek nie ma znaczenia, nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Zrozum, obawiasz się tego, co pomyślą inni. Przekonałam się w życiu, że jeśli dasz innym władzę nad sobą źle ją

wykorzystają.

Położyła dłoń na ramieniu Jackie.

- A najlepszy przyjaciel chce tego, co najlepsze dla ciebie, nie dla siebie. - Ujęła dłoń Jackie w swoje ręce. - Przed laty Jack chciał się ze mną ożenić, ale ja powiedziałam „nie”, ponieważ inni ludzie - którzy, jak sądziłam, mnie kochali - twierdzili, że nie powinnam tego robić. Mówili przy tym, że mają na względzie tylko moje dobro. Dopiero po długim, niemal zbyt długim czasie, uświadomiłam sobie, że myśleli tylko o sobie, a nie o żadnym z nas. Ludzie potrafią być bardzo samolubni.

-Nie... nie wpadłam na to.

-Tak, patrzyłaś na świat oczyma innych. Większość kobiet wychodzi za mężczyznę o pięć lat starszego, a potem żyje dokładnie tak, jak je nauczono. Powiedz mi jedną rzecz, Jackie. Kochasz Williama?

-Tak. - W tym jednym słowie zawarła wszystko, co działo się w jej sercu.

-Więc co innego liczy się poza tym?

Jackie patrzyła na Nellie nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

-Moje złotko, wygląda na to że nie rozumiesz tej prostej prawdy: na świecie liczy się tylko miłość. Ona jest wszystkim. Pieniądze nie grają roli, majątek nie gra roli, wiek nie gra roli, to, kim są twoi przyjaciele też nie gra roli, twoje życiowe osiągnięcia nie grają roli. Jedyna wartościowa rzecz to miłość. Miłość sprawia, że nasz pobyt na ziemi jest coś wart. I wiesz co? Miłość, prawdziwa miłość jest rzadka. Nie zdarza się zbyt często. Większość ludzi szuka jej przez całe życie i nigdy nie znajduje. - Przerwała, nie spuszczać przenikliwego wzroku z Jackie. - Powiedz mi, gdybyś ujrzała wystający z ziemi wielki diament, co byś zrobiła?

-Podniosłabym go - powiedziała cicho Jackie.

-A gdyby diament był idealny poza drobną skazą powiedzmy... pęknięciem wzdłuż krawędzi? Czy wyrzuciłabyś go z powodu tej jednej skazy?

Łzy napłynęły Jackie do oczu.

-Nie, zatrzymałabym go bez względu na tę skazę.

-Mój syn jest idealny, ale w twoich oczach posiada skazę. Urodziłam go dziesięć lat po tym, jak twoja matka wydała cię na świat. Czy chcesz odrzucić mojego syna z powodu mojego błędu?

Jackie rozplakała się na dobre.

- Nie wiem - powiedziała szczerze. - Nie wiem, co robić. Nellie wstała i ruszyła w dół, zostawiając Jackie siedzącą z głową opartą na podciągniętych kolanach. Po chwili wróciła.

-Zejdiesz razem ze mną?

Jackie posłała Nellie żalostny uśmiešek.

-Ilu ludzi z Chandler czeka tam na mnie?

-Paru - odparła z uśmiechem Nellie. Oznaczało to, oczywiście, połowę miasteczka.

-William tam jest? Nellie spoważniała.

-Nie, nie ma go. Powiedział, że wiesz, gdzie go szukać.

Na te słowa serce w Jackie zamarło. Niewątpliwie czekał na nią w takim miejscu, które powinna była pamiętać. Nie widziała tego zakątka od dwudziestu lat, ale powinna go pamiętać.

- Zaraz zejdę. Muszę coś zrobić z twarzą.

I dać sobie więcej czasu *do* namysłu, pomyślała.

-Dziesięć minut - powiedziała Nellie. - Ale nie więcej. Ludzie martwią się o ciebie.

-Tak, oczywiście - odparła Jackie. Obie wiedziały, że nie podjęła jeszcze decyzji.

Gdy Nellie znikła, Jackie podeszła do samolotu, wspięła się na skrzydło i zaczęła grzebać w kokpicie, szukając metalowej kasetki, którą wozila ze sobą. Zawsze miała przy

sobie kosmetyki, na wypadek gdyby na lotnisku nieoczekiwanie zjawiła się prasa. Skoro na dole czeka tylu mieszkańców Chandler, lepiej zrobi likwidując ślady łez na twarzy.

Znalazła kasetkę i grzebała w środku, szukając szminki do ust, zakopanej pod trzema mapami i kompasem. Wtem natknęła się na dużą białą kopertę, leżącą na spodzie. Na moment zarówno ręce, jak serce Jackie zamarły, bo wiedziała bardzo dobrze, na co się natknęła.

Powoli wyjęła i otworzyła kopertę. W środku było zaproszenie do wzięcia udziału w Taggie. Dostała tę przesyłkę w dniu pogrzebu Charleya i zmieniło to całe jej życie. Trzy dni wcześniej obudziło ją nie apokaliptyczne chrapanie Charleya ale nienaturalna cisza Charley nie spał u jej boku. Leżał martwy. Cicho i spokojnie umarł na rozległy zawał serca podczas snu. Na ustach pozostał mu łagodny uśmiezek.

Całe dni po jego śmierci Jackie nie była zdolna do myślenia ale znajomi Charleya ludzie którzy go kochali i którzy zebrali się by go pożegnać wszyscy zakładali że Jackie nadal będzie robić to co robiła zawsze. Będzie latała coraz wyżej, dłużej i szybciej.

Dopiero w dniu pogrzebu gdy bezmyślnie otworzyła pocztę zobaczyła zaproszenie na Taggie w jej rodzinnym mieście a razem z zaproszeniem ujrzała list od Jace'a Montgomeryego. W tej właśnie chwili uświadomiła sobie że ma serdecznie dość bezustannego przenoszenia się z miejsca na miejsce bez korzeni. Ma serdecznie dość oglądania swojego nazwiska w gazetach ludzi robiących jej zdjęcia odpowiadania w kółko na te same głupie pytania. Chciała żyć tak jak inni.

Bez namysłu napisała panu Montgomeryemu że przyjmuje propozycję. Wraca do Chandler i rozpocznie interes przewozowy ale nie weźmie udziału w zawodach. Nie przyznała się ani jemu ani komukolwiek innemu że obawiała się nie przegranej, tylko zwycięstwa.

Teraz trzymając porwane i brudne zaproszenie podeszła do krawędzi skały i stała tam ogarniając wzrokiem głęboką dolinę. Całe życie to zaproszenia pomyślała. Czyż nie jest tak że każdy na świecie stale dostaje zaproszenia? Niektóre są złote inne ołowiane niektóre są wielkie inne małe. Niektóre głoszą coś wprost inne są zawołowane. Ale życie jest interesujące właśnie dlatego że człowiek musi wybierać między zaproszeniami. Większość ludzi sięga tylko po bezpieczne możliwości ignorując niezwykle lub ryzykowne.

Ale Jackie nigdy nie obawiała się ryzyka. Jak to powiedział William robiła zawsze dokładnie to co chciała. Przyjęła zaproszenie podsunięte przez matkę i zgodziła się być inna niż reszta dzieci, które wyszły jakby spod jednej sztancy. Przyjęła zaproszenie Charleya i przeżyła kilkanaście lat podniecających przygód. A po drodze przyjmowała i odrzucała zaproszenia według własnego widzimisie. I zawsze postępowała bez wahania, po prostu robiła to, co instynktownie uważała za słuszne, i nie przejmowała się nikim.

Teraz William oferował jej zaproszenie, prawdopodobnie największe zaproszenie jej życia, a ona się wahała. Dlaczego? Dlatego że był od niej młodszy? A może była jeszcze inna przyczyna?

Czy odmawiała Williamowi ze strachu? Czy też, jak powiedziała Nellie, bała się, co powiedzą ludzie? Poprzednio nigdy nie zwracała na to uwagi. Może lękała się kochać tak mocno? Jeśli już teraz tak go kocha, o ileż bardziej zwiąże się z nim, gdy będą mieli dziecko? O ileż bardziej pokocha go po wspólnie przeżytych latach gdy pozna go tak dobrze, że jego myśli staną się jej bliskie jak własne tchnienie? A jeśli pokocha go tak bardzo, a potem on umrze tak jak Charley?

Zdołała przeżyć odejście Charleya, bo zawsze udawało się jej zachować niezależność. Będąc z nim, pozostała sobą bo nigdy nie utraciła swojej osobowości. Kochała Charleya, ale byli dwojgiem ludzi. Z Williamem czuła wspólnotę. Czuła, że są jednością. Jakby zlali się ze sobą niczym dwie wymieszane farby. Ona była kolorem żółtym, gorącym, barwą słońca, a William był kolorem niebieskim, barwą pokoju i uciszenia. Zlani ze sobą tworzyli zieleń, kolor ziemi, kolor rodzinnego domu.

Jackie popatrzyła na zniszczone zaproszenie trzymane w dłoni i po chwili na jej twarzy zakwitł uśmiech. Uniosła oczy ku niebu i poczuła na twarzy ciepło słońca.

- Nie obchodzi mnie to - szepnęła. Jej uśmiech pogłębił się, a głos wzmochnął. - Nie obchodzi mnie, co się stanie potem. Liczy się tylko to, co jest teraz. Kocham go najzwyczajniej w świecie i tylko to ma znaczenie. Nieważne, co inni sobie myślą. Przyszłość też nie jest ważna. Kocham go. Słyszysz? - Jej głos przeszedł w krzyk. - Słyszysz, świecie? Kocham go!

Nie przestając się uśmiechać, zaczęła drzeć zaproszenie na połówki, potem na ćwiartki, raz za razem, aż na dłoni zobaczyła małe kawałeczki. Uniosła rękę ku słońcu i wiatr dopadł strzępków. Uniosły się w powietrze jak chmura małych motyli, zawirowały, a potem spłynęły w dół kanionu.

Kiedy ostatni kawałeczek znikł z oczu Jackie, odwróciła się i zaczęła schodzić z góry.

U podnóża wzniesienia zastała przyjaciół Charleya, którzy od brzasku jej szukali. Było tam też wielu mieszkańców Chandler zaciekawionych, wypatrujących przerywnika w monotonii dnia codziennego. Był Arnold nadal przepaszający za chłapnięcie ozorem o Jackie i Williamie. Jak się okazało, chodziło mu o to, iż nie wiedział, że to Charley miał dorosłe dzieci. Tym razem Jackie usłyszała w jego głosie prawdę, więc powiedziała, że nie ma sprawy, a potem rozglądała się dalej po tłumie, szukając Williama. Ale nie dojrzała go. O tak być powinno. Teraz ona powinna rozejrzeć się za nim.

Jace Montgomery stał u stóp góry- Patrzył na Jackie, badał wzrokiem jej twarz, szukał odpowiedzi - Nagle dotarło do niej, że wszyscy w miasteczku wiedzieli, jak bardzo kochają się z Williamem i że kochali się od dawna. Być może w oczach tutejszych ludzi zawsze byli parą.

Kiedy Jace zobaczył minę Jackie, uśmiechnął się i jego przystojna twarz stała się o kilkanaście lat młodsza. Nie wyrzekł słowa, jedynie wskazał zaparkowany w pobliżu samochód i Jackie ruszyła do auta. Jak to William określił? Że chodzi „długimi krokami, które połykają ziemię”.

Po kilku chwilach znalazła się w samochodzie i zmierzała do miasteczka. Dojeżdżała tam już, gdy nagle zdała sobie sprawę, gdzie może być William. Czeka na nią obok małego stawu, nad którym uczyła go, jak huśtać się na linie, a potem popchnęła go do wody i powiedziała: „Płyn albo się utop”

Siedział tam cierpliwie, czekał na nią. Mój kamień - pomyślała, przystając na moment i patrząc na niego. Słońce odbijało się promieniście od jego pięknej głowy- Nie, to nie kamień, tylko diament. Bez skazy.

-Witaj - powiedziała.

Nie podniósł głowy, nie odezwał się, więc usiadła przed nim Mimo to nie popatrzył na nią.

- Bardzo brzydko zachowywałam się przez ostatnie kilka dni – powiedziała.

- Tak, to prawda. Uśmiechnęła się.

- Mógłbyś powiedzieć coś miłego.

- Nie jestem w nastroju do mówienia miłych rzeczy.

- To zrozumiałe powiedziała starając się wprowadzić w tę sytuację nutę rozbawienia ale William nie roześmiał się. Przez jakiś czas siedziała w milczeniu, myśląc co by tu rzec, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Do diabła, William! Co mam powiedzieć? Ze ty miałeś rację, a ja się myliłam? To chcesz usłyszeć?

Powoli odwrócił do niej głowę.

- To wystarczyłoby *na początek*. Otworzyła usta by rzucić mu w twarz, co o nim myśli, ale wybuchnęła śmiechem. Potem rzuciła się na niego i obcałowała po twarzy i szyi.

Zadarł do góry podbródek.

-Jedne przeprosiny to za mało. Domagam się tysiąca.

-Ha! - wykrzyknęła i zaczęła rozpinąć mu guziki koszuli i całować go po klatce piersiowej.

Ujął ją za ramiona odsunął od siebie i spojrzał jej w oczy

-Jackie nie zamierzam tego na nowo zaczynać dopóki nie będę miał pewności, że znowu mnie nie zostawisz. Nie zniosę więcej takich dni, jakie przeżyłem ostatnio. Albo jesteś zupełnie moja, albo koniec. Żadnych półśrodków.

-Kocham cię - powiedziała. - I jeśli mnie chcesz, jestem twoja

-Na stałe? Ślub i to wszystko?

-Ślub i to wszystko.

Nadal trzymał ją na odległość wyciągniętego ramienia, jakby chciał się upewnić, czy mówi prawdę.

-Co się stało, że przejrzałaś na oczy? Jakim cudem zobaczyłaś, że robisz z siebie idiotkę?

Uśmiechnęła się.

-Porozmawiałam z ekspertem od miłości.

-Tak? To osoba duchowna, psychoanalityk czy tancerka brzucha?

-Nie trafiłaś. Porozmawiałam z kimś, kto dał i otrzymał ogromne dowody miłości. I dzięki temu komuś wiem, że w życiu liczy się tylko miłość. - Popatrzyła mu w oczy. - Williamie, kocham cię bardziej niż samoloty.

Zamrugał. Przyciągnął ją do siebie i mało nie zmiażdżył w uścisku.

-Teraz wiem że mówisz serio.

Jackie zachichotała i wzięła się do rozpinania klamry pasa Williama.

- Nie, nie rób tego - rzekł, wstając i podnosząc Jackie na nogi.

-Jakaś pani Beasley *może czai się* w krzakach. Bierzemy ślub.

-Teraz? Ależ, Williamie, muszę się wykapać i...

-Wykąpię cię potem

-Tak? - powiedziała z wielkim zainteresowaniem w głosie.

- A co jeszcze dostanę, jeśli wyjdę za ciebie?

Wziął ją w ramiona.

- Miłość na całe życie - odparł czule.

Pogładziła go delikatnie po skroniach.

- I na tym mi tylko zależy. - Zaczęła go całować, ale odwrócił głowę.

-Nie ma mowy. Nie dostaniesz nic, dopóki nie zdejmiesz ze mnie odium grzesznika. -

Wziął ją za rękę i ruszył, ciągnąc Jackie za sobą tak szybko, że potykała się o rośliny i kamienie. - Czy wiesz, że wychodząc za sponsora nie musisz płacić wpisowego na Taggie?

-Naprawdę?

-Więc może chciałabyś wziąć udział w zawodach.

-Nie - odparła promiennie.

-Możesz mi wyjaśnić, dlaczego?

-Williamie, muszę ci coś wyznać. Mam straszny lęk wysokości. Nie do opanowania.

Otworzył drzwi samochodu, którym przyjechała, i pomógł jej wsiąść.

-Jackie, doprowadzisz mnie do grobu.

-Nie, kochanie. Będę światłem twojego życia.

Schylił się, żeby ją pocałować, ale zaraz się wyprostował.

-Nie, nie pocałuję cię, dopóki przy twoim nazwisku nie pojawi się „Montgomery”.

-W obecności całego miasteczka - powiedziała uśmiechnięta, rozpierając się w fotelu.

William obszedł wóz, by zająć miejsce kierowcy. Zamknęła na chwilę oczy i ujrzała czekającą ją ich radosną przyszłość. Nellie powiedziała, że tylko miłość się liczy. Miała rację. Nic nigdy nie przyniosło Jackie takiej głębokiej satysfakcji jak poczucie, że ten mężczyzna ją kocha, a ona jego.

William zamknął drzwi, zwolnił hamulec i ruszył. Nie odezwali się słowem, ale ujął jej dłoń i pocałował. Ten gest wystarczył za wszystko.

Podjęła właściwą decyzję.

### **Epilog**

Mąż Terri uciekł z wędrowną striptizerką zabierając ze sobą najstarszego syna. Edward Browne pocieszał słomianą wdowę po tej stracie i w kilka miesięcy po rozwodzie Terri wzięli ślub Edward doszedł do przekonania że wy kierowanie pasierbów na ludzi może być bardziej interesujące niż spędzanie czasu na statku wycieczkowym więc zajął się chłopakami. Okazało się że nie są tacy głupi na jakich wyglądali, i właściwie kierowani chętniej zaczęli ruszać głową niż pięścią. Skończyli college i żyli z pożytkiem dla siebie i innych Edward i Terri każdego dnia dziękowali niebu że trafili na siebie

Jackie i William mieli dwójkę dzieci i żyli długo i szczęśliwie



## Księga II

### Swaci

#### 1

Na biurku Kane'a Taggerta paliły się wszystkie światełka konsoly telefonu, ale kiedy rozdzwonił się jego prywatny numer, przerwał rozmowę na „szóstce” i podniósł słuchawkę osobnego aparatu. Linia była przeznaczona dla rodziny i opiekunów dwójki synów Kane'a.

- Mama? - spytał, odwracając się z fotelem i spozierając na horyzont obramowany nowojorskimi drapaczami chmur. - Cóż za miła niespodzianka.

Nie pytał o nic, ale wiedział, że matka czegoś chce lub potrzebuje, bo gdyby chodziło tylko o pogawędkę, nie dzwoniłaby w porze pracy giełdy.

-Muszę prosić cię o przystupę.

Kane okazał hart ducha i nie jęknął. Przed pięcioma miesiącami jego brat bliźniak ożenił się i od tej pory matka nieustannie usiłowała skierować na ślubny kobierzec owdowiałego drugiego syna.

-Myślę, że przydałyby ci się wakacje.

Teraz jednak jęknął. Zerknął na konsolę. „Czwórka” zaczęła mrugać, co znaczyło, że Tokio zaraz się rozłączy.

-Kawa na ławę, mamó - westchnął. - Jaką torturę mi szykujesz?

-Twój ojciec nie czuje się najlepiej i...

-Przylecę...

-Nie, nie w tym rzecz. Chodzi tylko o to, że przez swoje miękkie serce znowu wpakował się w kabałę i obiecałam mu pomóc się wyplatać.

To było stałe zjawisko w domu rodziców. Ojciec często gęsto oferował ludziom pomoc i brał na swoje barki za dużo. Pracował za dużo. Troskliwa żona musiała więc przyjmować na siebie rolę sekutnicy i uwalniać go od zobowiązań.

- W co się tym razem uwikłał? - zapytał Kane. Światelko numer cztery zgasło - Wiesz Ciem, ten nasz sąsiad- udzielając takich wyjaśnień, dawała do zrozumienia że Kane od tak dawna nie pojawiał się w domu iż mógł zapomnieć człowieka znanego mu od kołyski - często zabiera ludzi ze Wschodniego Wybrzeża na konne wyprawy No i zeszłego miesiąca pojechał z szóstką facetów i dostał trochę w kość. Posunął się w latach i to wspinanie się po górach sporo go kosztuje.

Kane nie odzywał się słowem. Ciem był silny i żyłasty jak mustang i Kane dobrze wiedział że stan zdrowia tego staruszka nie ma absolutnie żadnego związku z tym, do czego matka chce go nakłonić.

-W każdym razie twój ojciec zobowiązał się, że poprowadzi następną grupę.

Ciem lubił uczestniczyć w różnych intrygach, więc jeśli wrobił lana Taggerla w przewodnictwo następnej wycieczki, miał ku temu jakiś powód.

-Ponura sprawa, co? - zapytał Kane. - To była banda świrów, prawda?

Pat Taggert westchnęła.

- To było okropne. Wiecznie niezadowoleni. Bali się koni. Szef zalecił im wycieczkę, a im się to wcale nie uśmiechało.

-Nie ma nic gorszego. Więc w co Ciem wrobił tatę tym razem? Pat odezwała się gniewnie:

-Ciem pewnie wiedział, że następna grupa będzie z tego samego przedsiębiorstwa, ale... Kane...

-Rozumiem że najgorszego jeszcze nie powiedziałaś.

- To kobiety! Ciem wiedząc o tym poprosił twojego ojca o poświęcenie na to dwóch tygodni. Ma być przewodnikiem czterech kobiet z Nowego Jorku, które będzie trzeba ciągnąć

za sobą na siłę. Wyobrażasz sobie coś podobnego?! Och, Kane, nie możesz pozwolić...

Kane wybuchnął śmiechem

-Mamo, daleko ci do oscarowych ról, więc daruj sobie tę komedię. Chcesz, żeby twój owdowiały syn.. twój biedny, samotny, owdowiały syn... spędził dwa tygodnie w wyłącznym towarzystwie czterech panien na wydaniu i może znalazł matkę dla swoich synów.

-Krótko mówiąc, tak - powiedziała zniecierpliwiona Pat. - Jakim cudem możesz kogoś poznać jeśli od rana do nocy siedzisz w pracy? Te cztery panie mieszkają w Nowym Jorku, mieście, które ty i Mikę wybraliście do zamieszkania i ...- W przewodach telefonicznych brzęczały nie wypowiedziane słowa o tym, jak to Kane i jego brat opuścili dom rodzinny i zabrali dziadkom wnuczeta.

- Odpowiedzią jest jednoznaczne nie - odparł Kane. - Nie! I tyle, mamó. Potrafię znaleźć sobie żonę bez twojego swatania.

- W porządku - westchnęła Pat. - Wracaj do swoich telefonów. Po tych słowach odłożyła słuchawkę i Kane przez moment wpatrywał się w aparat i marszczył czoło. Musi posłać matce kwiaty, a może jakiś kosztowny drobiazg. Ale przecież wiedział, że kwiaty i biżuteria to żaloszny substytut wnucząt.

Tego wieczoru znalazł się w domu dopiero po ósmej i do tej pory jego szwagierka Samantha zadbała już, żeby bliźniaki spały słodko w łózkach. Mikę był w sali ćwiczeń więc Kane ucałował śpiące dzieci i wszedł do bawialni gdzie zastał Samanthę. Była w zaawansowanej ciąży i zdawało się że gdy krąży po willi, zajmując się parą dorosłych mężczyzn i dwójką aktywnych pięciolatek nie odejmuje rąk od krzyża. Kane miał w Nowym Jorku własne mieszkanie nie umeblowane pokoje wypełnione w większości dziecinnymi zabawkami, i dysponował częścią domu rodziców w Kolorado, lecz po tym, jak brat przedstawił go Samancie, Kane i dzieci stopniowo przenieśli się do willi Mike'a. Kane widział w tym rękę Sam która chciała mieć wokół siebie rodzinę, a skoro ona czegoś chciała, Mikę starał się jej to zapewnić.

Nie proszona przyniosła Kane'owi piwo w zimnym kuflu. Tysiąc razy powtarzał, żeby go nie obsługiwała, ale była uparta jak muł. Odstawił naczynie, wstał i pomógł jej usiąść w jednym ze skórzanych, przepaścistych foteli. Nie była co prawda ciężka, lecz niesterowna jak zeppelin.

-Dzięki - powiedziała, po czym wskazała piwo skinieniem głowy. - Ja chcę ci usłużyć, a ty mi to uniemożliwiasz, przez to, że wstajesz, żeby mi pomóc.

Uśmiechnął się do niej, siadł i jednym haustem opróżnił połowę kufla. Czasem tak bardzo pragnął tego, co należało do brata, że żądza przepalała go do trzewi. Pragnął żony, która kochałaby jego i jego synów, pragnął własnego domu. Chciał wreszcie przestać żyć zastępczo życiem brata.

-Wyduś to z siebie - powiedziała Sam

-Ale co?

-Nie lepszy z ciebie kłamca niż z Mike'a. Co cię gryzie? Chciał odpowiedzieć: ty. Miłość do własnej szwagierki, początki nienawiści do własnego brata. Nie mógł wyznać prawdy, więc opowiedział o telefonie matki.

-No i co ty na to? - spytała Sam

Upřednio nie brał pod uwagę zaproszenia, lecz nagle uznał, że dwa tygodnie na górskim bezludziu spędzone w towarzystwie czterech kobiet to nęcąca perspektywa. Są mieszkankami Nowego Jorku, więc będą lękały się przepaści, odgłosów nocy i na pewno zakochają się na zabój w swoim przewodniku-kowboju. Kobieta z Nowego Jorku zobaczy mężczyznę w dżinsowej koszuli, parze Levisów i znoszonych kowbojskich butach, i już będzie jego. Wystarczy przerzucić nogę przez koński grzbiet, a pewnie zemdleje.

Dopił piwo i uśmiechnął się. Myśl o kobiecie wpatrzonyj w niego roziskrzonym wzrokiem była całkiem przyjemna. Samantha spozierała na Mike'a tak jakby był olimpijskim

bogiem, a synkowie Kane'a traktowali ją jak prawdziwą matkę.

- Myślisz, że mógłbyś pojechać?

- Może - odparł dźwigając się z fotela. - Wypiłbym jeszcze jedno piwo. Podać ci coś?

- Na ladzie w kuchni leży fax od Pat. Jest w nim wszystko o tych czterech paniach, które wybierają się na wycieczkę.

Popatrzył na nią zdumiony. Wzruszyła ramionami.

- Zadzwoiła i powiedziała, że ma nadzieję, iż zmienisz zdanie. Kane, jedna z tych kobiet to wdowa. Trzy lata temu miała wypadek samochodowy, w którym zginął jej mąż. Ona sama potem poroniła.

W kuchni przeczytał fax. Wdowa nazywała się Ruth Edwards i matka nawet zdobyła jej zdjęcie. Mimo niewyraźnej odbitki widać było, że jest piękna; tak wysoka, długonoga i ciemnowłosa jak jego ukochana żona.

Szybko zapoznał się z informacjami o pozostałych trzech turystkach. Jedna pomagała w salonie fryzjerskim druga prowadziła w Village sklep z artykułami do zabiegów parapsychologicznych, a ostatnia była drobną śliczną blondynką której nazwisko wydawało mu się mgliście znajome.

- Pisarka powieści kryminalnych - odezwała się zza jego ramienia Sam

Stała tak blisko, że brzuchem dotykała boku Kane'a, ale od brzucha do twarzy był prawie jard.

- Przeczytałaś którąś z jej powieści?

- Wszystkie. Kupuję je, gdy tylko pojawią się w księgarniach.

- Skoro już o pisarzach mowa... Co z książką Mike'a?

- Naszą książką - powiedziała z naciskiem, wiedząc, że Kane się droczy - wyjdzie za pół roku.

Mówiła o napisanej wspólnie z Mikeem biografii *Chirurg* Elliota Taggerta. Na pseudonim składało się jej panińskie nazwisko i nazwisko Mike'a.

- No i? - powiedziała niecierpliwie. - Jedziesz?

- Zajmiesz się chłopcami?

Było to retoryczne pytanie i oboje o tym wiedzieli.

- Na zawsze.

- To wystarczy, żeby warto było sprawdzić te panie od mamy. Oczy Sam zabłąsły.

- Pat posłała po ciebie odrzutowiec. Masz być na lotnisku jutro rano o ósmej. Samolot wyleciał już z Denver.

Kane nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. W końcu wydał ni to chichot, ni to jęk, objął Sam ramieniem i ucałował w policzek.

- Czy wyglądam na tak samotnego, jak się to zdaje wam, kobietom?

Nawet bardziej, pomyślała Sam, ale zachowała to dla siebie. Cieszyła się, że Kane znajdzie się między ludźmi.

## 2

Wiecie, co idealnie ostudza męskie zapały? Nie nie śmiech gdy facet szaleje z namiętności. Idealnym gwarantowanym kubłem zimnej wody na męskie zapały czymś na co możesz postawić każde pieniądze, jest powiedzenie mu że więcej zarabiasz

Faceci uważają że jest całkowicie w porządku jeśli jakaś tępą odmóżdżona paniusia dziedziczy miliony w końcu wcześniej jakiś mężczyzna zarobił tę forszę. Ale wiercie mi, nie lubią dowiadywać się, że istota płci odmiennej zgarnęła ostatniego roku milion czterysta tysięcy dolarów i, co więcej zarobiła wszystkie te pieniądze sama, samiuteńka bez żadne, ale to żadnej męskiej pomocy.

Pięć lat temu liczyłam sobie dwadzieścia pięć wiosen wykonywałam nudną nie rokującą żadnych perspektyw pracę im mniej mowy na ten temat, tym lepiej i mieszkałam w

nudnej, zapadłej mieścinie na środkowym zachodzie o której nie powiedziec nic to i tak powiedziec za duzo. Jak zawsze zeby czymś się zająć i uratować umysł przed skostnieniem opowiadałam sobie różne historie. Wiem, byłam tylko ćwierć cala od granicy, za którą czyha rozdziwienie jaźni, ale już we wczesnej młodości odkryłam, że albo dam nura w świat wyobraźni, albo i tak dostanę kręćka. Mój ojciec bał się własnego cienia dlatego na każdym kroku domagał się od rodziny absolutnego posłuszeństwa. Musiałam nosić to, co dyktował, jeść to, co kazał, lubić to co zarządził ruszać się tam, gdzie wskazał. Kontrolował każdy odcinek mojego życia, dopóki w wieku osiemnastu lat nie uciekłam, ale zanim to nastąpiło, odkryłam, że mam coś, czego kontrolować nie może- mój umysł. Co prawda musiałam nosić się na niebiesko, kiedy wolałam czerwień, i zakazywano mi piwa imbirowego, bo ojciec go nie cierpiał, ale zawartością swojej głowy rządziłam sama. W myślach robiłam to, co chciałam, chodziłam tam, gdzie mi się podobało, wypowiadałam te wszystkie mądre wnioski, do którym sama dochodziłam i byłam chwalona za ich wygłaszanie (Mój ojciec miał skłonność do bicia po wygadanych buziach co bardzo skutecznie wpływało na zachowywanie własnych myśli dla siebie )

Kiedy miałam dwadzieścia pięć lat mieszkalam kilka mil od domu rodziców i starałam się, jak mogłam by zaoszczędzić tyle pieniędzy zeby wystarczyło na bilet w jedną stronę, a więc spisałam jedną z tych historyjek. Tak powstała moja pierwsza powieść kryminalna. Zabójczynią była młoda kobieta która pozbyła się ojca tyrana. Po napisaniu pomyślałam sobie. A co mi szkodzi? I wysłałam ją do wydawnictwa. Nawet nie marzyłam o tym, że ją wydrukują. Pewnie wielu ludzi ma serdecznie dosyć ojców i małżonków którzy kierują za nich ich życiem, bo po dwudziestu ośmiu dniach dostałam list z zapytaniem czy mogą wydać moją książkę i czy zgadzam się łaskawie przyjąć za to kupę forsy.

Pomyślałam wtedy. Ale granda! Ci ludzie są gotowi zapłacić mi za coś co robiłam przez całe życie.

Nadal tak myślę.

Za honorarium przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Nigdy przedtem nie mieszkalam w wielkim mieście ale wydało mi się, że to odpowiednie miejsce dla pisarza bo byłam już pisarzem, nie znudzonym nikim balansującym na krawędzi rozdziwienia jaźni wynajęłam małe mieszkanie i kupiłam komputer.

Przez następne cztery lata rzadko kiedy podnosiłam głowę znad klawiatury. Tłukłam jedną powieść za drugą. Wykończyłam znieawidzonego wujka. Wykończyłam kilka koleżanek z pracy, które zadzierały nosa a w kolejnym bestsellerze wykończyłam całą bandę kibicujących licealistek.

Podczas tych czterech lat ujrzałam zupełnie inny świat niż ten w jakim wyrastałam. Ludzie byli pod wrażeniem mojej zaradności. Na pewno powiedziałam wam że ojciec był tyranem ale czy wspomniałam też że był najbardziej leniwym stworzeniem pod słońcem? O ile mi się zdaje w pracy był popychadłem nigdy nikomu nie umiał się postawić i inni nim rządzili. Natomiast w domu swoją wściekłość wylewał na mnie. Matka dawno temu schroniła się we własnym niewidzialnym świecie i używanie sobie na niej nie dawało mu żadnej rozrywki Ja natomiast dostarczałam mu prawdziwej satysfakcji: płakałam cierpiałam kipiłam z wściekłości i czułam niesprawiedliwość tego wszystkiego.

Ale mimo wszystkich swoich wad ojciec sprawił, że wyrosłam na osobę zaradną i nieustraszoną. Wiercie mi, po tym, jak się pożyło z kimś takim jak mój ojciec, nic, co ktoś inny mi powie lub zrobi, nie może mnie już mocno zranić. Sadyści biorą swoje ofiary pod lupę, natomiast większość ludzi jest zbyt skupiona na sobie, by przejmować się innymi. I tak dzięki treningowi, jaki przeszłam w dzieciństwie, zostałam bardzo zaradną kobietą interesu. Pisałam nieustannie, sama negocjowałam warunki umów, bez żadnego wsparcia inwestowałam zarobione pieniądze i po czterech latach kupiłam poddasze przy Park Avenue. Osiągnęłam sukces - i miał on iście olśniewające wymiary.

A jakie miałam życie osobiste? Myślę, że żadne. Moja redaktorka wyciągała mnie od czasu do czasu z domu, a gdy pisałam bez przerwy całymi dniami, nawet dostarczała mi jedzenie. Ale redaktorki nie przynoszą zaproszeń na randki. Autorzy, którzy się zakochują autorzy, którzy prowadzą życie towarzyskie - nie piszą. Myślę, że gdyby to zależało od wydawnictw, zamknęłyby wszystkich swoich najlepiej sprzedających się pisarzy w wieżowcach przy Park Avenue, przysyłały im żywność i nigdy nie wypuszczały poza mury. Więc po pięciu latach pisania, po zarobieniu milionów, po zdobyciu światowej sławy zdecydowałam się przyjąć zaproszenie Ruth Edwards i pojechać na dwutygodniową wyprawę konną po bezdrożach Kolorado.

Szef Ruth obejrzał film *Mieszczuchy* i zdecydował, że jego menedżerowie płci męskiej zdobędą niezbędne doświadczenie życiowe, jeśli pojedą na konną wycieczkę i odbiorą własnoręcznie cielaka lub coś innego, więc ci oczywiście pojechali. Na nieszczęście, szef w ostatniej chwili uznał, że jego małżeństwo ma priorytet i pofrunął z żoną na Bermudy, a jego menedżerowie mieli hartować się na twardzieli żując fasolę i zwęgloną wołowinę. Oczywiście, po powrocie wszyscy oświadczyli, że przeszli prawdziwą szkołę życia, i szef nigdy nie zobaczył tarczy do rzutków przykrytej mapą Kolorado, na której wyrysowano w środku koński łeb.

Po powrocie męskiej części załogi szef oznajmił, że wszystkie pracowniczki powinny udać się na podobny rajd i odnaleźć ten sam głęboki spokój ducha, jakiego zakosztowali panowie. Ponieważ, jeśli nie liczyć sekretarek cały żeński zespół - który zarządzał firmą podczas dwutygodniowego pobytu mężczyzn w Kolorado - składał się z Ruth, dowiedziała się, że ma sobie dobrać trzy przyjaciółki i jechać z nimi.

Wtedy właśnie zatelefonowała do mnie. Nawet zdobywając się na krańcowy wysiłek wyobraźni nie można nazwać Ruth i mnie przyjaciółkami. Byłyśmy razem w college'u i na pierwszym roku sąsiadowaliśmy przez korytarz. Ruth przyszła na świat w bogatej rodzinie i kochający rodzice wzięli sobie za cel życiowy podtykać córeczce pod nos wszystko czego chciała podczas gdy ja jechałam na pożyczce rządowej, co weekend zasuwałam do domu ojca strzygłam trawniki prałam i zaspokajałam nienasyconą ojcowską potrzebę pomniejszania najbliższych. Pochodzenie nie dawało Ruth i mnie wiele wspólnego materiału do konwersacji.

Poza tym była Ruth jako taka Wysoka z burzą gęstych czarnych włosów które zawsze układały się tak, jak ona sobie życzyła. Miała fantastyczne ciuchy i należała do dziewcząt które nawet do grubej zwykłej bluzy wiążą na szyi apaszkę od Hermesa więc stale otaczał ją wianuszek pryszczatych przysadzistych dziewczuch z olśnionymi gałami. Adoratorzki stale się zmieniały gdyż nie wystarczało im sił na bieganie na posyłki dla Ruth i wielbienie jej, więc płynność składu akolitek była spora

Ponieważ ja zawsze miałam nos w książce obserwowałam Ruth wyłącznie z dala dobra obserwowałam ją z zazdrością roiłam sobie że jestem brzydkim kaczątkiem i pewnego dnia podskoczę o stopę włosy zaczną mi się kręcić, i stanę się duszą towarzystwa zamiast zawsze mówić nie to co trzeba nie wtedy kiedy trzeba - i nie miałam pojęcia że ona wie o moim istnieniu.

Nie doceniałam Ruth Żadna kobieta która przed trzydziestką potrafiła osiągnąć szczytową pozycję w swojej specjalności nie powinna być niedoceniana.

Zadzwoiła i naopowiadała mi jak to jest dumna z moich sukcesów jak to śledzi je od lat i jak bardzo zazdrościła mi w college'u

- Naprawdę? - usłyszałam samą siebie Zadając to pytanie wywaliłam oczy jak jakaś smarkula Ty zazdrościłaś mnie?

Chociaż wszystko mówiło mi że każde słowo które słyszę to bujanie gościa byłam pochlebiona. Opowiedziała mi, jak to obserwowała mnie w szkole i widziała szacunek jakim darzyli mnie inni studenci chociaż ja pamiętam jak wszystkim zależało jedynie na tym by zrobić mnie w pisaniu ich prac semestralnych. Ale że Ruth nie ustawała w pieniach

pochwalnych na mój temat nie przerwałam jej. Ludzie nie mają pojęcia jak pisarze są rozpaczliwie spragnieni pochwałą. Jest takie powiedzenie do pisania potrzeba jednego najgorszego dzieciństwa jakie tylko da się przeżyć. Będąc dzieckiem starałam się zrobić wszystko by zasłużyć na pochwałę ojca dostawałam same piątki wykonywałam dziewięćdziesiąt procent obowiązków domowych zabierałam mądrze głos wtedy kiedy wydawało mi się że on tego ode mnie oczekuje i starałam się siedzieć jak mysz pod miotłą wtedy, kiedy tego się po mnie spodziewał. On tymczasem czerpał rozkosz ze zmieniania zasad i niemówienia mi o tym. Zwykłam widzieć siebie w roli glinianej kaczuszki na odpustowej strzelnicy. Przesuwam się i czasem facet z wiatrówką mnie załatwia, a czasem wychodzę nietknięta. Miałam więc co prawda ekscytujące dzieciństwo, ale gdy dorosłam, gotowa byłam zrobić prawie wszystko za pochwałę. Nie można kupić mnie za pieniądze, krzyk nie jest w stanie zmusić mnie do zrobienia czegokolwiek wbrew mojej woli, ale rzućcie mi kilka słów pochwały i jestem wasza.

Więc Ruth naopowiadała mi wiele wspaniałości na temat mojej osoby i o tym że przeczytała wszystkie moje książki. Co zastanawiające, w ulubionym utworze Ruth ofiara była wzorowana na niej. Nie dość tego. Zabójca ogolił jej głowę, brwi i rzęsy, aby nawet w trumnie wyglądała okropnie.

W każdym razie wyznała, że musi jechać na tę wycieczkę do Kolorado i chce, żebym się z nią wybrała, co pozwoli nam „odnowić” przyjaźń.

Przyznaję z obrzydzeniem: to wszystko zamąciło mi w głowie. Wyobraziłam sobie, że teraz, gdy zdobyłam sławę i bogactwo, kobiety pokroju Ruth uznały mnie za równą sobie. Przestałam być nikim z małego miasteczka. Teraz jestem Kimś.

Na nieszczęście, kolejny raz nie doceniłam Ruth albo może przeceniłam ją bo zaledwie dotarłam do Kolorado, olśniło mnie, że zaprosiła mnie tylko po to, aby wyrzeć wrażenie na swoim szefie. Po powrocie do Nowego Jorku będzie mogła mu powiedzieć, jak to zaprosiła swoją dobrą starą przyjaciółkę, autorkę bestsellerów, Cale Anderson.

Pojęłam to nie prowadząc żadnego śledztwa. Kiedy tylko wysiadłam z małego jak zabawka samolociku, ze śmigłem na grubej gumce, obok jakiegoś Chandler, stan Kolorado, Ruth przebiegła przez lotnisko i rzuciła mi się na szyję. Wspaniałe. W twarz wepchnęła mi podejrzenie twarde cycki, w ustach miałam pełno jedwabnej apaszki, a mój starannie nałożony makijaż zupełnie się rozmasał. Za Ruth, tak jak w college'u, stały dwie kobiety i patrzyły na nią z uwielbieniem.

- Cale - powiedziała Ruth - to Maggie i Winnie.

Nie wyjaśniono mi, która jest która, ale jedna była tłusta i mrugnęła do mnie, a druga była chuda i mała, i z miejsca wiedziałam że zaraz zaczną mnie pouczać o zaletach ziołolecznictwa

Uśmiechnęłam się na przywitanie i zastanowiłam czy nie wrócić biegiem do samolociku ale pilot szarpnął za gumkę i maszyna furkocząc jak lokomotywa oddaliła się pasem startowym. Stało przy nim kilka hangarów jeden zamknięty a w drugim przysięgam na Boga to prawda zobaczyłam dwupłatowiec z czasów pierwszej wojny światowej. Popatrzyłam jeszcze raz na Ruth i ona i jej satelitki nie wydały mi się wcale takie straszne. Wtedy Ruth uśmiechając się rzuciła przez ramię

- Kochana Cale będziesz taka miła i weźmiesz moją niebieską walizkę? Nie daję sobie z tym wszystkim rady.

Jakim cudem potrafię negocjować wielomilionowe kontrakty i dostać czego chcę potrafię pisać o kobietach które umieją walczyć o swoje, ale gdy stoję twarzą w twarz z taką Ruth stać mnie tylko na to by kipiąc z wściekłości targać za nią jej przeklętą walizkę? Czy to dlatego że matka mnie nie kochała? Niech to diabli! Matka nie pamiętała że żyję dopóki toaleta nie domagała się posprzątania więc należałoby się spodziewać że mogę nienawidzić Kobiet. Zamiast tego byłam gotowa zrobić wszystko aby przypodobać się jednej z nich.

I tak to wyglądało duchowo byłam zdrowa i wściekła a fizycznie dźwigałam cholerną walizkę Ruth razem z trzema własnymi podążając za jej dwoma żołnierzami również obciążonymi bagażem jaśnie pani podczas gdy jej królewska wysokość wolna jak ptak fruwała przed nami ku Bóg wie czemu. My byliśmy szeregowcami a ona generałem wiodącym do ataku.

Zanim dobrnęliśmy do skraju pasa to było prywatne lotnisko więc nie czekała tam na nas żadna miła wygodna hala przylotów - Ruth zahamowała i niedbałym skinieniem dłoni nakazała nam postawić bagaże.

O, dzięki ci, łaskawa pani, pomyślałam, opuściłam jej drogą walizkę i spoczęłam na niej.

Ruth adorowana spojrzeniami swoich dwóch kurdupli - o ile pamiętam, żadna z akolitek nigdy nie dorównywała jej wzrostem lubiła niskie i zaniedbane - powiedziała:

- Ktoś powinien tu na nas czekać.

Rozglądała się po lotnisku marszcząc brwi. Nie widać było żywego ducha i jakoś nie chciało mi się wierzyć, aby Ruth była kiedykolwiek wystawiona na czekanie.

Bardzo mało dowiedziałam się o tej całej wyprawie. Instrukcje Ruth były nad wyraz skąpe, ale za to opowiedziała mi ze szczegółami, dlaczego uwielbia *Koniec z kibicowaniem*. To jeden z najlepszych moich pomysłów: uczennica liceum ma po dziurki w nosie opuszczania piątkowych zajęć z chemii, kiedy to musi kiblować na sali gimnastycznej i dopingować bandę durniów uganiającą się za piłką więc wysadza w powietrze wszystkie kibicujące dziewczuchy, udowadniając raz na zawsze, że chemia jest bardziej użyteczna niż koszykówka. W każdym razie pławiłam się w pochwałach Ruth i gdy oznajmiła: „Zostaw wszystko mnie”, usłuchałam gładko. Przecież do tej pory byłam już przekonana, że to jeden z największych geniuszów naszych czasów.

A teraz siedziałam sobie w słońku Kolorado. Za jedyne pocieszenie mogła mi tylko posłużyć nadzieja, że na pewno wykorzystam to doświadczenie do napisania książki. Może zabójcą uczynię pisarkę kryminałów? Wykończy wysoką brunetkę, Edwinę Ruthan, i umknie karzącej ręce sprawiedliwości. A może na końcu policjant powie: „Wiem że ty to zrobiłaś, ale chodziłem z Edwina, więc sądzę, że wyświadczyłaś światu przysługę. Jesteś wolna. Tylko nie rób drugi raz tego samego.”

Oczywiście, coś takiego nigdy by się nie zdarzyło, bo jedynymi stworzeniami, które bardziej uwielbiały Ruth niż nie mające własnego życia kobiety, byli mężczyźni. Niscy mężczyźni, wysocy mężczyźni, brzydki mężczyźni, fantastyczni mężczyźni, mężczyźni każdego rodzaju - wszyscy ją podziwiali. Jakimś cudem te całe pięć stóp osiem cali Ruth potrafiło wmówić mężczyznom że jest maleńka, urocza i rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Potrzebuje pomocy tak jak King Kong. Jak Cybill Shepherd nie ma kawalera na szkolną potańcówkę.

W jakieś dwie minuty po tym, jak zdecydowałam się opuścić ten stan na zawsze, niebieski pikap zahamował przed nami z piskiem kół. „Przed nami” to eufemizm. Furgonetka zatrzymała się tak, aby kierowca mógł przyjrzeć się Ruth. Reszta nas - zgrzana, zmęczona, znudzona, siedząca na walizkach Ruth - miała widok na koła i podrapaną karoserię.

Popatrzyłam na Ruth i zorientowałam się, że kierowca jest gdzieś między dojrzwaniem a męską menopauzą ponieważ zmarszczki natychmiast znikły z czoła Ruth i zastąpiło je rozflirtowane spojrzenie, z jakim oparła się o pikap od strony fotela pasażera.

- Czy pan Taggart? - zamruczała jak kotka.

Chciałabym umieć mrużyć jak kotka. Gdyby podjechał sam Mel Gibson to i tak pewnie usłyszałyby ode mnie. Spóźniłeś się

Z auta zahuczał czyjś głos i nawet ja poczułam w nim męskość Albo kierowcą był kowboj ujeżdżający ogiery albo nauczyciel jakiegoś byka szoferki

Ruth zatrzepotała rzesami i zakwiliła

- Nie wcale się pan nie spóźnił To *my* jesteśmy za wcześnie  
Cóż za kretynstwo!

- Oczywiście że panu wybaczymy co dziewczyny? - zapytała spoglądając na nas z uwielbieniem w oczach Nie nazwano mnie dziewczyną od tak dawna że niemal mi się to podobało.

Otworzyły się drzwi i tuż przed sobą zobaczyłam jak koła ciężarówki koła ubłocone męskie koła, unoszą się do góry. Przysłano jakiegoś wielkoluda. Nadal znudzona zastanawiając się czy gdzieś w tej pipidówce przyjmują American Express co pozwoliłoby mi się stąd wydostać przyglądałam się jego nogom kiedy obchodził auto. Nosił kowbojskie buty ale nie były uszyte ze skóry żadnego egzotycznego zwierza i wyglądały na bardzo zużyte. Kopał nimi krowie placki?

Właśnie w chwili gdy obchodził tył pikapa kichnęłam więc zobaczyłam go jako ostatnia. Najpierw ujrzałam Maggie i Winnie - a może Winnie i Maggie Odebrało im mowę i miały otwarte usta.

No wspaniale pomyślałam siąkając nos. Przysłali jakiegoś przystojnego kowboja. Niech oczaruje miejskie paniusie.

Ze wstydem przyznaję że kiedy sama podniosłam oczy zareagowałam tak fatalnie jak duet i gorzej niż nasza nieustraszona przywódczyni.

Nazywał się Kane Taggert i był cudowny czarne kręcone włosy ciemne oczy ciemna karnacja bary takie że łoś zzieleniałby z zazdrości, a wyraz twarzy miał tak słodki i łagodny że kolana zrobiły mi się jak z waty. Gdybym nie siedziała to padłabym plackiem na ziemię

Ruth nie przestając trzepotać rzęsami przedstawiła nas i wyciągnął rękę by się ze mną przywitać. Siedziałam bez ruchu i patrzyłam na niego.

- Jesteśmy wszystkie trochę zmęczone wyjaśniła Ruth i przeszyła mnie wzrokiem a zaraz potem złapała największą walizę usiłując wrzucić ją na platformę auta. Dawno temu nauczyła się że najszybszą drogą do zwrócenia uwagi mężczyzn na siebie jest branie się za męskie obowiązki

Kowboj Taggert natychmiast przestał mi się przyglądać, przyczym wyglądał, jakby usiłował sobie przypomnieć język migowy, i pospieszył z pomocą naszej drogiej Ruth. Osobiście byłam zdumiona, że wie, gdzie jest rączka walizki - uprzednio nie tykała tych przedmiotów.

W tym właśnie momencie do wszystkich nas dotarł dźwięk, który słyszeliśmy tysiące razy na filmach, ale którego nigdy nie chcielibyśmy usłyszeć naprawdę: szelest łusek grzechotnika. Pan Taggert miał w rękach ciężką walizkę, a Ruth stała koło niego tak blisko, że miałam nadzieję, iż używa jakiegoś środka antykoncepcyjnego. Sześć cali od jej lewej stopy leżał zwinięty grzechotnik. Wyglądało, że ma poważne zamiary.

Byłam najdalej od węża i najbliżej drzwi auta, więc pan Taggert odezwał się do mnie.

- Otwórz drzwi. - Mówił spokojnie, cierpliwie. - Pod fotelem kierowcy jest rewolwer. Wyjmij go, obejdz auto i podaj mi go.

W sytuacjach alarmowych potrafię sama szybko myśleć. Nie należę do ludzi którzy zamieniają się w słup soli i od razu spostrzegłam że ten plan ma mnóstwo dziur. Po pierwsze jak Taggert chce strzelić, skoro ręce ma zajęte siedemdziesięciopięcioletnią walizką Ruth? A po drugie dużo czasu zajmie mi obejście auta może więcej, niż wąż zamierzał zostawić Ruth.

Powoli otworzyłam drzwi pikapa. Poza łuskami grzechotnika które szeleściły strasznie głośno na tym wietrznym polu tylko ja się poruszałam. Powoli schyliłam się i kiedy wyciągnęłam rewolwer, odetchnęłam z ulgą. Miałam nadzieję, że nie będzie to jeden z tych ciężkich gnatów, do utrzymania których trzeba łap drwala. To był milutki, ładniutki dziewięć milimetrowiec i wystarczyło go wziąć w jedną rękę, odbezpieczyć wymierzyć i wypalić.



Co zrobiłam. Trochę się trzęsałam, więc nie całkiem odstrzeliłam głowę biednemu wężykowi - w gruncie rzeczy reagował tylko na nagrzaną walizkę Ruth - ale na pewno go zabiłam.

Wtedy wszystko wydarzyło się równocześnie. Kowboj cisnął walizkę na ziemię, w sam czas, by złapać Ruth, która osunęła się w jego wielkie, silne ramiona, podczas gdy Winnie i Maggie łkając padły sobie w objęcia.

Mnie pozostawiono samą sobie. Stałam z dymiącym rewolwerem w dłoni. Popatrzyłam na Ruth estetycznie udrapowaną na opalonych ramionach kowboja i najlepiej, jak umiałam, odegrałam Matta Dillona. Stanęłam na szeroko rozstawionych nogach, dmuchnęłam w lufę, a potem schowałam rewolwer do kieszeni spodnicy.

- Dobra, Tex - wycedziłam. - Kolejny lokator na Boot Hill. Niepotrzebne było magisterium z psychologii, by ocenić, że kowboj jest zły. Prawdę mówiąc, patrzył tak jakby chciał złapać mnie za *szyję* i zacisnąć dłonie, ale ponieważ było w nich pełno omdlałego ciała Ruth, mógł tylko przeszywać mnie złowieszczym wzrokiem. Pomimo że był obładowany to kiedy zaczął ku mnie iść, usunęłam się na bok. Zapewne w Kolorado nie pozwalano na publiczne morderstwa, ale nie chciałam kusić losu.

Ale on tylko złożył swój cenny ładunek na siedzeniu pikapa - Ruth nadal grała omdlałą jednak po drzeniu rzęs wiedziałam, że jest równie świadoma jak ja - i kazał chudej admiratorce siąść obok. Pewnie chętnie zatrzasnęłyby z hukiem drzwi, lecz hałas mógłby zmącić sen Śpiącej Królowej.

- Winnie? - Maggie? - i ja stałyśmy z boku, a on wrzucał walizki, po cztery naraz - na platformę.

- Wsiadaj - powiedział do drugiej z wielbicielek i posłuchała go z szybkością, jeśli nie z wdziękiem, gazeli.

Następnie zwrócił się do mnie. Twarz mu gorzała i w tamtej chwili zdecydowałam, że nie wsiadę do auta i nie pozwolę się wywieźć Bóg wie gdzie.

- Słuchaj - powiedziałam wycofując się ja tylko zastrzeliłam węża. Przepraszam, jeśli uraziłam twoją męską wrażliwość ale...

Może to nie był właściwy sposób przemawiania do kowboja. Musi być jakaś przyczyna, dla której wielcy przystojni mężczyźni są półgłówkami, a małe paskudy są łebskie. Jest tak jakby Bóg chciał sprawiedliwości, jakby mówił: „Dostajesz urodę ale nie mózg, a ty tam dostajesz mózg, ale nie urodę. Więc mówienie do tego super stworzenia o niuansach psychologii może nie było najlepszą rzeczą. Zastanawiało mnie, czy posiadał umiejętność czytania i pisanie.

-Kiedy rozkazuję, masz mnie słuchać. Zrozumiano?

Nagle i gwałtowne opuściłam Kolorado. Przestałam być nagradzaną autorką byłam małą dziewczynką której ojciec kontrolował wszystko. Tak szybko jak zostałam przetransportowana w przeszłość powróciłam do teraźniejszości, ale wściekłość małej dziewczynki mnie nie opuściła.

- Prędzej mnie szlag trafi - powiedziałam i zaczęłam obchodzić pikapa

Kiedy mnie złapał dostałam szału. Nikt nie tknął mnie od czasu ucieczki z domu i nikt nie miał prawa dotykać mnie teraz. Kopałam gryzłam walczyłam i drapałam, chcąc się uwolnić. Nie wiem jak długo trwało nim wróciłam do rzeczywistości i uświadomiłam sobie, że trzyma mnie za ramiona i trzęsie jak osiką. Ruth i jej chuda admiratorka gapiły się na mnie przez tylne okienko, a wielbicielka siedząca na platformie kulila się za walizkami Ruth, jakby w obawie że mogą zaatakować ją następną.

- W porządku? zapytał kowboj.

Na cudownym policzku miał trzy krwawe zadrapania, które ja mu zrobiłam. Musiałam opuścić wzrok.

- Chcę do domu - zdołałam wyszeptać.

Do mojego ślicznego mieszkania z dała od Ruth i jej kowboja. Z dała od mojego zażenowania.

- Dobra – powiedział. Przemawiał do mnie tonem, jakiego używa się wobec niebezpiecznych wariatów. - Po powrocie na ranczo załatwię ci transport ale tutaj to niemożliwe. Rozumiesz mnie?

Wściekł mnie ten pełen wyższości ton Popatrzyłam na niego. Przestał mi się wydawać taki przystojny jak na początku.

- Nie nie rozumiem cię Może powinienes mówić trochę wolniej, a może powinienes wezwać facetów w białych ubrankach.

Nie wydało mu się to zabawne bo złapał mnie za rękę i wrzucił na auto z równą finezją z jaką ładował walizki. Byłam w połowie na zewnątrz, ale wcisnął gaz i rzuciło mnie w tył. Na szczęście, wylądowałam nie zraniona na bardzo miękkim ramieniu Winnie-Maggie. Nie zwracałam sobie głowy pytaniem, jak ma na imię.

Byłam międzynarodowej sławy pisarką siedzącą na platformie brudnego pikapa. Ciężka walizka zaczęła przygniatać mi łydkę i czworo ludzi myślało, że zwariowałam. Czy Mary Higgins Clark przeszła coś takiego?

### 3

- Co ci się stało? - spytał Sandy podnosząc wzrok znad kuchennego stołu i widząc na twarzy Kane'a wściekłość równie wyraźnie jak trzy krwawe zadrapania.

Nie odpowiedział, dopóki nie nalał sobie solidnej miarki whiskey MacTravit i nie pochłonął jej jednym łykiem.

- Za głupotę zostałem trzykrotnie oznakowany - odparł, napelnił po raz wtóry szklaneczkę i odwrócił się do starszego mężczyzny.

-Czy napisano jakieś książki na temat stosunków między matkami i synami?

Sandy uśmiechnął się. Twarz pokryło mu tysiące zmarszczek, skutek długiego przebywania w słońcu na dużych wysokościach.

-Parę setek, może tysiąc - rzekł. - Co Pat zrobiła tym razem?

-Namówiła mnie na zabranie bandy idiotek w góry. Doprowadziła do tego, że poczułem się winny z powodu dzieci i...

Przerwał i popił whiskey.

- Poznałeś te baby?

- Nie. Może mi o nich opowiesz.

Kane z niedowierzaniem potrząsnął głową.

-Jedna wsadziła mi rękę za koszulę i obmacała, druga wypytała o zaparcia, a następna...

Sandy zmarszczył brwi, gdy Kane znowu nalał sobie kolejkę, bo wiedział, że nie ma zbyt mocnej głowy.

-Ta mało mnie nie zastrzeliła, a potem dostała szału. Jeśli nie zamorduje nas we śnie, to na pewno spłoszy konie.

- A co z czwartą? Kane uśmiechnął się.

-No, czwarta to Ruth.

Sandy musiał się odwrócić, aby Kane nie dostrzegł rozbawienia na jego twarzy. Pat wyraźnie dała do zrozumienia, że zmuszając owdowiałego syna do wyprawy z tymi kobietami, chodziło jej o zainicjowanie romansu i sądząc po idiotycznym wyrazie twarzy Kane'a, plan się powiódł.

-Muszę do nich wracać. Nie mam pojęcia, z czym wyskoczy ta wariatka. W głównym budynku są strzelby. Może zechce odgrywać Annie Oakley i sprawdzi, czy zestrzeli wsuwki do włosów z głów tamtych kobiet.

-Jest aż tak źle? - Sandy zmarszczył czoło.

- Nawet gorzej. - Kane osuszył szklaneczkę. - Porozum się z tatą przez radio Niech przyleci helikopter i zabierze ją. Nie chcę jej tu widzieć jest niebezpieczna.

- Frank wziął helikopter do stanu Waszyngton. Ma jakieś sprawy w kopalniach Tynana.

- Niech to diabli! - zaklął pod nosem Kane. - Słuchaj, przekaż ojcu meldunek. Niech zorganizuje transport. W ostateczności niech podeśle ciężarówkę do Eternity. Jak będę musiał spędzić tu całe dwa tygodnie z tą babą to jeszcze ją zamorduję.

- Lepiej się z tym wstrzymaj. Twojej matce może nie spodobać się martwy żółtodziób.

- To wcale nie jest śmieszne. Nie poznałeś jej. - Kane wziął głęboki oddech. - Zrobię, co mogę, żeby wytrzymać do jej wyjazdu. W porządku? Porozumiesz się zaraz z ojcem przez radio?

Kane wyszedł z drewnianej chaty, a Sandy kiwając posłusznie głową podszedł do radia nadać meldunek.

Gdy Kane wkroczył do wielkiego, piętrowego budynku, zobaczył małą pisarkę kryminałów i zaraz pomyślał, że ciekawe, czy wszystkie jej utwory opowiadają o ludziach, którzy nastawiali na jej życie. Jeśli tak, rozumiał, dlaczego to robili. Choć obiecał Sandy'emu, że z nią wytrzyma, to gdy zobaczył ją samą, spróbował wysliznąć się po cichutku z pokoju.

- Mam cię! - powiedziała, najwyraźniej szalenie rozbawiona tym, że przyłapała go na próbie ucieczki.

Kane odwrócił się i starał się przywołać uśmiech na twarz. Była jego gościem, czy może dokładniej gościem jego sąsiada, i wypadało zachować się wobec niej jak na dobrego gospodarza przystało. Parter głównego wzniesionego z bali budynku to było jedno pomieszczenie, natomiast sypialnie mieściły się na piętrze. Siedziała przy barze i wyglądała na rozbawioną. Nie umiałby wyjaśnić, czemu budziła w nim tak wielką niechęć, ale to uczucie przepełniało go bez reszty. Była całkiem ładna i gdyby zobaczył ją na ulicy, może obejrzałby się za nią ale robiła wrażenie tak zadowolonej z siebie, tak przekonanej o własnej wartości, że w głowie miał tylko jedno pragnienie - uciec od niej jak najdalej.

Zmusił się do uśmiechu i wszedł za bar.

-Masz ochotę się czegoś napić? Musisz być spragniona po długim locie.

-Nie boisz się, że mogę narozrabiać, kiedy się upiję?

Ta myśl nurtowała go rzeczywiście i rozszyfrowany poczuł gorąco na twarzy.

-Nie łam się, Tex - wycedziła przesadnym akcentem południowca i oparła nogi na sąsiednim stołku barowym. – Mam mocny łeb, nie gorszy niż inni.

Zacisnął rękę na butelce whiskey. Ta kobieta nie tylko go drażniła. Wszystko, co mówiła, robiła sugerowała, napomykała, doprowadzało go do wściekłości. Nie zawracając sobie głowy pytaniem, na co ma ochotę, zmieszał słaby dżin z tonikiem, nie dodał lodu i podając jej szklankę nie zdobył się na uśmiech.

Popatrzyła na drinka i po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy ludzki wyraz. Przy pierwszym spotkaniu przyglądała mu się jak artyście cyrkowemu i zastanawiał się, czy nie jest opóźniona w rozwoju. Potem zastrzeliła węża, po czym wyła i drapała pazurami. Teraz wyglądała na trochę zasmuconą ale ten wyraz twarzy znikł i pojawiła się drwina.

-Twoje zdrowie kowboju - powiedziała

Ujął ją za przegub i nie pozwolił wychylić toastu

-Nie nazywam się kowboj.

Odstawiła szklankę i przyjrzała mu się marszcząc brwi

- Co cię tak bardzo dotknęło dziś po południu? To że nie zrobiłam tego co mi kazałeś czy to że nie dałam ci odegrać roli bohatera i samemu uratować panny Ruth?

Bardzo powoli wyszedł zza baru i stanął przed nią. Nie spuszczać z niej oczu wsunął stopę między jej nogi i oparł but o stół. Kiedy zobaczyła dziurę po kuli w czubku buta gdyby przeszła o ułamek cala w prawo oderwałyby palce u nogi zdobyła się na tę uprzejmość

i okazała lekki wstrząs. Ale zmieszanie nie na długo zagościło na jej twarzyczce. Wpakowała palec w dziurę, dotknęła palca - kula oderwała również strzęp skarpetki - i powiedziała:

-Ta mała świnka poszła na targ, ta mała świnka została w domu, ta mała świnka...

Kane nigdy, nawet w dzieciństwie, nie skrzywdził dziewczyny. Jego starszy brat Frank wypalił mu raz kazanie, gdy w pierwszej klasie wrócił do domu z podbitymi oczami, o co postarała się Cindy Miller. Kane nie oddał jej. Stał i pozwolił się okładać, aż przyszła nauczycielka i odciągnęła Cindy. Nauczycielka oświadczyła później, że nie wie, czy Kane jest bohaterem czy głupcem. Frank nie miał tak ambiwalentnych uczuć: nazwał Kane'a bałwanem.

Ale w tej chwili Kane zapragnął zrobić krzywdę tej dziewczynie. Chciał ją udusić i zanim uświadomił sobie, co czyni, pochylił się nad nią z wyciągniętymi rękami.

-Tu jesteście! - powiedziała Ruth, spływając po schodach w ślicznej sukience z czerwonego jedwabiu.

Kane był pewien, że przeżył koszmarny sen na jawie, z którego nagle został wytracony. Wyprostował się i zobaczył małą pisarkę kryminalów zmykającą ze stołka. Podbiegła do Ruth, jakby szukała u niej obrony. Kane musiał się odwrócić, ogarnięty zgrozą na myśl o tym, co zamierzał uczynić.

-Jak to dobrze, że jesteś! - powiedziała Cale do Ruth. - Mieliśmy najnudniejszą w świecie rozmowę o żeberkach wieprzowych. Chcesz się czegoś napić? Kowboj Taggert robi znakomity, ciepły i słaby dzin z tonikiem.

-Zrobię to, na co masz ochotę - oświadczył Kane, powstrzymując galopadę serca w piersiach i nie patrząc na tę potworną babę stojącą blisko Ruth.

-Kieliszek schłodzonego białego wina - poprosiła z wahaniem Ruth i Kane uśmiechnął się do niej.

-Proszę, papużki nierozłączki zamruczała Cale ale Kane bohatersko nie zwrócił na to uwagi. Może ignorowana uświadomi sobie, że jest tu niepożądana i zostawi ich samych

Podając Ruth kieliszek spojrzał w jej ciemne oczy i pomyślał, jak pięknie wyglądałyby te czarne włosy rozrzucone na poduszce.

- Rety, zdaje mi się, że wam zawadzam - powiedziała Cale.-Kane musiał się odwrócić. Ruth nie powinna oglądać wściekłości na jego twarzy.

Opanował się wreszcie i podszedł do okna, licząc na to, że Ruth pójdzie w jego ślady, a gdy się tak stało, pomyślał, jak naturalne byłoby, gdyby objął ją w pasie. Była tak podobna do jego żony, że jego ramię dopasowałoby się idealnie do ciała Ruth, ale obecność tej blondynki nie pozwalała mu wprowadzić chęci w czyn. Nie mógł być sobą.

Zobaczył Sandy'ego. Prowadził do domu dwa osiodłane konie

-Kto to? - spytała Ruth.

-Sandy. Faktycznie nazywa się J. Sanderson - Kane uśmiechnął się do niej, zauważając, jak wieczorne światło kładzie się jej na włosach. - Nikt nie wie, od czego jest to „J.” więc zawsze mówiliśmy do niego Sandy. To mój daleki krewny.

Cale zerknęła zza ramienia Ruth na Kane'a.

- Który z nich jest twoim krewnym? Ten z brązowym siodłem czy ten z czarnym?

Kane nie wiedząc, co czyni, rzucił się na nią. Przeskoczył przez oparcie fotela, a ona tymczasem wydała jęk przestrawu, wspięła się na kanapę, przeskoczyła oparcie i pomknęła do drzwi. Kane dopadł ją kiedy wpadła na Sandy'ego wchodzącego do pokoju. Jednym skokiem schroniła się za starcem, oparła ręce na jego biodrach i użyła go jako tarczy.

Kane był zbyt zagniewany by ogarnąć sytuację. Jego jedynym celem było zabić tę kobietę. Sięgnął za Sandy'ego, aby ją złapać, ale umknęła mu, więc odepchnął starca na bok.

- Kane! - huknął mu do ucha Sandy. Był to głos człowieka, który zmieniał Kane'owi pieluchy.

Znowu poczuł się tak, jakby budził się z koszmaru. Przez chwilę stał tylko mrugając oczami, potem dotarło do niego, co zamierzał zrobić. Ta kobieta, na wpół ukryta za Sandym,

wyglądała jak szkolna skarżypyta, która właśnie wykonała swoją dzienną normę złośliwości i była teraz z tego dumna. Sandy okazywał niesmak i był wstrząśnięty zachowaniem Kane'a, który z kolei nie śmiał spojrzeć na Ruth. Zażenowanie wprawiło go w taki paraliż, że wciąż stał nieruchomo.

Sandy posłał mu jeszcze jedno karcące spojrzenie, objął tę kobietę ramieniem i wprowadził z pokoju. Wychodząc kręciła triumfalnie krągłym tyłeczkiem.

#### 4

Sandy musiał przyznać w duchu, że zachowanie Kane'a było dla niego szokujące. Znał chłopaka od kołyski i zarówno Kane jak i jego brat bliźniak byli miłymi, słodkimi dzieciakami zawsze gotowymi udzielić pomocy temu, kto jej potrzebował. Zawsze spali w stajni z chorymi końmi i płakali, kiedy wąż zabił psa. Zawsze byli skorzy do śmiechu, szczęśliwi i chętnie dzielili się swoim szczęściem z innymi.

Więc gdy Sandy wszedł do domu i zobaczył Kane a nastającego na życie uroczej, drobnutkiej istotki płci pięknej, z początku nie wiedział, jak zareagować. Najbardziej zdumiał go sam fakt, że Kane w ogóle zdobył się na jakąś reakcję. Od śmierci żony, co zdarzyło się pięć lat temu, zamknął się w sobie. Poza synami nikt nie potrafił go rozżłościć czy zasmucić; wyglądało na to, że nic go nie zachwyca, nie budzi w nim zawodu, nie nudzi. Po prawdzie, nic na świecie nie było w stanie go poruszyć.

Gdy Pat wyznała Sandyemu, co chce osiągnąć dzięki tym czterem kobietom i że nawet wybrała jedną z nich na przyszłą synową nie śmiał się. Miał nadzieję, że ktoś lub coś przywróci Kane'a do życia i jeśli mogła tego dokonać jakaś wdowa, był gotów poprzeć każdy podstęp wiodący do tego celu.

Ale gdy Sandy wszedł do domu, Kane nie czarował żadnej pięknej wdowy; biegał po meblach za drobną jak łasiczka dziewczyną. Starzec musiał przyznać w duchu, że był tym tyleż zaintrygowany co oszołomiony.

- To ty zastrzeliłaś węża? - zapytał młodą kobietę, idącą w milczeniu obok niego. Była śliczną niebieskooką blondynką i gdyby nie to, że przed chwilą widział ją w akcji, uznałby, że musi być bardzo nieśmiała i milcząca.

- I dostałam fioła - odburknęła. Nieznacznie usztywniła przy tym ramiona, jakby szykowała się do obrony.

- Masz ochotę powiedzieć mi, co się wydarzyło?

- Nie za bardzo - odparła.

Sandyemu bardzo zależało na relacji drugiej strony o zaszłych wydarzeniach.

- Kane twierdzi, że o mały włos go nie zabiłaś, a potem wpadłaś w histerię. Często histeryzujesz i używasz broni?

Siląc się na poważny wyraz twarzy patrzył, jak blondyneczka daje się złapać na tę przynętę. Na śliczną twarzyczkę kolejno wystąpiło kilka odcieni czerwieni - od różu do purpury. Za rumieńcem sypnęły się słowa.

- Uratowałam życie tej niewdzięcznej babie! - wybuchnęła i opowiedziała Sandyemu o tym, że Kane trzymał walizkę, więc gdyby ona nie zdecydowała się na szybkie działanie, wąż mógłby ukąsić Ruth.

Sandy słuchał i uśmiech niął mu z twarzy. Kane odmalował mu wizerunek kobiety pozbawionej piątej klepki, a tymczasem zachowała się rozsądnie i naprawdę wyglądało na to, że uratowała Ruth życie.

- A co było dalej? - spytał łagodnie. - Przestraszyłaś się i uległaś nadmiernemu podnieceniu?

Byłby w stanie to zrozumieć, lecz ona uciekła od niego wzrokiem, znów zrobiła się czerwona, ale tym razem raczej z zakłopotania niż z wściekłości. Widział, jak walczy ze sobą nie wiedząc, czy wyznać mu prawdę, więc stał i czekał cierpliwie, podczas gdy ona

podejmowała decyzję.

Westchnęła rozdzierająco i powiedziała:

- No, hm... ojciec często wściekał się na mnie i... sprawiał mi lania... i kiedy twój kowboj mnie dotknął, to odbyłam jakby małą podróż w czasie.

Po tych słowach zastygła, spozierając wojowniczo, jakby prowokując go do jakiegoś komentarza. Wyglądała trochę jak zabijaka z małego miasteczka, który właśnie okazał się wcale nie taki twardy.

Sandy pokiwał ze zrozumieniem głową ale nie skomentował tego, co usłyszał.

-Znasz się coś na koniach?

-Wiem, gdzie ma łeb, a gdzie nogi, ale to cała moja wiedza. Wyszczrzył do niej zęby.

-Może byś tak pomogła mi je rozsiodłać i opowiedziała, gdzie nauczyłaś się tak obchodzić z bronią?

-Chyba nie dość się nauczyłam bo o mały włos nie odstrzeliłam kowbojowi nogi.

Sandy *szedł* nie odwracając głowy, ale słyszał skruchę w jej głosie, gdy nazwała Kane'a „kowbojem”.

-Przeprosiłaś go?

-Ha! Prędzej umrę.

Przyjrzał się jej zagadkowo spod runda kapelusza. Uniosła głowę do góry. Zwinęła dłonie w pięści, usta zacisnęła w wąską linię.

-Ty jesteś fryzjerka, wdowa czy ta, co to ma ten śmieszny sklep?- Zanim zdążyła odpowiedzieć, zabłyśły mu oczy. - Pisziesz kryminały!

-Tak - odparła nadal zagniewana, ale popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. - Moja następna książka będzie nosiła tytuł: *Śmierć kowboja*. Jak myślisz, jaki rodzaj śmierci byłby odpowiedni? Zaplątanie się we własne lasso i uduszenie? Może grzechotnik w zrolowanym kocu? - Uśmiechnęła się szerzej. - Może zakażenie krwi od brudnej kuli, która oderwała mu wszystkie palce u nóg!

Sandy krztusząc się ze śmiechu otworzył przed nią drzwi stajni.

-Właż i opowiedz mi resztę tej historii. Lubię dobre opowiadki.

-To szybko mnie polubisz - rzekła rozradowana - bo znam ich mnóstwo. - Zmarszczyła brwi i wymruczała: - Byłoby wspaniale, gdyby był tu ktoś taki jak ja.

## 5

- W brew pozorom wcale nie chciałam, żeby kowboj Taggart mnie znieawdził. Zawsze marzyłam żeby mnie lubiano. Zawsze chciałam wejść do pokoju, usłyszeć westchnienie ulgi towarzystwa i słowa: „Jest Cale. No, to wreszcie zacznie się zabawa.” Oczywiście, nigdy do tego nie doszło. Mole książkowe rzadko są zapraszane na przyjęcia a gdy im się to przytrafia mają zwyczaj siedzieć w kącie i obserwować.

Pomogłam w stajni temu cudownemu kochanemu staruszkowi, Sandy’emu i udawałam że nic mnie nie dręczy. Poprzysięgłam sobie wytrwać w tej postawie do końca wyprawy. Za dziesięć lat ten kowboj wspomni mnie i powie. „Ta mała pisarka kryminałów była całkiem do rzeczy.”

Spisywałam się wspaniale przez całe dwadzieścia cztery godziny. Do obiadu zasiedliśmy wszyscy przy okrągłym stole - i milczałam jak głaz. Nie pisnęłam słówka, kiedy kowboj pochylał się nad Ruth i po raz setny dolewał jej wina do kieliszka. Nie pisnęłam słówka, kiedy chuda zaczęła gadać o magicznych przyrządach. Nawet się nie zaśmiałam, kiedy gruba wylała kowbojowi wino na podolek i wzięła się za wycieranie czerwonej plamy na jego kroczu. Grzecznie powiedziałam wszystkim dobranoc i poszłam do pokoju, planując zarys następnej książki.

Ale moją najsilniejszą i najlepszą cechą charakteru jest umiejętność koncentracji, co

znane jest również jako zdolność do popadania w obsesję, i to właśnie przytrafiło mi się tej nocy.

Dlaczego mężczyźni nie potrafią przejrzeć takich kobiet jak Ruth? Dlaczego są tacy tępi, jeśli chodzi o kobiety? Długie nogi, bujna pierś, akry włosów na głowie i kobieta może mieć każdego mężczyznę jakiego zapagnie.

Dręczyło mnie że czułam pociąg - silny pociąg - do jakiegoś wielkiego durnego kowboja, gdy tymczasem on patrzył na mnie tak jakby chciał mnie potraktować trutką na szczury.

Byłam grzeczna przy śniadaniu podczas gdy Ruth i ten półgłówek robili do siebie słodkie oczy i dopatrywali się drugiego dna w zdaniach typu „Podaj mi, proszę, miód.” Nic w życiu nie jest tak nudne jak towarzyszenie parze kochanków. Każde słowo jest dla nich źródłem radości, każdy gest jednej strony to wcielenie piękna w oczach drugiej. Świat zaczyna się i kończy na nich.

Odgryzłam kawałek grzanki i obserwowałam, jak kowboj patrzy na Ruth był człowiekiem straconym. Co do Ruth, to po jej oczach można by sądzić, że uczestniczy w tej grze całym sercem. Od czasu do czasu zerknęła triumfalnie na duet Maggie-Winnie, jakby chciała powiedzieć: „Popatrzcie, na co mnie stać.” Prawdopodobnie szykowała się do wielkiej, łzawej sceny finałowej, podczas której nastąpi rozdzierające pożegnanie. Ale biedny, tumanowaty Taggert wyglądał tak, jakby chciał zawiązać fartuch na idealnie utrzymanej kibici Ruth i postawić ją za kuchennym blatem. Przez moment zakosztowałam wielkiej przyjemności wyobrażając sobie Ruth w kuchni: zniszczone linoleum na podłodze, zasłonki z farbowanej przędzy, smród smażonej cebuli, gorąco tak, że można smażyć befsztyki na kuchennym blacie, trójka wyjących dzieciaków uczepiona jej napuchniętych, czerwonych, nie ogolonych nóg.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Sandy'ego, który uśmiechał się do mnie, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę, więc mrugnęłam i pozdrowiłam go, dla żartu unosząc szklankę z sokiem pomarańczowym.

Zanim minęło popołudnie, zachowywałam się tak grzecznie, że chyba nabrałam nadmiernej pewności siebie, bo popsułam wszystko.

Wsiedliśmy na konie i ruszyliśmy leśnym szlakiem. Poprzednio siedziałam na koniu tylko dwa razy w życiu ale jak się nad tym dobrze zastanowić to jeździectwo wcale nie wymaga tak wielkiego wysiłku umysłowego. Nie mówię tu o ujeżdżaniu ani skokach przez przeszkody do czego potrzeba wielu lat praktyki i treningu ale siedzenie na dobrze wykarmionym zadowolonym z życia zwierzęciu które zna szlak nie wymaga żadnych umiejętności.

Ale Ruth i duet nie patrzyły na to w ten sposób. Znając pochodzenie Ruth spodziewałam się, że jest znakomitą amazonką tymczasem prawdę mówiąc bardzo się bała. Śmiertelnie się bała i brzydziła wielkich szerokich chrapów owłosionych warg i tęgich zadów. Kiedy wytrzeszczając oczy ze strachu wdrapywała się na siodło prawie ją lubiłam. Naprawdę musiało jej zależeć na pracy skoro wspięła się na zwierzę budzące w niej takie przerażenie.

Późnym popołudniem dałam kolejny popis. Zsiadłyśmy wszystkie z koni obolałe, zmęczone i przeważnie nie odzywając się słowem Ruth jechała za Taggertem i jedyne rozmowy na szlaku toczyły się między tą dwójką. Chuda część duetu usiłowała wciągnąć mnie w rozmowę na temat wegetariańskich potraw, ale gdy powiedziałam, że jem wyłącznie fury mięsa, zamknęła się i przestała się do mnie odzywać. Za sobą miałam Sandyego, więc słyszałam tylko milczenie lasu i było bosko.

Ale kiedy zsiadłyśmy z koni i większość grupy powędrowała do lasu skorzystać z toalet, zerknęłam na Ruth i zobaczyłam w jej oczach dziwny błysk. Poprzednio masowała sobie krzyż i jeśli była tylko w połowie tak obolała jak ja, to na pewno cierpiała. Nie wiem, o czym myślała, ale pewnie nie myślała wcale. Cierpiała ból, a przyczyną tego bólu było

spokojnie żujące zwierzę stojące przed nią.

Rękami trzęsącymi się z wyczerpania zapaliła papierosa. A potem z wyrazem twarzy złośliwego bachora zgasiła tego papierosa na gładkiej szyi niczego nie podejrzewającego konia.

Wtedy wszystko nastąpiło jednocześnie.

Koń zarżał, wszedł na nią bokiem, przewrócił i zaczął tratować. Mogłam tylko podbiec, starając się wepchnąć między zwierzę i Ruth, ale było rozjuszone i czuło ból; część grzywy zajęła się ogniem i dymiła. Najlepiej jak umiałam złapałam wodze jedną ręką a drugą tłukłam po płonących końskich włosach, usiłując mu powiedzieć, że jest bezpieczny i nikt mu już nie zrobi krzywdy. Podczas tego zamieszania Ruth prawdziwa żmija, wysliznęła się i zostawiła mnie samą z koniem.

Ogromny kowboj przybiegł depcząc poszycie jak yeti. Zmierzał wprost do mnie i miał twarz wykrzywioną wściekłością. O co mu chodzi? - pomyślałam. Czym tym razem zasłużyłam sobie na jego gniew?

Ruth zgodnie z ustaloną przez siebie strategią rzuciła się kowbojowi w silne opiekuńcze ramiona łkając obficie ale nie niszcząc sobie przy tym makijażu i błagając o ratunek Taggert trzymał ją w uścisku ale spoglądał przy tym złowieszczo na mnie. Uspokajałam biednego oparzonego konika. Zastanawiałam się jak zareagowałaby Ruth gdybym wyjawiała kowbojowi co zrobiła zwierzęciu.

- Powinnaś mnie zawołać wydusił Taggert przez zęby.

W ciągu sekundy tysiąc zdań przemknęło mi przez głowę. Mogłam go zapoznać z prawdą o jego ukochanej; mogłam mu wykazać, że gdybym go zawołała i czekała na jego przybycie to na środku ślicznej buziuchny Ruth mógłby teraz figurować odcisk kopyta. Ale nie broniłam się. Powiedziałam tylko.

- Jesteś naprawdę szurnięty wiesz? Najnormalniej, najzwyczajniej szurnięty.

Wpuściłam wodze i odeszłam w las.

Czy jest na świecie gniew bardziej wrzący bardziej przenikający do głębi niż gniew wywołany niesłusznym oskarżeniem? Czułam się jak węgiel z płonącego przez cały dzień ogniska. Najmniejsza zachęta i wybuchnęłabym jak wielki pożar lasu. Stałam między drzewami nie widząc niczego z zaciśniętymi pięściami, czując się jak męczennica To było nie *fair*. To było naprawdę absolutnie nie *fair*.

Mój gniew nigdy nie trwa długo i tym razem też tak było. Po kilku minutach zdusiłam go w sobie i pękł jak mydlana bańka. Nie ruszałam się z miejsca, drżąc z napięcia i wyczerpania, i ku mojemu obrzydzeniu łzy napłynęły mi do oczu.

Usłyszałam kroki za plecami. Otarłam łzy wierzchem dłoni i zobaczyłam Sandy'ego. Był wyraźnie przejęty.

- Nie wiem, co się dzieje z Kane'em - rzekł. - Zwykle nie jest taki. Zwykle...

Zasada numer jeden której przestrzegałam w domu mojego ojca nigdy nie daj poznać po sobie że cię coś dotknęło. Jeśli odkryją twój ból, zadadzą ci większy.

Uśmiechnęłam się i odezwałam najpogodniej, jak potrafiłam.

- To moja wina. Zawsze wchodzę mężczyznom na odcisk Gdybym piszczała ze strachu i ogarnięta zgrozą chowała twarz w dłoniach pewnie karmiłby mnie teraz koniakiem i pasztetem z gęsich wątróbek.

Sandy zachichotał.

- Pewnie tak. - Chwilę milczał, a potem spytał: - Jaka jest Ruth? Mogłam tylko wywrócić oczami. Czy opowiedzieć mu o przypaleniu papierosem?

- Kane... - Sandy zawahał się. - Zdaje mi się, że szuka żony. Wcześniejszy obraz Ruth przy kuchni wrócił do mnie i bardzo poprawił mu humor. Ale nie zamierzałam oszukiwać tego człowieka. Okazał mi serce i nie zasługiwał na rewanżowanie się kłamstwami.



- I spodziewa się znaleźć ją w Ruth? Ona lubi podboje, ale kiedy osiągnie swój cel szuka następnego. - Pomyślałam o kowboju, który zwymyślał mnie za uratowanie życia Ruth nie raz, lecz dwa. - Myślę, że zasługuję na siebie. Mam nadzieję, że złamię mu serce.

Po chwili milczenia Sandy powiedział:

-A ty jesteś zamężna?

Wiem że myślał o Kanie, którego traktował jak własnego syna. Dlaczego niektórzy ludzie są otaczani miłością bez względu na to, co zrobią a inni nie? Udałam, że nie zrozumiałam pytania.

- Czy to propozycja?

Kiedy się odezwał, był absolutnie poważny.

- Gdybym był dziesięć lat młodszy, starałbym się o ciebie tak zawzięcie, że w końcu oddałabyś mi rękę bylebym tylko się odczepił.

Roześmiałam się z lekkim przymusem, ale nie mogę zaprzeczyć, że poczułam się mile połączona.

- Nie chciałbyś się ze mną ożenić - powiedziałam szczerze. - Jestem zbyt zaradna. Mężczyźni lubią kobiety bezradne, a przynajmniej takie jak Rut, która umie udawać bezradność. A ja jestem nieznośnie zaradna i zawsze zapominam, że trzeba to ukryć.

Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Nie chciałam z nikim rozmawiać. Biorąc pod uwagę mój stan ducha, nie wiadomo było, co zaraz wypalę.

-Wracaj szybko! - zawołał za mną Sandy. - Mamy na kolację ozór bizona.

-Mniammm, moje ulubione danie - odparłam nie zwalniając kroku.

## 6

Cale wyciągnęła się na trawie w ulubionej postawie pisarzy, przy której ciało ma pełne oparcie, co pozwala umysłowi na swobodną pracę i tworzenie. Komponowała opowieść; zabójcą był w niej kowboj tak przystojny, że nikt go nie podejrzewał. Wtem usłyszała nadchodzących ludzi.

Szkoda, pomyślała nie chcąc się ruszać i przerwać fantazjowania, w którym była bez reszty pogrążona. Są ludzie, którzy nie cierpią pisania, nienawidzą wyszukiwania pomysłów, a są i tacy, którzy potrafią w nieskończoność oddawać się tworzeniu. Cale słysząc kroki pomyślała że jeśli zachowa się bardzo cicho, to ktokolwiek się zbliży, zostawi ją w spokoju

Podniosła głowę i zobaczyła Kane a biorącego w ramiona Rut i całującego ją z niewiarygodną delikatnością, jakby była czymś kruchym i cennym. Cale wiedziała że powinna odejść; poruszyła się z tym zamiarem, lecz Kane odsunął się od Rut.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Koń cię nie zranił?

Cale z wielkim zainteresowaniem wsparła głowę na ręce i oczekiwała odpowiedzi. Uznała, że to nie podpatrywanie, tylko zbieranie materiału.

- Czuję się świetnie, Kane - odparła zapytana delikatnie trzepocząc rzęsami. - Nie masz pojęcia, jaka byłam wystraszona przed wyruszeniem na ten rajd. Tak się bałam Wszystkiego - wielkich przestrzeni, zwierząt, przewodników. Myślałam, że będziesz agresywny. - Roześmiała się uwodzicielsko. - Dręczyłam się tym, że każesz nam... podkuwać konie albo coś w tym rodzaju. Więc nie zamierzała mu powiedzieć o przypaleniu konia. Właściwie Cale wcale się tego nie spodziewała. Ruth przerażało tylko jedno - to, że mężczyźni nie będą jej adorować. Oto problem filozoficzny, pomyślała Cale: czy Ruth Edwards istnieje, jeśli nikt na nią nie patrzy?

- Tu, na zachodzie, mężczyźni są tacy sami jak gdzie indziej. Chcemy tego samego, co inni mężczyźni - rzekł basem Kane. Taaak, pomyślała Ruth. Chcą Ruth. Pogładziła go po ramieniu

- Nie wydajesz mi się taki sam jak inni mężczyźni. Nawet ten gość nie powinien dać się

nabrać na ten tekst. A może? Zabrzmiało to tak samo jak zaczepka faceta w barze pod adresem siedzącej kobiety Ale z ciebie ładna dziewczyna itd. Kobiety już nie dawały się na to złapać lecz czy mężczyzna nie nabierze się na wysłużony tekścik Ruth?

- Wolałbym być uważany za takiego mężczyznę jak wszyscy odpowiedział obejmując ją.

Kolejny raz Cale przeceniła sama w ludzkiej skórze. Oto pytanie pomyślała Jaka jest różnica między ogierem podczas rui a podnieconym mężczyzną? Odpowiedź żadna. Obaj są ślepi głusi i bardzo tępi.

Kiedy Ruth i Kane zaczęli się całować Cale odchrząknęła głośno Podłuchiwanie to jedno ale podglądanie to co innego.

Kane poczerwieniał gdy zobaczył Cale ale ta przez jedną sekundę ujrzała to samo co Ruth mężczyznę który ma na twarzy żądzę, a także pragnienie namiętność a może nawet zachłanność Jeszcze bardziej interesujący był wyraz twarzy Ruth. Jeśli się Cale nie myliła kochana drapieżna Ruth bała się kowboja Taggert. Ledwo Kane się od niej odwrócił wykręciła się na pięcie i odeszła do obozu

- Wydaje mi się, że mogę dodać szpiegowanie do twojej listy osiągnięć - powiedział przez zaciśnięte szczęki.

- Byłam tu pierwsza - zaczęła się bronić, ale jego mina sprawiła, że zmieniła ton. - Rozmowa z tobą to strata czasu. Masz wyrobione zdanie na mój temat. - Wstała i chciała odejść, ale próbował ją złapać za rękę. - Nie dotykaj mnie – powiedziała i odsunęła się.

Odezwał się niemal szyderczo:

-Zgadza się. Dotknięcie to jedna z twoich fobii.

-W przeciwieństwie do twoich poglądów na mój temat... Nieważne - urwała i wróciła do obozu.

Sandy przygotował posiłek z fasoli i hot dogów.

Chuda połówka duetu jeździła hot dogiem na talerzu i mruczała jaką wstrętną rzeczą są hot dogi, a tymczasem grubaska czesała Ruth co Kane obserwował z wyraźnym zachwytem. Po kolacji chuda zaczęła opowiadać o kryształach i piramidkach rozwodząc się z dokuczliwą dokładnością nad tym jak piramidki podobno pomagają w życiu seksualnym i wstydliwie sugerując Ruth że powinna zawiesić sobie coś takiego na gałęzi nad śpiworem. Cale z obrzydzeniem odeszła od ogniska kierując się do koni.

- Może zdjęłabyś koszulę i pokazała mi bark?

Starła się nie okazać zaskoczenia na słowa Sandy'ego, ale obdarzyła go promiennym uśmiechem. Po chwili jednak jej uśmiech zgasł, bo tuż za Sandym górowała rosła postać Kane'a.

-Co jest z jej barkiem? - spytał

Sandy odwrócił gwałtownie głowę i warknął:

- Gdybyś myślał głową a nie tym, co masz w spodniach, to byś widział, że zraniła się kiedy po raz drugi nadstawiała karku za Ruth

Ach, słodka sprawiedliwości, pomyślała Cale. Mój rycerz pospieszył mi na ratunek. Czy Sandy zechciałby przenieść się do Nowego Jorku i zamieszkać na poddaszu?

Kane zaczerwienił się i zamruczał, że sam obejrzy bark Cale, ale ta zadarła podbródek do góry, wyprostowała się i pewnym krokiem wróciła do obozu, czując się tak dobrze jak nigdy od przyjazdu do Kolorado.

## 7

Kane kręcił się i wiercił w śpiworze, ubijał to *coś, co miało służyć*, za poduszkę, przewracał się na boki tyle razy, że szelesty nylonu płoszyły sowy, i kłął, ile wlezie. Wiedział, że powinien myśleć o Ruth. Na ile potrafił to ocenić, była idealna. Jej uroczą powierzchowność kryła słodką, delikatną naturę. Niemal widział ją ze swoimi synami; potrafił

wyobrazić ją sobie w ósmym miesiącu ciąży z ich wspólnym dzieckiem.

Ale chociaż próbował myśleć o Ruth - nie potrafił. Zamiast tego widział tylko i słyszał tę nieznośną małą pisarkę. Była jak drzazga, której nie da się wyciągnąć i która jątrzy ranę. Na widok tej małej, przeskakującej przez Ruth i sięgającej po wodze konia, był śmiertelnie przerażony. Jedno poślizgnięcie się i wylądowałyby pod kopytami. Głupotą było mówienie, by na niego poczekała - wiedział o tym, tak jak wiedział, że zrobiła to, co trzeba, ale mimo to drażniła go.

Nie potrafił zrozumieć, czym tak załazła mu za skórę. Może uśmieszkami i przycinkami. Może patrzeniem na Ruth tak, jakby była jakimś robakiem. A może chodziło o okrągłą linię jej tyłeczka.

Dlaczego był na nią taki zły kiedy uratowała Ruth? Gdyby zrobiła *to każda inna kobieta*, byłby szczęśliwy że potrafiła w *lot* pomyśleć i zadziałać, ale ta blondynka nie wiedzieć dlaczego doprowadzała go do wściekłości. A jednak nawet gdy stał i patrzył na nią z wściekłością pragnął wziąć ją w ramiona i otoczyć opieką.

Otoczyć opieką? Równie dobrze mógłby chcieć otoczyć opieką jeża. A jaki jest jeż, każdy wie: mały, kolczasty i niebezpieczny.

Koło trzeciej nad ranem wysunął się ze śpiwora i lasem poszedł dobrze znaną ścieżką do urwiska nad szlakiem. Jutro rano znajdą się w wymarłym miasteczku Eternity, skąd ciężarówka ojca zabierze pisarkę. Potem czekają go długie wspólne dni z Ruth. Będzie miał czas ją poznać i sam da jej się poznać. Będzie miał czas na...

Otrząsnął się z zamyślenia. Poniżej zobaczył błysk reflektorów. Ktoś jechał starą drogą do Eternity. Ale kto to mógł być o tej porze? Zaledwie postawił sobie to pytanie, znalazł odpowiedź: był jakiś wypadek.

Aż nazbyt dokładnie ożyło w nim wspomnienie nocy, kiedy to wrócił do domu i zastał karetkę pod mieszkaniem w Paryżu, które wynajmował dla siebie, żony i nowo narodzonych dzieci. W karetce leżało potrzaskane, bez życia, ciało ukochanej żony. Miał całonocny wyjazd służbowy, a ona na okrągło była na nogach przy dzieciach. Późnym popołudniem siadła z filiżanką herbaty na parapecie, oczekując na męża. Najprościej w świecie musiała przysnąć, straciła równowagę i wypadła z okna.

Teraz Kane nie zawracał sobie głowy pobiegnięciem po konia, ale runął w dół stoku, potykając się o skały i pnie, zapadając w kopczyki zeschniętych liści, ślizgając się po skale. Chciał zatrzymać auto, zanim minie zakręt.

Ostatnie kilka stóp pokonał jednym susem i wylądował na czworakach zaledwie kilka jardów przed samochodem. Kierowca gwałtownie nacisnął hamulec. Trysnęła fontanna żwiru, samochód wpadł w poślizg, odwrócił się bokiem, a kierowca walczył o odzyskanie panowania nad pojazdem i wyprostowanie kół. Auto jeszcze się nie zatrzymało, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i na drogę wyskoczył brat Kane'a, Michael.

-Co ty wyprawiasz, do cholery? Mogłem cię zabić! - krzyknął, nawet nie pomagając bratu się podnieść.

Kane powoli wstał, otrzepał żwir i kurz z ubrania i z rąk.

-Co się stało? Czemu jesteś w Kolorado?

Mikę oparł się o maskę samochodu, jakby bolał go każdy mięsień.

Byli bliźniakami jednojajowymi, podobnymi do siebie jak dwie krople wody; mieli dokładnie ten sam wzrost, rozmiary, oczy i kolor włosów. Przez całe życie byli sobie bliscy, tak bliscy, że czasem porozumiewali się bez słów. Wielokrotnie niezależnie od siebie mieli te same poglądy i myśli, i często zdarzało im się kupować, nie wiedząc o tym, taką samą koszulę i nosić ją z tej samej okazji. Nigdy nie mieli przed sobą sekretów a gdy któryś z nich dowiadywał się czegoś, zawsze najpierw dzielił się wiadomościami z bratem

-Gratuluję - powiedział cicho Kane bo nawet nie poinformowany wiedział, że bratowa właśnie powiła bliźniaki. Przez długą chwilę trwali w mocny m uścisku miłości i zrozumienia

Wreszcie odsunęli się od siebie szeroko uśmiechnięci.

-A więc? - zapytał Kane świadom, że brat wie iż pierwszym pytaniem będzie: „Dlaczego wyjechałeś z Nowego Jorku

Mike przetaił twarz gestem wyrażającym zmęczenie i rozdrażnienie.

-To było nie do zniesienia. Po pierwszych bólach Samantha postanowiła, że dzieci przyjdą na świat w Chandler, Kolorado, i mama musi być przy tym. Nikt nie potrafił przemówić jej do rozumu, a potem... no zaczęła płakać, więc Blair i ja załadowaliśmy ją i twoich chłopców do odrzutowca i poleciliśmy. Sam była spokojna, ale ja i Blair dostawaliśmy obłędu. A gdyby dzieci przyszły na świat w samolocie i potrzebowały czegoś czego nie było pod ręką? Sam powtarzała, że nie powinniśmy się denerwować że chłopcy zaczekają póki nie będą mogli zobaczyć babci. Tato i mama czekali z karetką na lotnisku. Kiedy tylko dojechalismy do szpitala, wody zesły i dzieciaki wyskoczyły jak korki od szampana - Mike przerwał i uśmiechnął się szeroko. - Można by się spodziewać, że przyjdziecie na świat moich dzieci będzie intymną sprawą ale mama, tato, Jilly, Blair i dwie pielęgniarki tkwili na Sali porodowej. Oczekiwałem, że lada chwila ktoś zacznie krążyć z tacą z kanapkami.

Narzekania Mike'a nie oszukały brata. Mike był w siódmym niebie, po tym jak synowie przyszli na świat w ramionach jego rodziców; był w siódmym niebie, bo jego rodzina kochała Samanthę równie gorąco jak on.

-Sam ma się dobrze? Dzieciaki też?

-Taaa, mają się świetnie. Wszyscy są w znakomitej kondycji, ale...

-Co „ale”?

-W szpitalu jest jeden dom wariatów. Krewni, których w życiu nie widziałem na oczy, zjeżdżają się jeden za drugim.

Mike nie musiał tłumaczyć bratu, że chce mieć żonę i dzieci tylko dla siebie, że chce być z nimi sam na sam. Kane to rozumiał. Przez dwa tygodnie po przyjeździe na świat jego synów rodzina żony krążyła wokół nich tak, że czuł się wręcz przyduszony. Teściowa należała do kobiet, które uważają że mężczyźni nie powinni zmieniać pieluszek, więc Kane'owi rzadko kiedy pozwalano dotknąć malutkich synków. Dopiero gdy wyjechała, mógł wziąć w ramiona żonę i dzieci, dotknąć ich, pogłaskać, potrzymać.

Spoglądając na brata, rozumiał frustrację i zazdrość, które nim targały. Wyobrażał sobie Mike'a na progu szpitalnego pokoju, obserwującego procesję krewniaków spędzających z jego nowo narodzonymi synami więcej czasu niż on. Kane'a też kiedyś często gryzło to, że któreś z niemowląt pierwszy raz uśmiechnie się nie do kogoś innego, a nie do własnego ojca.

Objął Mike'a po kumplowsku.

-Wiesz, co mi się marzy? Chciałbym ściągnąć tu moich chłopców. W tej grupie są same kobiety i jestem pewien że zepsułyby ich ze szczętem.

-Taaa - odrzekł ponuro Mike. - Chcesz, żebym ich tu przywiózł?

-Sam pojechałbym po nich do Chandler.

Mike był tak pochłonięty swoją niedolą że początkowo nie zrozumiał.

-Zaczekaj. Chcesz, żebym został, a ty pojedziesz?

-Chodzi tylko o jedną dobę. A poza tym chcę zobaczyć moich bratanków. Są tak samo brzydki jak ty?

Ten stary dowcip nigdy nie zawodził.

-Skąd mam wiedzieć, jak wyglądają? - Mike westchnął. - Rodzinka nie dopuszcza mnie do nich.

-A czemu miałyby cię dopuszczać? Zrobiłeś swoje i nie jesteś już potrzebny. - Kane roześmiał się z ponurej miny brata. - Mówię poważnie. Muszę... muszę odpocząć od tego.

-Odpocząć? Byłeś z tymi kobietami zaledwie kilka dni. - Mike uniósł pytająco brew. - Co się tu dzieje?

Kane przedstawił swoją wersję ostatnich dni, mówiąc Mike'owi, jak cudowna jest Ruth i jak do niczego jest duet.

-A ta pisarka kryminałów? Sam uwielbia jej książki i chciałaby ją poznać.

Po chwili milczenia Kane wręcz eksplodował stekiem wyzwisk. Opowiedział o tym jak mało nie odstrzeliła mu stopy wbiegła pod kopyta rozwścieczonego konia w ogóle cały czas była drzazgą w tyłku

- Gdziekolwiek spojrzę zawsze się pojawi. Kiedy jesteśmy razem z Ruth szpieguje nas. Mówi na mnie kowboj Taggert i pyta czy przy liczeniu muszę stawiać kreski na ziemi.

Mikę przygryzł wargi aby nie wybuchnąć śmiechem.

- To nic śmiesznego. Ta kobieta jest wariatką - oświadczył Kane a potem opowiedział Mikeowi o ataku jej hysterii po zastrzeleniu węża. - Zagoiło się już ale na policzku miałem trzy zadrapania od jej pazurów

-Nie mogła zadrapać cię tak głęboko, jeśli już się zagoiło.

Mikę i Kane rzadko miewali odmienne zdanie. Matka powiedziała, że byłaby to walka z cieniem, więc po spojrzeniu Kane'a Mikę ustąpił. Doba to niedługo, a Sam nawet się nie dowie, że męża nie ma w domu. Może pozostanie tu przez cały dzień wcale nie było takim złym pomysłem.

-Niech ci będzie - rzekł. - Widzimy się w Eternity jutro wieczór.

## 8

Kiedy nastał ranek byłam zadowolona, że to mój ostatni dzień na rajdzie. Nie cierpiałam uchodzić za oferkę, a jeszcze bardziej nie cierpiałam być niecierpana. Przez kilka chwil leżałam w śpiworze i wymyślałam zabawne historyjki, jakimi uraczę redaktorkę po powrocie do Nowego Jorku. Zemszczę się opisując całemu wydawnictwu eskapadę w dzikie ostępy Kolorado. Jeszcze lepiej napiszę książkę po której cały świat będzie się śmiał z wielkiego kowboja i jego pożądanego do dwulicowej kobiety!

Czując się o niebo lepiej i pełna życzliwości względem całego świata wygrzebałam się z tego zniechęconego śpiwora, naciągnęłam na siebie dzinsy czy jest coś gorszego niż spanie w ubraniu?

Wzięłam saszetkę z kosmetykami i udałam się do strumienia sprawdzić czy zdołam zeszkrobać trochę brudu z twarzy. Jak mi się poszczęści pewnie złapię jakiegoś grzyba w czystej górskiej wodzie i umrę straszną śmiercią.

Właśnie skończyłam się pucować gdy usłyszałam za plecami ciężkie stąpanie. To był nasz nieustraszony przywódca albo ostatni ocalały dinozaur..

Jak zwykle zatrzymał się tuż-tuż, niewątpliwie przesywając mnie wściekłym wzrokiem gotów oświadczyć, że coś sknociłam Ignorowałam go tak długo jak się tylko dało, aż wreszcie podniosłam głowę, ale ku mojemu zdziwieniu ujrzałam mężczyznę, którego nigdy przedtem nie widziałam.

-Och! - krzyknęłam. - Myślałam, że to ktoś inny.

To chyba zaskoczyło tego faceta. Ależ tumany wyrastają w tym Kolorado. Wielkie, przystojne, dobrze zbudowane, kompletne tumany.

-A kogo się spodziewałaś? - zapytał.  
Wstałam i przyjrzałam mu się.

- Nie wiem, czy ci to ktoś powiedział, ale trochę przypominasz... naszego przewodnika.

Mężczyzna wyszczerzył się do mnie, jakby usłyszał coś, na co czekał całe życie, i pomyślałam: Wspaniale. Poprzednio nie udało mi się powiedzieć ani zrobić niczego, co przypadłoby do gustu tamtemu facetowi, a ten wydaje się być zadowolony byle zdawkową uwagą. Oczywiście, porównanie do naszego kowboja-przywódcy mogło pochwalić temu gościowi.

Podał mi łapę.

-Ty pewnie jesteś Ruth. Jestem brat Kane'a, Mike.  
Potrząsnęłam jego ręką i wyprowadziłam go z błędu.

-Nie jestem Ruth. Jestem Cale Anderson i twój brat mnie nie cierpi.

Nie wiem, czy sprawiły to słowa „nie cierpi”, czy fakt, że nie okazałam się czarującą Ruth, o której najwyraźniej wiele słyszał, ale był zбитy z tropu. Stał, otwierał i zamykał usta, i wyglądał jak pracujące ludzkie serce pokazywane w jednym z tych programów telewizji oświatowej.

-Ale Ruth jest... Ruth i Kane... myślałam...  
Rany, pomyślałam, toż to orzeł intelektu.

Jakby czytał mi w myślach. Przestał odgrywać dogorywającego karpia. Uśmiechnął się i nie puszczał mojej ręki, chociaż próbowałam ją wyrwać.

-Słuchaj - rzekł - przepraszam za omyłkę. Kane powiedział mi, że są z Ruth stałą parę, więc kiedy nie wiedziałas, kim jestem, wziąłem cię za Ruth.

Teraz wszystko stało się jasne! Teraz wszystko zaczęło do siebie pasować. Jeśli po raz pierwszy widzę jakiegoś faceta to muszę być Ruth Edwards. Oczywiście. Jasne jak amen w pacierzu.

Mike roześmiał się puścił moją rękę i usiedliśmy na ziemi. Zaczął opowiadać mi wielce zawikłaną historię o tym jak to jego brat i on są bliźniakami jednojajowymi. Taaa jak najbardziej, i ja jestem bliźniaczką jednojajową. Kathleen Turner pomyślałam. Zapewne dostrzegł mój sceptycyzm, ale zaczęłam się śmiać gdy zapewnił mnie że przez następne dwadzieścia cztery godziny będzie udawał że jest Kaneem. Równie dobrze ja mogłabym podawać się za O J. Simpsona

Wsluchiłam wszystkiego co miał mi do opowiedzenia po gratulowałam mu przyjścia na świat potomstwa i nawet odpytałam o dzieci Kane a lecz nadal uważałam go za głupka jeśli myślał że ktoś weźmie go za brata

Skończył roześmiał się z mojej miny i zapewnił że mu się uda Przy okazji zapytał z całą powagą.

-Kto jest przystojniejszy ja czy brat?

Nie chciałam go urazić ale prawdę mówiąc jeśli chodzi o wygląd to Kane mieści się w zupełnie innej klasie. Z całym taktem na jaki było mnie stać powiedziałam.

- Jesteś całkiem przystojnym facetem Mike ale Kane

Nie skończyłam, bo Mike wybuchnął głośnym śmiechem i cmoknął mnie w oba policzki. Nie wiem, co mu się tak spodobało, ale był zdecydowanie w dobrym humorze.

Ponieważ uparł się, że naprawdę zdoła podszyć się pod brata, spędziliśmy jakieś pół godziny nad strumieniem dyskutując, jak będziemy się do siebie odnosić na rajdzie. Opowiedziałam mu o Winnie-Maggie i kiedy się zaśmiał, zrozumiałam, że znalazłam widownię, i dałam z siebie wszystko. Początkowo byłam ostrożna co do Ruth, ale śmiech Mike'a i jego rozbawione oblicze - im bardziej rechotał z moich żartów, tym bardziej przystojniał - dodały mi skrzydeł. Takich skrzydeł, że zakończyłam improwizowaną parodię Kane i Ruth, po której Mike związał się ze śmiechu po ziemi.

- Przy okazji - powiedziałam, kiedy nadal się zaśmiewał - Kane naprawdę nie cierpi mnie serdecznie.

Starał się pokazać że jest tym wstrząśnięty lecz po iskierkach w jego oczach wiedziałam iż Kane ostrzegł go przede mną. Mike uznał mnie za tę dobrą dlatego sądził że zobaczył Ruth.

- Dlaczego cię nie cierpi?

Powiedział to takim tonem jakby nie wierzył że ktokolwiek na całym świecie może mnie nienawidzić. To było przyjemne bardzo bardzo przyjemne i uśmiech jaki mu posłałam wyrażał niemal miłosne oddanie.

- Może nie jesteś tak przystojny jak twój brat, ale chyba bardziej mi się podobaś. Nie zostałbyś na cały rajd?

Nie wiedzieć dlaczego to też mu się spodobało i wstając pomógł mi się podnieść.

Wiecie niech mi ktoś wytłumaczy na czym polega erotyczna fascynacja? Dlaczego z dwóch stojących obok siebie przystojniaków jeden cię podnieca a drugi nie? Oto byłam sama w lesie z fantastycznym facetem który zaśmiewał się z moich żartów i któremu najwyraźniej bardzo się podobałam ale żywiłam do niego wyłącznie siostrzane uczucia. Jasne miał żonę i dwoje dzieci prosto z opakowania ale od kiedy to obrączka na palcu mężczyzny tłumi seksualną fascynację? Z drugiej strony Kane Taggert w najlepszym wypadku krzywił się na mój widok w najgorszym wrzeszczał. On nie cierpiał mnie ja nie cierpiałam jego. Ale ile to razy rozmarzona zastanawiałam się czy całą skórę ma cudownie złotą czy też jego brzuch jest biały jak u żaby?

Poszliśmy z Mike'em do obozu. Po drodze opowiadał mi, jak jego żona przepada za moimi książkami. Wyłoniło się obozowisko Sandyego i rozdzieliliśmy się. Byłam gotowa przyglądać się, jak Mikę robi z siebie durnia próbując udawać Kane'a.

Trudno opisać co przeżyłam gdy ludzie zaczęli traktować Mikea jak Kane a Nawet Sandy burczał że Kane siedział za długo w lesie i nic nie pomógł. Mało nie zachichotałam kiedy Mikę mrugnął do mnie konspiracyjnie. Jaką rozkoszą było czuć się lubianą!

Wszystko szło gładko gdy mężczyźni siodłali konie i przygotowaliśmy się do wyjazdu. Mikę sprawdził, czy strzemiona mojego siodła mają dobrą długość i kiedy przekonał się że tak jest, spytał, dlaczego koń Ruth ma przypaloną szyję. Chciałam mu powiedzieć, ale nie mogłam. W podstawówce za wiele nasłuchiwałam się wycia dzieciarni. Skarżypyta, skarżypyta!" żebym teraz męła ozorem. Powiedziałam że nie mam pojęcia ale poczerwieniałam jak pomidor i Mikę warknął.

- Ktoś powinien dać ci lekcje oszukiwania. Oczyszczenie z zarzutów to istna błogość. Wędrowaliśmy przez kilka godzin i Mikę bez reszty poświęcił uwagę Ruth. Droga się poszerzyła i mógł jechać obok niej. Za nimi podążały jej panny służące. Wyglądały tak, jakby lada chwila miały spaść na ziemię i tylko kurczowe trzymanie się lęków ratowało je przed nieszczęściem. Sandy i ja zamykaliśmy tyły. Żadne z nas nie było zbyt rozmowne. Obserwowaliśmy Ruth i Mike'a.

O zmierzchu dotarliśmy do rozpadającego się miasteczka Eternity. Stało tam kilka budynków krytych szarą zniszczoną przez wiatr i deszcz szalówką. Szyldy zwisały z fasad. Na jednym z nich był napis „Paryż Pustyni”, co mnie rozbawiło. W milczeniu jechaliśmy szeroką główną ulicą zarośniętą chwastami. Skierowaliśmy się do wielkiego domu na skraju miasteczka. Sandy powiedział, że tam się zatrzymamy.

Po dojechaniu na miejsce zmęczona i obolała zsiadłam z konia. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam Mike'a idącego ku mnie z siodłem Ruth przerzuconym przez ramię.

- Ruth jest dokładnie taka, jak mówiłaś - rzucił mi w przelocie.

To natychmiast poprawiło mi humor. A także dodało energii. W godzinę później pomogłam Sandyemu i Mikeowi przysmażyć hamburgery. Przy kolacji zawałam sprawę

- Podałbyś mi musztardę Mikę? – poprosiłam.

Oczywiście wszyscy zamarli i popatrzyli na mnie więc roześmiałam się słabo i powiedziałam że Kane przypomina mi znajomego który nazywa się Mikę stąd pomyłka. Kobiety nie poświęciły temu więcej uwagi ale Sandy na pewno wyczuł pismo nosem. Zrobiło mi się przykro i bardzo chciałam przeprosić Mike'a za zdradzenie sekretu.

Po kolacji pomogłam przy zmywaniu. Nie udało mi się dorwać Mike'a samego - wyglądało na to, że Ruth uczepliła się go na stałe - więc wybrałam się na spacer

Jestem dobrym piechurem i stwierdziłam że chodzenie pomaga mi w myśleniu więc chyba przeszłam kilka mil zarośniętej chwastami drogi zanim dotarłam do ślicznego małego domku. W naturalny sposób wpasował się w ongi rozkoszny ogródek. Kilka róż nadal kwitło

przy werandzie.

-Kiedyś mieszkał tu mój przodek.

Mikę odezwał się cicho, ale mimo to podskoczyłam.

-Przepraszam - rzekł. - Pewnie szukałaś samotności, ale obawiałem się, że mi się zgubisz.

Uśmiechnęłam się do niego. W blasku księżycy był prawie tak przystojny jak jego brat.

-A jeśli chodzi o to wieczorem... - zaczęłam, ale Mikę roześmiał się i powiedział, że Sandy jest przyzwyczajony do żartów bliźniaków i gdy tylko Mikę się wytłumaczył, starsuszek nie miał pretensji.

-Przyniosłem lampę. Chcesz się rozejrzeć?

Mikę był boskim kompanem Opowiedział mi o swoich przodkach, którzy mieszkali w tym domu. Wśród nich był aktor tak znakomity, że nazwano go Wielki Templeton. Byłam zauroczona opowieściami i domkiem z pożółkłymi tapetami w kwitnące bujny róże.

- Cale - poprosił mnie Mikę, kiedy obeszlśmy dom. - Niech się dzieje, co chce, ale nie zdradz Kane'owi, że wiesz o tym, że zamieniliśmy się miejscami.

Nie rozumiałam, dlaczego miałyby to odgrywać jakąkolwiek rolę, ale roześmiałam się.

-Ja nie żartuję - powiedział. - Nie pomyśl się i nie palnij: „Mikę powiedział” czy „Mkę zrobił”. To ważne, Cale.

-Dobra. Harcerskie słowo honoru.

Te wszystkie szpiegowskie tajemnice przypominały mi moje książki.

- Teraz muszę wyjść na spotkanie Kane'owi Przyjedzie ciężarówką. Kiedy się znów zobaczymy będę kim innym.

To chyba był żart w stylu bliźniaków. Podałam mu rękę ale on uściskał mnie jak siostrę wycalował i kazał przyrzec że odwiedzę go i jego rodzinę. Potem znikł i poczułam się tak jakbym straciła kogoś kto mógłby zostać moim przyjacielem do grobowej deski.

Nie chciało mi się wychodzić z tego domu. Tchnął miłą atmosferą, jakby ludzie którzy dawniej w nim żyli, promieniowali weselem i radością.

Z latarnią Mikea wałęsałam się po parterze weszłam na pięterko znów wróciłam na parter. Wiedziałam że robi się późno i powinnam wracać do grupki tych przecudownych kobiet ale zwlekałam.

Kiedy się tak ociągałam ujrzałam Kane'a Taggerta stojącego w drzwiach. Na każdym ramieniu trzymał małego pięcioletniego chłopczyka. Spali ufnie przytuleni do ojca. Były to najpiękniejsze istoty jakie ujrzałam w życiu. I zapragnęłam ich.

Pewnego razu zdarzyło mi się ujrzeć stół wart trzydzieści tysięcy dolarów i oszaleć na jego punkcie. Marzyłam o tym stole tak jak mężczyźni marzą o posiadaniu najszybszego samochodu lub jak kobieta śni o mężczyźnie. Ale nigdy nie zapragnęłam niczego równie gorąco jak tych dwojga rozespanych chłopczyków

Wiedziałam, że kowboj Taggert i ja jesteśmy wrogami na śmierć i życie. Wiedziałam, że się nie cierpimy, ale wiedziałam też, że muszę dotknąć tych dwóch uroczych istotek. Pogładziłam czarne kędziorki puszyste jak włosy amorka.

-Czy są prawdziwi? - szepnęłam. Rozbawiony Taggert powiedział:

-Bardzo prawdziwi. Przesunęłam rękę na miękki policzek.

-Są zbyt doskonali. Mruknął zgryźliwie:

-Nie wiem, jak z doskonałością ale teraz są przynajmniej czysti. Daj im dwie godziny i znów się umorusają.

-Jak mają na imię?  
Jamie i Todd.

Czułam, że dziwnie mi się przypatruje, ale zignorowałam go i pogładziłam drugiego śpioszka.



-Który jest który?

-Nie ma to znaczenia, ale ten jest Jamie, a tamten Todd.

Nie ma to znaczenia, pomyślałam. Jak to dziwnie zabrzmiało. Potem pomyślałam: Bliźniaki. Mike i Kane są bliźniakami, dzieci Mike'a są bliźniakami, więc nic dziwnego, że ktoś mógłby pomyśleć, iż te dzieci są też bliźniakami. Nie obchodziło mnie, czy cała rodzina Taggertów to świry. Jeśli Kane chciał udawać, że jego dzieci wyglądają podobnie, byłabym ostatnią osobą która wyprowadziłaby go z błędu.

Zaczęły się budzić. Byłam naprawdę zdumiona, skąd mają tyle sił, by podnieść te gęste firany rżęs.

-Co to jest? zapytał Jamie, trąc piąstką oczy.

-To dawniej był czyjś dom - odparłam. - W sypialni jest wielka pajęczyna. Chcecie ją zobaczyć?

-Jest w niej jakiś pająk? - spytał Todd, nie podnosząc ślicznej główki z ramienia ojca.

-Jeden ogromniasty pająk i kilka zdechłych much. Wyciągnęłam na próbę rękę i Jamie wsunął w nią swoją rączkę.

To samo zrobił Todd. Natychmiast obaj chłopcy stanęli u moich boków i poszliśmy do sypialni. To były urocze dzieci: pojętne, ciekawe, skore do śmiechu, pełne energii. Rozmawialiśmy o pająkach i pajęczynach i opisałam im szczegółowo, jak pająk łowi muchy i owija je nicią. Przez jakiś czas siedzieliśmy na podłodze, każdy ciepły chłopczyk wtulony w moje ramię, i rozmawialiśmy.

Nie miałam pojęcia, co tymczasem porabiał tata kowboj. Chyba stał w progu i się nam przyglądał, ale nie jestem tego pewna, bo za bardzo byłam skupiona na chłopcach, aby się nim zajmować. Po jakimś czasie Kane powiedział, że dzieci muszą wracać do obozu i iść spać, na co maleństwa zerwały się na równe nogi i zaczęły szaleć po pokoju, podnosząc ogłuszający wrzask. Po kilku chwilach Kane złapał za jeden kołnierzyk i wyciągnął rękę po drugi, lecz Jamie poszukał schronienia za moją nogą i Todd też usiłował zbiec do mnie.

-Todd - powiedziałam - ty idziesz z tatą a ty, Jamie, idziesz ze mną.

Ledwo to wyrzekłam wiedziałam że zrobiłam błąd. Chyba nie powinnam umieć rozróżniać i tych bliźniaków. Ale mogę z dumą stwierdzić, że wypuściłam zasłonę dymną. Oznajmiłam, że Todd ma tłustą plamę na kołnierzyku i stąd wiem który jest który. Kane przyjrzał mi się krzywo lecz wzruszył ramionami. Wziął najpierw jednego potem drugiego malca.

-Kto ty jesteś? - spytał Todd.

Wiedziałam że z Todda wyrośnie człowiek interesu, podczas gdy Jamie zostanie pozeraczem serc niewieścich. Po chwili zastanowienia udzieliłam odpowiedzi.

-Opowiadam bajki.

Obaj chłopcy pokiwali głowami.

Kane jak zwykle uznał mnie za idiotkę i nie okazał krzty zrozumienia wobec najprostszego nawet pomysłu.

- Chyba raczej chodzi mu o to, jak się nazywasz.

- Jamie jak ja się nazywam?

- Cale - odparł błyskotliwy chłopczyk

Posłałam Kane'owi wielce tajemniczy uśmiech, zanim pomknęłam przed nimi, zostawiając za sobą mały domek.

Wiedziałam, że dziecko zna moje imię, ale nie ma pojęcia, czym zajmuję się na tym świecie. Kiedy się miało takiego ojca, jakim los mnie obdarzył, człowieka, który nigdy nie pozwala ci na niezależność, ale zrzuca na twoje młode barki ogromną odpowiedzialność, połowa ciebie nigdy nie jest dzieckiem a druga połowa nigdy nie urośnie. Rozumiem dzieci, bo jakieś dwie i pół stopy mnie zawsze ma osiem lat.

Następnego dnia Kane nie dopuszczał mnie do dzieci. Najwyraźniej zależało mu na stworzeniu więzi między nimi i Ruth, ale nie trzeba było geniusza, aby zrozumieć, że ona nie przepada za dziećmi. W chwili, w której Jamie wsadził sobie do ust pasikonika chuda połowa duetu zapytała, co on je. Z satysfakcją obserwowałam jak wypluty przez chłopca owad wędruje po jedwabnej bluzce Ruth. Musiałam opuścić obozowisko, kiedy Ruth strąciła rękę Kane'a ze swojej bluzki i warknęła:

- Zabierz ode mnie te brudne bestie.

Musiałam odejść, żeby nie pęknąć powstrzymując się od śmiechu. Tuż przed odejściem zasnęłam z satysfakcją, bo spotkałam się wzrokiem z Kane'em i uniósłszy brwi mogłam mu zadać nieme pytanie: „A więc to jest kobieta, którą pragniesz pojąć za żonę?” Porwałam jabłko i pomaszero瓦łam do domu Templetona.

Dotarłam tam i zaraz poczułam się lepiej. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy mogę wrócić do Chandler i złapać pierwszy wylatujący samolocik. Pragnęłam uwolnić się od całego klanu Taggertów. To byli sami wariaci, z ich bliźniakami, którzy nie byli do siebie podobni, z ich szybko mijającymi wybuchami nienawiści i uwielbienia. Cudownie będzie znaleźć się w Nowym Jorku, w którym ludzie mają wszystkie klepki w porządku.

Poszłam na strych, siadłam na parapecie okna, patrzyłam na drogę i gryzłam jabłko. Czułam jednak, że będzie mi brakowało tych dzieci. Był to absurd, biorąc pod uwagę, iż poznałam je niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. W nocy Jamie wczołgał się do mnie do śpiwora, a potem rano Todd płakał, bo Jamie spędził ze mną więcej czasu niż on. Wtedy właśnie Kane zabrał mi ich i podsunął Ruth.

Siedziałam sobie tam, gryzłam jabłko i nagle zobaczyłam Kane'a - samego, bez dzieci - idącego w kierunku drewnianej chatki. Podniósł głowę, zobaczył mnie i przez chwilę wydało mi się, że mam przed sobą trupią twarz jakiegoś nieżywego aktora. Nawet z piętra dostrzegłam, że zbladł. Pobiegł do domu, tak jakby zobaczył coś strasznego, przerażającego.

Ja natomiast byłam jak sparaliżowana. Kiedy wpadł do domu lotem strzały, a potem wdarł się po drabinie na strych, nie potrafiłam się ruszyć.

Ściągnął mnie z parapetu i potoczyliśmy się po podłodze. Starłam sobie skórę na szorstkiej drewnianej podłodze, gdy wylądowało na mnie dwieście funtów Kane'a. Początkowo usiłowałam się uwolnić, ale przestałam po uświadomieniu sobie, że on się nie rusza. Rozciągnął się na mnie i przyglądał, jakbym była jakimś okazem muzealnym. Przez chwilę odpowiadałam mu wściekłym spojrzeniem, żeby pojął, jak bardzo nie życzę sobie jego tak bliskiej obecności.

Boże, ależ on był przystojny! Miał krótkie, gęste rzęsy, które się autentycznie podwijały, co ja osiągałam po godzinnym torturowaniu tuszem. Miał nabrzmiałe, miękkie, lekko rozchylone usta i czułam jego oddech na twarzy.

Pewnie każdy z nas uważa się za istotę racjonalną i chętnie wyobrażamy sobie, że w dramatycznej sytuacji - niech to będzie pożar domu - zachowamy się spokojnie i inteligentnie. Ale gdy następuje coś potwornego, z zakłopotaniem stwierdzamy, że postępujemy dokładnie wbrew naszym oczekiwaniom.

Tak zachowałam się ja, gdy ten wielki kowboj patrzył na mnie spod rzęs i owionął mnie jego słodki, ciepły oddech. Chciałam się spod niego wyrwać. Szczerze, chciałam. Wyobrażałam sobie, że wytaczam się, stoję nad nim, chłodna, triumfująca, obojętna na jego urodę i mówię coś w rodzaju: „Nie waż się nigdy więcej mnie dotknąć.”

To chciałam zrobić. Ale zamiast tego przesunęłam językiem po jego wargach.

Ten gest zaskoczył i mnie, i jego. Hm, wydaje mi się, że to było dla niego coś więcej niż zaskoczenie. Prawdę mówiąc, podniecił się.

Jedną z przyjemnych stron kobiecości jest możliwość ukrycia seksualnego podniecenia przed światem. Och, kobieta może się zaczerwienić albo zacząć trochę dziwnie posapywać, ale

zawsze może to zrzucić na wary. Ale mężczyźni nie są w stanie ukryć swoich uczuć - a może „pragnień” jest właściwszym słowem. I właśnie zorientowałam się, że ten kowboj mnie pragnie, bo dowód jego pożądania groził przecięciem mojego lewego biodra.

Teraz, pomyślałam, jest idealna chwila na to, aby wydostać się pod niego i zakpić: „Ha, ha, ha. Masz na mnie chrapkę, a mnie to wcale nie rusza.”

Ale życie nigdy nie chce potoczyć się wedle naszych planów, bo pragnęłam tego mężczyzny bardziej niż czegokolwiek na świecie - poza opublikowaniem mojej pierwszej książki - i nie stać mnie było na wyrwanie się spod niego.

Moim zdaniem, pierwsze seksualne przeżycia winny odbywać się podczas kolacji przy świecach i nie powinny wykraczać poza delikatne pocałunki w zgięcie łokcia, ale w naszym wypadku nie było żadnej szansy na taki scenariusz. Nawet nie wymieniliśmy pocałunków. Zaczęliśmy zdierać ubrania jedno z drugiego, jakbyśmy chcieli zamordować się nawzajem. Ten seks przypominał zagraniczne białe-czarne filmy, na których ludzie cały czas gadają jak najęci, a ty myślisz tylko o tym, że masz pełny pęcherz; potem nagle on przypiera ją do drzwi stodoły i myśli o pęcherzu całkiem wylatują ci z głowy.

Rzuciliśmy się na siebie równie wściekli i rozjuszeni jak podczas naszych rozmów. Jednym szarpnięciem rozpięłam mu koszulę i zrozumiałam to, co zawsze mnie dręczyło: dlaczego kowbojskie koszule mają zatrzaski zamiast guzików. Używa się ich z myślą o szybkim ciupciani na sianie.

Nie wiem jak zdjął ze mnie ubranie. Nosiałam dzinsy z tym okropnym krótkim zamkiem błyskawicznym, do zdjęcia których musisz najpierw wysunąć tyłek a potem zsuwać je powoli z bioder, raz z jednej, raz z drugiej strony. Ale tym razem nie musiałam nic zsuwać. Jednym bezproblemowym szarpnięciem zerwał mi spodnie, a potem jak magik raz przejechał dłońmi po moich zasznurowanych butach i spadły - po prostu spadły bez żadnych mąk.

Kiedy znowu mnie objął byliśmy oboje nadzy i Boże jakie ciało miał ten mężczyzna! Nie za bardzo je widziałam ale czułam ile trzeba. Wyobraźcie sobie pięknego atletę. Wyobraźcie sobie gładką ciepłą skórę pokrywającą to ciało. Jego skóra dotknęła mojej i zachłysnęłam się jakby ktoś zlał mnie lodowatą wodą tylko że to nie zimno obudziło we mnie to wrażenie. W przypadku tego mężczyzny mięśnie nie były jedyną interesującą rzeczą. Słyszałam, że skóra jest największym organem ludzkiego ciała ale jeśli chodziło o tego faceta wypadałoby dokonać pewnych pomiarów aby przekonać się czy to faktycznie prawda.

Wszedł we mnie z pełną swobodą i umiejętnością włamywacza wślizgującego się do sypialni na dwudziestym piętze wysokościowca.

Teraz przyszła pora na tę część seksu której zawsze nie cierpiałam nie twierdzą że dysponuję w tym zakresie wielkim doświadczeniem lecz wydawało mi się że trzy minuty to granica męskich możliwości. Czasem kiedy czytam o wysiłkach mężczyzn, starających się przełamać barierę czterech minut na jedną milę zachodzę w głowę dlaczego nie zajmą się czymś ważniejszym na przykład pokonaniem bariery czterominutowej w odwrotnym kierunku podczas pieprzenia.

Początkowo leżałam nieruchomo, gotowa na zawód, gdy stęknie, legnie na mnie, powie: „Nieźle, mała”, i zacznie chrapać. Ale ten gość nie poprzestał na trzech minutach. Nie jestem dobrym sędzią czasowym w takich okolicznościach, jednak chyba gdzieś tak po sześciu minutach nadal wchodził we mnie i wychodził powoli, sprawnie, jakby nie zamierzał skończyć do następnej soboty.

Nie potrafię wytłumaczyć tego, co się ze mną działo. Umiem tylko powiedzieć, że zaczęłam się budzić. To było tak, jakby wewnątrz mnie żyła kobieta - nie, wróć, nieprzeciętna kobieta: wysoka, blond włosy bogini nagle zaczęła się unosić z miejsca, w którym przespała całe życie. Rozprostowała się lubieżnie, przeciągnęła, przetarła oczy i rozejrzała się. A kiedy się rozejrzała, zaczęła rosnąć. Była coraz większa i większa, aż zaczęła mnie wypełniać, wypełniać do koniuszków palców u rąk i nóg. Wypełniła moją głowę tak całkowicie, że po raz

pierwszy, odkąd pamiętam, nie było tam opowieści. Zamiast opowieści moje ciało było pełne tego mężczyzny i obudziłam się, naprawdę, autentycznie, całkowicie obudziłam się po raz pierwszy w życiu. Każdy koniuszek nerwowy, każdy por, każda komórka mojego ciała ocknęła się, była wrażliwa i pobudzona do życia.

Nie wiem co robiłam. To znaczy nie pamiętam co robiły moje ręce i moje usta. Pamiętam że w pewnym momencie odwrócił mnie i napędzana tymi dwustoma funtami męskiego ciała ślizgałam się po podłodze aż musiałam zaprzeć się rękami o snop siana by leżeć w miejscu.

Pamiętam że byłam bezwstydna. Pamiętam że opuściła mnie godność i rozwaga. Pamiętam że byłam bliższa zwierzęciu niż myślące, racjonalnej ludzkiej istocie. Pamiętam że w końcu pojęłam, co mieli na myśli ludzie mówiąc, że seks jest podstawową potrzebą jak woda i jedzenie. Do tego dnia na tym strychu z tym mężczyzną nie wierzyłam w to stare powiedzenie. Myślałam sobie, że ludzie potrzebują bezwzględnie wody i pokarmu, ale nie seksu. Myliłam się.

Odwrócił mnie z powrotem na plecy, założył moje łydki na swoje barki i kontynuował. Zamieniłam się w oszalałą klakierkę. Chyba nie wydawałam podniecających, eleganckich pojękiwań, a już gwarantuję, że nie mówiłam nic racjonalnego. Jeśli chodzi o moje miejsce na drabinie ewolucji to w tamtej chwili byłam tuż poniżej szczybla istoty ludzkiej zdolnej komunikować się za pomocą mowy.

Po chwili poczułam, że zaraz wybuchnę. Dobra, wiem że to slogan. Wiem że milion razy używano tego określenia, ale kiedy ty sama przeżywasz to po raz pierwszy, to prawie strach cię oblatuje. I myślę, że byłoby się czego bać, gdybym chciała powstrzymać ten wybuch, ale to przypominało upartą walkę łososia skaczącego w górę strumienia. Było to coś, ku czemu sama dążyłam.

Kłęczał, a ja opasałam go nogami i poruszałam się z jakąś nadludzką siłą. W tym momencie potrafiłabym poruszyć biodrami pociąg towarowy, ale nie mogłam ruszyć tego mężczyzny, który miał moc dwóch transatlantyków.

Czytałam o orgazmach i poprzednio myślałam że parę udało mi się przeżyć, ale się myliłam. Dotąd nie trafił mi się prawdziwy orgazm. To nie żaden pojedynczy wielki wybuch. Przynajmniej w przypadku kobiety.

Tak się cieszę że jestem kobietą. Jakim cudem seks u mężczyzny może być równie wspaniały jeśli rzecz dzieje się poza jego ciałem? U kobiety wszystko jest głęboko, głęboko w środku i stamtąd promieniuje na zewnątrz.

Mam wrażenie że orgazm najlepiej porównać do fal oceanu, bijących o plażę. Z mojego wnętrza szła fala za falą i docierała do najdalszych granic ciała. To trwało i trwało bez końca, pulsowało, sięgało coraz dale, cofało się początkowo z pośpiechem ale stopniowo stawało się coraz wolniejsze gasło z rozżarzonej bieli przechodziło w połyskliwy blask.

Palce u rąk i nóg bolały mnie, jakby wewnętrzne fale rozciągnęły je do granic możliwości.

Po chwili odzyskałam oddech i tę kobietę wewnątrz mnie, tę boginię, o istnieniu której nie miałam pojęcia, ogarnęło zmęczenie i zaczęła się oddalać. Z jej odejściem ubywało mi sił. Pozbawiła mnie również gniewu i zadrzotności wobec całego świata. Nigdy w życiu nie czułam się równie spokojna i pełna słodyczy.

Kiedy ten mężczyzna pocałował mnie w ucho, uśmiechnęłam się sennie, przytuliłam do jego spoconego ciała i idąc śladem mojej wewnętrznej bogini zasnęłam.

Później, kiedy się obudziłam nadal w ramionach Kane'a którego skóra dotykała mojej skóry nagle wiedziałam, że muszę zaznać z nim czegoś więcej niż tylko najwspanialszego kochana się w historii świata.

Pewnego razu gdy byłam jednym z sędziów podczas wyborów Miss Stanów Zjednoczonych wśród wielu innych instrukcji usłyszałam żeby nigdy nie dawać oceny niższej

niż pięć. Powiedziano nam i ja się z tym zgodziłam że dziewczęta bardzo się starały i zasługują przynajmniej na pięć w każdej kategorii.

Organizatorzy konkursu poprosili miejscowe ochotniczki by zastąpiły uczestniczki wyborów na czas prób abyśmy mogli poćwiczyć na komputerach. Obok mnie siedział ten sławny aktor Richard Woodward i kiedy pierwsza ochotniczka zrobiła w naszym kierunku kilka piruetów dał jej dwa i dwie dziesiąte. Nie znałam człowieka osobiście lecz wiedziałam że nasze oceny wyskoczą na ekranie i wydało mi się że nie postąpił uprzejmie dając tej miłej, zdenerwowanej panience tak niską ocenę więc powiedziałam mu o tym Richard popatrzył na mnie i spytał:

-Jesteś prawdziwą pisarką no nie?

Bardzo mi to pochlebiło, bo dla mnie „prawdziwa pisarka” to laureatka Nagrody Pulitzera. To ktoś, kto zgarnia nie forszę, lecz dowody uznania. Rumieniłam się po tym wyniesieniu mnie na piedestał, a Richard burknął:

-Prawdziwi pisarze są nieuleczalnie wścibscy i nie umieją trzymać buzi na kłódkę.

Tak pokładałam się ze śmiechu, że facet, który usiłował nas podszkolić, wezwał mnie do siebie. Od tej pory jesteśmy z Richardem wielkimi przyjaciółmi.

No cóż więc jestem w każdym znaczeniu tego słowa prawdziwą pisarką. Jestem wścibska i nie umiem trzymać buzi na kłódkę. Jeśli ktoś mi powie o swoim niedawnym rozwodzie zaraz pytam. „A dlaczego się rozeszłaś?”

Kane i ja zostaliśmy sobie przedstawieni i przeżyliśmy wspólnie tyle że mogliśmy przynajmniej zwracać się do siebie po imieniu więc zapytałam.

- Jakim cudem zimowałeś na ławie rezerwowych od śmierci żony? Nienawidziłeś jej czy jak?

Subtelność nie należy do cech mojego charakteru, a poza tym przekonałam się, że bezpośredniość albo zamurówuje ludziom usta, albo rozwiązuje na dobre język.

Czułam wahanie Kane'a i jakoś zdałam sobie sprawę, że nigdy nie opowiedział nikomu, ale to nikomu na Ziemi, prawdy o żonie. Podczas gdy on podejmował decyzję: wyznać mi prawdę, czy nie wyznać, wstrzymałam oddech, bo nagle zapragnęłam dowiedzieć się, co ten człowiek ma w środku. W tym właśnie momencie stał mi się bliski. Może sprawił to seks, może wygląd Kane'a, może słodycz jego oddechu, a może był to mój głód usłyszenia opowieści, ale nie sądzę. Sadzę, że zadecydowało przeczucie, że jest w nim coś więcej poza muskularni i seksapilem. Wiedziałam, iż mężczyzna, który potrafił dostarczyć mi takich przeżyć, nie był niewrażliwą kłódą. Z pewnością ukrywał żywe wnętrze.

-Mam brata bliźniaka - powiedział.

Nie puściłam pary z ust. Kilka razy zastanawiałam się, dlaczego Mikę poprosił, bym nie mówiła o nim Kane'owi.

-W mojej rodzinie funkcjonuje kretyńskie powiedzenie: Ożenisz się z tą która rozróżni bliźniaków.

O Boże, pomyślałam. Nic dziwnego, że Mikę miał już jeden powód, żeby prosić mnie o trzymanie języka na kłódkę. Mam wyjść za męża? Ja? Wyjść za jakiegoś potężnego, wielgaśnego pastucha, którego jeszcze parę godzin temu nie cierpiałam całym sercem?

-Czy twoja żona to potrafiła? - zapytałam głosem, który ledwo wydobywał mi się z gardła.

Kane chyba nie zwrócił uwagi na mój stan. Zaczął opowieść o tym, jak to poznał ją w Paryżu.

W Paryżu? Co jakiś kowboj miał do roboty w Paryżu? Woził swojego najlepszego byka do fryzjera?

W każdym razie był w Paryżu, poznał ją zakochał się bez pamięci i ożenił po sześciu dniach. Przed ślubem zadzwonił do matki która posłała Mikę'a żeby sprawdził pannę młodą Kane zeszywniał wspominając rodzinny test.

- A kiedy nie potrafiła nas rozróżnić, było po sprawie - rzekł.

-Nikt z rodziny poza Mikeem nie był na ślubie. Przekreślili ją z powodu tej głupiej legendy

Nie odzywał się potem więc spytałam:

-Ale była ci bliska?

Modliłam się by nie powiedział mi, że legenda okazała się prawdziwa że w dwa tygodnie po ślubie przestał kochać żonę.

- Taaa, kochałem ją. Kochałem do szaleństwa. Byliśmy idealnie dobrani. Byliśmy dwiema połówkami całości. Kiedy coś przychodziło jej do głowy ja też wpadałem na to samo. Lubiliśmy te same potrawy, tych samych ludzi, mieliśmy identyczne pragnienia w tym samym momencie.

Gdybym mieszkała z kimś takim, zwariowałabym w tydzień. Prawdę mówiąc, raz chodziłam z podobnym chłopakiem. Wszystkie dziewczyny w akademiku mówiły, że miałam wielkie szczęście, ale ja myślałam, że dostanę świra. Pewnego wieczora oświadczyłam, że mam ochotę na włoską kuchnię i kiedy on powiedział, że myśli o tym samym, ruszyłam do ataku.

- A co, gdybym miała ochotę na chińszczyznę? A co, gdybym chciała zjeść pekińskiego kota?! - darłam się na tego biedaczynę.

- Czy ty nigdy nie potrafisz myśleć po swojemu? Czy ciebie nie stać na porządną staromodną kłótnię o to, gdzie zjemy dziś wieczorem?

Czy muszę dodawać, że ten właśnie młodzieniec nigdy więcej nie dał znaku życia? Nauczyłam się dawno temu, że większość ludzi jest do mnie niepodobna, więc może większość ludzi ma szczęście żyć w całkowitym spokoju i harmonii. Osobiście nigdy nie zaznałam spokoju, ale intuicja podpowiadała mi, że nie jest to coś, do czego miałabym wrodzony talent.

Zaraz po tym, jak Kane opowiedział mi o zmarłej żonie zdał relację o bratowej i przez chwilę wydawało mi się że jest w niej zakochany. Lecz wyjaśnił że rodzina zaakceptowała żonę Mike'a Samanthę ale nie zaakceptowała jego żony. W głosie pojawił mu się gniew niemniej jednak z ulgą mogę stwierdzić że nie było tam zazdrości.

Co więc mam teraz zrobić? Pomyślałam. Powiedzieć Hej, ja potrafię rozróżnić bliźniaków? Nie za bardzo wierzę w sztuczki magiczne pokazy prestidigitatorów mnie usypiają więc jestem pewna że w Ameryce są setki kobiet które potrafią, odróżnić Kane a od jego bardzo odmiennego brata. Kane żeniąc się następnym razem powinien wybrać którąś z nich i uszczęśliwić rodzinę. Mówił dalej, nie przestając opisywać swój ideał żony. Powstrzymałam się od jakichkolwiek sarkastycznych uwag o tym, jak idealne było to wszystko mam tu na myśli idealnie nudne. Idealne rozmowy idealny seks idealne dzieci. Czy gdyby żyła przeszliby idealny rozwód? Może by się nie rozwiedli może tylko jestem cyniczna ale każde znane mi małżeństwo w którym żona mówiła: „Mój mąż to skarb” „Nigdy się nie kłócimy” kończyło się rozwodem. W trwałych związkach żona zaczyna od stwierdzenia: „Mój mąż to skaranie boskie” i następnie rozwija temat. Może problem polega na tym, że ludzie chętniej mówią o swoich nadziejach i unikają spojrzenia w twarz prawdy?

Kane przeszedł do opisywania mi samotności po jej śmierci i tego, jak nie pozwolono mu opłakiwać żony. Każdy w rodzinie prezentował tę samą postawę: Trzymaj się dzielnie i myśl o synach. Chciał siąść w ciemnym pokoju i płakać całymi dniami, ale to teściowa opłakiwała córkę, podczas gdy on musiał być dzielny i wysłuchiwać żalów wszystkich pozostałych. Jak mogą opłakiwać jej śmierć - zdumiewał się - skoro nigdy nie zachwycali się nią za życia?

W końcu nie udało mu się wypłakać. Każdy uważał, że tak naprawdę należy zająć się chłopcami, że potrzebna im jest matka. Nie w stylu Kane'a było krzyczeć, że on z kolei potrzebuje żony, więc zdusił łzy i żył jak dawniej, poza tym, że teraz nikt nie czekał na niego

wieczorem w domu. Nikt nie śmiał się z jego żartów, nikt nie masował mu zmęczonych ramion, nikt nie krytykował jego pomysłów i nikt się z nim nie kochał.

Nie wiem, dlaczego ludzie zwykli mi się zwierzać ze swoich najbardziej osobistych sekretów. Być może dlatego, że okazuję im zainteresowanie, ale może i dlatego, że stać mnie na empatię.

Widziałam odcinek *Star Trek* w którym pewna kobieta okazywała idealną empatię dosłownie czuła radości i niedole innych. Ze mną jest tak samo. Myślę że wynika to z mojej umiejętności skupienia i tak dokładnego wsłuchiwania się w ludzkie problemy że pragnę je rozwiązać za nich. Jeśli czegoś zapragnę dotrę do celu, Mam wtedy klapki na oczach i nic mnie nie rozprasza nic nie potrafi mnie zniechęcić.

Dopiero poznawszy pewną naprawdę koszmarną sekretarkę przekonałam się że nie wszyscy są do mnie podobni. Hilary powiedziała mi że jej życiowym marzeniem jest pisanie książek dla dzieci. Prawdę mówiąc ma jedną gotową i brak jej tylko wydawcy.

Nie wiem skąd się to u mnie bierze ale wierzę ludziom bez zastrzeżeń. Hildy oświadczyła że zależy jej na wydawcy, więc zrealizowałam kilka długów wdzięczności i postarałam się o jedną z najlepszych redaktorek książek dla dzieci w Nowym Jorku. Potem trzy dni siedziałam przy telefonie i szukałam Hildy. Kiedy w końcu udało mi się ją dopaść późno wieczorem w niedzielę, oznajmiła wściekła że ponieważ nie zadzwoniłam do niej zgodnie z wcześniejszą obietnicą wysłała pocztą rękopis do oceny innemu wydawnictwu. Oczywiście, dostała odpowiedź odmowną i uważała, że to moja wina!

Dopiero po długim czasie pojęłam, na czym Hildzie tak naprawdę zależało. Chciała móc rozpowiadać na prawo i lewo, że kiedyś chce wziąć się do pisania książek dla dzieci.

Ponieważ słucham ludzi bardzo uważnie i na ich rozpaczliwe westchnienia reaguję propozycjami pomocy, które realizuję co do joty, to pewnie dlatego ludzie zwierzają mi się ze swoich kłopotów.

Ale nie miałam pojęcia, w jaki sposób mogę pomóc Kane'owi. Może dałoby się zgromadzić jego rodzinę i porządnie ją ochrzanić. Może wzięłabym na jakiś czas jego chłopców, by mógł zaszyć się gdzieś sam i rozpaczać. Jednak odnosiłam wrażenie, że nie dałby mi ich. Może powinnam powiedzieć: „Kane, potrafię odróżnić cię od brata. Więc pewnie bardziej do ciebie pasuję niż twoja idealna żona.”

Taaa, racja.

Wielki kowboj-przystojniacha, dla którego idealną wizją rozrywki było czyszczenie końskich kopyt, i wyszczekana dziewczyna z miasta. Miałam wyjść za niego, przenieść się na ranczo i prezentować owce na stanowych jarmarkach? A może Kane przeniesie się do Nowego Jorku, zostanie panem Andersonem i będzie mi donosił drinki na wieczorach autorskich?

Z drugiej strony, spoglądając w twarz gołej, nieubłaganej prawdzie, nie potrafię wyobrazić sobie, żeby ktoś chciał ze mną mieszkać. Nie ma co robić z tego melodramatu, ale jeśli twoi rodzice cię nie lubią to nigdy nie uwierzysz do końca, że ktokolwiek może cię polubić.

## 10

Powiedzieć że między Kane'em i mną po kochaniu się i rozmowie zapanowała dziwna sytuacja to niedopowiedzenie stulecia. Nie wiem jak długo bylibyśmy tam nie niepokojeni w półobjęci, gdyby Sandy nie zjawił się z chłopcami. Z chwilą, w której usłyszeliśmy głosy czar prysł i nagle popatrzyliśmy na siebie ze zgrozą i zażenowaniem. Ubrałam się najszybciej, jak się dało krzywiąc się z bólu bo stałam sobie kolana do żywego mięsa. Sięgnęłam po buty i okazało się, że sznurówki są zerwane. A więc to tak udało mu się je zdjąć pomyślałam a potem musiałam męczyć się schodząc po drabinie w spadających z nóg butach.

Sandy'emu stojącemu za chłopczykami wystarczyło jedno spojrzenie na naszą dwójkę

i wiedziałam że on wie, co się wydarzyło. Nie potrafiłam spojrzeć w oczy jemu ani Kane'owi, więc skupiłam się na chłopcach.

Sandy sprowadził konie i musiałam wrócić wierzchem, co okazało się dość wygodne, biorąc pod uwagę stan moich butów. Po powrocie do obozu nie patrzyłam na Kane'a, a kiedy podał mi kłębek mocnego szpagatu i zaoferował, że zawiąże mi buty, wyrwałam mu szpagat i powiedziałam, że zrobię to sama. Wiedziałam że stoi i patrzy na mnie chwilę, ale ja mu się nie przyglądałam.

Poprzedniej nocy spałam na powietrzu w pobliżu mężczyzn i chłopców, podczas gdy wszystkie kobiety spały w starym domu, ale tej nocy poszłam do kobiet. To, co się wydarzyło między mną a tym durnym kowbojem, to był przypadek i nie zamierzałam go wzbogacać o jakiś błąd. Jutro wracam do Chandler, nawet gdybym miała to zrobić na piechotę.

A jeśli już mowa o wypadkach, to zaczęłam się zastanawiać, czy właśnie nie zaszłam w ciążę. Trudno mi było sobie przypomnieć, by została użyta jakaś forma kontroli urodzeń.

- Mogę mieć skrobankę - powiedziałam w ciemną noc.

Prędzej by mnie szlag trafił, niż zabiłabym własne dziecko! Poprzednio nie myślałam wiele o dziecku, ale teraz wyobraziłam sobie, jak kołyszę się na bujaku o trzeciej w nocy, karmię niemowlę z ciemnymi włoskami na łepetynie, piszę konspekt kolejnej powieści. Wyobraziłam sobie, jak bandażuję kolano trzylatka i scałowuję dziecięce łyzy. Wyobraziłam sobie gospozię piorącą pieluchy i zmywającą tartą marchewkę ze ściany w kuchni. Hej, jestem realistką!

Nie mogłam zasnąć przez wiele godzin, a kiedy się obudziłam, w pokoju nie było nikogo poza mną.

## 11

Następnego dnia niewiele kontaktowałam się z Kaneem. Prawdę mówiąc praktycznie w ogóle go nie widziałam co mi odpowiadało bo nie byłam pewna co do niego czuję. Pojechał z Ruth do lasu i zostawił mi na głowie swoich cudownych chłopczyków. Dokładnie biorąc zostawił ich Sandyemu ale zajęłam się nimi i bawiliśmy się świetnie łażąc po absolutnie wszystkich starych domach w Eternity wymyślając opowieści o ludziach którzy tam żyli i o tym jak umarli. Po południu położyli mi główki na podółku każdy z innej strony i opowiadałam im bajki, aż usnęli.

Koło trzeciej wróciliśmy do obozu, ale był tam tylko Sandy, drzemający w cieniu. Chłopcy natychmiast rzucili się na niego, a że najwyraźniej chciał się z nimi pobawić, niechętnie zrezygnowałam z opieki nad malcami i skierowałam się starą drogą za miasteczko, na której zobaczyłam furgonetkę i wiedziałam od razu, że ten samochód ma zabrać mnie z powrotem do Chandler. Zebrałam się w sobie ale zobaczyłam Mike'a stojącego obok wozu i kolejny raz pomyślałam ze zdumieniem jak różni się od Kane'a. Mikę miał krótkie grube rzęsy wąskie usta i wyglądało, że szybko obrośnie w tłuszcz. Poza tym miał wyższy głos w porównaniu z głębokim basem Kane a

- Cześć Mikę powiedziałam - Jak noworodki?

Odwrócił się do mnie i zrozumiałam, że coś jest nie tak. Nie musiałam zaprząć do pracy zbyt wiele szarych komórek żeby połapać się w czym rzecz. Za późno zobaczyłam parę butów odwróconą podeszwami do góry wystającą z samochodu.

Dlaczego mężczyźni uwielbiają wisieć głową w dół w samochodzie i zaglądać pod deskę rozdzielczą? Może to kolejny etap ich rozwoju kiedy to matki uświadamiają im że dobre maniery nie dopuszczają leżenia na podłodze i zagładania dziewczętom pod spódniczki.

- Chcesz klucz? - spytał brata Mikę i przez chwilę oboje wstrzymaliśmy oddech. Może Kane mnie nie dosłyszał. Może wsadził głowę daleko między przewody i nie dotarło do niego że właśnie się odsłoniłam.

Nigdy nie miałam szczęścia.



Kane nie udawał że nie jest zły. Był wściekły. Nie patrząc na mnie ani na brata wykręcił się na fotelu wysiadł z auta i ruszył w górę najbliższego zbocza. Szedł prosto przez zarośla i kamienie pokonując przestrzeń z energią, jaką dawała mu wściekłość.

Poszłam za nim bo uznałam, że zasługuje na wyjaśnienie.

- Co teraz? - zapytał, gdy tylko Cale go dogoniła. - Powiniem się oświadczyć?

Zignorowała ten sarkazm i nie udawała, że nie wiem o czym mowa.

- Przecież muszą być inni ludzie, którzy odróżniają cię od brata.

- Matka, czasem ojciec, najmłodsza siostra... - Ściszył głos. - I jego żona.

- To wszyscy?

Z jej głosu wyraźnie przebijało niedowierzanie.

Odwrócił się do Cale. Nie przypominał już uroczego kowboja, z którym kotłowała się na sianie. Uniósł brew i nozdrza mu latały.

- Niewątpliwie według ciebie wcale nie jesteśmy podobni. Pewnie chodzi ci o rzęsy i to, że jeden z nas jest bardziej tłusty, zgadza się? Nie zamierzała odpowiadać. Było to zbyt bliskie prawdy.

- Oczywiście wiesz, że to unieważnia legendę? Patrzył na nią z tym samym wyrazem twarzy.

- Jak na to wpadłaś?

- Twoja żona nie potrafiła was odróżnić, ale byliście parą stulecia. Ja odróżniam cię od brata, ale się nie znosimy. - Zrobiła krótką pauzę. - Z wyjątkiem seksu - powiedziała łagodnie.

Odwrócił wzrok.

- Taaa, z wyjątkiem seksu.

- Powinieneś ożenić się z kimś normalnym kimś kto chce być żoną i matką, mieszkać na ranczo, jeździć konno doić krowy i tak dalej. Przede wszystkim nie powinieneś myśleć, nie powinieneś nawet brać pod uwagę... małżeństwa tylko dlatego że miałeś z tym kimś wspaniałe... to znaczy zupełnie normalne seksualne przeżycie. Takie rzeczy się zdarzają. Założę się że takie rzeczy zdarzają się z każdą grupą którą prowadzisz. Zwłaszcza z kobietami z Nowego Jorku. - Zaczęła się rozkręcać. - W Nowym Jorku wszyscy tak boją się zarażenia, że kobiety nie czują się bezpieczne - co nie znaczy, że popieram przypadkowe kontakty - ale czują się bezpieczne przy wielkim czystym kowboju, który spędził całe życie w czystym niewinnym Kolorado. No, bo wiesz, co można złapać od kowboja? Pryszczycę? Wąglik? Czy to nie to samo? W każdym razie, to się po prostu zdarzyło. Akurat był czas i miejsce ku temu. Założę się, że gdyby Ruth siedziała w tym oknie, to wtedy ona... wtedy ona... wtedy byś z Ruth...

Mówiła coraz wolniej i ze zgrozą uświadomiła sobie, że czuje zazdrość. Gdyby, pomyślała. Gdyby! Gdyby Ruth tam była, Kane ściągnąłby z parapetu Ruth. I wtedy Ruth i Kane...

Wstała, otrzepała spodnie na siedzeniu.

- Na świecie są miliony kobiet. Wyjdź im na spotkanie i znajdź kogoś pasującego do tej legendy. Ja się do tego nie nadaję. Nie jestem żadną księżniczką z wieży.

Przez całą drogę powrotną z tej góry, przy każdym kroku miałam nadzieję, że pójdzie za mną. Ponieważ moje myśli są moją własnością uznałam, że mogę sobie pofolgować. Nie było nikogo, komu miałabym je przekazać i nikt nie mógł się ze mnie śmiać.

Wiedziałam że to głupie pragnienie. Wiedziałam, że zupełnie nie pasujemy do siebie, bo prawie nie zamieniliśmy słowa jak cywilizowani ludzie. Poza jednym popołudniem cudownego, boskiego, niebiańskiego seksu, po którym ten piękny mężczyzna trzymał mnie w ramionach i odślaniał swoją duszę, zawsze się żarliśmy. Nie cierpieliśmy się potężnie.

Nie łączyło nas nic. Może z wyjątkiem tej dwójki chłopców, których pragnęłam mieć. Ale pragnęłam abstrakcyjnie. Myślałam sobie tak: wywieźć tych cudownych malców z dzikiego

Kolorado, z czystego powietrza górskiego stanu i umieścić ich na nowojorskim poddaszu, gdzie za cały teren do zabawy będą mieli taras? Oczywiście, wychowanie w Kolorado nie dawało gwarancji szczęśliwego dzieciństwa. Może dzieciakom spodoba się wielki, brudny Nowy Jork A może ja mogłabym się przenieść do Kolorado.

Żaden z tych pomysłów nie na wiele mi się przydał, bo kowboj nie pobiegł za mną nie padł na kolana i nie powiedział, że nie może żyć beze mnie. Prawdę mówiąc, został na szczycie góry.

Mikę był na dole.

Wcale nie uznałam że świadczy to o tym że na mnie czeka, ale przyzwoicie udawał, że jest przejęty. Byłam tak załamana, że nawet nie zasugerowałam mu, że powinien od czasu do czasu wpaść do sali ćwiczeń. Mikę prawie, prawie, dorównywał Kane'owi.

- Chcę jechać do domu – powiedziałam.

- Do domu?

Głupi ton, jakim Mikę zadał to pytanie, dorównywał wrażeniu, jakie kiedyś robił Kane. Ale Kane nie był głupi. Był inteligentny, zabawny, miły i... pragnęłam, żeby uwierzył w tę starą durną legendę. Moje marzenia zaczęły mną rządzić i wyobraziłam sobie ojca, który pod groźbą dubeltówki zmuszą nas do zawarcia ślubu i spełnienia przepowiedni. Gdzie się podziewają ojcowie z dubeltówkami, kiedy są naprawdę potrzebni?

- Tak do domu - powiedziałam. - Mój dom jest w Nowym Jorku.

Mikę popatrzył na stok, ale wiedziałam, że nie dojrzy brata.

- Pożegnaliśmy się na górze.

Ale Najwyraźniej nie wiedział co powiedzieć. Niewątpliwie zrobił to czego od niego oczekiwano i zaciągnął żonę przed trybunał rodzinny zanim w ogóle zastanowił się nad małżeństwem. Och dobra to wspaniale, że nic więcej nie wyniknie między Kane'em i mną bo nie umiem zachować się na rodzinnych konklawe i pewnie nie cierpiałyby jego krewnych.

- Mikę - wycedziłam tak powoli, jakby była to szczerza prawda - zawieź mnie do Chandler żebym mogła opuścić ten stan. Chcę wrócić tam gdzie człowiekowi najwyżej grozi, że ktoś mu wytnie serce.

Nie złamię, jak to robią w Kolorado.

Musiałam uciec wzrokiem w bok, bo zaczęłam ulegać mojemu pociągowi do dramatycznych występów. Ten jedyny raz chciałam spokojnie zejść ze sceny. Żadnych spazmów, żadnego wściekania się. Wyjadę spokojnie, z podniesionym czołem.

Mikę pomógł mi się spakować, ale grzebał się całą wieczność. Wiedziałam że w ten sposób daje bratu czas na podjęcie decyzji. Ale Kane podjął już decyzję. I miał rację będąc tak przewidujący. Byłaby ze mnie koszmarna żona. Zajęta książką przez całe dni zapomniałabym o przygotowaniu jedzenia. Musiałabym mieć piastunkę do dzieci, bo o nich też pewnie bym zapomniała. I niech Pan Bóg strzeże tego mężczyznę, gdyby wszedł mi w drogę! Zaparłabym się i zrobiła wszystko na przekór, tylko dlatego, że miał inne zdanie niż moje. Jednym słowem: dla kogoś takiego jak ja lepiej było mieszkać osobno. Lepiej być wolnym. Tak o to chodzi. O wolność. Wolność przychodzenia i znikania, kiedy mi się podoba. Wolność i... nikt nie pośmieje się z moich kawałów, nikt nie rozmasuje mi ramion zdrętwiałych przy klawiaturze, nikt nie posłucha moich najnowszych pomysłów. Nikt nie będzie się ze mną kochał.

Mikę zwłóczył do zachodu słońca, a potem zaczął wyszukiwać powody, dla których nie powinniśmy wyjeżdżać do rana.

- Kolorado jest tak zapóźnione w rozwoju, że auta nie mają tu reflektorów? - zapytałam moim najbardziej wojowniczym nowojorskim tonem.

Ustąpił i zawiózł mnie do tej małej miłośnicy, do Chandler. Chciał mi pokazać dom rodziców. Ale po co? Żeby wsadzić mnie do łóżka Kane'a, licząc na to, że brat wróci nocą i natknie się na mnie w pościeli?

Kazałam zawieźć się do motelu i o dziesiątej następnego dnia Mikę podrzucił mnie na

lotnisko, skąd małym samolotkiem poleciałam do Denver, a stamtąd do Nowego Jorku.

Moja redaktorka nie była ze mnie zbyt zadowolona. Przez następne sześć tygodni po powrocie z Kolorado nikogo nie zabiłam. Na papierze rzecz jasna. Ponieważ wydawcy przysyłali mi te wszystkie kochane pieniążki za zabijanie ludzi, też nie byli ze mnie zbyt zadowoleni.

Rzecz nie w tym, że nie pisałam. Pisałam przez dziesięć do czternastu godzin dziennie ale głównie o parach skojarzonych dzięki ogłoszeniom w gazecie i ślubach wymuszonych zaawansowaną ciążą. Posyłałam jedynie szkice do oceny lecz nie ukończyłam żadnej z tych opowieści.

Na początku siódmego tygodnia redaktorka zjawiała się na rozmowę.

- Problem nie w tym, że przeszkadza nam zmiana gatunku - oświadczyła cierpliwie. (Wszystkie redaktorki z wyjątkową cierpliwością i taktem przekazują złe wiadomości autorom bestsellerów. Zupełnie przypomina to rozmówki z oszalałym gościem, wymachującym maczetą: „Nie mamy ci za złe, że chcesz odrąbywać ręce i nogi, i kaleczyć...”) - Ostatecznie romanse przynoszą fortuny.

Dzięki Bogu, że nie brałam się do pisania czegoś, co nie przynosiło pieniędzy - na korytarzach mojego domu wydawniczego wybuchłaby masowa histeria.

Ściszyła głos i uśmiechnęła się słodko.

- Chodzi tylko o to, że twoje romanse są zupełnie nietrafione. Są takie smutne.

Życie jest pokręcone, prawda? Zabijasz ludzi książka po książce i nikt tego nie uważa za smutne, ale niech no tylko heroina zakocha się w facecie, który potem oddali się w kierunku zachodzącego słońca, a okaże się, że jest to smutne. Gdybym zabiła tego s...syna, opowieść byłaby tragedią. Tragedia jest super morderstwo jest bomba ale smutna historia to już nie jest cacy. Gorzej smutna historia źle się sprzedaje.

Wysłuchałam wszystkiego co miała mi do powiedzenia i zauważyłam, że tym razem nie przyniosła mi kwiatów ani jedzenia namacalny dowód że moi wydawcy byli naprawdę rozdrażnieni. Założę się że mieli ochotę potrząsnąć mną aż przejrzę na oczy uświadomię sobie że moim obowiązkiem jest zabijanie ludzi na papierze i utrzymywanie rodzin wszystkich pracowników wydawnictwa.

Co zabawne ja chciałam pisać kryminały! Lubiłam się pieklic, kłócić się z taksówkarzami i czułam się pewnie, wyobrażając sobie, którą postać wkrótce zabiję. Wczoraj chciałam pojechać do Saksa oddać nie pasującą sukienkę i powiedziałam taksjarsowi, żeby zawiózł mnie na róg Piętnastej i Piątej. Dziesięć minut później jadę w stronę Pierwszej Alei - jest to przeciwny kierunek niż do Saksa. Powiedziałam tylko spokojnie:

- Jedziesz w złym kierunku.

Gdy kierowca wyjaśnił mi za pomocą siedmiu słów, będących całą jego skarbnią języka angielskiego, że jest pierwszy dzień w pracy, uśmiechnęłam się, powiedziałam, którą ma jechać, zapłaciłam za całą wycieczkę i dałam dolara napiwku. Wiercie mi, to do mnie zupełnie niepodobne.

## 12

Cale była w swoim mieszkaniu. Przy otwartych drzwiach na taras zmagą się z gniotem opiewającym nie odwzajemnioną miłość, gdy usłyszała hałas śmigłowca. Początkowo nie zwracała na niego uwagi ale rósł i zaczął dolatywać ze stałego miejsca jakby tuż nad okien. Rozdrażniona zmarszczyła brwi, podeszła zamknąć drzwi i ujrzała że helikopter faktycznie wisi nad jej tarasem. Przecież to nielegalne pomyślała. Przecież przepisy Nowego Jorku zabraniają helikopterom latać tak nisko nad domami mieszkalnymi.

Położyła rękę na klamce gotowa zamknąć drzwi, gdy usłyszała dziwny odgłos. Zaciekawiona podniosła spojrzenie ku hałaśliwej maszynie, od której biły podmuchy wiatru, i otworzyła usta w zdziwieniu.

Z helikoptera opuszczał się na grubej linie, trzymając nogę w strzemieniu, jakiś mężczyzna. Cale w pierwszym odruchu chciała zatrzasnąć drzwi i uciec z mieszkania, ale popatrzyła raz jeszcze. Mężczyzna miał na nogach kowbojskie buty w kolorze ciemnego karminu. Przez całe swoje życie poznała tylko jednego mężczyznę, który nosił kowbojskie buty: Kane'a Taggerta.

Chciała zamknąć drzwi i wrócić do mieszkania, ale nie mogła. Wyszła na taras i przyglądała się powolnemu zjeżdżaniu. Co jeszcze bardziej absurdalne, o godzinie czwartej po południu miał na sobie smoking i jeśli dobrze widziała, pod pachę wetknął sobie butelkę szampana, a w ręce trzymał dwa wysokie, wąskie kieliszki.

Cofnęła się, gdy wylądował i wyjął stopę ze strzemienia. Nie odezwała się słowem, kiedy zasygnalizował pilotowi, że wszystko w porządku. Nawet gdy helikopter odleciał i zapadła cisza, Cale się nie odzywała. Patrzyła na tego wielkiego mężczyznę stojącego na jej tarasie i czekała, aż coś powie.

Z lekkim uśmiechem postawił szampana, otworzył butelkę, nalał wina i podał jej kieliszek. Nie wzięła go.

- Czego chcesz? - zapytała z całą wrogością na jaką potrafiła się zdobyć.

Zanim odpowiedział, pociągnął duży łyk.

-Przyleciałam prosić cię o rękę.

Bez chwili wahania odwróciła się i ruszyła do mieszkania. Gdy Kane złapał ją za ramię, wyrwała się z uścisku.

-Odczep się ode mnie. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na oczy.

-Cale...

Odwróciła się do niego błyskawicznie.

- Wierzyć mi się nie chce, że wiesz, jak mam na imię – rzuciła ostro. - Myślałam, że jestem „ta pisarka”. - Westchnęła, narzuciła sobie spokój. - Dobra zrobiłeś wielkie *entree* i jestem pod wrażeniem więc już możesz iść. Możesz skorzystać z windy, chyba że planujesz skok ze spadochronem.

Kane zastawił sobą drzwi tarasowe.

-Chyba zasłużyłem na to co mi serwujesz. Wiem, że byłem gburem. Ty mi to powiedziałaś, Mikę mi to powiedział, Sandy, moi synowie mi to powiedzieli. Nawet moja matka i bratowa, chociaż żadna z nich cię nie poznała, opisały mi obrazowo, że jestem idiotą głupcem i ogólnie biorąc durniem.

Cale w najmniejszym stopniu nie poruszyło to, co usłyszała.

- Jestem pewna, że są inne kobiety, które potrafią odróżnić cię od brata, więc poszukaj sobie którejś. Szkoda na mnie twoich starań.

Kane znów złapał ją za ramię.

- Tu nie chodzi o tę sprawę z rozróżnianiem bliźniaków. Chodzi o to, że dzięki tobie przestały mnie prześladować wspomnienia o żonie.

Zmarszczyła brwi.

-Zapomniałeś o niej dzięki Ruth.

Kane puścił jej ramię i podszedł na brzeg tarasu, skąd spojrzął na tylną ścianę General Motor Buildings. Zanim go zbudowano, z tego miejsca rozciągał się daleki widok na Hotel Plaża i Central Park.

- Nie wiem, może ci to ktoś powiedział, a może nie, ale Ruth przypomina z wyglądu moją żonę. Zobaczyłem jej zdjęcie i zacząłem marzyć, że uda mi się wrócić do tego, co kiedyś miałem. Sądziłem, że przywrócę Janinę do życia; myślałem o piknikach i spacerach przy księżycu, i o naszej czwórce przytulonej do siebie. Nigdy nie zadawałem sobie pytań co do Ruth, bo myślałem, że ją znam. Straciła męża i dziecko w wypadku, tak jak ja straciłem żonę, więc sądziłem, że jesteśmy dla siebie stworzeni. - Odwrócił się do Cale i nie ujrzał na jej twarzy przebaczenia. - Myślę, że spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia. Siedziałaś na tej

walizce, wściekła na cały świat. Potem zaczęła kichać i kiedy popatrzyła na mnie...

Uśmiechnął się szeroko.

- No, poczułem się pod tym spojrzeniem jak gwiazdor filmowy, mistrz sportu i astronauta w jednej osobie. Pomyślałem że jesteś najładniejszą dziewczyną jaką spotkałem od lat i to zirykowało mnie jak jasna cholera. - Popił szampana. - Byłem koszmarny z tym grzechotnikiem. Powinienem ci podziękować ale skoro okazałaś się jednocześnie zaradna, odważna i piękna nie pasowałaś do moich planów. Tam była Ruth, mój ideał kobiety, a ja pożałowałem wojowniczej blondyneczki. Przez ciebie poczułem się... no, cudzołożnikiem.

Wypił kieliszek do dna, znów sobie nalał i stanął plecami do Cale.

- Ostatni miesiąc spędziłem z Ruth Edwards. Zabrało to dużo czasu, ale w końcu uświadomiłem sobie, że ona nie jest Janinę, że jest kimś zupełnie innym. Prawdę mówiąc, jest kimś, kto niezbyt mi się podoba. - Zachichotał. - I moi synowie jej nie cierpią.

Odwrócił się do Cale. Nadal stała przy drzwiach. Miała nieprzeniknioną twarz.

- Więc jestem twoją rezerwą - powiedziała. - Daj spokój, kowboju, na pewno znajdziesz jeszcze inną kobietę, która ci się spodoba. Czemu uparłeś się przy kobietach z Nowego Jorku? Znajdź sobie jakąś miłą wiejską dziewczuszkę i...

-Mieszkam w Nowym Jorku - przerwał jej, ale wyraźnie nie zamierzał kontynuować tego tematu.

-Zrzuciłeś, co leżało ci na wątrobie, i możesz sobie iść.

Po tych słowach odwróciła się do drzwi, ale Kane wziął ją w ramiona, odwrócił do siebie i zaczął całować. Całował jej uszy, szyję, twarz.

-Kocham cię, Cale - powiedział z ustami przy jej ustach. - Kocham to, że dzięki tobie nie istnieją dla mnie żadne inne kobiety. Kocham twój cynizm, twoje poczucie humoru. Kocham to, jak patrzysz na moich synów, jak patrzysz na mnie. Kocham to, jak się kochamy. Kocham twoją zaradność, twoją wrażliwość, twoje pragnienia, twoje...

-Nie czuję żadnych pragnień!

Nie było łatwo pozbierać myśli, kiedy był tak blisko niej. Kane parsknął na te słowa.

- Nigdy nie spotkałem nikogo, kto miałby więcej pragnień. Pragniesz - ucałował ją w czubek nosa - miłości. - Pocałował ją w policzek. - Ciepła. - Przy każdym pocałunku czule całował inną część jej twarzy. - Troskliwości. Rodziny. Bezpieczeństwa.

Wyrwała mu się.

- A ty pragniesz szczeniaka!

Nie wypuścił jej z objęć

- Pragnę kogoś kto patrzy trzeźwo na świat. Pragnę kogoś kto nie pozwoli mi pograć się w żalu nad sobą przez lata i oślepnąć na wszystko inne. Wyobrażam sobie że gdyby przy tobie naszła mnie melancholia dasz mi kopniaka każesz mi przestać się mazgać i znajdziesz mi jakieś zajęcie. Nie sądzę byś pozwoliła komuś pograć się w żalu nad samym sobą.

-Mówisz o mnie jakbym była zarządcą plantacji. Zachichotał, przyciągnął ją mocniej do siebie i otarł się o nią.

-Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać, że cię kocham i chcę się z tobą ożenić?

Cale odsunęła go na odległość ramienia

-Słuchaj, wiem że uważasz to wszystko za bardzo romantyczne. Odstawiliśmy numerki no dobra może więcej niż numerki na sianie i zaczęłeś sobie myśleć, że to podstawa wspólnego życia. Ale nie możesz się ze mną ożenić. Ja nie jestem materiałem na żonę.

-A dlaczego to? - zapytał, ale słyszała w jego głosie kpiącą nutę.

- Bo prowadzę poważny interes. Naprawdę poważny interes.

Wzięła głęboki oddech i wymierzyła cios łaski, gwarantowane pchnięcie które ostudza męskie zapały.

- Zeszłego roku zarobiłam milion przecinek cztery dziesiąte miliona dolarów, a w tym

roku zapewne zarobię jeszcze więcej.

Kane nadal się uśmiechał i nosem pogładził ją po uchu.

- W porządku, skarbie. Z tego da się wyżyć. Odepchnęła go od siebie.

-Czy ty mnie w ogóle słuchasz, kowboju? Nie jestem zwyczajną kurką domową która czeka na męża, kiedy wraca wieczorem do domu. Potrafię się tak zaangażować w moje opowieści, że zapominam o jedzeniu. Jak miałabym pamiętać o tym że powinnam przygotować mężusiowi martini i skakać wokół niego? A może ty pijesz tylko piwo? I co to znaczy, że mieszkasz w Nowym Jorku?

-Znaczy to, że nie jestem tym za kogo mnie bierzesz. Taki ze mnie kowboj jak z ciebie cyrkówka. Ja operuję na giełdzie, mam do czynienia z prawdziwymi pieniędzmi, nie z takimi ochłapami, jakie ty zbierasz.

Wpatrywała się w niego z lekko rozchylonymi ustami i szybko mrugała.

- Jedź dalej - powiedział - wyznaj mi najgorsze rzeczy. Bez względu na to, co powiesz, bez względu na to, co zrobiłaś, kocham cię. Chcę, żebyś za mnie wyszła. Kupię piętro tego domu. Zamieszka tam z dziećmi i z nianią, żebyś mogła zatrzymać to mieszkanie tylko dla siebie i miała gdzie uciekać od nas. Dostaniesz wszystko, czego zechcesz.

Myślała o wielu przyczynach, dla których nie powinna za niego wyjść.

Nienawidziła go. Taaa, nienawidziła go tak samo jak nienawidziła pisania książek. Od chwili wyjazdu z Chandler myślała tylko o nim. Na jawie i w snach, myślała tylko o nim i jego dzieciach.

-Nienawidzę cię - szepnęła tonąc w jego ramionach. - Naprawdę cię nienawidzę.

-Taaa wiem – odparł. - I nie mam o to do ciebie pretensji. Ale jeśli przeżyjesz ze mną resztę życia może zdołam zmienić ten pogląd

Nie potrafiła się odezwać bo czuła rosnącą kluchę w gardle. Rozległ się dzwonek przy drzwiach i wyrwała się z objęć Kane'a, usiłując przełknąć łzy

-Muszę... muszę...

-To pewnie chłopcy. Chcą ci pokazać nowe książki i...

-Jamie i Todd są tutaj?

Natychmiast wbiegła do mieszkania i otworzyła drzwi na oścież. Po chwili wahania chłopcy rzucili się na nią i cała trójka potoczyła się po podłodze. Kane zaraz dołączył do nich i trzech mężczyzn zaczęło łaskotać Cale.

-Odpowiedz mi - zażądał Kane. - Odpowiedz mi teraz!

-Tak - odparła ze śmiechem Cale. - Tak wyjdę za ciebie!

Kane jednym ruchem uwolnił Cale od chłopców i wziął ją w ramiona.

-Nie wiem, czemu tam na lotnisku od razu ci się nie oświadczyłem.

-Ja też tego nie wiem - szepnęła muskając go ustami. - Ja też.

## Księga III

### Idealny układ

#### 1

*Rok 1882*

- Fanie Hunter, proponuję panu moją rękę.

Cole oniemiał; była to jedna z tych niewielu sytuacji w życiu, kiedy autentycznie nie mógł wydusić z siebie słowa. Wielokrotnie nie odzywał się z własnej woli, lecz wtedy zwykle kilka tysięcy słów krążyło mu po głowie i po prostu decydował, że najlepiej postąpi, zachowując milczenie. Ale nie tym razem.

Nie w tym rzecz, że sokiem była sama propozycja. Nie zamierzał się przechwalać, ale w swoim czasie złożono mu kilka ofert matrymonialnych. No, może były one nieco zawoalowane i może pochodziły od pań, które trudno by nazwać godnymi szacunku, ale z pewnością padło tam słowo „małżeństwo”.

Natomiast szokujące było to, że o małżeństwie mówiła ta właśnie drobna istotka. Należała do gatunku kobiet, które udawały, że mężczyźni pokroju Cole a Huntera nie istnieją. Była jedną z tych pań, które zbierały suknie kiedy je mijał. Może później, po mszy, spotykały się z nim za stodołą, ale nie napomykały o małżeństwie i nie zapraszały go na niedzielny obiad.

Był poza tym przekonany że tej małej trudno byłoby znaleźć męża. No bo czym niby mogła się pochwalić? Poza całkiem kształtnym przodem zresztą widziało się ciekawsze! - należała do kobiet których nie zauważało się nawet wtedy, gdy siadały człowiekowi na kolanach. Ani ładna ani brzydka ani nawet miła, po prostu przeciętna. Miała kasztanowe włosy bez połysku, nie było ich za dużo i wyglądały tak że tuzin rozżarzonych do czerwoności karbówek pewnie nie zdołałby ich zakręcić. Zwykłe piwne oczy, zwyczajny nos zwyczajne usteczka Poza miłym dla oka zaokrągleniem w górnej części o figurze nie było co gadać. Żadnych bioder, żadnych prawdziwych okrągłości

A do tego dochodził jej sposób bycia. Cole lubił panie, po których widać było, że umięją przysporzyć uciechy w łóżku i poza nim. Lubiał panie, które potrafiły się śmiać i których śmiech był zaraźliwy. Tymczasem ta sztywna istotka chyba nie potrafiła nawet rzecz miłego słowa, o żartach nie wspominając. Przypominała nauczycielkę, której nikt nie przebłaga jeśli dziecko nie odrobiło zadania domowego. Wyglądała jak ta paniusia, która co niedziela układa kwiaty w kościele, jak kobieta, którą widzisz w dzieciństwie co dnia, ale nawet nie przyjdzie ci do głowy zapytać, jak się nazywa.

Nie wyglądała na wdowę. Nie wyglądała na taką która kiedykolwiek wpuściła mężczyznę do łóżka, mężczyznę gotowego szukać ciepła u jej boku. Jeśli kiedyś miała męża, pewnie nosił długą białą koszulę nocną i szlafmycę, a to co robili, robili wyłącznie dla podtrzymania gatunku ludzkiego.

Zwlekał.

Zapalił cienkie cygaro, by zapewnić sobie trochę czasu do namysłu i odzyskać panowanie nad sobą Tyle podróżował i spotkał tak wielu ludzi, że musiał nauczyć się oceniać szybko i celnie zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Ale jak do tej pory, nie udało mu się rozgryźć tej pani. Dawniej, kiedy daleko było mu do obecnych trzydziestu ośmiu lat, żywił przekonanie, że takie kobiety schną z tęsknoty za mężczyzną, który potrafiłby je rozpalić. Życie nauczyło go, że kobiety wyglądające na lodowate przeważnie są lodowate. Pewnego razu strawił miesiące na uwiedzenie pospolitej, sztywnej paniusi, całkiem podobnej do tej, cały czas wyobrażając sobie, co za uśpiony wulkan drzemie pod jej szczelnie pozapinaną suknią. Ale gdy wreszcie udało mu się zedrzeć z niej pantalon, leżała tylko ściskając dłonie w pięści i zagryzając zęby. Wtedy po raz pierwszy i jedyny w całym swoim życiu zawiódł jako

mężczyzna. Po tej wpadce uznał, że owocniej jest polować na kobiety, które przychylnym okiem patrzą na jego zaloty.

Więc teraz miał przed sobą jedną z tych polnych myszek w sukni zapiętej pod brodę, łokciami przyciśniętymi do boków i chociaż tego nie widział, był pewien, że kolana też kurczowo ściska.

Sam siedział na twardym, tapicerowanym krześle, które właścicielka pensjonatu uważała za szykowne, niespiesznie zapalał cygaro, obserwował swego gościa i czekał, aż wykona następne posunięcie. Oczywiście, do tej pory inicjatywa należała wyłącznie do niej.

Napisała, iż chce wynająć go do załatwienia bardzo osobistej sprawy, i wyznacza mu spotkanie w Abilene.

Sądząc z listu wykaligrafowanego na grubym welinowym papierze uznał, że jest bogata i chce go nająć do zabicia jakiegoś faceta, który igrał sobie z jej uczuciami. O tym zwykle pisywały mu kobiety. Jeśli pisał mężczyzna, przeważnie szło o zabicie kogoś z powodu bydła, dostępu do wodopoju, zemsty czy czegoś takiego. Ale w przypadku kobiet zawsze chodziło o miłość. Przed wielu laty Cole poddał się i przestał uświadamiać zarówno mężczyznom jak i kobietom że nie jest najemnym mordercą. Był najemnym arbitrem. Tak naprawdę uważał się za dyplomatę. Uznał, że ma talent do załatwiania sporów i wykorzystywał go, ile się tylko dało. To prawda, bywało, że w czasie negocjacji ktoś padał trupem ale Cole strzelał wyłącznie w samoobronie. Nigdy nie wyciągał broni pierwszy.

- Proszę mówić dalej - rzekł, gdy myszka zamilkła. Zaproponował jej fotel, ale wołała stać. Pewnie dlatego, że te jej sztywne plecy i tak by się nie zgięły. I stanowczo oznajmiła, że drzwi do pokoju muszą być uchylone na sześć cali, żeby nie wzbudzić w nikim gorszących podejrzeń.

Odchrząknęła.

- Wiem, jakie wrażenie muszą wywoływać moje słowa i mój wygląd. Na pewno myśli pan sobie, że jestem samotną starą panną szukającą męża.

Cale musiał powstrzymać się od uśmiechu gdyż dokładnie tak pomyślał. Czyżby teraz szykowała się oznajmić mu, że nie szuka męża? Zależy jej tylko na tym, by znalazł syna sąsiadów i stał go z powierzchni ziemi?

- Nie zamierzam się okłamywać – rzekła. - Nie mam złudzeń co do mojego wyglądu i wrażenia jakie wywieram na mężczyznach. Oczywiście chciałabym mieć męża i pół tuzina dzieci.

Na to jednak się uśmiechnął. Przynajmniej nie ukrywała że tęskni za pełnym wigorem mężczyzną w łóżku.

- Ale gdybym naprawdę rozglądała się za mężem za kimś odpowiednim na ojca moich dzieci na pewno nie zwróciłabym uwagi na podstarzałego rewolwerowca bez widocznych źródeł utrzymania któremu zaczyna rosnąć kałdun.

Cole natychmiast wyprostował się i wciągnął brzuch. Trochę go kosztowało by nie sprawdzić ręką jego rozmiarów. Może spróbuje odmówić sobie przez kilka dni szarlotki gospodyni.

- Zechce mi pani powiedzieć, o co pani chodzi?

Chociaż ani mi się śni podjąć robotę dla ciebie, rzekł w duchu. Co miał znaczyć ten podstarzały rewolwerowiec? Przecież radzi sobie z bronią tak samo dobrze jak dwadzieścia lat temu! Dziś żaden z tych gówniarzy. Przerwał myśli, gdy znów się odezwała.

- Nie wiem od czego zacząć. - Popatrzyła na niego twardo, oceniająco. Powiedziano mi, że jest pan najprzystojniejszym mężczyzną w Teksasie

Cole uśmiechnął się

- Ludzie plotą, co im ślina na język przyniesie - powiedział skromnie.

- Osobiście nie dostrzegam tego.

Cygaro Cole'a zatrzymało się w drodze do ust.



- Może był pan przystojny jakieś dwadzieścia lat temu, ale teraz... Za dużo przebywania na słońcu sprawiło, że pańska twarz jest cała w zmarszczkach, a z pańskich oczu przebija bezwzględność. Sądzę, panie Hunter, jest pan bardzo samolubnym człowiekiem.

Po raz drugi tego dnia wstrząśnięty Cole zapomniał języka w gębie. Potem odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Ale ta kobieta nawet się nie uśmiechnęła.

-W porządku, panno...

-Latham, panna Latham.

- Ach tak panno Latham - podkreślił złośliwie, a potem ogarnęło go rozdrażnienie na siebie samego. Podczas bójek zdarzało mu się słyszeć same najgorsze rzeczy pod adresem swoim i swoich przodków i nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi, ale ta niczym nie wyróżniająca się baba swoimi komentarzami na temat jego kałduna i samolubstwa podziałała mu na nerwy. Jakim prawem tak mu dogadywała? Była tak pospolita że gdyby postawiono ją na tle wydmy nie odróżniłby jej od piasku.

- Zechce mi pani powiedzieć czego pani ode mnie chce? – zapytał. Wiedział że powinien kazać jej się wynosić ale nie potrafił powstrzymać ciekawości. Chciał usłyszeć o co w tym wszystkim chodzi. Wspaniale pomyślał sobie oto ciekawski dyplomata. A ciekawość często kosztuje kulkę.

- Mam starszą o rok siostrę. Odwróciła się i podeszła do okna. W najlżejszym stopniu nie kołysała biodrami w ten uroczy sposób jakże uwielbiany przez mężczyzn. Szła jakby była z drewna i w oczach Cole'a była równie atrakcyjna co drewniany kłoc.

- Siostra uosabia wszystko to czego brak mnie. Jest piękna Zapewne wyczuła myśli Cole'a, bo dorzuciła wyjaśnienie.

- Wiem, że widząc mnie, trudno uwierzyć, że mam piękną siostrę. Można by pomyśleć, że moje wyobrażenie piękna jest pokraczne.

Cole nie pisał słowa, ale tak właśnie pomyślał. Nie trzeba było być żadną piękną żeby zasłużyć sobie na miano ładnej buzi przy tej małej. Oczywiście, z każdym nieprzychylnym określeniem, wypowiedzianym pod adresem Cole'a, stawała się jeszcze bardziej antypatyczna.

Ciekawe, ile mogła mieć lat? Na oko nie mniej niż trzydzieści. Była o wiele za stara, żeby przyciągnąć uwagę jakiegokolwiek mężczyzny. Nie dorobi się tego wymarzonego pół tuzina dzieciaków.

-*Żadna* kobieta nie dorównuje urodą Rowenie. Jest wysoka na pięć stóp siedem cali, ma gęste kasztanowe włosy, które same zwijają się w pukle. Ma zielone oczy, gęste rzęsy, idealny nos i pełne wargi. Ma taką figurę, że mężczyźni nie mogą ustać spokojnie na jej widok. Wiem, bo widziałam to nieraz. - Wzięła głęboki oddech. - Ważniejsze niż uroda Roweny... przynajmniej dla kobiet... jest jej dobre serce. Jest troskliwa. Potrafi zadbać o ludzi i sprawia, że troszczą się o siebie i innych. Jest urodzoną przywódczynią. - Odetchnęła. - Siostra ma charakter i urodę. Innymi słowy, ma wszystko.

-Zastrzelić ją? - To był żart, ale się nie roześmiała i Cole zastanowił się, czy ma choćby cień poczucia humoru.

- Odebrać mojej siostrze życie to skrzywdzić naszą planetę. Cale rozkaszał się, mało nie dusząc się dymem z cygara. Nigdy w życiu nie słyszał czegoś podobnego, jednak ta kobieta powiedziała to takim tonem, jakby naprawdę tak myślała.

-Moja siostra jest heroiną w jak najlepszym znaczeniu tego słowa. Jak wszystkie heroiny nie ma pojęcia o swoim heroizmie. W wieku dwunastu lat zobaczyła płonący przytułek dla sierot, wbiegła do środka i uratowała cały pokój dzieci. Jest uwielbiana przez wszystkich.

-Poza panią.

Panna Latham kolejny raz wzięła głęboki oddech i usiadła.

- Nie, myli się pan. Zwłaszcza ja ją uwielbiam. – Wypuściła oddech i Cole dostrzegł

że drży ale ukrywa to bardzo starannie. Podejrzewał iż często kryła swoje emocje. - Trudno mi wytłumaczyć co czuję względem Roweny. Kocham ją ale czasem prawie jej nienawidzę. - Dumnym gestem uniosła głowę. – Być może mój problem sprowadza się do zwyczajnej zazdrości.

Przez kilka chwil obserwował ją siedzącą bez ruchu i był zdumiony nie dostrzegając oznak uczuć na twarzy czy w ciele. Żadnego drżenia powiek żadnego załamywania rąk. Siedziała idealnie nieruchomo. Byłaby z niej znakomita pokerzystka.

Nagle Cole uznał że nie jest z nim najlepiej, bo poczuł jak wzbiera w nim współczucie.

-Czego pani ode mnie chce?- zapytał bardziej gburowato, niż zamierzał.

-Sześć lat temu siostra znalazła wspaniałego męża. Jest wysoki przystojny, bogaty, inteligentny. Jonathan w oczach każdej kobiety uosabia ideał męża. Mieszkają w Anglii we wspaniałej posiadłości i mają dwoje ślicznych dzieci. Rowena jest takim typem pani domu, dla którego służba pracowałaby nawet bez zapłaty.

-A co z panią?

Po raz pierwszy zobaczył na jej twarzy zapowiedź uśmiechu

-Przełacam moich służących niczego od nich nie wymagam a oni mimo to kradną mi srebra

Roześmiał się. Może jednak mimo wszystko miała poczucie humoru.

- Mój problem wynika z faktu że siostra mnie kocha. Zawsze mnie kochała. Na Boże Narodzenie zwykle ukradkiem wymykała się nocą na parter i zmieniała karteczki na paczkach, bo ludzie dawali mi nudne pożyteczne prezenty, podczas gdy Rowena dostawała przepiękne rzeczy Oczywiście, kończyło się tak, że ja zostawałam z dwudziestoma pięcioma jardami jedwabiu ozdabianego kokardami a ona dostawała dziesięć tomów o życiu Byrona, więc obie byłyśmy nieszczęśliwe. Ale robiła to z miłości do mnie.

-Lubi pani Byrona?

-Lubię książki Biografie sławnych ludzi. Ja reprezentuję zdrowy rozsądek Rowena wyobraźnię. Kiedy widzę płomienie buchające z budynku wzywam straż pożarną. Nie biegnę w ogień. Uciekam od niego.

Cole uśmiechnął się

-Jestem podobny raczej do pani

-Och, nie - rzekła z pewnym naciskiem. - Pan, panie Hunter, jest podobny do Roweny.

Ton tego oświadczenia sprawił, że zabrzmiało jak największa obelga. W pierwszym odruchu chciał się bronić. Ale bronić się przed czym? Wszystko, co powiedziała o siostrze, było wielce pochlebne.

- Zebrałam dokładny wywiad na pański temat, panie Hunter, i jest pan równie niepoprawnym bohaterem jak moja siostra. Najpierw pan działa, a potem zastanawia się nad tym, co uczynił. Wedle osób, z którymi się konsultowałam, ugasił pan co najmniej dwie wojny o pastwiska, kładąc trupem mniej ludzi, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Wiedział, że nie powinien tego robić, ale musiał jej odpłacić za wcześniejszą uwagę.

-Nie, szanowna pani, jestem tylko tym, kogo pani widzi - podstarzałym rewolwerowcem.

-Tak pan wygląda i to prawda, że nie ma pan przed sobą żadnej przyszłości. Pańska użyteczność wyczerpie się wraz z osłabnięciem wzroku. O ile wiem, z tych wszystkich wyczynów nic pan nie zaoszczędził. Głównie dlatego, że pracował pan za bardzo niewiele albo za nic. Z jednej strony jest pan bohaterem, z drugiej - głupcem.

-Naprawdę wie pani, panno Latham, jak pochlebić mężczyźnie. Nie mogę pojąć, czemu nie ma pani męża i pół tuzina dzieci.

-Jestem odporna na męskie obelgi, więc niech się pan nie wysila. Chcę wynająć pana do jednej roboty i to wszystko. Po dwóch tygodniach może pan zniknąć z mojego życia i

nigdy więcej się nie pokazać.

- A ta robota ma polegać na ożenieniu się z panią?

- Chodzi nie tyle o autentyczny ożenek, co o udawanie małżonka podczas dwóch tygodni pobytu siostry w Teksasie. Przyjeżdża w odwiedziny.

- Jestem ciekaw, panienko, dlaczego ja? Czy nie uważa pani, że podstarzały rewolwerowiec to najgorsza partia? - Chociaż powiedziała mu i miłe rzeczy, tą jedną uwagą załaziła mu za skórę. No i jeszcze ten przytyk o wzroku. Widział dziś tak samo dobrze jak wtedy, kiedy miał osiemnaście lat. No, może druk był drobniejszy niż za dawnych czasów, ale... Musiał przerwać rozmyślenia. Jeśli baba zrobi jeszcze jeden poniżający go komentarz, chyba ją udusi.

- Zależy mi na panu ze względu na pański zawód. Chcę... zrobić wrażenie na siostrze. - Zirytowana wyrzuciła ręce w górę, po raz pierwszy ukazując prawdziwe emocje. - Kto zrozumie miłość? Na pewno nie ja. Moim zdaniem jeśli chce się wyjść za mąż należy wybrać człowieka godnego zaufania który zapewni byt rodzinie i otoczy ją opieką. Ale wygląda na to że kobietom nie zależy na takich mężczyznach. Pragną mężczyzn którzy są niebezpieczni, robią ze wszech miar bezmyślne głupie rzeczy jak strzelanie do innych szybciej niż tamci zdążą strzelić do nich. Krótko mówiąc panie Hunter, kobiety pragną takich mężczyzn jak pan.

Cole poddał się i przestał pilnować cygara, aby mu nie zgasło. Był tak zafascynowany tą kobietą, że beczka dynamitu nie ruszyłaby go z miejsca.

- Czy wywarłbym wrażenie na pani siostrze? - zapytał cicho.

- O, tak. Jest pan dokładnie typem mężczyzny, który podoba się Rowenie. Zupełnie przypomina pan jej Jonathana, poza tym, że on wykorzystał swój może nie talent ale umiejętność zastraszania ludzi do zgromadzenia zawrotnego majątku.

- To musi być prawdziwy szatan.

- To jest prawdziwy szatan. Ale wygląda na to, że kobiety przepadają za takimi mężczyznami. Jest powszechnie uważany za bardzo sprawnego człowieka interesu. I na swój sposób umie okazać współczucie, tak jak pan, ale jego zdaniem cel uświęca środki, byle wszystko szło po jego myśli.

- Ja też jestem taki? - Nie potrafił utrzymać języka za zębami i nie zadać tego pytania.

- Tak. Doprowadzenie do pojednania w sprawie tych utarczek o pastwiska to naprawdę nie była pańska sprawa i zdumiewa mnie próżność, jaką pan okazał, uważając, że potrafi pogodzić zwaśnione strony.

- Ale wprowadziłem tam spokój! - Nie mógł tego nie podkreślić.

- Właśnie w tym rzecz. Widzi pan... ingeruje pan w życie obcych sobie ludzi i zabija ich, jeśli robią panu na przekór. Jonathan zarabia pieniądze w identyczny sposób.

Cole poczuł się tak, jakby powinien przeprosić za to, że żyje.

- Przykro mi, że naraziłem się na pani surową ocenę, przykro mi, że takie kobiety jak pani siostra uważają że jestem coś wart - powiedział sarkastycznie.

- Ależ nie ma o czym mówić - rzekła, traktując serio te słowa. - Wszyscy jesteśmy próżni. To, co teraz robię, świadczy o mojej niezwyklej próżności. Widzi pan, siostra w stosunku do mnie kieruje się wyłącznie dobrymi intencjami, ale zamierza przyjechać do Teksasu i znaleźć mi męża. Powiada, że staję się suchą kwaśną... - Machnięciem ręki zbyła resztę tej oceny. - Nieważne, co mówi Rowena. Plecie, co jej ślina na język przyniesie.

- Odwrotnie niż pani, która jest wzorem taktu i wdzięku. Spojrzała twardo, badając, czy nie żartuje, ale nie dostrzegła rozbawienia w jego oczach.

- Rowena zdecydowała się pokierować moim życiem i dopnie celu, jeśli jej nie uprzedzę.

- Nie potrafię pojąć jednego. Mówi pani, że chce mieć męża i dzieci. Oczywiście, przy swoim uroku nie znajdzie pani nikogo, więc czemu nie pozwolić siostrze na wyszukanie odpowiedniego mężczyzny?

-Bo ona tak oczaruje jakiegoś mężczyznę pańskiego pokroju, że się ze mną ożeni.

Cale siedział i tylko mrugał oczami. Nie mieściło mu się w głowie, że został zakwalifikowany jako najgorszy kandydat na męża. Znalazłoby się kilka pań, które uznałyby go za najlepszego do tej roli!

Westchnęła głęboko.

-Widzę, że tłumaczę się niejasno.

-To zapewne moja wina - odparł słodko Cole. - Te opary prochu, które przez tyle lat życia unosiły się wokół mojej głowy, sprawiły, że kompletnie zdumiałem. Proszę objaśnić mi wszystko dokładnie.

-Naprawdę zależy mi na mężu i planuję go mieć... w przyszłości. Ale mój ideał małżonka jest inny niż Roweny. Chcę mieć miłego, zwyczajnego mężczyznę. Nie chcę nikogo takiego jak jej Jonathan albo pan. Nie chcę mężczyzny tak przystojnego, że każdego wieczoru będę musiała się gryźć, czy nie spotyka się z jakąś inną kobietą.

Cole wyczuwał w tych słowach komplement pod swoim adresem ale nie wiedział dokładnie, na czym on polega.

- Chcę mężczyzny, na którym mogę polegać, kogoś, kto będzie przy mnie, kiedy zasnę, i będzie, kiedy się obudzę. Chcę mężczyzny, który będzie nosił dziecko na rękach, kiedy zaczną mu się wyrzynać ząbki. Chcę mężczyzny, który zaopiekuje się mną podczas choroby. Innymi słowy chcę mężczyzny, który jest człowiekiem dorosłym dojrzałym mężczyzny na tyle męskiego, żeby wiedział, że są inne sposoby załatwiania sporów niż zastrzelenie przeciwnika.

Cole przyłapał się na tym że wierci się na krześle. Ogarniała go autentyczna niechęć do tej kobiety.

- Więc jeśli pani na tym zależy czemu pani sama nie znajdzie sobie takiego wymoczek? Powiedział to rozdrażnionym a może nawet zazdrosnym głosem Skąd u niego ten ton?!

- Wyobraża pan sobie jak zareaguje moja siostra przyjeżdżając do mnie z wizytą i widząc że wyszłam za jakiegoś niskiego łysiego człowieczka który zna się lepiej na książkach niż na broni? Rowena będzie współczuć mi jeszcze bardziej niż poprzednio.

Nagle wstała z zaciśniętymi pięściami.

- Panie Hunter, nie wyobraża pan sobie co to znaczy dorastać przy kimś takim jak Rowena. Całe życie byłam z nią porównywana. Jeśli już musiała być piękna to niesprawiedliwe było że okazała się utalentowana Rowena potrafi wszystko! Jeździ konno jakby urodziła się w siodle. Umie gotować tańczyć mówi czterema językami. Rowena jest po prostu niezwykła. Z wielką odwagą zwykła sprzeciwiać się naszemu ojcu i tym bardziej kochał ją za to. Kiedy ja spróbowałam mu się sprzeciwić, odesłał mnie bez kolacji do pokoju. - Odetchnęła głęboko by się uspokoić. - A teraz rodzice nie żyją mieszkam sama w przeogromnym ponurym starym domu i moja wspaniała siostra zjeżdża do Teksasu by znaleźć mi męża. Twierdzi że robi to z miłości do mnie, ale naprawdę kieruje się litością. Żałuje mnie i myśli, że sama nigdy nie znajdę męża, ale jest przekonana, że jakiś mężczyzna ulegnie jej czarowi i da się przekonać do małżeństwa ze mną. - Popatrzyła na Cole'a. - Minął zaledwie rok od śmierci ojca, a za jego życia nie miałam żadnej szansy poszukania małżonka. Ojciec powiedział, że stracił jedną córkę przez małżeństwo i już się cholernie dobrze postara, by nie stracić następnej. Jestem w pełni przekonana, że teraz, będąc wolna, wyszukam sobie męża, ale nie do następnego tygodnia, kiedy przyjedzie Rowena. Bo gdyby nawet mi się powiodło, nie byłby to dobry mąż. Do znalezienia takiego mężczyzny trzeba czasu i rozważli. Małżeństwo to bardzo poważne przedsięwzięcie. A poza tym, gdybym nawet wyszła na przywitanie Roweny z takim mężczyzną u boku, na jakim mi zależy, w dalszym ciągu żałowałaby mnie, bo nie byłby to jakiś kołyszący się w biodrach, bezlitosny morderca o zmrużonych oczach i wystającej dolnej szczęce jak jej mąż.

Cole nie potrafił się powstrzymać, by nie pomacać się po szczęce. Sterczała mu? Był

bezlitosny? Kołysał się w biodrach? Niech to diabli, ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa! Gdyby naprawdę był bezlitosnym zabójcą figurowałaby pod numerem pierwszym na jego liście osób do wykończenia.

- Miałbym więc przez dwa tygodnie udawać pani męża, by wyrzucić wrażenie na pani pięknej siostrze?

- Dokładnie tak. Zapłacę panu dwa tysiące dolarów za dwa tygodnie i oczywiście przez ten czas będzie pan mieszkał w wygodnym domu i dostawał suto posiłki.

Mówiła tak jakby żył w norze i na obiad jadł śmieci i robaki. Jasne, temu pensjonatowi nie zaszkodziłoby dobre sprzątnie, a jedzenie zapewne przedstawiało wiele do życzenia. Ale kiedyś mieszkał w Saint Louis w pięknym hotelu i jadł... No cóż, to było po dochodowej robótce i siedział tam, dopóki forsa się nie skończyła. Może jej łysy farmer zrobiłby z tych pieniędzy jakiś rozsądny użytek.

- No i? - zapytała, marszcząc niecierpliwie brwi.

- Panno Latham, myślę, że gdybym musiał spędzić z panią dwa tygodnie, zastałbym powieszony za zamordowanie... pani.

Obserwował ją uważnie, lecz nie zdradziła żadnych uczuć, nawet jeśli ich doświadczyła.

- Sądzę, że to zamyka sprawę. Życzę panu wszystkiego najlepszego w przyszłych przedsięwzięciach i mam nadzieję, że jeszcze przez wiele lat zdoła pan uchylać się przed kulami. Do widzenia, sir.

Po tych słowach opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi. Cole podszedł do komody przy ścianie, wyjął butelkę whiskey i golił sobie zdrowo. Cóż panienka Sztywne Zasady powiedziała by na picie alkoholu przed południem? Pewnie spojrzałaby tylko na niego, zadzierając swój nieciekawny nos.

Rozsunął zasłony w oknie i obserwował ją przechodzącą przez ulicę. Żaden mężczyzna się nie odwrócił, nawet na nią nie spojrzął. Nigdy w życiu nie spotkał kogoś mniej godnego pożądania. Niemniej jednak coś w niej nie dawało mu spokoju.

- Do cholery! - zaklął głośno. W kilka minut sprawiła że całe życie wydało mu się nic niewarte. Jemu mężczyźnie przed którym wszyscy na południowym zachodzie mieli się na baczności, i który mógł sobie wybrać każdą kobietę w kraju.

Odsuwając się od okna zobaczył swoje odbicie w lustrze nad gotownią. Odwrócił się bokiem wyprostował i wciągnął brzuch. Nie było mowy o żadnym kałdunie! Miał równie płaski brzuch jak w dniu swojej pierwszej strzelaniny. Rozzłoszczony złapał kapelusz i wyszedł z pokoju.

Dwie godziny później siedział na frontowej werandzie biura szeryfa i strugał patyk na wióry. Doszedł do wniosku że ta kobieta przyniosła mu nieszczęście. Dziesięć minut po wyjściu z pensjonatu podbiegł do niego posłaniec z telegramem. Robota dla ranczera w Piano została odwołana. Farmer potrzebował kogoś kto znajdzie i zabije bandę złodziei bydła ale informował, że młodszy i tańszy rewolwerowiec załatwił już ten problem.

Na tę wiadomość Cole a ogarnęła taka wściekłość że poszedł do Niny i powiedział, że chce ją mieć i to zaraz! Nina odparła, że musi poczekać na swoją kolejkę i że nie zapłacił za ostatni raz. Od kiedy to musi płacić za kobiety? Kobiety umierały z chęci pójścia z nim do łóżka.

- Nina - powiedział czując do siebie obrzydzenie, za to, co mówił - czy twoim zdaniem jestem no wiesz... przystojny? Wprawiło ją to w dobry humor.

- Co się z tobą dzieje skarbie? Zawróciła ci w głowie jakaś dzierlatka która traktuje cię jak tatusia?

Była to prawdopodobnie jedyna zniewaga, którą panna Latham go nie uraczyła, ale Nina wyrównała teraz to przeoczenie. Najpierw wyschnięta stara panna a teraz prostytutka. Pomyślał, że lepiej wyniesie się piorunem z Abilene zanim mu posiwieją włosy i wypadną

wszystkie zęby.

- Co cię gryzie? - zapytał szeryf, który teraz siedział obok niego na werandzie.

- Wszystko gra warknął Cole. Co miałoby mnie gryźć?

- Rzadko widuję cię na nogach o tak wczesnej porze, a kiedy już wstaniesz za dnia to zwykle po to żeby do kogoś postrzelać. Czemu nie siedzisz w barze jak zwykle?

- Myślisz że na nic innego mnie nie stać? Myślisz, że potrafię tylko strzelać do ludzi pić i grać w karty? Jeśli uważasz mnie za takiego obiboka czemu mnie nie aresztujesz? A skoro już taki ze mnie morderca to czemu mnie nie powiesiłeś?

Szeryf przyjrzał mu się z rozbawieniem. Znali się od wielu lat, zjeździli razem wiele dróg aż szeryf uznał że ma dosyć spania na twardej ziemi i żarcia fasoli. Ożenił się z pulchną wdówką i spłodził dwójkę chłopaków które były dla niego wszystkim.

- Nina pokazała ci drzwi?

- Nie, Nina nie pokazała mi drzwi - skłamał Cole. - Czemu ludzie w tym mieście nie potrafią zrozumieć, że człowiek od czasu do czasu ma ochotę na jakąś małą odmianę?

- Ktoś zalał ci dziś sadła za skórę. Ale kto? Czy kręci się tu któryś z Daltonów? Ciekawe który?

Cole nic nie odpowiedział, bo w tejże chwili nudna mała panna Latham wyszła z hotelu i ruszyła w kierunku banku.

Szeryf obserwował swojego starego przyjaciela, usiłując dojść, co się z nim dzieje gdy spojrzenie Cole'a nagle się zmieniło. Było to spojrzenie zarezerwowane dla szulerów, którzy mogli chować asa w rękawie i dla złej sławy rewolwerowców, którzy w każdej sekundzie mogli wyciągnąć broń, by się potem pysznić, że to oni zastrzelili Cole a Huntera.

Szeryf z niedowierzaniem obserwował, jak Cole wpija się wzrokiem w drobną pospolitą kobiecinę odzianą w skromną brązową suknię. Cole zwykle gustował w efektownych kobietach noszących czerwone jedwabie i czarne koronki. Twierdził, że utrzymuje się walcząc z mężczyznami i nie kwapi się walczyć o kobiety; w tej dziedzinie lubi łatwe zwycięstwa.

- Co o niej wiesz? - zapytał wojowniczo Cole, wskazując kobietę ostrzem noża.

Abilene było całkiem sporym miasteczkiem, lecz szeryf szczyił się, że zna tu wszystkich.

- Siedzi na forsie. - Odgryzł prymkę tytoniu. - Jej ojciec przyjechał ze wschodu, kupił kilka setek akrów pięknej ziemi w okolicy, gdzie diabeł mówił dobranoc, zbudował najogromniejszy dom, jaki większość ludzi widziała na oczy, a potem zamieszkał w nim i czekał. Ludziska przeważnie uważali go za wariata. Cztery lata później doszła tam linia kolejowa i sprzedał tę ziemię pięć razy drożej, niż kupił. Zbudował miasteczko, nazwał po sobie Latham i wynajmował domy dla tych, którzy chcieli pracować Twardy człowiek. Mówią że wyrzuca lokatorów, kiedy spóźniają się dobie z komornym

- Wyrzucał - rzekł Cole - Umarł prawie rok temu.

- Ach tak? Nie obilo mi się o uszy - odparł szeryf, dając do zrozumienia że chciałby się dowiedzieć czegoś więcej. Ale Cole zawsze zarzucał mu że jest starym plotkarzem, więc nie podzielił się teraz żadną informacją jedynie zapytał:

- A co z jego żoną?

- Słyszałem, że ją też kupił. Pojechał na kilka miesięcy na wschód i wrócił z nią.

- I urodziła córkę - powiedział cicho Cole.

Szeryf zachichotał.

- Taaa, prawdziwą piękność, a potem przyszła na świat druga córka, która była kropka w kropkę jak on. To musiał być dla nich srogi zawód.

Cole nie mógł się zdecydować, czy powinien stanąć w obronie tej pyskatej kobiety czy nie. Już otwierał usta, gdy wspomniął „podstarzałego rewolwerowca” i zmienił zdanie. Przy następnym pojedynku z jakimś kąpanym w gorącej wodzie zabijaką powinien wypuścić na niego pannę Latham. Utoczy mu więcej krwi niż kule Cole'a.

Strugał właśnie na wióry czwarty patyk gdy zaczęła się rozróżba. Dokładnie pod nosem sennego szeryfa i na oczach nie uważającego Cole'a czterech mężczyzn podjechało do banku zasłoniło gęby chustami i wzięło się do opróżniania kas. Szeryf zorientował się co się święci, dopiero wtedy gdy usłyszał strzał i ujrzał człowieka wytaczającego się z banku i trzymającego się zakrwawioną ręką za brzuch.

Cole zawsze uważał że napady na bank to absolutnie nie jego sprawa. Przede wszystkim mogło się okazać że wyciągnął broń przeciwko ludziom których uważał za swoich przyjaciół ludziom z którymi przesiadywał przy ognisku więc noszenie gwiazdy szeryfa zostawiał tym głupcom którzy chcieli naprawiać świat. Wczoraj siedziałby dalej na werandzie i przyglądał się jak szeryf zrywa się na równe nogi i biegnie wyprzedzając młodego zastępcę który wyskakuje z biura i leci za nim.

Lecz dziś było inaczej.

Ona tam jest! - zahuczało mu w głowie. Oczywiście, nie miało to żadnego sensu, bo przecież wcale się nią nie interesował. Gdyby była tam Nina albo ktoś mu znany, to miałyby sens. Tak jak się sprawa przedstawiała, nie miało.

Nie zastanawiał się.

Mimo imaginacyjnego kałduna, niemłodego wieku oraz słabnącego wzroku przesadził poręcz werandy i pomknął wyprzedzając szeryfa o całe dwadzieścia pięć stóp. Był jak wąż - w jednej chwili leniwie wygrzewający się w słońcu, a zaraz potem śmigający z taką prędkością że trudno go było dostrzec.

Bandyci nie przewidzieli, że ktoś o reputacji Cole'a Huntera przeszkodzi im obrabować bank w Abilene. Myśleli, iż będą mieli do czynienia z tłustym szeryfem, jego zastępcą żółtodziobem i gromadką trzymających się z boku obywateli. Przecież był to skromny bank którym mało kto się interesował.

Złodzieje spodziewali się łatwego łupu, a cały napad miał im zabrać nie więcej niż kilka minut. Ale sprawy od początku potoczyły się nie po ich myśli. Pewien farmer zdecydował się grać zuchą, a najmłodszy i najbardziej nerwowy z paczki tak się przestraszył, że postrzelił wieśniaka.

- Zjeżdżamy stąd! - krzyknął jeden z bandytów łapiąc juki pełne pieniędzy i zmierzając do drzwi.

Na tym zakończył życie. Cole Hunter kopniakiem rozwalił drzwi i cofnął się przed gradem kul. Gdy kanonada umilkła, wszedł do środka plując ogniem z dwóch rewolwerów, a kiedy dym się rozwiął, trzech mężczyzn leżało na podłodze.

Czwarty z bandytów złapał najbliższą osobę, używając jej jako tarczy, i tym kimś przypadkiem okazała się panna Latham.

- Rzuć broń na podłogę albo ona dostanie w łeb! - odezwał się zza maski mężczyzna, przykładając kobiecie broń do głowy.

Cole z zadowoleniem stwierdził, że nie wyglądała na przerażoną. Nie chciał odzywać się do niej, żeby bandyta nie zdobył nad nim przewagi wiedząc, że Cole ją zna. Do środka wpadli szeryf i jego zastępca. Hunter ruchem ręki kazał im się nie wtrącać.

- Leż na podłodze - powiedział spokojnie, rzucając rewolwery i nie odrywając oczu od bandyty, który zaczął przesuwać się do drzwi. Cole miał zatknętą za pas jeszcze jedną sztukę broni, derringera, mały jednostrzałowiec dużego kalibru. Mógł go użyć, ale należało wpięrow usunąć pannę Latham z linii strzału. Rozmyślał, jak jej powiedzieć, by wyrwała się bandycie.

- Po co ty się w to zaplątałeś, Hunter? - zapytał bandzior.- Zwykle jesteś po naszej stronie.

Wczoraj ta uwaga sprawiłaby Cole'owi przyjemność, nawet by się z nią zgodził, lecz dziś pojawiło się coś innego. Może chodziło o to, że oczy panny Latham spoglądały na niego z absolutnym zaufaniem. Powiedziała, że jest bohaterem.

- A tak sobie przechodziłem - rzekł - i zachciało mi się trochę rozrywki. Rzecz tylko w tym, by nie nudząc się, równocześnie wywinąć się spod kuli.

Bandyta nie przestawał uśmiechać się spod maski.

- Rozumiem - powiedział i nadal posuwał się do drzwi popychając przed sobą pannę Latham

Właśnie gdy Cole doszedł do wniosku, że jego wzmianka o „wywinięciu się” nie dotarła do zakładniczki, panna Latham ugryzła bandytę w ramię i gdy zaskoczony zwolnił uścisk, wywinęła mu się i rzuciła na podłogę. Cole wyciągnął derringera i wypalił, ale nie zdążył ubiec bandyty. Jego kula ugodziła Cole'a w prawe przedramię ułamek sekundy wcześniej nim wypalił kieszonkowy rewolwer.

## 2

Cole oparł się o łóżko, przymykając oczy przed blaskiem, jaki wciskał się do zaciemnionego pokoju. Trudno w to uwierzyć, ale jego nastrój był jeszcze gorszy niż ból głowy i brzucha, nie wspominając już o rwaniu w prawym przedramieniu. Wczoraj wypił morze whiskey, bo miał wrażenie, że konował marudzi całymi godzinami wyjmując kulę. A gdy ten wreszcie uporał się z zadaniem oświadczył, że pocisk trafił w kość i potrzaskał ją tak groźnie, iż ramię będzie bezużyteczne przez kilka miesięcy.

Cole'a czeka noszenie ręki na temblaku. Odzyskiwanie sprawności w ręce, którą władał rewolwerem, potrwa jeszcze dłużej.

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się od wybuchu wściekłości w obecności lekarza i szeryfa.

Biorąc pod uwagę, jak był pijany, w chwili gdy usłyszał złe wieści, powinien dostać medal za powściągliwość. Cały czas myślał tylko o jedynym - o tym że nie będzie mógł wykonać dwóch następujących zleceń.

Pierwsze było proste pewien obszarник chciał przejąć więcej ziemi, więc najął Cole'a by ten przekonał drobnego farmera że najlepiej zrobi sprzedając bogaczowi swoje kilkuakrowe gospodarstwo. Cole znakomicie nadawał się do takich spraw potrafił wspaniale odmalować nęcący obraz ziem leżących gdzieś daleko. Zwykle wystarczyło napomknąć że gdzieś tam można znaleźć złoto, a zaharowany farmer z największą radością rzucał pług i ruszał przed siebie.

Drua robota była trudniejsza. Pewien ranczer przeganiał bydło przez terytorium wroga, więc wynajmował kilku zbrojnych do ochrony krów i pastuchów.

Czy Cale mógł wykonać którąś z tych prac z prawą ręką w łupkach? Nie mógł pojechać do pierwszego ranczera i powiedzieć mu prawdy: że da sobie radę bez broni. Gdyby wieść o tym się rozeszła, ludzie zaczęliby wynajmować lokalnych kaznodziejów, doskonale nadających się do załatwiania spraw gadaniną. Jeśli Cole chce zachować klientelę, musi utrzymać ją w przekonaniu, że każde zlecenie jest niebezpieczne i wymaga chłopca, który umie szybko strzelać.

Ale teraz został odstawiony na boczny tor na kilka miesięcy. I dlaczego? Dlatego, że pewna kobiecinka zraniła jego uczucia. Czuł się jak pierwszoklasista, który dostał pierwszą złą ocenę z klasówki z matematyki.

A panna Latham przypominała mu dokładnie jego pierwszego belfra nieszczęsnego, starego pijaczynę, który zawsze powtarzał swoim uczniom, że są niczym i do niczego nie dojdą. Musiał udowodnić swoją wartość w jej oczach i może również we własnych. Panna Latham go do tego doprowadziła. Doprowadziła go do tego, że musiał jej udowodnić, iż nie jest przestępcą.

Teraz bez przerwy zadawał sobie pytanie, czy został postrzelony z powodu słabnącego wzroku czy zwolnionej reakcji - co tak czy siak byłoby wynikiem starczego wieku.

Ułożył się nieco inaczej na łóżku, szukając trochę odpoczynku przynajmniej dla ciała,



gdy umysł go nie znajdował, rozchylił nieznacznie powieki i mało nie wrzasnął ze zdumienia. Oto w zaciemnionym pokoju stała przy łóżku jak duch panna Latham.

- Co pani tu robi? - zapytał z irytacją. Z jego głosu wyraźnie biło przekonanie, że to wszystko było jej winą ze nie wylądowałby w tej sytuacji, gdyby nie ona.

- Przyszłam przeprosić - odparła. Jej spokojny głos nie zdradzał, o czym naprawdę myśli. Cole był przyzwyczajony do kobiet, które odchodząc od zmysłów rzucały mu się w ramiona i powtarzały: „Ratuj mnie, ratuj mnie!” Ale ta mała rybka była zimna jak lód.

- I podziękować - dodała. - Gdyby nie wkroczył pan do akcji, nie wiem, co by się ze mną stało.

Był niemal ugłaskany tym oświadczeniem i już zamierzał wymamrotać coś miłego, gdy powiedziała:

- Oczywiście, gdyby nie wpakował się pan do banku siejąc kulami jak cały oddział wojska, ten bandyta nigdy by mnie nie złapał. Ale sądzę, że pańskie dobre intencje zasługują na pochwałę.

Cole opuścił głowę na poduszkę i wywrócił oczami do sufitu.

- Wygląda na to, że zanim wyląduję w piekle, zakosztuję go trochę na ziemi. - Popatrzył na nią. - Panno Latham, jeśli chce mi pani pomóc, czemu nie pokaże mi pani biletu w jedną stronę? Mam nadzieję, że wyjedzie pani gdzieś daleko stąd i to niedługo, bo pozostało mi jeszcze jedno zdrowe ramię i dwie nogi, i boję się, że przy pani jeszcze coś złego je spotka.

Wyglądało na to, że nie dotarł do niej jego sarkastyczny ton, bo ze słowami: „Pan wybacz” - odwróciła się, podniosła suknię i wyjęła z ukrytej kieszeni skórzany portfel. Wręczyła go Cole'owi.

Początkowo nie wiedział, co mu dała, i gdy wyteżał oczy w słabym świetle, podeszła do okna i podniosła zasłonę. Choć słowem nie skomentowała jego kłopotów, tylko dużym wysiłkiem woli powstrzymała się przed stwierdzeniem, iż nadal ma doskonały wzrok.

- Co to ma być? - spytał ostro.

- Mój bilet na pociąg.

- To widzę, ale on jest do Waco, Teksas, i co to jest, do diabła? - Ku swemu niezadowoleniu ostatnie kilka słów wyrzekł podniesionym głosem. Do biletu była dołączona lista wszystkich bezwzględnych, niebezpiecznych, gotowych poderznąć gardło własnej matce przestępców, których kiedykolwiek miał nieszczęście spotkać w swoim życiu. Prawdę mówiąc, zastrzelił jednego z nich.

- Co pani ma wspólnego z tymi ludźmi? I czemu ten bilet jest do Waco? Czemu nie wybiera się pani do siebie do domu, niezależnie od tego, gdzie on jest?

- Wybieram się do Waco, bo mam nadzieję znaleźć tam Waco Kida.

Cole otworzył usta by się odezwać, po czym opadł znów na poduszkę

- Zechce mi pani wyjaśnić na co pani taki tarzający się w rynsztoku zabójca jak Waco Kid? - Lecz zanim zdążyła odpowiedzieć spojrział na nią płonącymi oczyma. - Chyba nie zamierza pani wyjść za niego? - wybełkotał.

- Oczywiście że zamierzam - odparła spokojnie.

- Ktoś powinien zamknąć panią na klucz rozumie pani? Ktoś powinien chronić panią przed nią samą. Czy ma pani jakieś pojęcie o ludziach z tej listy?

- Od chwili w której otrzymałam list od siostry zapowiadający jej wizytę miałam czas na zebranie dokumentacji tylko o panu, panie Hunter. Mimo strachu jaki wzbudza pan u wielu ludzi, ci, którym pan pomógł mają o panu dobre zdanie. Doszłam do wniosku, że inni są podobni do pana.

- Chce pani przez to powiedzieć, że pani zdaniem wszyscy rewolwerowcy mają złote serca? - Niedokładnie o to mu chodziło, nie zamierzał dawać do zrozumienia, że sam ma złote serce, ale wolałby iść do piekła niż cofnąć raz wypowiedziane słowa.

- Niezbyt sobie wyobrażam, by mężczyzna, który bronią zarabia na życie, w ogóle miał

serce. Ale to sprawa między panem i Stwórcą. Pan będzie musiał przed Nim odpowiadać, nie ja.

-Pani tak potrafi naubliżać człowiekowi - wycodził przez zęby Cole - że aż mu się we łbie miesza. Dobrze, że nie urodziła się pani mężczyzną bo nie dożyłaby pani dwudziestki. Teraz niech mi pani powie, co pani zamierza zrobić z tą listą?

-Sądzę, że to nie pańska sprawa, panie Hunter. Jestem panu winna wyłącznie przeprosiny... i to. - Podniosła skórzaną sakiewkę. Po wadze i brzęku wiedział, że jest pełna złotych monet. Gdy nie wyciągnął ręki, panna Latham położyła sakiewkę na stoliku przy łóżku. - To, co się panu przydarzyło, nastąpiło z mojej winy, a ja lubię spłacać dług. Wątpię, by taki człowiek jak pan zaoszczędził coś na czarną godzinę, więc te pieniądze pozwolą panu przeżyć, aż znowu będzie pan mógł strzelać do ludzi. Nie mogę znieść myśli, że z mojego powodu znajdzie się pan na bruku albo w lesie.

Kolejny raz sprawiła, że Cole'owi zabrakło języka w gębie.

To prawda, że nigdy nie zaoszczędził ani centa. Po co? Przy jego fachu nigdy nie było wiadomo, czy dożyje się jutra. Nieważne, że od zeszłego roku miał już dosyć sypiania na ziemi i zapragnął własnego łóżka. Prawdę powiedziawszy, niedawno zrozumiał, że chciałby mieć sprzęty, powiedzmy fotel, w którym mógłby wygodnie odpocząć. I może przydałby mu się dom, w którym znalazłoby się coś ponad te dwie koszule, będące wszystkim, czego dorobił się w życiu.

To nic, że panna Latham mówiła prawdę. Nie chciał tego słuchać.

- Zapewniam panią że potrafię sam zatroszczyć się o siebie- oznajmił. Wiedział, że najlepszą obroną jest atak, toteż podniósł do góry jej listę wyjętych spod prawa. Gdyby nad nią solidnie popracowała, nie skompletowałaby straszliwszego wykazu.

Wskazał na pierwsze nazwisko i odezwał się zjadliwym tonem.

- Ten człowiek wykańcza strzałem w tył głowy. Jeśli wpuści go pani do domu, okradnie panią do suchej nitki i zabije. Następny ma odsiadkę. Trzeci nie żyje. - Przesunął palec w dół listy. - Ten nie żyje. Nie żyje. Siedzi. Powieszony. Tego zabiłem wczoraj w banku. -Podniósł brwi z wyrazem: a nie mówiłem? - Ten jest bardziej niebezpieczny niż wąż. Ten pół roku temu dostał kulkę za szachrowanie przy kartach. Nie, nie. Skąd pani ma tę listę? Spisała ją pani z listów gończych?

-Przeważnie pytałam panie w mieście o najbardziej podniecających mężczyzn w ich życiu.

-Panie? - zapytał. - Czy one przypadkiem nie mieszkają w domu obok baru „Pod Złotą Podwiązką”?

-Tak, tam mieszkają - odparła z powagą.

-Ktoś powinien chronić panią przed panią samą. Dlaczego nie wróci pani do domu i nie pozwoli, by siostra wybrała dla pani męża? Jeśli nie wyciągnie jakiegoś obwiesia z rynsztoka, nie znajdzie nikogo gorszego niż ci ludzie. Nie może pani wpuścić żadnego z nich do swojego bogatego domu.

Powoli, nie okazując żadnych uczuć, wzięła od niego bilet i listę.

- Oczywiście, ma pan rację. Poza tym siostra nigdy nie uwierzy w to, że jakiś mężczyzna ożenił się ze mną nie tylko dla pieniędzy więc moje poszukiwania i tak są bezużyteczne. - Opuściła wzrok naciągnęła rękawiczki, które pomagały zakryć każdy skrawek jej ciała poniżej szyi. Na głowie miała kapelusik będący szczytem ohydy i Cole zastanawiał się, czy nie został wyłowiony z kosza zbiórki dobroczynnej.

- Ach do diabła - zamruczał pod nosem. Ta nijaka kobietka z jęczyciem który mógł krajać stal załazła mu za skórę. - Nie jest pani wcale taka brzydka - powiedział ku własnemu zdumieniu.

- Założę się że gdyby nosiła się pani bardziej kolorowo i miała kapelusz z niebieskim piórkiem byłaby pani śliczna. Każdy mężczyzna miałby na panią ochotę. Przecież zdarzało mi

się spotykać baby tak potworne że ptaki uciekały przerażone na ich widok ale wyszły za mąż i miały szóstkę dzieci czepiającą się ich spódnicy.

Obdarzyła go skromnym uśmiechem

- Jest pan niezwykle uprzejmy, panie Hunter, ale nie mogę nawet kupić sobie męża. - Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, uniosła głowę. - Dziękuję panu za wszystko, sir. Doceniam pańskie starania. Teraz jeszcze lepiej pojmuję, czemu ludzie tak bardzo kochają moją siostrę. To naprawdę... podniecające, być obiektem bohaterskich uczynków. Człowiek dostrzega swoją wartość, kiedy ktoś inny ryzykuje dla niego życie.

Podczas tej wizyty ani razu nie spoczęła na krześle i jak poprzednio zostawiła drzwi otwarte na przepisowe sześć cali. Teraz podeszła do nich i z ręką na gałce odwróciła się do Cole'a. Obserwował ją i w tej krótkiej chwili, w której się nie pilnowała, nie kryła uczuć za żelazną maską samokontroli, była prawie piękna.

Szybko, pod impulsem, któremu - był tego pewien - rzadko ulegała, a którego tym rzadziej słuchała, wróciła do łóżka, pochyliła się i pocałowała Cole'a w policzek. Następnie znikła tak cicho, jak się pojawiła.

### 3

- O, niech to wszyscy diabli porwą! - zaklął Cole pod nosem, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Prawdę mówiąc jego złorzeczenia były tak głośne i jadowite, że zjawiała się właścicielka pensjonatu. Była to wdowa, która odziedziczyła dom po śmierci męża i mimo wielu ofert nie miała najmniejszego zamiaru wchodzić w kolejny związek. Oświadczyła Cole'owi, że lubi pogwarzyć sobie z mężczyzną ale nie lubi obrywać kopniaków podczas snu.

-O co tym razem chodzi? - zapytała tonem kobiety, która wiele lat spędziła w małżeństwie i wie, jak niewiele różni mężczyzn od dzieci.

-O nic, do czego byłabyś mi potrzebna - warknął odwrócony do niej tyłem. Był kompletnie zażenowany tym, że mając prawą rękę w łupkach i na temblaku nie potrafi zapiąć guzików koszuli, co dopiero mówić o guzikach przy spodniach. A na domiar nieszczęścia, gdy posługiwał się lewą ręką prawa bolała go jak jasny gwint.

Gospodyni w lot pojęła, na czym polega kłopot, obeszła Cole'a i zaczęła go ubierać, jakby był jej synem. Oczywiście, musiała stanąć na palcach, by dosięgnąć guzików pod szyją ale było to spowodowane wyłącznie tym, że Cole dumnie demonstrując niezależność zadarł podbródek i wyprostował się, jakby kij połknął.

Pani Harrison uśmiechnęła się wyrozumiale i podziękowała Bogu, że nie wyszła powtórnie za mąż.

-Pamiętasz tę dziewczynkę, która odwiedziła cię przed kilkoma dniami? Tę, którą uratowałeś w banku?

-Nie nazwałbym jej dziewczynką.

- Jestem w tym wieku, że każda jest dla mnie dziewczynką Cole powątpiewał, by pani Harrison przekroczyła czterdziesty piąty rok życia, ale lubiła odgrywać starszą niż faktycznie była Dzięki temu miała pod ręką wymówkę dla wielu mężczyzn gotowych ożenić się z nią i z jej pieniędzmi

Po matczynemu usadowiła go na fotelu i wzięła się do wkładania mu skarpetek i butów. Cole przyjmował to z wielką niechęcią lecz równocześnie był zadowolony z tej opieki. Może jednak faktycznie się starzał? Wiedział, kto podszeptał mu tę myśl, więc kiedy się odezwał, w głosie zadźwięczała mu ostra nuta:

-Co z nią?

-Jej siostra przyjechała do miasta.

-Rowena? - spytał, okazując o wiele za dużo ciekawości.

-Chyba tak się nazywa. Znasz całą rodzinę?

-Wcale ich nie znam. I nie chcę znać. Nie obchodzą mnie. Ku jego wielkiej irytacji plotkarska gospodyni zaniemówiła.

Wreszcie sam był zmuszony się odezwać.

-Słyszałem, że to piękność.

Pani Harrison starała się powściągnąć uśmiech. Po co Cole ma się zorientować, że jego chęć dowiedzenia się wszystkiego wyszła na jaw. Nie odniosła pełnego sukcesu, lecz oboje udali, że ona mówi z własnej woli, a on słucha z uprzejmości.

- To najpiękniejsza kobieta na świecie. Nie ma dwóch zdań. Powinieneś ją zobaczyć. Wyszła dziś z pociągu - z własnego wagonu, wyobraź sobie! - i każdy mężczyzna w promieniu stu stóp stanął jak rażony piorunem. Jest piękna jak marzenie. I tak miła, jak tylko można sobie wyobrazić. Kiedy czterech mężczyzn kłóciło się kto poniesie jej bagaże miało się wrażenie, że nigdy żaden mężczyzna nie zaofiarował się jej z pomocą - tyle miała wdzięku. Nawet udawała zdziwioną. Oczywiście, tak piękna kobieta nie wyrasta z brzydkiego kaczątka. Od lat była ładna, więc przez całe życie chłopcy walczyli między sobą żeby nosić jej rzeczy.

Cole nie wiedzieć czemu był zniecierpliwiony tym przydługim hymnem na cześć urody Roweny.

-Tak, tak, jest na pewno piękna, ale jak się ma panna Latham? Nie została ranna podczas tego zamieszania, co?

-Chodzi ci o to, czy ci wszyscy kowboje dźwigający kufry nie stratowali jej? Mało im się to udało, ale szeryf...

-A co on tam robił?!

-Przybiegł na złamanie karku powitać tę piękną kobietę. Wiesz, to straszna myśl, ale gdyby miała nieuczciwe skłonności, zbiłaby fortunę. Pokazałaby się w jednym końcu miasta i wszyscy rzuciliby się, żeby ją zobaczyć, a jej wspólnicy mogliby z zawiązanymi oczami obrabować drugą połowę miasta i ująć cało.

-Mogłabyś oszczędzić mi tych kryminalnych pomysłów? Nie pytałem o bandę głupich kowbojów, dla których piękna jest każda umyta kobieta, pytałem o pannę Latham i napad na bank. Chyba to pamiętasz, no nie?

-Nie wiem, czemu jesteś taki uszczypliwy - rzekła i wyprostowała się po założeniu mu drugiego buta. Przyjrzała się Cole'owi spod oka. - Chyba że czujesz miętę do tej małej panny Latham.

-Na czuję miętę do żadnej kobiety. Byłem tylko ciekaw, to wszystko. - Ale wiedział, że to nie wszystko. Niech to diabli! Nie potrafił się powstrzymać, by nie współczuć tej małej. Jak się czuła będąc tłem dla osoby o takiej urodzie jak siostra? I co tamta robiła tu, w Abilene? Nie mogła zostawić swojej siostrzyczki-przeciętniaczki w spokoju, zamiast włóczyć się za nią po całym kraju i udowadniać jak wielka różnica je dzieli?

-Dobrze się czujesz? - spytała gospodyni.

-Oczywiście że dobrze się czuję - parsknął i tak niezdarnie wsunął zegarek do kieszonki że o mały włos go nie upuścił. Opanował falę bólu gdy łapał zegarek palcami rannej ręki.

-Powinieneś wrócić do łóżka.

-A ty powinnaś pilnować własnych spraw. Wyprostowała się sztywno Nawykła do mężczyzn, którzy chciwie słuchali wszystkich miejskich ploteczek, a potem udawali, że ich nie obchodzą, ale nie miała ochoty znosić złego humoru Cole'a.

-Jak sobie życzysz rzekła zadzierając nos do góry.

pokoju, nazywanego z zadaniem apartamentem prezydenckim, ogarnęła go chęć, by wziąć nogi za pas.

Nie miał tu żadnego interesu; nic nie wiązało go z panną Latham o ostrym języczku i jej szarogęszącą się siostrą. Minęły cztery godziny od chwili, w której gospodyni powiedziała mu o pojawieniu się pięknej starszej siostry nijakiej panny Latham i od tej pory Cole słyszał w kółko to samo od mieszkańców miasta. Dowiadywał się, jaka to starsza jest miła i uprzejma jak to jest nieświadoma swojej niewiarygodnej urody.

Taaa, pomyślał Cole tak nieświadoma jak jeleni myśliwego. Jak jeden zabijaka nieświadomy tego że drugi wjechał do miasta.

Kiedy się jest pięknym wie się o tym. On też o tym wiedział. Panna Latham powiedziała że nazywają go najprzystojniejszym mężczyzną w Teksasie choć jej zdaniem nie zasługuje już na to miano. Kiedy swego czasu pewna młoda dziennikarka niewiele ładniejsza od panny Latham nadała mu tę etykietkę, był tym naprawdę wkurzony. Ale nie zaskoczony. Nikt obdarzony urodą nie jest tego nieświadomy. Przez całe życie towarzyszą mu spojrzenia uwaga ludzi na ulicach. Kiedy Cole był chłopcem dziewczęta i dojrzałe kobiety chciały pogłodzić go po jego czarnych kędziorkach, a gdy wyrósł, kobiety chciały dotknąć jego ciała. Przez całe życie łatwo zdobywał kobiety, których tylko zapragnął.

To znaczy do tej pory. Najpierw panna Latham mówi mu, że ma... Jak to powiedziała? Wysuniętą dolną szczękę? Przymrużone oczy?

W każdym razie, powiedział sobie, to się nie liczy.

Natomiast liczy się to, że zaproponowała mu żywą gotówkę za robotę - niewiarygodnie głupią robotę, to fakt, ale zawsze robotę. A teraz, mając unieruchomione ramię i odwołane kontrakty, potrzebował roboty. Nie zamierzał udawać, iż jest zaślubiony z tą panną ale zapewne potrzebowała ochrony przed siostrą tak pazerną na hołdy, że gotowa była nie spocząć, dopóki nie zwróci na siebie uwagi każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w Abilene.

Podczas dwóch dni pobytu w mieście pani Rowena czy jak jej tam poznała prawie wszystkich. Cole nie mógł wejść do sklepu, baru, a nawet burdelu, żeby o niej nie słyszeć. Jak się okazało, Nina wiedziała o znajomości Cole'a z młodszą siostrą.

- Wiesz, mówię o tej wyblakłej paniusi z kasztanowymi włosami-rzekła. - Ciężko sobie wyobrazić, że jedna kobieta wydała na świat tak różne córki. Nic dziwnego, że po drugiej wzięła sobie na wstrzymanie. - Nina chciała wiedzieć, czy Cole mógłby się zorientować, czym Rowena pielęgnuje włosy, że są takie błyszczące i miękkie. - Gdyby ta kobieta wzięła się za naszą profesję, zarobiłaby miliony. Powinieneś jej to zasugerować.

Po kilku godzinach takich rozmów Cole miał dosyć utalentowanej pani Roweny.

Zapewne był jedyną osobą w mieście, która nie uległa jej czarowi. Może to dlatego, że jako jedyny potrafił ją zrozumieć. Uroda to dziwna cecha. Brzydki i urodziwy mogą być winni tego samego występku i brzydki zostanie oceniony znacznie surowiej. Widział podobne przypadki wiele razy. Widział ludzi z tej samej bandy złapanych równocześnie i osądzonych wedle wyglądu. Gdy dowiedział się, że Beznosy Wilson wreszcie wpadł, był przekonany, że nie ma co liczyć na pobłażliwość. Wilson zawisł w dwadzieścia cztery godziny po ujęciu. Ale przystojniaczek Billy Whittier trzy razy uwiódł śliczne dziewczyny, które pomogły mu umknąć przed karzącą ręką sprawiedliwości.

Więc ta Rowena wdzięczyła się i uwodziła całe miasteczko. I pognębiała swoją uległą siostrzyczkę. No, może „uległa” nie było właściwym słowem w przypadku panny Latham, ale w porównaniu ze spragnioną atencji Roweną była bezwolna.

Oczywiście, to wszystko bynajmniej nie tłumaczyło, dlaczego Cole teraz stał pod drzwiami hotelowego pokoju panny Latham.

Tak naprawdę nie zamierzał podjąć oferty pracy. Cóż to była za praca dla mężczyzny, który ma o sobie jakie takie mniemanie? Zawsze szczyił się swoją uczciwością. Więc jak

mógł chociażby pomyśleć o robocie, która wymagała samych kłamstw? Nie chodziło o żadną biegłość w strzelaniu, o żadną dyplomację. Trzeba było tylko kłamać i kłamać.

Podniósł rękę, by zastukać i wyobraził sobie, co zobaczy: mała panna Latham gotowa na każde skinienie swojej wspaniałej, leniwej, rozpuszczonej siostry.

Nie był przygotowany na cud który otworzył mu drzwi. Oczekiwał wyszukanej elegancji: kobiety odzianej w jedwabie i koronki, o twarzy idealnie umalowanej. Widok Roweny zaskoczył go kompletnie. Jej twarz jej piękna wyjątkowej urody twarz nie miała śladu pudru czy szminki, a bujne kasztanowe włosy ściągnięte były w gruby warkocz przerzucony na piersi. Jej wielkie oczy koloru stawu oświetlonego blaskiem księżyca - ni to zielone, ni to szare spoglądały na niego z rozbrajającą niewinnością.

- Witam - odezwała się miłym głosem w którym rozbrzmiewał sam wdzięk i łagodna ciekawość.

Jej twarz natychmiast się rozjaśniła.

- Ach to zapewne pan Hunter, który uratował Dorie życie. Proszę, niech pan tu spocznie. Dorie, popatrz, kto przyszedł!

Do tej pory Cole nie odezwał się słowem. Wprowadzono go do pokoju i podsunęto najwygodniejszy fotel. Obok pojawił się stolicek z popielniczką potem szklaneczka whiskey i cygaro. Wszystko to jak wyczarowane z powietrza. Już po chwili czuł się, jakby był u siebie w domu, w którym od zawsze wygodnie mu się mieszkało.

- Jak pańskie ramię? - spytała Rowena, pochylając się nad nim współczująco. - Lekarz twierdzi, że długo potrwa, zanim odzyska pan pełną władzę w ręce. Nie mogę wyjść ze zdziwienia, że taki człowiek jak pan, ktoś mający równie wiele do stracenia, zaryzykował życiem dla prawie nie znanej osoby. Nigdy nie zdołam wyrazić panu mojej wdzięczności.

Cole przyłapał się na tym, iż uśmiecha się do tych zdumiewających oczu i prawie w nich tonie. Odezwał się tonem nieopierzonego żółtodzioba:

- To był naprawdę drobiazg. Każdy by to zrobił. - Szczył najlepszą whiskey, jaką pił do tej pory w życiu. Przywiozła ją ze sobą z Anglii? A cygaro było łagodne w smaku i pachnące. Nigdy nie otoczono go czulszą opieką.

- Każdy? - Rowena uśmiechnęła się. - Jest pan równie skromny co sprawny i dzielny. Czy to nie cudowne, Doris?

Rowena cofnęła się odsłaniając siostrę i Cole uświadomił sobie, że uroda i pełna uprzejmości gościnność Roweny by nie wspomnieć o jej komplementach, oślepiły go do tego stopnia że nie zauważył panny Latham. Jeśli poprzednio wydała mu się szara to przy blasku, jaki bił od jej siostry była prawie niezauważalna. Ale cóż nawet paw rozkładający ogon byłby szary przy Rowenie.

Panna Latham na wpół leżała na kanapce wyciągając obandażowaną stopę. Uśmiechała się przy tym wymuszenie jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?” co kazało Cole'owi zreflektować się i zastanowić nad tym jak dał się uwieść uroczej Rowenie.

Otworzył usta, gotów się bronić. Co prawda nie padło słowo oskarżenia, lecz między nim i panną Latham nawiązane zostało bezgłośnie, ale za to wyraźne i czytelne porozumienie.

Z miejsca odstawił whiskey odłożył cygaro i wyprostował się w fotelu.

- Przyszedłem zapytać, czy panna Latham doszła do siebie po tym przeżyciu w banku - rzekł. - Mam nadzieję, że czuje się dobrze. - Był zirytowany tym, że rozmawia z Roweną. Co się z nim dzieje? Poznawał wiele pięknych kobiet, ale trzeba przyznać, że ta była w jakiś sposób inna. Wydawała się nieświadoma efektu jaki wywierała na ludziach. Wyglądała tak świeżo jak poranny brzask tak niewinnie jak rosa na trawie tak słodko jak.

- Roweno zdaje się, że kolejny mężczyzna zakochał się w tobie - usłyszał słowa panny Latham

- Jesteś śmieszna Dorie - odparła Rowena - Pan Hunter przyszedł złożyć wizytę tobie. Spójrz, przecież prawie nie odrywa od ciebie oczu.

Cole został przynajmniej częściowo przywrócony do rzeczywistości i spoglądając to na jedną, to na drugą kobietę, przekonał się, że panna Latham mówiła prawdę; Rowena doprawdy kochała swoją siostrę. Dotarło również do niego, że Rowena jest głęboko przekonana, iż jej ukochana siostrzyczka jest nieomal skończoną pięknoscią. Prawdę powiedziawszy, może Rowenie nikt nie wydawał się brzydki?

Ledwie sekundę wymieniał spojrzenie z panną Latham, rozważając to pytanie, i został nagrodzony jednym z jej niewielu nieznacznych uśmiechów. Oczywiście, to zabawne, lecz poprawiło mu to humor. Rowena może i była piękniejsza, ale jej bezbarwna siostrzyczka miała za to niezłe poukładane w głowie.

-Pani... przepraszam, ale nie znam pani nazwiska.

-Westlake, ale proszę mówić mi Roweno. Tyle się o panu nasłuchałam, że czuję się pana znajomą.

-Czyżby? - spytał wyniośle. - Panna Latham opowiadała o mnie?- Poczul się zadowolony przyłapawszy na czymś młodszą siostrę. Na jego gust była zbyt pewna siebie, więc z przyjemnością dowiadywał się, że w równej mierze oładnął jej myślami, co ona jego.

-Ależ skądże - odparła niewinnie Rowena - Dorie słowem nie opowiedziała o panu ani o tym, co wydarzyło się w banku. Ale to temat numer jeden wszystkich rozmów w mieście.

Na to panna Latham spojrzała na niego spod uniesionych brwi, informując, że wie, o czym on myśli.

Niech to wszyscy diabli, ta kobieta doprowadzała go do szewskiej pasji!

-Roweno, dlaczego tu przyjechałaś? - spytał tonem dociekliwego ojca. Poprzednio nie zamierzał o to pytać. Nic nie łączyło go z panną Latham, wcale nie był nią zainteresowany. Rozważał jej propozycję, ale teraz wiedział, że nie mógłby wywiązać się z zadania głównie dlatego, że pragnął zrobić z panną Latham tylko jedno - zamordować ją.

Rowena zaśmiała się i zabrzmiało to uroczo, tak jak się tego spodziewał.

-Przyjechałam pomóc siostrze w podjęciu decyzji - rzekła z rozbrajającą szczerością. Miała wyjątkowy dar. Osoba, z którą rozmawiała, czuła się kimś jedynym i zaufanym. - Dorie nigdy nie potrafi się zdecydować. - Uśmiechnęła się do niego tak, że poczuł, jak serce topnieje mu w piersiach. - Wie pan, panie Hunter...

-Cole - rzekł.

-Jak to uprzejmie z pana strony - powiedziała, jakby złożył jej wielki dar. - W Latham... to miejsce naszego urodzenia i Dorie nadal tam mieszka... żyje cudowny mężczyzna, który od wielu lat kocha Dorie i dołoży wszelkich starań, by przekonać siostrę, że powinna go poślubić.

Cole zerknął na pannę Latham, ale miała spuszczoną głowę i z wielkim zajęciem przyglądała się czemuś na swojej sukni. Nagle Cole uświadomił sobie, że między nim i panną Latham nawiązała się więź.

Może była ona wątpliwa, ale ogarnęło go przekonanie, że tym, co panna Latham mu opowiedziała - o swoim życiu, swojej siostrze, o tym, co czuje do tej pięknej kobiety, która chce kierować jej życiem - nie podzieliła się dotąd z nikim.

Powiedziała mu, że jest bohaterem. Oczywiście, daleko mu do bohaterstwa, ale w tej właśnie chwili poczuł, że... no, że powinien zachować się jak jej opiekun. Może potrafi powstrzymać Rowenę od wtykania nosa w cudze sprawy, choćby miała najlepsze intencje na świecie.

- Proszę wybaczyć mi, że o to pytam - rzekł Cole - ale kim jest ten mężczyzna, którego wybrałaś siostrze?

- Alfred? - spytała Rowena Jej oczy zabłysły. To cudowny mężczyzna, bardzo kochany. Ma jakieś pięć stóp cztery cale wzrostu. Wiem, że to niewiele ale nie dla Dorie. Jest taka mała drobna, nie taka wielka krowa jak ja. Musiałam wyjść za mężczyznę mierzącego ponad sześć stóp Dorie jest taka szczęśliwa. Każdy może być jej mężem. Alfred ma około

czterdziestu trzech lat i...

-Pięćdziesiąt jeden - odezwała się spokojnym pozbawionym jakichkolwiek emocji głosem panna Latham.

-Tak? No cóż, kilka lat nie gra roli. Liczy się to, co jest w środku i Alfred to klejnot. A poza tym, jest również... że tak powiem człowiekiem złamanym. Biedaczysko. Dwukrotnie się zenił i dwukrotnie stracił żonę. Ma trójkę dzieci Dorie wprost uwielbia dzieci i na pewno pomieszczą się w tym wielkim domu który ojciec jej zostawił. Ale najważniejsze jest to że Alfred szaleje na jej punkcie i nie opuszcza jej ani na chwilę. To taka milutka para.

- Pieprzniczka - rzekła z obrzydzeniem panna Latham.

- Dorie jak możesz? Nawet jeśli Alfred nie ma bujnej czupryny tylko kilka znamion na czaszce to jeszcze nie znaczy że przypomina pieprzniczkę.

Udało mu się skryć rozbawienie ale gdy przypatrzył się pannie Latham przeszła mu ochota do śmiechu. To co dla niego było żartem nie budziło w niej wesołości.

Cole nie przypadkiem nigdy nie zapuścił nigdzie korzeni nie przypadkiem nigdy się nie ożenił Jego rodzice nienawidzili się nawzajem. Matka była zakochana w jakimś marnym dzierżawcy lecz ojciec zmusił ją do poślubienia mężczyzny którego sam jej wybrał i trudno było spotkać dwoje ludzi którzy nie cierpieli się bardziej niż rodzice Colea. Miał dwanaście lat gdy opuścił dom i nigdy tam nie wrócił. Jeśli rodzice nadal żyli był gotów się założyć iż nadal żrą się ze sobą.

Teraz patrząc na godną pożądaną Rowenę nie wątpił że to co powiedziała panna Latham było prawdą. Rowena potrafiła tak oczarować każdego mężczyznę iż był gotów ożenić się z jej nijaką siostrą.

Jeśli Rowena potrafiła zauroczyć Cole'a, już sobie wyobrażał, jakie wrażenie wywarła na niskim, łysym człowieczku, na którego pewnie do tej pory nie spojrziała żadna jako tako wyglądająca niewiasta. I niewątpliwie Rowena potrafiła przekonać cichutką, małą pannę Latham, że chce wyjść za mężczyznę, który przypominał jej pieprzniczkę.

Podniósł do ust szklankę z whiskey, pociągnął łyżeczek, a gdy wrócił spojrzeniem do obu sióstr, Rowena nie wydała mu się tak piękna jak na początku.

Zaczynał dostrzegać, że potrafi tyranizować słabszych od siebie. A z kolei panna Latham nie wydawała mu się już tak bezbarwna. Była inteligentna i kiedy chciała, stać ją było na dowcip. Zaslugała na kogoś lepszego niż niski, łysy człowieczek, pragnący wsadzić jej na głowę trójkę dzieciaków, a potem wziąć się do wydawania pieniędzy dużo młodszej od siebie żony.

Cole otworzył usta i niepomniernie zaskoczył samego siebie tym, co powiedział. W gruncie rzeczy chciał tylko nie dopuścić do tego, by panna Latham wyszła za nie cierpianego przez siebie mężczyznę. Wspomnił wieloletnie kłótnie rodziców. Nikt nie zasługiwał na takie życie, zwłaszcza dzieci.

-Powiesz jej, kochanie, czy ja mam to zrobić?

Panna Latham spojrziała na niego zaskoczona i zamrugła oczami. Nie miała pojęcia, o czym Cole mówi.

- Ludzie niebawem się dowiedzą. Sekretu nie ukryje się wiecznie- powiedział głosem miękkiem i czułym, głosem kochanka. Popatrzył na Rowenę i posłał jej swój wyjątkowo słodki uśmiech, który u niejednej kobiety wzbudził żywe bicie serca. - Twoja siostra i ja zamierzamy wziąć ślub.

Dorie wyprostowała się na kanapce.

-Nie, proszę, nie musi pan tego robić.

Rowena przenosiła wzrok z jednego na drugie. Z Cole'a, którego mina mówiła: spróbuj powiedzieć nie, na czerwoną z zażenowania Dorie. Uroczy śmiech Roweny wypełnił pokój.

- Dorie, kochanie, mówiono mi, że to bohater, ale nie miałam pojęcia, na co go stać! Jest szarmancki jak dawni rycerze. Uratował cię, a teraz czuje się za ciebie odpowiedzialny. -



Skierowała się do Cole'a. - Nie, doprawdy, panie Hunter, nie musi pan dalej troszczyć się o siostrę. Wprawdzie uratował jej pan życie, ale nie znaczy to, że jest pan za nią odpowiedzialny na wieczność. Teraz ja jestem odpowiedzialna za Dorie, jak poprzednio ojciec.

Może faktycznie było w nim trochę rycerskości, bo na słowa Roweny zjeżył mu się włos na karku.

Mówiła o panie Latham jak o schorowanym starym psie, kochanym, lecz bezużytecznym.

Prawdę mówiąc panna Latham wcale nie była bezużyteczna. Była inteligentna jak dziewczyna z college'u! Ile kobiet zrozumiałoby, o co mu chodziło gdy podczas tego napadu na bank powiedział o „wywinięciu się”? Żadna! Nie tylko to pojęła, ale zachowała zimną krew i udało się jej odwrócić uwagę bandyty, a potem skoczyła zwinnie jak pstrąg. Teraz jej siostrzyczka mówiła o niej jak o kimś bezużytecznym kogo trzeba jak najszybciej się pozbyć.

- Proszę nie - zaczęła Dorie, lecz przerwała, gdy Cole wstał i stanął u jej boku

Położył zdrową rękę na jej ramieniu.

-Po prawdzie, pani Westlake, pani siostra i ja kochamy się i zamierzamy wziąć ślub. Ona wyjdzie za mnie i za nikogo innego.

Dorie popatrzyła na niego błagalnie.

-Nie, nie może pan tego zrobić. Nie miałam racji, prosząc pana. - Skierowała się do siostry. - Roweno, on kłamie. Czy jakiś mężczyzna oszalał z miłości do mnie? - Wróciła spojrzeniem do Cole'a. - Nie musi pan tego robić. Nie powinnam mówić tego, co powiedziałam. Powinnam zdawać sobie sprawę, że to nie wypali. Roweno, pozwól, że opowiem ci, co zrobiłam. Ja...

Cole nie miał pojęcia, jak zamknąć jej usta, ale musiał to zrobić! Nie zniósłby upokorzenia Dorie przez piękną siostrę, której wyraz twarzy mówił, że ani przez chwilę nie wierzy, iż Cole zakochał się w jej nieciekawej siostrzyczce. Coś w tym spojrzeniu drażniło Cole'a.

- Poprosiłam pana Huntera, by.. - zaczęła Dorie ciężkim głosem, jak dziecko, które przyznaje się do kłamstwa i wie, że kara je nie minie.

Nie myśląc, co robi Cole wsunął zdrową rękę pod ramię panny Latham i przyciągnął ją do siebie. Była drobną istotką niewielką i wątłą ważącą tyle co nic. Chciał zamknąć jej usta i poza tym, że mógł przykryć je dłonią nie wiedział jak sprawić, by zamilkła, więc ją pocałował. To nie był pocałunek namiętny, nawet nie taki, jaki pragnął złożyć był oficjalny twardy z zamkniętymi ustami, beznamiętny.

Niemal natychmiast oderwał się od niej, odwrócił się do Roweny i rzekł wyzywająco:

- No, proszę, czy to wygląda...

Nagle na twarzy pojawił mu się wyraz zdumienia i zachwytu. Cole zamilkł i spojrzał na kobietę, którą miał u boku. Nadal przyciskał ją do siebie. Jej stopy prawie nie dotykały podłogi, jej ciało było bezwładne jak u lalki. Unosiła w górę oczy pełne zdumienia.

Przez chwilę czas zatrzymał się dla niego.

Nie miał pojęcia, co się stało, lecz pocałunek, jaki wymienił z tą kobietą -jeśli w ogóle dało się to nazwać pocałunkiem - różnił się od wszystkich pieszczot, jakich zaznał w życiu.

Całował już setki kobiet. Prawdę mówiąc, całkiem to lubił i nigdy nie rezygnował z nadarzającej się okazji czy to w barze, czy za kościołem. Ale ten pocałunek był inny. Jakby nie było tam Roweny jakby on i ta kobieta byli jedynymi ludźmi na świecie, odwrócił się i pocałował ją po raz drugi.

Objął ją mocno i natychmiast wyczuł że wcale nie jest tak koścista, jak to sobie wyobrażał, ale miłutko zaokrąglona, i spodobały mu się jej skromne wymiary. Była bardzo drobna. Gdyby otoczył ją dwoma ramionami, rozplynęłyby się w nich.

Początkowo pocałunek był łagodny. Cole smakował Dorie, jej świeżość, jej czystość. Niewątpliwie był pierwszym mężczyzną który w ogóle ją dotknął, objął, złożył usta na jej

ustach. Gdzieś po głowie błąkało mu się wspomnienie tego, że za pierwszym spotkaniem była wroga i najeżona, ale nie mógł pogodzić tamtego wrażenia z tą uległą kobietą którą trzymał w ramionach. Otworzyła się przed nim tak, jak nie zrobiła tego dotychczas żadna. A w jej pocałunku było coś, czego nie potrafił określić, coś, czego nie zasmakował nigdy dotąd. Gdyby nie zdrowy rozsądek, rzekłby, że to miłość. Ale to było niemożliwe. Nic ich nie łączyło.

Ramię na temblaku bolało, ale nie czuł tego, gdy objął ją drugą ręką a potem zdrową lewą dłonią obrócił ku sobie jej twarz, by mocniej posmakować jej ust. Ssał jej dolną wargę, łagodnie wciągał ją do ust i był pewien, że nigdy nie smakował niczego słodsze.

Dopiero po dobrych kilku chwilach usłyszał Rowenę.

Sądząc po tonie jej głosu, od dłuższego czasu usiłowała zwrócić na siebie uwagę Cole'a.

Niechętnie, z trudnością spojrzął na Rowenę, widząc ją przez mgłę, jak z daleka. Nadal mocno trzymał Dorie i nie chciał wypuścić jej miękkiego, przylegającego ciała. Poza tym była tak bezwolna, że upadłaby, gdyby jej nie trzymał.

-Panie Boże święty - przemówiła Rowena pełnym zdumienia głosem. - Myślałam, że będę na was musiała wylać wiadro zimnej wody. - Usiłowała zażartować, ale nie udało się jej, bo stała przed nią para bardzo zażenowanych ludzi.

-Tak, no, więc tak.... - zaczął Cole, jękając się jak uczeń. Ciało trzymane w ramionach zaczęło się prężyć i wiedział, że powinien wypuścić Dorie, lecz nie chciał. Dopiero po kilku chwilach uświadomił sobie, że panna Latham prze dość mocno rękami o jego ramię.

-Panie Hunter - mówiła - proszę mnie puścić.

Gdy mózg Cole'a zaczął znowu funkcjonować, ogarnęło go bezbrzeżne zażenowanie.

-Tak, oczywiście - rzekł i puścił pannę Latham, jakby była zakazanym owocem. Gruchnęła z łomotem na sofkę, ale nie pomógł jej. Prawdę mówiąc, zrobiłby wszystko, by nie musieć jej znów dotykać.

-Widzę, że wy dwoje jesteście w sobie zakochani - rzekła Rowena. - Nie miałam o tym pojęcia. Dorie, jak mogłaś ukrywać przede mną coś takiego? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Pozwoliłaś mi wierzyć, że pan Hunter nie miał żadnego powodu, by uratować cię w banku że zrobił to tylko dlatego, iż jest człowiekiem bardzo odpowiedzialnym, troskliwym, jest...

- Durniem - odezwał się Cole. Zaczynał dochodzić do siebie. Przetarł ręką oczy i ukradkiem zerknął na pannę Latham. Była równie oszołomiona jak on. Jeśli nic podobnego nie przytrafiło się człowiekowi z jego doświadczeniem był pewien, że tym bardziej nic takiego nie zdarzyło się jej.

- Wicie, co powinniście zrobić? - rzekła Rowena tonem osoby, która nigdy w życiu nie napotkała na drodze żadnej przeszkody.- Myślę, że powinniście wziąć ślub. W tej chwili.

Dorie też zaczęła przychodzić do siebie.

-Roweno, to śmieszne. Pan Hunter...

-Tak - usłyszał swój głos Cole. - To byłoby świetne. Rowena w lot zareagowała na to oświadczenie.

-Możemy w tej chwili pójść do kościoła i...

-Nie! - prawie krzyknęła Dorie. Odwrócili się ku niej. Stała zaciskając ręce po bokach.

-Dorie, twoja łydka!

-Roweno, moja łydka ma się świetnie poza jednym siniakiem. Nie jest się skazanym na łóżko z powodu siniaka. - Skierowała się do Cole'a. - Panie Hunter, przepraszam za siostrę. Uwielbia kierować innymi, a nie mając tu męża i dzieci jest skazana na mnie, i teraz na pana.

- Wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy. - Wiem, że rozmawialiśmy o... o różnych rzeczach, ale to było kilka dni temu. Teraz sprawy się zmieniły.

-Jakie sprawy? - zapytał sucho.

Oczywiście, że nic się nie zmieniło. Prawdę mówiąc, wszystko było aż nazbyt realne i aż za bardzo takie samo. Rowena przyjechała do Teksasu wydać za mąż swoją nudną małą siostrzyczkę i nie zamierzała odstąpić od tego zamiaru. To, czy mężem Dorie będzie łysy mężczyzna w średnim wieku czy rewolwerowiec, nie sprawiało jej wielkiej różnicy.

- Roweno - cicho rzekła Dorie - mogłabyś zostawić nas na chwilę? Pan Hunter i ja musimy zamienić parę słów.

Rowena zaśmiała się tak że Cole'owi wydało się to wulgarnie.

- Nie wiem czy powinnam zostawić zakochane gołąbeczki same. Przynajmniej do czasu ślubu.

Cole był o wiele za stary, by podporządkować się kobiecie, która traktowała go tak jakby nadal chodził w krótkich spodenkach i potrzebował przyzwotki. Obdarzył ją spojrzeniem, po którym kiedyś kilku mężczyzn zrezygnowało z sięgnięcia po rewolwer.

-No więc chyba zaczekam na zewnątrz - rzekła Rowena i przemknęła do wyjścia

Gdy za siostrą zamknęły się drzwi, natychmiast odezwała się Dorie.

-Panie Hunter podczas naszej rozmowy kilka dni temu zrobiłam z siebie idiotkę. Kiedy będąc sama w Latham dostałam list od siostry, w którym zapowiadała że odbędzie podróż do Ameryki, i to aż do Teksasu, by „wprowadzić porządek w moim życiu”, jak to ujęła, to chyba wpadłam w panikę. Wystarczy, że Rowena wbije sobie coś do głowy i staje się ślepa i głucha na jakiegokolwiek argumenty. Powiedziała, że na pewno od śmierci ojca zamknęłam się z książkami w domu i z nikim się nie spotykam, nie mówiąc już o szukaniu kandydata na męża. Poza tym Rowena jest przekonana, że to, co dobre dla niej, jest dobre i dla innych. Jest szczęśliwa będąc mężatką więc spodziewa się, że ze mną będzie podobnie.

-Małżeństwo to jedyny uznawany sposób dorobienia się tego pół tuzina dzieciaków, o którym pani marzy.

-Tak, no, ale w moim wieku... mam blisko trzydziestkę... jestem trochę za stara na zakładanie rodziny.

-Więc pani siostra miała rację, że ma pani zamiar pogrzebać się żywcem. - Mówiąc nie przestawał się jej przyglądać. Z trudnością przychodziło mu pogodzenie tego, co widział, z tym co przed chwilą czuł. Wyglądała, jakby była z drewna, ale gdy Cole wziął ją w objęcia poczuł coś zupełnie innego. Może się postarzał. Może powinien częściej odwiedzać Ninę. Ale w tej właśnie chwili obycie Niny, jej znużenie, to, jak mówiła nie to, co trzeba i nie wtedy, kiedy trzeba - wszystko wydawało się brudne w porównaniu ze świeżością panny Latham.

- To nie pański interes ani mojej siostry, co zrobię z moim życiem! - odcięła się Dorie.

Cole wiedział, że to ona ma rację. Wiedział również, że powinien wyjść za drzwi i nigdy nie wracać. Ale czy kiedykolwiek udało mu się zrobić to, co powinien? Nie powinien odchodzić z domu w wieku dwunastu lat. Nie powinien założyć pierwszego pasa z bronią. Gdyby nie wziął się za ratowanie tej kościstej kobiety z rąk bandytów, nie byłoby go tu teraz, nie pocałowałby jej i nie czuł tego, co czuł.

Poza tym jeszcze coś w niej go intrygowało. Może spędził za dużo czasu z nieodpowiednimi kobietami. Może wszystkie „porządne” kobiety po dobrym poznaniu okazywały się takie jak ona, choć wydawało mu się to wątpliwe.

Może chodziło o to, że była dla niego wyzwaniem, a wyzwanie to coś, czego nigdy nie potrafił odrzucić. Wystarczyło tylko, by ktoś mu powiedział: „Cole, nigdy nie dasz temu rady, a włosy jeżyły mu się na plecach i musiał zrobić to, czego niby nie mógł dokonać.

Panna Latham zdawała się czytać mu w myślach.

Jakby rozumiała że zaczyna mu na czymś zależeć. Wzięła głęboki oddech, a gdy go wypuściła, spojrzała na Cole'a z wielką łagodnością i uświadomił sobie, iż jest ładniejsza, niż początkowo mu się wydawało

-To bardzo uprzejme z pana strony, lecz teraz muszę pana prosić o opamiętanie. W

świecie tego, co się wydarzyło, musi pan zrozumieć, że pan i ja nie możemy nawet udawać zaręczonych. To nie jest możliwe.

Czasem przy tej kobiecie czuł się tępy jak but. Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Wiedział tylko jedno: że bardzo chce ją jeszcze raz pocałować. Czy to, co wydarzyło się między nimi, to był przypadek? Coś, co zdarza się tylko raz?

-Co nie jest możliwe? Dlaczego?

-Nasza skłonność ku sobie zmieniała wszystko. Nie miałam pojęcia, że pocujemy do siebie taki pociąg. Zwykle kryminaliści nie wydają mi się atrakcyjni. Zapewniam pana, że to, co...poczułam.. poculiśmy... było wstrząsem tak samo dla mnie, jak dla pana. Biorąc pod uwagę tę skłonność nie powinniśmy spędzać czasu razem. Ewentualne wyniki takiego przebywania razem są zbyt potworne, aby w ogóle brać je pod uwagę.

Cole tęsknie popatrzył na szklaneczkę, ale była pusta. Rozpaczliwie potrzebował łyku alkoholu. O czym, na Boga, mówiła ta kobieta?

-Jakie wyniki?

Popatrzyła na niego z wielką cierpliwością.

-Panie Hunter, przyznałam, że to wszystko było błędem. Moim błędem. Powiedziałam panu, że na wieść o wizycie siostry wpadłam w panikę i usiłowałam wprowadzić w życie bardzo naiwny plan. Tak to teraz widzę. Jest mi przykro, że w ogóle zaczęłam o tym mówić, i chciałabym to zakończyć.

-Jakie wyniki? - Zwykle rozumiał kobiety. Co tam! Zwykle rozumiał język angielski.

Westchnęła, jakby była zmuszona do wyjaśniania najprostszej rzeczy na świecie.

-Kiedy... kiedy się pocałowaliśmy, poculiśmy do siebie ogromny pociąg. Nie spodziewałam się czegoś takiego. Nie czułam tego w dniu, w którym odwiedziłam pana w pensjonacie. W porządku, można wziąć ślub na niby z mężczyzną do którego się nic nie czuje, ale nie można tego zrobić z mężczyzną z którym się chce... się chce...

Gdy na jego przystojnej twarzy ujrziała przebłyśki zrozumienia, kontynuowała.

- Dzieci, panie Hunter - rzekła szorstko. - Dzieci. - Skrzywiła twarz. - Może taki mężczyzna jak pan nie rozumie, że... prawa małżeńskie nie są egzekwowane dla przyjemności. Wskutek tego, co mężczyzna i kobieta robią wspólnie, przychodzą na świat dzieci. Biorąc pod uwagę, co przeżyliśmy podczas naszego pierwszego i jedyne go pocałunku, sądzę, że gdybyśmy spędzili wspólnie dłuższy czas, to wtedy... wtedy... znaleźlibyśmy się razem w łóżku i obawiam się, że poczęłabym z panem dziecko. Nie potrafię sobie wyobrazić gorszego ojca niż pan - oczywiście, gdyby pan przy mnie został, co zresztą wydaje mi się wątpliwe. W każdym razie nie pragnę wychowywać dziecka sama ani nie pragnę tego, by ojciec mojego dziecka wiedział niewiele więcej poza tym, jak należy odciągać kurek rewolweru.

Przez chwilę Cole potrafił tylko jedno - wpatrywać się w pannę Latham mrugającymi oczami.

- Jest tu jakaś whiskey? - zapytał chrapliwym głosem.

Podowała mu butelkę. W przeciwieństwie do siostry nie naląła mu szczerze do szklanki. Po prostu podała mu butelkę. Miała przy tym grymas nauczycielki, wyrażający pytanie: „Nie mam racji?”

Cole'owi nie przyszło to łatwo, ale odstawił butelkę, opadł ciężko na fotel i podniósł wzrok ku pannie Latham. Z pewnością wcale się nie droczyła. Nie powiedziała mu, że go nienawidzi i nie chce z nim iść do łóżka. Oświadczyła, że nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności, lecz gdyby to zrobili, to mogliby mieć dziecko, a z Cole'a byłby cholernie kiepski ojciec. O ile się orientował, nikt do tej pory nie myślał o nim jako o kandydacie na ojca. Widziano go w roli celnego strzelca i czasami kochanka to prawda ale nie zastanawiano się czy nadaje się na ojca jakiegoś dzieciaka którego nie było jeszcze na świecie.

Może jednak faktycznie się starzał. Dawnej kobiety nie traktowały go w ten sposób.

Pamiętał kobiety których zdolności przewidywania nie wykraczały poza etap rozpinania pierwszych guzików ich bluzek. Gdyby dawniej którąś pocałował i gdyby przebiegł między nimi tak piorun jak między nim a tą kobietą żadne nie myślałoby nic przez następne dwie godziny. Nie byłoby mowy o żadnej samokontroli. Myślenie zesłoby na dalszy plan. Zostałaby namiętność. Dobra staromodna namiętność.

Ale nie z przeciętną, małą panną Latham. Ją było stać na samokontrolę. Odsunęła od siebie namiętność i choć niby jej pragnęła, to nie życzyła sobie konsekwencji tej namiętności. Oczywiście, to bardzo rozsądne. Przez całe życie poznał tylko jedną rozsądną kobietę, która nie była głodna mężczyzny, nie miała ognia w żyłach. Teraz czuł, że jest wręcz przeciwnie. Niemniej ta pani potrafiła zdobyć się na samokontrolę.

-Panie Hunter, czy czuje się pan dobrze?

Chciał odpowiedzieć, że nie.

Nie czuł się dobrze. Czuł się dobrze, zanim poznał tę kobietę, ale teraz zaczął wątpić we wszystko, co stanowiło o jego życiu i musiał upewnić się, że nie poszło na marne. Nie zapuścił nigdzie korzeni. Nie miał domu. Nigdy nie miał domu. Co prawda nigdy go nie pragnął, ale gdyby chciał, osiadłby gdzieś. A gdyby kiedyś miał dziecko z jakąś kobietą to na pewno nie byłby gorszym ojcem niż inni. Prawdę powiedziawszy, lubił sobie wyobrazać, że mógłby przekazać dziecku kilka prawd. I nie byłyby to tylko wskazówki o obchodzeniu się z bronią. Życie nauczyło go co nieco i może byłoby warto przekazać komuś te nauki.

Nagle mocno zapragnął uświadomić tej kobiecie, że jest kimś więcej niż tylko rewolwerowcem. I bohaterem. Gdyby ktoś inny nazwał go bohaterem, poczułby się pochlebiony, lecz panna Latham sprawiła, że słowo „bohater” oznaczało bezmyślną istotę, która nie myśli o konsekwencjach swoich poczynań.

-Jak mam zarabiać na życie, zanim ramię mi wydobrzeje?  
Była zaskoczona.

-Nie mam pojęcia. Czy przyjąłby pan nieco pieniędzy? Rzecz w tym, że to z mojej winy... No, prawdę mówiąc, niezupełnie z mojej winy, ale wcale nie wymawiam się od odpowiedzialności. Mogę dać panu czek.

-Nie chcę jałmużny. Chcę robotę.

Uśmiechnęła się do niego nieznacznie. Zapewne nie jest zdolna do normalnego uśmiechu, pomyślał.

-Jeśli tylko będę chciała kogoś zamordować, na pewno pana wynajmę.

Musiał przyznać, że ta baba jak nikt potrafiła zalać mu sadła za skórę.

-Nie morduję ludzi! - prychnął.

-Na pewno nie taką ręką jak teraz. - Zaciśnęła wargi w wąską linię. - Panie Hunter, rozmawiałam z panem o pańskiej przyszłości kilka dni temu i wtedy nie wydawał się pan nią przejęty. Nawet próbowałam pana ostrzec, że coś takiego może się panu przydarzyć.

Czemu czuł się tak, jakby słuchał matki? Zwykła powtarzać: „Mówiłam ci, że tak będzie. Ale nie, ty nie chciałeś mnie słuchać. Musiałeś zrobić po swojemu. Nigdy nikogo nie słuchasz.”

Cole przetarł ręką oczy.

Jeśli już kogoś zamorduje, to tę kobietę. Ale poza tym, że chciał ją zamordować, chciał jej udowodnić, że jest coś wart.

-Panno Latham, zaproponowała mi pani pracę i przyjmuję tę propozycję.

Teraz ona z kolei usiadła.

-Nie - szepnęła. - To błąd.

Poczuł, że odzyskuje panowanie nad sytuacją.

-Panno Latham, proszę mi powiedzieć, jak pani spędza czas?

-Słucham?

-Jak pani spędza czas? Co pani porabia, kiedy jest u siebie w Latham? Nie wyobrażam

sobie pani w kółku szydełkujących dam. Nie wyobrażam sobie pani wydającej przyjęcia i herbatki w ogrodzie. Co pani robi w tym miasteczku po odejściu ojca?

Teraz ona z kolei wyglądała na zaskoczoną.

-Widzę, że pan też zbierał dokumentację.

Niech mu Bóg wybaczy, ale komplement tej chudziny sprawił, że przepłynęła przez niego fala ciepła. Musiał znów wziąć się w garść czekając na odpowiedź.

- Jestem gospodarzem - rzekła i zobaczył na jej twarzy grę uczuć Jednak nie byłaby takim idealnym pokerzystą - Ojciec zostawił mi miasteczko, Latham, bo Rowena wyszła bogato za mąż. - Zrobiła pauzę - Ojciec uznał za niemożliwe, bym znalazła sobie jakiegoś męża bogatego czy nie, więc zostawił mi źródło utrzymania. W każdym razie Latham jest małym miasteczkiem, które funkcjonuje tylko dlatego, że przebiega tamtędy linia kolejowa. Jest tam zaledwie parę sklepów i domów, i wszystkie są moją własnością.

-Inkasuje pani czynsz? - wiedział, że to małostkowe, ale chciał by to co robiła, zabrzmiało pospolicie, podobnie jak ona sprawiła, że to, co robił, wydało się bezwartościowe.

-Jestem też dekarzem i wysłuchuję, dlaczego opłata za czynsz się spóźnia i prawie wszystkiego innego w mieście. Panie Hunter, jeśli mogę panu coś poradzić, to gdy ktokolwiek zaproponuje panu w prezencie miasto niech pan odmówi.

Roześmiał się

-Zapamiętam to sobie. Nikt poprzednio mi tego nie doradził.

Przez chwilę przypatrywał się jej siedzącej z rękami na podolku.

-Wydaje mi się, że potrzebuje pani mężczyzny nie tylko po to, by uwolnić się od siostry.

-Oczywiście rzekła patrząc na niego spojrzeniem, które mówiło że bynajmniej nie wykazał się sprytem. - Wiem o tym. Bardzo chciałabym mieć męża. Przydałby mi się mężczyzna, który przejąłby zarząd nad Latham. Ojciec był człowiekiem, który nie popuścił nikomu. Był... - szukała właściwego słowa.

- Tyranem?

Właśnie popatrzyła na niego błyszczącymi ślicznie oczami.

- Był strasznym tyranem. Kochałam go, ale równocześnie strasznie się bałam tak jak wszyscy. Oczywiście z wyjątkiem Roweny, ale to inna historia. Ojciec powiedział, że żadna z jego córek nie ma kręgosłupa że jesteśmy za miękkie, ale ja przynajmniej nie wyjdę za mąż i nie oddam całego miasta jakiemuś łajdakowi, który będzie chciał tylko moich pieniędzy, co zdarzyłoby się w przypadku Roweny.

-Dlaczego nie? - zapytał Cole, wiedząc, że to śmieszne pytanie.

-Ojciec powiedział, że jestem o wiele za wrażliwa, by wyjść za łajdaka. Powiedział, że wyjdę za przyzwoitego i rozsądnego mężczyznę.

-Więc czemu nie wyjdzie pani za pieprzniczkę? - nie potrafił powstrzymać się od pytania.

-Alfred nie miałby pojęcia, jak należy rozmawiać z lokatorami. Usiłowałam wytłumaczyć Rowenie, że Alfred tylko dlatego ciężko pracuje, bo musi. Gdyby miał moje pieniądze, nie kiwnąłby palcem. Chcę znaleźć mężczyznę, który pracuje, który potrafi się zająć lokatorami ojca, podczas gdy ja zostanę w domu.

-Widzę, że zaplanowała pani swoje życie do najdrobniejszego szczegółu.

-Oczywiście, gdy ktoś nie planuje, całe życie jest zdany na los szczęścia. To dobre w młodości, ale nie zawsze jest się młodym.

Cole poczuł się niewygodnie na fotelu i zmienił pozycję.

-Jeśli pani pozwoli, mam osobiste pytanie. - Nie czekał na pozwolenie. - Czy kiedykolwiek zrobiła pani coś nierozsądnego?

Nie zawahała się.

-Poprosiłam rewolwerowca, by się ze mną ożenił.

Cole skrzywił się.

Przez chwilę nie miał nic do powiedzenia, więc sięgnął do kieszeni i wyjął cienkie cygaro, ale okazało się, że nie potrafi jednocześnie trzymać cygara i zapalać go. Może to próżność, lecz był przyzwyczajony do kobiecej troskliwości. Gdyby był w tym pokoju z jakąkolwiek inną kobietą latałaby wokół niego jak motylek wokół kwiatka i pomogłaby mu zapalić cygaro. Ale panna Latham siedziała, patrzyła na niego i nie zaoferowała się z żadną pomocą.

Zirytowany cisnął nie zapalone cygaro na stół.

- Panno Latham, ma pani rację. Ma pani rację we wszystkim, ale zaczyna mi się wydawać, że moje dni zimnokrwistego mordercy mają się ku końcowi. - Przerwał, by mogła mu zaprzeczyć, ale nie zrobiła tego. - Dlaczego nie mielibyśmy zawrzeć umowy? Ja pomogę pani, jeśli pani pomoże mnie.

- O co panu chodzi?

- Kilka dni temu zjawiała się pani u mnie, bo zależało pani na przekonaniu siostry, że już ma pani męża. Dzięki temu zyskałaby pani spokój na... zbieranie dokumentacji. Tak chyba pani to określiła. - Czekał chwilę na potwierdzenie. - Chciała pani zakończyć zbieranie dokumentacji, znaleźć odpowiedniego męża człowieka, który pomógłby pani ściągać czynsz, wysłuchiwać zażaleń lokatorów i byłby czułym ojcem dla pani dzieci. O to mniej więcej chodzi?

- Tak.

- Ja natomiast potrzebuję domu, w którym mógłbym mieszkać przez kilka miesięcy, podczas gdy ramię będzie się goić. Poza tym nie zaszkodziłoby, gdybym wyuczył się rzemiosła.

- Rozumiem. Ale posiadanie miasteczka trudno nazwać rzemiosłem.

- Może nauczyłbym się zarządzać barem. Może po tym wszystkim mógłbym zakupić dom i osiąść gdzieś na stałe.

- To się nie uda.

- Dlaczego nie?

- Bo... sam pan wie. Nigdy nie uda nam się być daleko od siebie przez długi czas.

Cole nie wierzył własnym uszom.

Może to z powodu jego wyglądu, lecz nigdy nie musiał naprawdę długo uganiać się za żadną spódniczką. Kobiety same do niego przychodziły. Och, udawały że te spotkania są przypadkowe lecz to była nieprawda. Wystarczyło mu tylko pojawić się w jakimś miasteczku a ładne dziewczęta pokazywały się tam gdzie należało ich oczekiwać. A teraz ta karlica która przyznawała że nigdy nie chciał jej żaden mężczyzna poza jednym niskim facetem ze znamionami na łysinie a i to pewnie tylko ze względu na pieniądze miała czelność oświadczyć że on on Coleman Hunter! nie zapanuje nad sobą kiedy spędzi jakiś czas u jej boku.

- Proszę mi zaufać panno Latham - powiedział z gryzącą ironią potrafię zapanować nad sobą. - Nawet gdybym miał bywać w burdelu siedem wieczorów w tygodniu pomyślał. Doprawdy ta kobieta za dużo sobie wyobraża! Jej insynuacje, że nie zdoła nad sobą zapanować w jej towarzystwie, były nie do zniesienia. Zależało mu chociażby na tym, by dowieść jej, jak bardzo się myli.

- Znając Rowenę, nie opuści Teksasu, dopóki nie wyjdę za mąż - kontynuowała, nieświadoma myśli Cole'a. - Gdyby nasze udawane narzeczeństwo trwało cztery lata, zostałaby tu na cztery lata. Siostra może wygląda na łagodną i słodką, ale w środku jest jak wykuta ze stali.

- Jak pani ojciec mógł myśleć, że jego córki są łagodne? - zamruczał Cole.

Wiedział, że w oczach panny Latham jego wiedza i umiejętności są bezwartościowe lecz życie nauczyło go podejmowania szybkich decyzji. A może jej słowa i kula bandyty sprawiły że zaczął inaczej patrzeć na świat? Mniejsza o pieniądze ale co będzie robił, dopóki

ramię się nie zagoi?

Poprzednio chciała wycofać się z pierwotnej propozycji, lecz gdy Cole wspomniał o ranie dostrzegł w jej oczach poczucie winy. Przez całe życie okazywał kobietom jedynie czułość, lecz ta kobieta rzuciła mu wyzwanie. Szybko zdecydował, że wykorzysta to co o niej wie. Jeśli uważała Rowenę za osobę kierującą innymi, nigdy nie widziała w akcji Cole a Huntera.

- W porządku panno Latham skoro nie poczuwa się pani do odpowiedzialności za to co mnie spotkało choć faktem jest że cały majątek jaki posiadam to dwa dolary i dwadzieścia pięć centów. - To była prawda jednak często bywało z nim gorzej niż w tej chwili, a mimo to zawsze udawało mu się naciągnąć kogoś na pokera i wygrać tyle by przeżyć. Ale nie musiała o tym wiedzieć. - Moim zdaniem jest mi pani coś dłużna.

- Proponowałam panu zapłatę.

- A ja odpowiedziałem, że nie chcę jałmużny. Chcę nauczyć się rzemiosła. - Tyle mu na tym zależało, ile na złapaniu dzumy. Nie widział siebie w roli sklepikarza, nawet gdyby na półkach stały flaszki z wódką - Widzę, że przy pani będę miał szansę nauczenia się czegoś, co pomoże mi w latach późniejszych. Po raz pierwszy ujrzałem przed sobą jakąś ścieżkę, która wyprowadzi mnie ze świata upadku i śmierci, w jakim przebywałem dotychczas. Widzę, że mogę zostać szanowanym obywatelem. Widzę drogę poprawy i życia takiego, jakie wiodą inni. Po raz pierwszy otworzyła się przede mną taka szansa, a ja nie jestem głupcem, panno Latham, i chcę ją wykorzystać.

Cole pomyślał że być może rozminął się z powołaniem.

Może powinien być kaznodzieją lub sprzedawcą „lekarstwa na wszystko”. A może senatorem. Niech to diabli, mówił tak górnolotnie, że nadałby się na prezydenta.

Zanim zdążyła otworzyć usta, kontynuował, by nie dopuścić jej do słowa, gdy miał przewagę.

- Chcę panią o coś zapytać. Ilu mężczyzn panią pocałowało? Zamrugła.

- Tylko, tylko pan.

- Tak właśnie myślałem. Zapewne myśli pani sobie, że między nami zaszło coś nadzwyczajnego coś wyjątkowego. Zapewniam panią że nie. To co poczuliśmy przytrafia się każdemu całującemu się mężczyźnie i kobiecie. Gdyby pani pocałowała swojego pana Pieprzniczkę poczułaby pani to samo. - Usiłowała ukryć zawód, ale tak wyraźnie odmalował się na jej twarzy, że Cole był prawie gotów cofnąć kłamstwo. Powstrzymał się i nie zrobił tego.

- Problem zapewne polega na tym, że skoro będziemy ze sobą jakiś czas, to pani zdaniem nie zdołam nad sobą zapanować i skonam, jeśli nie zaciągnę pani do łóżka. Nic nie może bardziej rozmijać się z prawdą. - Ciągnął dalej, nie pozwalając jej wtrącić słówka. - Panno Latham, mam dla pani propozycję handlową: na pół roku zostanie pani moją żoną i podczas tego okresu pozwoli mi pani zarządzać miasteczkiem. Jeśli po zakończeniu szóstego miesiąca będzie pani ze mnie zadowolona, wypłaci mi pani pięć tysięcy dolarów. To będzie kapitał, na którym zbuduję przysze życie.

- Czy nie byłoby dużo prościej, gdybym wynajęła pana jako administratora do ściągania czynszu?

Niech to diabli, ta kobieta tak jasno potrafiła widzieć sprawy, że było to aż męczące! Uśmiechnął się skąpo.

- Jeśli będę tylko pani administratorem, siostra dopnie swego. - Uniósł brew. - Być może zostaną zaproszony na pani ślub z Alfredem. Czy jego dzieci znajdują się na liście gości? Przy okazji, ile mają lat?

- Jego synowie mają dwadzieścia pięć, dwadzieścia trzy i dwadzieścia lat - rzekła Cole tak był zaskoczony tą informacją że zamilkł na chwilę



- Trudno nazwać je bobasami nieprawdaż? - odezwał się cicho myśląc że ta drobna kobieta okazała się zupełnie kim innym niż wydawało się na początku ich znajomości. Początkowo sprawiała wrażenie że nie potrzebuje nikogo że potrafi sama zająć się sobą i połową świata ale z wolna dokładniej pojmował co spowodowało że zaferowała swą rękę rewolwerowcowi.

Częściowo wiedział że to ten bohater w nim zaczynał nie cierpieć tego słowa dochodzi do głosu ale pragnął otoczyć ją opieką. Siostra chciała narzucić jej małżeństwo z leniwym facetem obciążonym trzema dorosłymi synkami. Niewątpliwie cała czwórka wprowadzi się do jej domu przejmie jej miasteczko i zacznie wydawać jej pieniądze.

Był zmęczony mówieniem, zmęczony argumentowaniem. Zupełnie nagle pojął motywy postępowania Roweny. Nic dziwnego, że obawiała się pozostawić swoją niezamężną siostrę samą w wielkim domu na łaskę każdego poszukiwacza złota w kraju. Nic dziwnego, że usiłowała zmusić ją do wyjścia za mąż za człowieka, który mógłby ją obronić. Rowena jedynie mylnie wyobraziła sobie, iż ten staruch z dorosłymi synami nadaje się do tej roboty.

- Wyjdiesz za mnie, jasne? Potem możesz przepłacić sędziego, niech unieważni małżeństwo, ale w tej chwili jesteśmy sobie potrzebni. Tobie jest potrzebna ochrona przed pełną dobrych intencji siostrą a ja potrzebuję domu, w którym mógłbym powiesić kapelusz na kołku, dopóki rana się nie wygoi. - W trakcie tego przemówienia na wpeł uniósł ją za ramiona. Nosem prawie dotykał jej nosa. - I nie odzywaj się słowem o dzieciach, moim zabijaniu ludzi albo czymś innym. Zrobię porządek w tym twoim miasteczku. Wygląda mi na to, że lokatorzy wyzyskują cię, spóźniając się z wypłatą czynszu.

-Zastrzeli ich pan? - zapytała bez tchu.

Rozluźnił uścisk tak nagle, że prawie upadła. Rozmyślnie chciała wprawić go w gniew, czy zachowała się spontanicznie?

-Masz! - rzekł głosem pełnym wściekłości i zaczął rozpinać pas z bronią. Bolało go to trochę. Prawdę mówiąc, ból wystrzelił w górę ramienia i czuł, jak otwiera się rana, ale prędzej by umarł, niż zrezygnował ze swego dzielnego gestu. Ból zamroczył Cole'a, gdy podawał jej pas jak jakąś ofiarę, ale siłą woli trzymał się na nogach.

-Daję ci moją broń - rzekł. - Nie będę jej używał przy ściąganiu czynszu w miasteczku i gdybym usiłował cię dotknąć, możesz mnie zastrzelić. To jak, umowa stoi?

W ciszy, z wielką powagą wzięła od niego ciężki pas.

Podjęcie decyzji zabrało jej wiele czasu, ale w końcu powiedziała „tak” i to było wszystko.

Cole nie wiedział, czy ma być szczęśliwy czy przerażony, ale nie pozwolił, by którekolwiek z tych uczuć pokazało się na jego twarzy.

-No, to dobra. Idziemy? Pani siostra czeka.

Podał jej zdrowe ramię.

Po sekundzie wahania wsunęła pod nie drobną rączkę i ruszyli do drzwi. Niosła rewolwer Cole'a w lewej ręce, koniec pasa włókł się po podłodze.

## 5

Dorie starała się nie siedzieć sztywno na brzegu ławki, lecz swobodne zachowanie przychodziło jej z trudnością. W ciągu ostatnich kilku godzin bez przerwy narzucała sobie samokontrolę teraz jednak stało się to prawie niemożliwa. Siedziała w prywatnym wagonie Roweny pożyczonym od jakiegoś beznadziejnie zakochanego wielbiciela mając po drugiej stronie stołu nieznanego który był jej mężem.

Kiedy ukuła ten plan małżeństwa na niby z rewolwerowcem pomysł wydawał się znakomity.

Wreszcie zaszokuje wszystkich. Przede wszystkim siostrę która myślała że zna świetnie Dorie a także ludzi w Latham którzy śmiali się z niej, bo była starą panną. Niemal

pragnęła by ojciec jeszcze żył, żeby jego też mogła zaszokować. Ale z drugiej strony wątpiła, by cokolwiek mogło zadziwić Charlesa Lathama. Gdyby Dorie ogłosiła, że chce wyjść za gąsienicę, nie byłby zdumiony; powiedziałby tylko „nie”. Gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych chciał poślubić Dorie, jej ojciec powiedziałby tylko „nie”. Pozwolił odejść jednej córce, ale póki żyje nie pozwoli na to samo drugiej.

Więc Dorie wzrastała u boku zimnego totalitarysty, bardziej wszechwładcy niż ojca, człowieka, który w swoim domu i swoim mieście uznawał tylko własne zdanie. Jedyne, co potrafiło zmiękczyć mu serce, to uroda Roweny.

Charles Latham celowo wybrał nie rzucającą się w oczy kobietę.

Mówił, że potrzebuje żony, która będzie mu wierna. Rowena zawsze zastanawiała się, czy powiedział o tym matce, ale cóż, Rowena bujała w obłokach i żyła światem romansów.

Oczywiście, Charles Latham oświadczył wystraszonej oblubienicy, że ożenił się z nią bo żaden inny mężczyzna jej nie chciał. Poza tym da mu potomka. Dorie zastanawiała się, czy matka pragnęła umrzeć po urodzeniu drugiej córki. Bez wątpienia usłyszawszy, jak bardzo rozczarowała małżonka, obdarowując go kolejną dziewczynką a nie chłopcem, który nosiłby jego nazwisko, zdecydowała się opuścić ziemski padół.

Matka nie była jedyną osobą której życiem kierowała żelazna wola Charlesa Lathama. Po śmierci ojca Dorie stwierdziła, że tak naprawdę nie wie, co zrobić z wolnością. Przez całe życie ojciec mówił jej, kiedy iść spać, kiedy wstać, co jeść. Zaplanował i urządził jej życie.

Oczywiście, uświadomiła sobie, że prowadząc izolowany żywot, skazana niemal wyłącznie na towarzystwo ojca, stała się trochę... inna. Niewiarygodna uroda Roweny przyczyniła się do tego, że jej życie bardziej przypominało życie innych ludzi. Rowena przy swojej urodzie nie musiała wychodzić z domu, by spotkać się z ludźmi; sami przychodzili do niej. Mimo wysiłków ojca zamierzającego do izolowania córki, Rowena nawiązywała stosunki towarzyskie, aż zjawił się Jonathna Westlake i zabrał ją na zawsze.

Ale nikt nie starał się o Dorie. Żaden przystojny młodzian nie narażał się na gniew jej ojca, nie zapukał do frontowych drzwi i nie chciał się z nią spotykać. A gdyby przystojni młodzi chłopcy zjawiali się na jej progu i ojciec zbywał ich, Dorie nie była dość piękna, by mogła zmusić ojca do zmiany zdania.

I tak Rowena wyjechała z Latham przed sześciu laty, opuściła ojca, lecz Dorie została. Została w wielkim, ciemnym domu, pracując jako gospodyni i sekretarka. Wieczorami siadywała w tym samym pokoju, w którym przebywał ojciec, nigdy się nie odzywała, nigdy nie szukała z nim kontaktu, po prostu siedziała. Oświadczył, że dwie kobiety go zostawiły i prędzej go diabli porwą niż pozwoli na to trzeciej, więc Dorie rzadko udawało się zniknąć mu z oczu.

Po jego śmierci Dorie z trudem wykrzesła w sobie coś jeszcze poza uczuciem ulgi. Może kochała go lecz nie pozwalał na to by w domu pojawiło się coś tak łagodnego jak miłość. Charles Latham wierzył w dyscyplinę we wszystkim. Rowena powiedziała raz że ich ojciec prawdopodobnie pocałował matkę tylko dwa razy za jej życia - a było to w tych dawnych czasach kiedy wierzono iż dzieci przychodzą na świat od pocałunków.

Podczas tych wszystkich lat tłumiąc każde uczucie żyjąc w strachu przed ojcem i jego wściekłością Dorie myślała o tym co zrobi, gdy on odejdzie - śmierć ojca była jednoznaczna z jej wolnością. Nachodziły ją dzikie pomysły o podróżach do obcych krajów. Wyobrażała sobie, że nagle staje się piękna jak Rowena i dojrzała mężczyźni drżą pod jej spojrzeniem.

Ale nie wyobrażała sobie, że spadnie na nią ciężar zarządzania całym miasteczkiem. Ludzie, których przynajmniej widywała jeśli nie znała, przez całe życie, zamienili się z dnia na dzień w jedną ogromną wyciągniętą łapę. Musiała znajdować pieniądze na naprawę dachów, łatanie werand oczyszczanie rynsztoków. Wydawało się, że nie ma końca pracom które należy wykonać.

A potem, jakby nie dość było kłopotów Rowena przysłała telegram zapowiadający

szybki przyjazd. I Rowena kochana słodka Rowena, która nie potrafiła niczego utrzymać w tajemnicy poinformowała przy tym, że po przyjeździe zamierza znaleźć męża dla siostry.

Oczywiście, telegrafista podzielił się tą wiadomością ze wszystkimi mieszkańcami Latham i co najmniej jedną drugą pasażerów pociągów jadących przez miasteczko. Dorie nie byłaby zaskoczona gdyby całe San Francisco wiedziało że wścibska siostra planuje wyszukać jej małżonka.

Dorie kochała siostrę, lecz Rowenie czasem brakowało zdrowego rozsądku. Czy spodziewała się, że Dorie będzie w siódmym niebie dostając telegram i powie: „Och, cudownie, siostra wyda mnie za mąż za mężczyznę, którego nawet nie znam?”

Podczas gdy Dorie dochodziła do siebie po doznanym wstrząsie i musiała dzień w dzień wysłuchiwać drwin i żartów swoich lokatorów, zarówno młodych jak i starych, jej pełna jak najlepszych zamiarów siostra przysłała następny telegram w którym prosiła, by Dorie nie wychodziła za mąż za Alfreda przed jej przyjazdem

Więc może Dorie popełniła błąd wspominając o Alfredzie. Jakies dwa lata temu, przed śmiercią ojca, Rowena napisała ze swojego pięknego domu w Anglii, że martwi się o młodszą siostrzyczkę, więc wróci do Ameryki i znajdzie jej męża. Wprawiło to Dorie w najwyższe przerażenie bo wiedziała że gdy ojciec zda sobie z tego sprawę, że grozi mu utrata córki, jeszcze bardziej utrudni jej życie. Po dezercji Roweny tak Dorie traktowała małżeństwo siostry - życie młodszej córki niczym prawie nie różniło się od życia więźnia ale w miarę upływu lat władza ojcowska słabła. Powoli Dorie wyrobiła sobie pozwolenie na spacery wzdłuż pól za domem i popołudniowe przesiadywanie z książką nad rzeką. Ojciec zabierał ją ze sobą powozem gdy jechał ściągać komorne. Prawdę mówiąc z każdym miesiącem po wyjeździe Roweny, Dorie i ojciec nawiązywali bardziej przyjacielskie stosunki. Trudno powiedzieć by rozmawiali ze sobą lecz mniej niż poprzednio przypominali więźnia i strażnika.

Ale gdyby Rowena spełniła swój zamiar i wróciła by nakłonić ojca do zgody na ślub Dorie ta wiedziała że czekałoby ją piekło na ziemi. Gdyby Rowena dopięła swego i znalazła jej wspaniałego męża, Dorie zniósłaby wszystko. Ale męski ideał Roweny uosabiał poeta w pomiętej koszuli, wygłaszający idiotyzmy w rodzaju: „Życie jest drogą którą niewielu umie przebyć.” Takie frazesy nie miały dla Dorie żadnego sensu, lecz pod Rowena, gdy je słyszała, ugięły się z wrażenia nogi. Dorie tysiąc razy udowadniała Rowenie, że zabrakło jej mądrości, by wybrać kogoś tak silnego i inteligentnego jak Jonathan, że to Jonathan wybrał ją, a potem uganiał się za nią i prawdę powiedziawszy oblegał tak długo, aż znużona poddała się.

Dla zabezpieczenia się, dla uniknięcia małżeństwa z mężczyzną który pił sherry i nosił sygnet na małym palcu, Dorie zaczęła pisać do siostry listy, w których opisywała plany wyjścia za mąż za mieszkańca Latham. Na nieszczęście nie była na tyle przewidująca, by tego mężczyznę wymyśleć. Wymyślony narzeczony mógłby zginąć w wyniku jakiejś romantycznej tragedii i Dorie nosiłaby po nim żałobną czerń. Zamiast tego napisała o mężczyźnie, którego obie znały całe życie. Nazywał się Alfred Smythe. Wtedy gdy Dorie zaczęła korespondencję na jego temat, druga żona Alfreda właśnie zmarła i kiedy Dorie z ojcem mijali go powozem, Alfred którego Dorie uważała za równie starego jak jej własny ojciec popatrzył na nią tak, jakby zastanawiał się, czy mogłaby być jego małżonką numer trzy.

Od tej chwili sprawy nabrały lawinowego przyspieszenia. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Dorie przekonała się że ma talent do zmyślania może dlatego że nie prowadząc autentycznego życia mogła żyć na papierze. Zaczęła tworzyć wielki romans z Alfredem. I im więcej pisała im bardziej entuzjastyczne były odpowiedzi Roweny tym bardziej wybujałe stały się opisy Dorie. Zaczęła wynosić Alfreda pod niebiosa opisywała jego junacki sposób bycia niebezpieczeństwo jakie z niego emanuje. Opowiedziała Rowenie że Alfred wydawał się zwyczajnym sklepikarzem lecz po prawdzie był zaplątany w coś ryzykownego i śmiałego. Ponieważ wiedza Dorie na temat śmiałych uczynków ograniczała się do zniknięcia na całą

godzinę z oczu ojca nigdy nie wyjaśniła co takiego Alfred robi. Poza tym napomknięcia są bardziej ekscytujące niż rzeczywistość.

Lecz Rowena zmęczyła się wyczekiwaniem na zawiadomienie o ślubie i przysłała list zapowiadający przyjazd do Ameryki, tudzież organizację wesela. Dorie niezwłocznie odpisała że rozstali się z Alfredem więc nie ma potrzeby by Rowena przyjeżdżała. Rowena przysłała telegram, który obejrzało całe Latham, a w nim powiadomiła, że przybywa poszukać innego męża dla pogrążonej w rozpacz siostry.

Dorie wpadła w panikę dopiero po telegramie. Co powinna zrobić? Rowena na swój sposób była takim samym tyranem jak ich ojciec. Po tych wszystkich namiętnych listach naprawdę wierzyła, że Dorie autentycznie kochała tego okropnego małego Alfreda Smytha, więc bez żadnego wahania zmusi ją do małżeństwa.

Dorie nie na darmo była córką swego tatusia.

Decydując się na zdobycie męża w pierwszym odruchu postanowiła go kupić - zupełnie jak nabywa się nową parę butów. Przecież ojciec kupił sobie żonę. Pojechał na wschód przejrzał w gazetach wiadomości o bankructwach zaprzyjaźnił się z pierwszym poznanym człowiekiem, którego córka była na tyle nieatrakcyjna że jej przyszły mąż nie musiał się martwić zalotami innych mężczyzn. Potem spłacił długi jej ojca i ożenił się.

Wiec Dorie zaplanowała wynajęcie mężczyzny który potrzebował pieniędzy i był przy tym na tyle romantyczną postacią, by Rowena zostawiła siostrę w spokoju.

Dobrych kilka dni zajęło jej sporządzenie listy właściwych kandydatów po czym szczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiedziała się że kowal w Latham zna jednego z nich człowieka uważanego powszechnie za zabójcę.

Ale kowal powiedział Dorie że Cole Hunter *ma* najmniejsze serce, jakie można sobie wyobrazić. Cole o tym nie wiedział, a był tak szybkim strzelcem, że nikt nie próbował mu tego uświadomić, niemniej jego miękkie serce było tematem wielu żartów wśród prawdziwych zabójców.

- Jest, cholera, za miękki - rzekł kowal. - Tak naprawdę to nie cierpi zabijania.

Ponieważ Dorie chciała prosić nieznanego, by udawał, że jest jej małżonkiem, była to dobra wiadomość.

Znalazła tego mężczyznę w Abilene i jej oczekiwania rozminęły się z rzeczywistością. Co gorsze, wyglądało, że nie cierpi jej serdecznie. Ale to nie zaskoczyło Dorie. Nigdy nie miała powodzenia u mężczyzn. Co prawda nie miała w tym zakresie specjalnego doświadczenia, lecz gdy Rowena mieszkała jeszcze w Latham, Dorie poznała kilku chłopców dochodzących wieku męskiego, odwiedzających jej wspaniałą siostrę. I każde, ale to każde takie spotkanie było klęską.

Rowena mawiała: „Dorie, nie powinnaś mówić Charlesowi Pembroke'owi, że ma inteligencję głaba kapuścianego i wdzięk słonia w baletkach.”

Przez jakiś czas Dorie usiłowała trzymać budzie na kłódkę, patrzeć i uczyć się, ale na widok poczynąń Roweny, robiło jej się niedobrze. Rowena wydawała ochy i achy przy każdym poznanym osobniku płci męskiej, bez względu na to, jaki był głupi czy obrzydliwy. Wydawało się to Dorie nieuczciwe, a ponad wszystko ceniła uczciwość.

Oczywiście, Rowena wreszcie wyszła za mąż, urodziła dwoje ślicznych dzieci, a Dorie mieszkała sama w wielkim, ciemnym domu i dawała pieniądze ludziom. Nadal nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mężczyźni wolą kłamstwa od prawdy ale tacy widocznie byli.

Co do pana Huntera to zupełnie nie umiała go rozgryźć. Rozumiała go przy pierwszym spotkaniu podczas którego powiedziała mu prawdę. Jak wszyscy inni mężczyźni zdawał się nie cierpieć jej serdecznie. Dorie wiedziała, że Rowena z pewnością by kłamała i pochlebiała mu a on jadłby jej z ręki. Dorie jednak wygarnęła mu prawdę po czym wyraźnie dał do zrozumienia że jej nie zniesie.

Na nieszczęście zraniło ją to, bo ku swemu wielkiemu zdumieniu całkiem się jej

spodobał.

Może było to spowodowane jego bohaterskim zachowaniem? Tak po prawdzie, gdy uratował ją w banku z rąk bandyty poczuła się no poczuła się zupełnie jak bohaterka powieści których ojciec nie pozwalał trzymać w domu.

Ale pan Hunter czuł coś innego niż ona. Gdy zjawiała się u niego w pensjonacie przepraszając za wszystko co rozgniewało go podczas pierwszego spotkania zdołała tylko wpędzić go w furję.

No, jednak potem stawiał się u niej w hotelu i oznajmił, że powinna wyjść za niego za męża. Może uznał że Rowena będzie jakoś uczestniczyć w tym związku. Dorie tylko tak potrafiła to sobie wytłumaczyć. Nie cierpiał jej serdecznie ale po tym jak zobaczył Rowenę chciał się z nią żenić.

A zresztą, czy to robiło jakąś różnicę?

Układ był wyłącznie tymczasowy; za sześć miesięcy ten mężczyzna zniknie z jej życia. Dostanie swoje pięć tysięcy dolarów a Dorie wróci tam skąd przyjechała. Nie była na tyle głupia, by wierzyć w to jego gadania o nauce rzemiosła; wiedziała, że zależy mu tylko na pieniądzu - a może szukał jakiejś szansy u Roweny, ale ponieważ wszystkim mężczyznom na tym zależało, więc wyglądało na to, że Dorie zawarła idealny układ.

Teraz siedziała przy małym stolczku, który ich rozdzielał; za nimi majaczyło potężne łoże, a Dorie miała na palcu obrączkę -prezent Roweny. Dorie dziobała danie, które miała na talerzu.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pan Hunter coś mówi.

- Słucham? - rzekła, unosząc wzrok.

- Powiedziałem, że skoro chce pani znaleźć sobie męża - prawdziwego męża - powinna pani wykrzesać z siebie więcej... no, czaru.

Dorie zamruwała.

Nie było jej stać na nic więcej. „Czar.” Słyszała to słowo wyłącznie wtedy, gdy mowa była o Rowenie i wiedźmach.

Od czasu tej bezdusznej małej farsy, którą nazwano ślubem, Cole bez przerwy zadawał sobie pytanie, co, na Boga, uczynił. Nigdy nie uważał siebie za romantyka, lecz ta szybka, nudna ceremonia, podczas której znudzony ksiądz spieszył się z powrotem do przerwanego obiadu, nie odpowiadała jego wyobrażeniom o ślubie. Czy kobietom nie powinno zależeć na kwiatach i ślicznej sukni? Czy kobiety nie powinny mieć sentymentalnych poglądów na sprawę wesela i tym podobnych rzeczy? Czy od mężczyzny nie należało wymagać, by zachowywał się tak, jakby tym podobne sprawy wcale nie miały dla niego znaczenia, ale po cichu całkiem lubił woń kwiatów i widok panny młodej w chmurze koronek?

Dorie od chwili zaślubin nie odezwała się słowem, pozwalała tej swojej szarogęszącej się siostruni rządzić wszystkim. Po kilku godzinach w towarzystwie Roweny Cole zaczął sobie uświadamiać, że pod tą przymilną krytą miodem powłoką jest stalowy rdzeń. Nasłuchał się od niej tylu komplementów, że gdyby w nie uwierzył, pomyślałby, że jest najsprytniejszym, najdzielniejszym, najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Ale gdy wygłaszała komplement za komplementem pod jego adresem, załatwiała przygotowania do ślubu młodszej siostry. Oznajmiła Dorie, gdzie odbędzie się ceremonia, gdzie Dorie pojedzie na miesiąc poślubny i kiedy młoda para wróci do Latham. Rowena sporządziła weselne menu i przypilnowała spakowania bagaży Dorie do podróży. Dopiero na końcu ceremonii, gdy Rowena oświadczyła: „Teraz możesz go pocałować, Dorie”, Cole wziął sprawy w swoje ręce.

- Ona jest teraz moją żoną - oświadczył spokojnie, ale tonem, którego zwykle używał wobec mężczyzn, jeśli ich podejrzewał o oszukiwanie przy kartach.

Rowena miała jedną dobrą cechę - wiedziała, kiedy ustąpić. Z wdziękiem zaprzestała rozkazywania i odsunęła się na bok, zadowolona z tego że wszystko zorganizowała.

Więc teraz siedział sam z obcą osobą która była i nie była jego żoną i poczuł nagłą chęć poznania jej lepiej.

Czy była tak twarda jak przy pierwszym spotkaniu, czy tak łagodna, jak się czasem wydawała? Czy była wyrachowana czy niewinna? Czy celowo raniła swoim ostrym językiem, czy po prostu była tego nieświadoma?

-Obawiam się że nie umiem być czarująca - rzekła nie podnosząc wzroku znad talerza  
- To domena mojej siostry.

Cole po dzisiejszym dniu wiedział, że do wyrwania się z sieci „czaru Roweny trzeba było siły słonia. Patrząc na czubek głowy żony uświadomił sobie, że nigdy nie widział prawdziwego uśmiechu na jej twarzy. Czy ona w ogóle potrafi się uśmiechać? Jak by wtedy wyglądała?

Usiadł prosto w fotelu niczym nauczyciel.

-Proszę o uwagę, panno Latham... to jest... pani Hunter - poprawił się i zdał sobie sprawę, że całkiem podoba mu się to miano. - Teraz będziemy mieli lekcję tego, jak być czarującą

Popatrzyła na niego zaskoczona.

-Proszę mi odpowiedzieć: co pani powie, będąc sama z mężczyzną i pragnąc wciągnąć go w rozmowę?

Wydawało się, że Dorie bierze to bardzo poważnie.

-Co on robi?

-Nic nie robi! Świat jest tak urządzony, że do kobiety należy prowadzenie konwersacji. Mężczyźnie przypada rola silnej, milczącej osobowości, a zadaniem kobiety jest nakłonienie go do otwarcia.

-Och - powiedziała Dorie. Nigdy poprzednio nie słyszała tych aksjomatów, ale pomogły jej zrozumieć to, czego poprzednio nigdy nie mogła pojąć. - Chciałabym wiedzieć, czym się zajmuje. Jakie ma źródło utrzymania. Być może dałoby się o tym porozmawiać.

-Dobry pomysł. Ten mężczyzna jest farmerem.

-No, to zapytałabym go, jak wyglądają jego zasiewy.

-Mmm... - rzekł Cole. - To byłoby odpowiednie w przypadku mężczyzny na tyle starego, że mógłby być pani ojcem, ale co zrobiłaby pani z młodym, przystojnym mężczyzną o szerokich barach?

W oczach Dorie zabłyśły iskierki rozbawiania.

-Jak dokładnie są szerokie barki tego mężczyzny?

Cole zachował powagę. Wyciągnął ręce do przodu i określił:

-No,                   mniej                   więcej                   takie.                   Nie,                   takie.

Oczy Dorie rozjarzyły się mocniej.

-Panie Hunter, nie ma na świecie mężczyzny z tak szerokimi barami.

Cole przez moment znalazł się w defensywie. Przeniósł wzrok od rąk do ramion i zobaczył, że rozstawił dłonie dokładnie na szerokość swoich barków. Gdy otworzył usta, by zauważyć, że jego ramiona są jednak na tyle szerokie, spojrzał w oczy Dorie i przekonał się, że z niego żartuje. No, no, pomyślał, jeszcze się jej za to odpłacę.

-Wprowadźmy poprawkę. Ten mężczyzna, koło którego pani siedzi, jest znanym arbitrem.

-Arbitrem? Chodzi panu o rewolwerowca? Zabójcę? Wyraz twarzy Cole'a był niezwykle poważny.

-Pani Hunter, zechce pani skupić się na wykonaniu zadania? Tematem lekcji jest czarujące zachowanie, a pani jak dotychczas nie udowodniła, że rozumie znaczenie tego słowa.

-Ależ wiem, co ono znaczy. Czarować to znaczy kłamać. Zbiło to Cole'a z pantałyku.

-Kłamać?

-Rowena potrafi być czarująca, bo kłamie.

-Proszę to zademonstrować.

Dorie już miała zamiar odpowiedzieć, że nie potrafi mu pokazać, na czym polegają kłamstwa Roweny, gdy uświadomiła sobie, iż wiele razy obserwowała siostrę. Powinna umieć ją udawać.

Oparła łokcie na stole, przysunęła twarz tuż do Cole'a i zatrzepotała rzesami.

-Och, panie Hunter, tyle się o panu nasłuchałam! Tyle słyszałam o pańskiej rozwadze, o tym, jak łagodzi pan spory i w pojedynkę ratuje całe miasta. Mój Boże, z pana jest prawdziwa figura! Mam nadzieję że nie przeszkadza panu że tak mu się przypatruję. Rzecz w tym że rozglądam się za szafirem mającym dokładnie kolor pańskich oczu i nigdzie nie udało mi się znaleźć tak głębokiego odcienia błękitu. Może następnym razem gdy będę szła do mojego jubilera mógłby mi pan towarzyszyć żebyśmy mogła pokazać, o co mi chodzi.

Dorie odchyliła się od stołu krzyżując ręce na piersiach.

Przez chwilę Cole nie potrafił się odezwać.

Wiedział oczywiście, że natrzęsała się z siostry, ale - niech to cholera! - i tak mu się to podobało. Czuł wręcz nieopanowaną chęć złapania za nóż.

Opanował się jednak, bo z oczu Dorie wyczytał, iż dokładnie zna jego myśli. Dwa zero dla niej, pomyślał.

-Kłamstwa - rzekł. - Okropność. Wie pani, że mężczyźni też kłamią prawda?

-Nie wobec Roweny. Wobec niej nie muszą kłamać. Jest tak piękna, że nie potrafią powiedzieć żadnego kłamstwa o jej urodzie.

-Prawdziwy czar obywa się bez kłamstw.

-Ha! Nikt nie potrafi mieć tyle czaru co Rowena, a wszystko, co robi i mówi, jest kłamstwem.

-Więc to nie jest prawdziwy czar. Ona podbija męskie serca urodą. Ale co się stanie, gdy piękność przeminie? Żaden mężczyzna nie złapie się na lep kłamstw padających z ust kobiety, której uroda zgasła. - Teraz jego słowa obudziły w niej zainteresowanie. Najwyraźniej lubiła takie kłamstwa, które brzmiały jak prawda.

- Proszę pozwolić mi pokazać, na czym polega prawdziwy czar. Niech pani poda mi rękę.

Nie posłuchała go.

-Jeśli opowie mi pan mnóstwo głupich kłamstw o mojej wspaniałej urodzie, wcale mi się to nie spodoba.

-Myśli pani, że nie stać mnie na odrobinę zdrowego rozsądku? No, proszę mi dać rękę!

- Niech to diabli, ale ta baba dawała mu się we znaki! Z pewnością żadna kobieta na ziemi nie odmówiłaby lekcji na temat czarującego zachowania. Zwłaszcza gdyby czarował ją własny małżonek.

Łagodnie ujął jej rękę.

Może jakaś inną kobietą wystraszyłaby się go, ale wątpliwe, by cokolwiek było w stanie wystraszyć tę małą. Uniósł rękę Dorie do twarzy, lecz nie pocałował jej, tylko przytulił do policzka.

- Wie pani, co mi się w pani podoba? - Nie czekał na odpowiedź.- Lubię pani uczciwość. Przez całe życie słyszałem komplementy. Mężczyźni za bardzo się mnie bali, by odważyć się na cokolwiek nieprzyjemnego, a kobietom tak podobała się moja uroda, że mruczały, kiedy znalazły się w moim towarzystwie. - Przy słowie „mruczały” wypowiedział „r” tak ciepłym, jedwabistym tonem, że Dorie otworzyła szerzej oczy. - To coś nowego poznać kobietę, która jest wobec mnie uczciwa, która mówi mi, że wiele powinienem się nauczyć. I czuję przypływ nowych sił, musząc się z panią zmagać. Sprawia pani, że nie mogę być przy niej obojętny, sprawia pani, że muszę udowadniać, że jestem pani wart, choć pani zdaniem wcale tak nie jest.

Przesunął jej dłoń do ust i całował jeden kłykiec po drugim.

- W pani urodzie jest jakiś blask, któremu pani siostra nie może dorównać. Ona jest różą w pełnym rozkwicie, bogatą i wystawiającą się na pokaz, a pani jest fiołkiem, słodkim i nieśmiałym, łagodnym, lecz silnym. Uroda pani nie objawia się oczom. Należy jej poszukać i stąd też jest o wiele więcej warta.

Dorie siedziała nieruchomo, z każdym słowem otwierając szerzej oczy. Delikatne mrowienie przebiegło od dłoni w górę jej ramienia i rozeszło się po całym ciele. Nagle uwolnił jej rękę.

- Proszę - rzekł. - O to mi chodziło. Czar bez kłamstw.

Dorie musiała potrząsnąć głową by dojść do siebie.

- Czarujące kłamstwa. Tak ja uważam. A jak pani zdaniem wygląda prawda?

- Pan uważa że jestem utrapieniem i zawadą. Jednak jestem bogatym utrapieniem a pan potrzebuje moich pieniędzy.

Cole chyba nigdy nie poczuł się bardziej zelżony.

Powiała, że ożenił się z nią dla pieniędzy i niczego więcej, co, oczywiście, nie było prawdą. Ożenił się z nią bo Do diabła!

Nie wiedział dokładnie dlaczego się z nią ożenił, ale zrobił to nie tylko dla pieniędzy. Mężczyzna który żeni się dla pieniędzy to... to... Jak się na takiego mówi? „Zigolo”, oto właściwe słowo. Nie przeszkadzało mu nazywanie go zabójcą ale nie chciał być uważany za kogoś wykorzystującego kobiety.

Nagle wstał od stołu.

- Wyjaśnijmy sobie coś. Ożeniłem się z panią bo potrzebowała pani opieki i płaci mi pani za tę opiekę. Jestem jakby pani ochroną. Gdy ramię mi wydobrzeje i pani siostra wyjedzie z kraju, podamy sobie ręce, rozstaniemy się i to będzie koniec tego wszystkiego. Zgadza się?

- Oczywiście - odparła spokojnie, patrząc na niego trzeźwym wzrokiem.

- Teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, idę spać. To był nużący dzień.

Otworzyła oczy tak szeroko, że wiedział, co myśli. Nie wiedząc dokładnie, dlaczego jest tak zły, złapał dwie sakwy podróżne, leżące przy ścianie, i cisnął je na środek łóżka, rozdzielając posłania. Być może był zły, bo przez całe życie musiał opędzać się od kobiet, a teraz ta polna myszka zachowywała się tak, jakby zamienił się w satyra, jakieś złe i obrzydliwe stworzenie. Tak go nie lubiła, że nawet miała opory z podaniem mu ręki przez stół.

- Proszę - rzekł zjadliwym tonem, kiwnięciem głowy wskazując podzielone łóżko. - Czy to zadawała pani poczucie przyzwoitości? Nie wiem, czemu uparła się pani uważać mnie za człowieka, który chce rozprawiczać odporne dziewice, ale zapewniam, że wcale mi na tym nie zależy.

- Wcale nie twierdziłam... - zaczęła, lecz przerwał jej.

- Marsz do łóżka. Nie będę się narzucał, więc nie musi się pani tak przejmować.

- Nie przejmuję się - rzekła cicho, weszła za śliczny parawanik stojący za łóżkiem w kącie i zaczęła się rozbierać. Po tym, jak Cole zapowiedział, że pobierają się z Dorie, Rowena wzięła ją na bok i naopowiadała masę głupstw - jak to nie należy się bać, natomiast należy wyłazić ze skóry, by pan Hunter poczuł się pociągającym mężczyzną. „To jest ważne dla mężczyzny - rzekła Rowena. - To najważniejsze.” Dorie nie miała pojęcia, o co siostrze chodzi.

- Niech to piekło pochłonie! - usłyszała Cole'a, a potem cichy dźwięk, jakby guzika spadającego do porcelanowej umywalki.

Zerknęła zza parawanu.

Skupiony Cole marszczył brwi i próbował się rozebrać, w czym jego unieruchomione ramię bardzo mu przeszkadzało. Bohater, pomyślała. Mężczyzna, który nie poprosi o pomoc.

Ubrana w ogromną koszulę nocną która osłaniała ją od szyi do palców u stóp, okrążyła



parawan i podeszła do niego. Już otwierał usta, by oświadczyć, że bez kłopotu się rozbierze, lecz tu przynajmniej Dorie czuła się kompetentna. Przez ostatni rok życia ojciec był niepełnosprawny i tylko ona mogła się nim opiekować. Potrafiła ubierać i rozbierać dorosłych mężczyzn.

-Proszę mi pozwolić - powiedziała rzeczowo i w kilka chwil rozdziała Cole'a do bawełnianej bielizny. Nie zauważyła, że uśmiecha się do niej jednocześnie rozbawiony i pełen lekkiego zaskoczenia.

Nie zauważała również tego jak przyglądał się jej gęstym włosom zaczesanym w paniński warkocz. Za dnia miała włosy mocno ściągnięte i ułożone zadziwiająco gładko ani jeden kosmyk nie umknął szczotce. Ale teraz były puszyste a kilka pukielków otoczyło jej twarzyczkę. A co zadziwiające jej surowa koszula nocna była niemal prowokująca. Zwykły oglądać kobiety w czarnych lub czerwonych koronkach nie w czystej, dziewiczej bieli. Widząc ją kompletnie zakrytą, zastanawiał się z o wiele głębszą dociekliwością co kryje nocna szata niż gdyby miał przed sobą półprzejrzysty jedwab.

Rozebrawszy Cole'a odwinęła przykrycie i lekko pchnęła go na łóżko. Potem, jakby robiła to tysiące razy - co faktycznie miało miejsce - okryła go szczelnie kołdrą chłodno musnęła ustami czoło, odwróciła się, zgasła świeczkę przy łóżku i ruszyła do wyjścia.

Miała już rękę na gałce od drzwi, gdy uświadomiła sobie, gdzie jest i co robiła. Odwróciła się zaskoczona i spojrzała na Cole'a. Podsunął sobie pod głowę zdrowe ramię i szczyrzył do niej zębami.

Wybuchnęli spontanicznym śmiechem.

-Nie usłyszę bajki na dobranoc? - spytał, na co Dorie zarumieniła się jak piwonია.

-Ojciec... - zaczęła się tłumaczyć, ale przerwała i roześmiała się.- Jaką bajkę na dobranoc pan sobie życzy? O rabusiach banków i pojedynkach w południe?

-Czy wystąpią tam moi kumple? Jeszcze bardziej ją to rozśmieszyło.

-Jeśli ma być o przestępcach, to pańscy przyjaciele na pewno tam wystąpią prawda?

Na wpół się nasrożył, na wpół uśmiechnął.

-A więc gdyby mnie wzięli do więzienia, szedłbym jak na rodzinne przyjęcie.

-Podejrzewam, że prędzej trafi pan na cmentarz niż do kościoła.

Miał to być żart, lecz się nie udał - było w nim zbyt wiele prawdy. Nie chcieli myśleć o tym, jak blisko Cole ocierał się o śmierć.

Lampa płonęła po jej stronie łóżka i gdy Dorie otrzeźwiała i uświadomiła sobie, że nie jest w domu i że ten mężczyzna to nie jej niepełnosprawny ojciec, udała się na spoczynek.

Nawet nie zerknąwszy na ciężkie torby, które Cole postawił na środku, odsunęła przykrycie, zdmuchnęła lampę i wsunęła się do łóżka, układając się tyłem do leżącego mężczyzny. Odezwała się dopiero po chwili:

-Czy pańscy rodzice byli dobrzy?

-Nie. - Zawahał się. - A pani? Czy lubiła pani swojego ojca-tyrana?

-Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Chyba tak. Matki nie miałam.

-Więc teraz cała pani rodzina to siostra?

-Tak. I mieszka po drugiej stronie kontynentu, za oceanem. - Chwilę milczała. - I ma męża i dwoje dzieci.

-Co znaczy, że jest pani sama. - Nie odpowiedziała. Nie oczekiwał tego. Pociąg toczył się z hukiem, lecz hałas był skorupą która oddzielała ich od świata. Cole pomyślał, że jest to niemal intymny moment - leżą w łóżku razem, choć nie dotykają się wzajemnie. Nigdy poprzednio nie spędził całej nocy z kobietą w łóżku. Jego zasadą było zrobić co trzeba i wynosić się w te pędy. Przekonał się, że po współżyciu z kobietą robi się ociężały i mógłby zostać łatwą zdobyczą dla byle łotrzyka, który zechciałby się popisać zabijając Cole'a Huntera. To było dla niego nowe przeżycie być z kobietą nie po to tylko, żeby ją mieć. Odwrócił się,

oparł głowę na rękę i spytał:

-Jest pani śpiąca? Bo jeśli tak, to...

Odwróciła się. Chociaż księżyc świecił tylko przez szparkę w zasłonie, to w jego blasku oczy Dorie były jasne i ożywione.

-Wcale nie jestem śpiąca. Chce pan porozmawiać? Oczywiście, to było śmieszne. Uważał się za człowieka czynu, nie gadułę. Och, kiedy było trzeba, potrafił mówić, ile wlezie. Często do załatwienia sporu używał słów zamiast broni, lecz nie przepadał za gadaniem dla samego gadania. Ale teraz był zbyt ożywiony, by zasnąć.

Może dlatego, że kobieta, której nie wolno mu było tknąć, leżała obok niego. Może dlatego, że dziś zrobił coś niewiarygodnego - ożenił się. A może po prostu zaczynał ją lubić. Bóg wie, czemu. Była superprzeciwieństwem jego ideału kobiety, ale wcale nie miał ochoty używać z nią w łóżku najszybciej jak się tylko dało, a potem zmiatać.

-Jak pani ma na imię? Wiem, że siostra mówi na panią „Dorie”, ale dziś w kościele pastor nazwał panią inaczej.

-Apollodoria. To greckie imię. Tak przynajmniej twierdził ojciec. Uważał, że to śmieszne imię, ale matka na łożu śmierci zażądała, by mi je nadać.

Położył się na łóżku z ramieniem pod głową.

-Apollodoria. Podoba mi się. Cieszę się, że pani ojciec zgodził się na nie.

-Jak mówiła kucharka, matka przysięgła, że będzie nawiedzać ojca po śmierci, jeśli mnie tak nie ochrzci. Nie był przesądny, ale nie lubił żadnego ryzyka.

Cole roześmiał się. Dorie potrafiła znaleźć zabawną stronę nawet w najokropniejszych sprawach.

-Proszę opowiedzieć mi o tej pani mieścinie. O tej, przez którą radziła mi pani nie przyjmować miasteczka w prezencie.

-Latham jest malutkie. Żyje w nim zaledwie kilkuset mieszkańców, ale tak się rozrasta, że ludzie w niedzielne popołudnie zajmują się zapewne nie tylko odpoczywaniem.

Cole znów się roześmiał i czekał na ciąg dalszy.

Cóż bardziej inspiruje człowieka niż aprobata? - zastanowiła się Dorie. Przez wszystkie lata z ojcem milczała. Nie cierpiał, jak to nazywał, „impertynenckich komentarzy”. Chciał tylko mieć ją blisko siebie i do ostatniego roku życia nie oczekiwał od niej niczego więcej. Miała siedzieć w zasięgu jego wzroku i milczeć.

Aby uciec przed niewiarygodną nudą takiego życia, zaczęła obserwować ludzi, starała się ich przejrzeć, a to, czego nie wiedziała, dopełniała wyobrazeniami.

Każdego dnia wyjeżdżała z ojcem powozem i siedziała idealnie cicho, gdy rozmawiał z lokatorami i odpowiadał „nie” na każdą prośbę. To, co zaobserwowała, zachowywała dla siebie.

Ale teraz był przy niej człowiek, który śmiał się zachwycony, gdy przekazywała mu swoje obserwacje.

- Latham to zaciszne miasteczko. Prawdę mówiąc mam z nim bardzo niewiele kłopotów. Jestem pewna że wyda się panu nudne. Czwartego lipca urządzamy piknik. Wszyscy chodzą do kościoła. Zeszłego roku największym wydarzeniem było porwanie przez wiatr kapelusza pani Sheren gdy wyszliśmy z kościoła. Przefrunął przez rzekę i wbił się na róg byka pana Lestera. Najśmieszniejsze było to że pan Lester przywiózł sobie tego byka aż z Montany i przechwalał się że to najgroźniejsze najbardziej niebezpieczne stworzenie w całym Teksasie. Może to i prawda ale wcale nie wyglądało groźnie w pięknym słomkowym kapeluszu ozdobionym wisienkami i liśćmi wistarii.

Cole milczał lecz nie przestawał uśmiechać się w ciemności. Był zabawiany i czuł się z tym dobrze. Miała dar opowiadania. Opisywała sklepiki i pensjonat pasażerów kolei.

W miarę jak słuchał uświadamiał sobie że ona sama nie występowała w żadnej z anegdotek. Wszystkie były relacjonowane z pozycji obserwatora. Wyglądało to tak jakby

siedziała za oknem i patrzyła, jak świat toczy się bez jej udziału. Nie narzekała, że spędzała życie w izolacji, z ojcem, który nie okazał córce miłości ani wsparcia, lecz Cole słyszał to, o czym nie mówiła.

Sam nie zdążył się odezwać.

Maszynista włączył hamulec i pociąg zaczął zwalniać bieg. Gdyby nie to, że leżeli w łóżku, mogliby upaść. Co za szkoda, pomyślał. Gdyby upadli, może wylądowałyby w jego ramionach. Miała wiele irytujących cech, ale równocześnie sprawiła, że obudził się w nim opiekun.

Przez kilka chwil słychać było pisk hamulców.

Pociąg sunął bezwładnie zatrzymując się niechętnie. Przy potężnym wstrząsie Cole instynktownie wyciągnął zdrową rękę i złapał Dorie za ramię, ratując ją przed wypadnięciem z łóżka. Jedna z toreb podróżnych przesunęła się groźąc uderzeniem Dorie w głowę i Cole cisnął bagaż na podłogę.

Pociąg zatrzymał się wreszcie i Cole pochylił się nad Dorie, jakby zamierzał ochroni ją przed strzałami i kulami.

-Nie masz nic przeciwko temu że pocałuję cię na dobranoc? – zapytał. Może kilka dni temu liczył sobie trzydzieści osiem lat, ale teraz miał ich ze dwanaście i zachowywał się tak, jakby zalecał się do dziewczynki pod jabłonką

-Chyba, chyba nie - szepnęła w odpowiedzi.

-Jasne – odparł. To aż śmieszne jak bardzo czuł się podniecony! Całował już wiele kobiet. Oczywiście żadna z nich nie była jego żoną więc może stąd to całe zdenerwowanie.

Fachowym kopnięciem pozbył się drugiej torby podróżnej i kiedy nie dzieliły ich żadne bariery, schylił się powoli i przycisnął usta do jej ust. Łgał w żywe oczy, mówiąc, że poprzedni pocałunek nie był niczym nadzwyczajnym. Nie przestawał o nim myśleć od chwili, w której go zakosztował. Prawdę mówiąc, myślał tylko o tym.

W sekundzie, w której ich usta się spotkały, wiedział, że wrażenia z pierwszego pocałunku nie były mylne. Ogarnęła go silna, przemożna fala emocji, jakby nigdy w życiu nie całował innej kobiety, jakby nie znał takiego dotknięcia.

Odsunął się od Dorie i ujrzał w jej oczach zdumienie. Przez chwilę nie wiedział, o czym myśli, czy jego łagodny, miękki pocałunek sprawia jej przyjemność, lecz w tym momencie wyciągnęła dłoń i pogładziła go po skroni. Żadne dotknięcie nie rozplómiło go równie mocno.

-Ach, Dorie - szepnął i opadł na swoją połowę łóżka, przytulając żonę do siebie. Przeklinał to, że nie może objąć jej dwiema rękami, ale mocno, jak się tylko dało, przyciskał ją jedną ręką. Gdy Dorie znalazła się na nim, nie potrzebował jej już mocno trzymać. Odwróciła ku niemu twarz i zaczęła go całować coraz mocniej. Jaka ona pojętna, pomyślał. Jak szybko się uczy.

Właśnie zamierzał pokazać jej, czego jeszcze potrafi dokonać w czasie pocałunku, gdy pocisk z głośnym trzaskiem rozbił okno i uderzył w poślanie Dorie. Gdyby trafił chwilę wcześniej, przeszłyby jej serce.

## 6

- Hunter! Jesteś tam?

Natychmiast po strzale Cole objął Dorie i stoczył się z łóżka, w momencie uderzenia o podłogę osłaniając ją własnym ciałem. Złapał rewolwer leżący na małym stoliku. Nie wypuszczając Dorie z objęć, szepnął:

- Nic ci się nie stało?

Pokręciła głową i z zadowoleniem dostrzegł, że w jej oczach nie ma hysterii ani, co jeszcze lepsze, żadnych pytań. Spoglądała na niego tak jakby oczekiwała rozkazów i była gotowa usłuchać każdego. Przemknęło mu przez głowę, że chyba ją kocha. Jaki mężczyzna

nie kochałby kobiety, która potrafi przyjmować rozkazy?

- Nie podnoś się. Zorientuję się, kto to jest - rzekł.

Usłuchała go i skurczyła się przy ścianie wagonu. Cole ostrożnie podpełznął do okna w głębi i zerknął na zewnątrz. Była pełnia. W świetle księżycy z łatwością dostrzegł czterech konnych. Pierwszy dosiadał wielkiego gniadosza. Z postawy jeźdźcy biła ogromna nonszalancja, jakby nie bał się nikogo i niczego. Nie był to mężczyzna, którego łatwo byłoby z kimś pomylić lub zapomnieć. Cole usiadł na podłodze i kłął pod nosem, w wielce kwiecisty sposób dając wyraz swym uczuciom.

- W życiu nie słyszałam takich słów - powiedziała cicho Dorie. Cole'a tak to zaskoczyło, że bezwiednie wycelował w nią rewolwer i odciągnął kurek.

Upřednio wśliznęła się pod łóżko i gdy teraz patrzyła na Cole'a, widać było tylko jej twarzyczkę, wynurzającą się spod narzuty. Na trzask kurka twarzyczka zniknęła. Kiedy Dorie zobaczyła, że nie grozi jej postrzelenie, wychynęła znowu.

- Kto to jest? - szepnęła.

- Winotka Ford. - Cole oparł głowę o ścianę. - Słyszałem, że nie żyje. Gdyby nie to, nigdy nie leżałbym tak spokojnie w pociągu.

Wzbierał w nim coraz mocniejszy gniew na samego siebie.

- Ależ ze mnie głupiec! Jeden z tych zabitych w banku był jego młodszym bratem. Należało się spodziewać, że Ford zacznie się za mną rozglądać, ale, jak mówię, myślałem, że gryzie ziemię. Połowa Teksasu życzy mu takiego losu.

Huk wystrzałów przerwał nocną ciszę.

- Wyłaż, Hunter, i gotuj się na spotkanie ze swoim Stwórcą! Chcę widzieć, jak zdychasz.

- Co zrobimy? - spytała Dorie, patrząc na Cole'a, jakby była przekonana, że potrafi wyprowadzić ich z najgorszych opresji.

Znow widzi we mnie bohatera, pomyślał Cole. Przynajmniej umrę wiedząc, że ktoś uważał mnie nie tylko za byle rewolwerowca.

- My nic nie zrobimy - rzekł. - Ty zostaniesz tu, a ja wyjdę i będę walczył z Fordem.

- Hunter! - dobiegł wrzask z zewnątrz.

- Dobra, dobra! - krzyknął Cole w kierunku okna. - Nie denerwuj się tak! Muszę się ubrać. Człowiek ma prawo dokonać żywota w butach na nogach. - Wstał i rzekł do Dorie: - Pomóż mi się ubrać.

Zręcznym, szybkim ruchem wydostała się spod łóżka, zebrała ubranie i zaczęła pomagać mu je włożyć.

- Nie chcę być wścibska, ale jak wyciągnie pan broń, jeśli nie potrafi pan zapiąć guzików od koszuli?

- Dam sobie radę lewą ręką

- Ach, proszę. Oburęczny. Cole puścił to mimo uszu.

- Daj mi koszulę.

Dorie odeszła kilka kroków złapała szczotkę do włosów odwróciła się nagle i niespodziewanie rzuciła w niego. Cole usiłował złapać szczotkę lewą ręką ale omsknęła mu się i upadła głośno na podłogę.

- We wszystkim jest pan tak sprawny lewą ręką?

- Zamknij się i pomóż mi włożyć buty - rozkazał. Gdy zaczęła to robić odezwał się cichym spokojnym głosem. - Nie mam pojęcia czy on wie o tobie czy nie. Wątpię byś go interesowała. Ma zadrę do mnie nie do ciebie.

Kłęcząc wciskając mu buty na nogi i nagle ogarnął go głęboki smutek. Jeszcze niedawno był jakże blisko czegoś czego człowiek jego pokroju w ogóle nie mógł się spodziewać. Nigdy nie myślał że będzie miał żonę a może kilkoro dzieciaków ale może właśnie dlatego zgodził się ożenić z tą kobietką tak świeżą i czystą. Miał dosyć oleju w

głowie by wiedzieć że trafiła mu się życiowa szansa.

Jaka inna kobieta nie tknięta przez żadnego mężczyznę stanęłaby przed nim i zaproponowała życie różne od tego jakie wiódł do tej pory?

Ale teraz tę szansę szlag trafił.

Nie wątpił, że zostało mu zaledwie kilka chwil życia.

Winotka Ford, syn białego ojca i matki Indianki z plemienia Czejenów, był wyjątkowym sukinsynem. Nigdy nie przepadał za swoim braciszkiem zastrzelonym przez Cole'a, ale nie potrzebował żadnego powodu by wywołać kogoś na dwór w środku nocy i zabić. Zemsta była taką samą dobrą wymówką jak każda inna. Ford nie lubił uczciwej walki. Nie zamierzał stawać twarzą w twarz z przeciwnikiem na środku ulicy, gdzie rozstrzygałaby szybkość ręki. Celował w napadach na dylizansy i mordował wszystkich podróżnych dla samej przyjemności zabijania.

Teraz Cole mógł marzyć tylko o tym żeby udało mu się uchronić Dorie przed nieszczęściem. Pochylił się nad nią ujął za podbródek i spojrzał prosto w oczy.

- Zaraz, jak tylko minę te drzwi, masz wyjść drugą stroną i mieszać się z pasażerami. Rozumiesz? Bez względu na to, co usłyszysz z zewnątrz, siedź w wagonie i staraj się, by Ford nie dowiedział się, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Cole nagle poczuł taką gorączkę, jakby żółć napłynęła mu do ust. Jeśli zginie, kto powstrzyma bandytę przed wdarciem się do pociągu i rabunkiem? Nawet gdy się nie dowie, że Cole'a i Dorie coś łączyło, dojrzy jej młodość i bezbronność. I urodę, pomyślał. Gdy podnosiła głowę, słyszał szelest kołnierzyka koszuli nocnej, widział zwisający na plecach gruby warkocz, spojrzenie, jakim darzyła stojącego przed nią mężczyznę. Widział, co niebawem utraci.

Szybko i z ogromnym zapałem pocałował ją a gdy się odsunął, niemal wirowało mu w głowie.

-Zobaczmy się później, dobra? - zapytał, jakby miał wrócić, ale dodał: - Powiedz siostrze, żeby dbała o ciebie i niech wie, że zasługujesz na kogoś lepszego niż ten pan Pieprzniczka.

Chciał, by się do niego uśmiechnęła, ale nie zrobiła tego.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i był pewien, że zostając tu dłużej, utonie w nich i zaraz potem na pewno umrze. Przez wszystkie lata życia wymykał się śmierci wyłącznie dlatego, że nie dbał o życie.

Ale teraz chciał żyć. Bardzo chciał.

-Hunter, daję ci dziesięć sekund i włączę!

-Uważaj na siebie, Apollodorio! - szepnął Cole, po czym wyprostował się i podszedł do tylnych drzwi wagonu.

-Dość się namarudziłeś - rzekł Ford gdy Cole stanął na platformie wagonu.

Stał bez ruchu czekaj aż napastnik pierwszy sięgnie po broń. Miał jedną szansę upaść na deski platformy przy pierwszym ruchu któregośkolwiek z bandytów i zacząć strzelać. W ten sposób być może załatwi trzech zanim zostanie zastrzelony. W każdym razie będzie mniej o trzech takich którzy mogliby skrzywdzić Dorie. Najpierw zajmie się Fordem i wtedy może reszta bandytów rzuci się do ucieczki a może ci tchórze z pociągu którzy gapią się ze wszystkich okien przyjdą z pomocą napadniętemu.

## 7

Przez moment serce podeszło Cole'owi do gardła, bo czuł, że ma przed sobą ostatnie chwile życia i nie wiedział, co się dzieje. Dorie wyleciała z pociągu jak szalona. Jej drobne ciało było prawie niewidoczne w burzy koronek ogromnej nocnej koszuli. Rozpuściła włosy i pozwoliła im rozsypać się na wszystkie strony! Myślał, że są gładkie, i dopiero teraz pojął, dlaczego tak surowo je zaczesywała. Ułożenie ich było równie łatwe jak ujarzwienie dzikiego mustanga prosto z prerii. Rozłożyły się wokół jej głowy jak miodowa chmura. Niech to

wszyscy diabli, pomyślał.

Wygląda jak anioł. Nigdy żadna istota ludzka nie budziła w nim takiej opiekuńczości jak ta kobieta. Kiedy ją ujrzał, wiedział, że wydarzyło się coś strasznego. Czy jeden z rzeźmieszków Forda wsiadł już do pociągu? Czy ktoś rzucił się na nią? Chciał ruszyć za Dorie, chciał ją przywołać, lecz nie pozwoliła mu wypowiedzieć słowa, tylko krzyknęła rozpaczliwie do Forda:

-Nie możesz go zabić, zanim nie odda mi złota, które ukradł mojej siostrze i mnie! Tylko on wie, gdzie jest ukryte.

-Dorie! - rzucił ostro Cole i usiłował ją złapać, nie odrywając przy tym oczu od przypatrujących mu się czterech konnych.

Odsunęła się od niego z przesadną zgrozą jakby jego dotknięcie mogło spowodować na nią jakąś zaraźliwą chorobę. Na ten gest i wyraz twarzy Dorie Cole nie mógł zapanować nad sobą. Zmarszczył brwi.

-Nie zbliżaj się do mnie! Wolę umrzeć, niż być przez ciebie dotknięta! - Popatrzyła na mężczyznę dosiadającego wielkiego gniasosa. - Och, panie Ford, nie ma pan pojęcia, jakie to straszne. On mnie wykorzystuje!!!

Cała uwaga Cole'a, czterech oprychów oraz tchórzliwych pasażerów wyglądających z okien i ukrytych za stalowymi ścianami pociągu, była skupiona na Dorie.

Gdy zaczęła schodzić z wagonu, Cole rzucił się, by złapać ją za koszulę, ale Dorie umknęła mu.

-Panie Ford, wygląda pan na dżentelmena który pomoże kobiecie - rzekła.

Kości policzkowe Winotki Forda sterczały tak że można było nimi krajać wołowinę na policzku miał szramę długości pięciu cali, włosy zwisały mu do ramion i nie mył ich od ostatniej przeprawy przez rzekę. Chłód który miał w oczach porażał grzechotniki. Wcale nie wyglądał na kogoś kto może lub jest gotów pomagać innym.

-Ten człowiek, ten straszny człowiek zabił pańskiego brata, aby móc mnie porwać. Wiedział, że jestem bogata, bogatsza niż kiedykolwiek mogłoby mu się przyśnić. Wiedział, że mój ojciec ma miliony w złotych sztabkach ukrytych w domu. Wiedział o tym i wykorzystał tę informację przeciwko mnie. Uważałam go za najlepszego przyjaciela. Po tym, jak wyratował mnie z napadu, uważałam go za uczciwą osobę. I... i wyszłam za niego.

Ford spojrzał na Cole'a nadal stojącego na platformie, nadal gotowego sięgnąć po rewolwer. Gdyby Cole spróbował odciągnąć Dorie od napastników, straciłby przewagę pozycji, a bezużyteczną prawą ręką nie usunąłby Dorie spod latających kul. Był przywiązany do miejsca.

-Wżeniłeś się w bogatą rodzinę, co Hunter? - zapytał Ford pogardliwym, obraźliwym głosem. Lubiał drwić z ludzi, zanim ich zabił.

Dorie wzięła odpowiedź na siebie.

-Ożenił się ze mną a potem zmusił siostrę, by dała mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów w złocie. Ukrył je, nie wiem gdzie. Niczego więcej nie wiem. Tak pcha się do mnie z łapami, że nie mam nawet czasu pomyśleć.

-Dorie! - zawołał Cole. Ze zgrozą poczuł, że jest urażony. Nie tknął jej, okazywał wyłącznie szacunek. Po tym, co teraz usłyszał, nie zdoła spokojnie zamknąć oczu. Czy te kilka pocałunków wywołało w niej takie obrzydzenie? Dorie nie zwracała na niego uwagi.

-Każ mu powiedzieć, gdzie schował to złoto, a potem możesz go zabić. A może to ja pociągnę za spust? Po tym, jak się ze mną obszedł, chcę wiedzieć, jak umiera.

Cole w sekundzie pojął zachowanie Dorie i poczuł do siebie niesmak za to, że nie przejrzał go wcześniej. Był tak oślepiiony jej słowami o ożenku, że zupełnie nie zwrócił uwagi na informacje o złocie.

-Nie ma żadnego złota - powiedział spokojnie do Forda. - Nie ukryłem nigdzie żadnego złota.

-Kłamca! - wrzasnęła Dorie i dla podkreślenia tego słowa splunęła.

Cole z bólem musiał przyznać, że to zachowanie wstrząsnęło nim. Gdzie się nauczyła tak wulgarnych manier?

Ford zaczął się śmiać.

Rzadko to robił, więc był to wstrętny odgłos. Przypominał skrzywienie zardzewiałych kół pociągu, który stał kilka lat na boczniczy i wreszcie ruszył nie nasmarowany.

-Komu mam wierzyć, tobie czy tej małej damie?

-Nie wierz mu. On umie tylko kłamać! - zawyła Dorie.- Okłamał mnie i siostrę. Oszukuje wszystkich. Został postrzelony i nie może już zarabiać zabijaniem ludzi, więc słodkimi słówkami namówił mnie do małżeństwa, a potem zmusił siostrę, by wręczyła mu całe złoto, które miała. Wiózł mnie do Latham, żeby położyć łapę na reszcie. Pewnie chce mnie zabić i spalić dom tatusia. Pewnie...

-Zamknij się! - krzyknął Cole. Spowodowało to, że natychmiast zamilkła. - Ona usiłuje uratować mi życie - wyjaśnił Fordowi. - Nie ma żadnego złota. Ona nigdzie nie ma złota. Jest biedna jak osadnik bez prawa własności. Masz zadrę do mnie, nie do niej. Dorie, przejdź na koniec pociągu i nie mieszaj się do tego.

-Ha! - rzekła. - Prędzej umrę, niż cię jeszcze raz usłucham. -Zwróciła się do Forda. - Nie potrafisz sobie wyobrazić tych okropnych czynów, do których mnie zmuszał. Wstrętnych czynów, o których żadna dama nie powinna wiedzieć. - Podbiegła do Forda, złapała za strzemień i uniosła prosiące spojrzenie ku bandycie.

-Nie jestem biedna. Gdybym była biedna, czy podróżowałabym prywatnym wagonem? Nie obchodzi mnie, czy ten człowiek będzie żył. Nienawidzę go. Zabrał mi wiele i chcę to odzyskać. Niech powie, gdzie ukrył złoto. Potem możesz go zabić. On mnie nie obchodzi. Nic a nic.

Cole widział, że bandzior zaczyna jej słuchać.

„Złoto” to jedyne słowo, jakie docierało do Forda i jemu podobnych, a może poza tym zwrócił uwagę na coś brudnego i złowieszczonego, do czego wedle Dorie zmuszał ją Cole.

Sam Cole z trudem powściągał gniew.

Czyżby Dorie oszukiwała go od początku? Czyżby była kimś innym, niż się wydawała? Skąd miała pojęcie o tych „obrzydliwych czynach”, o których żadna dama nie powinna wiedzieć? Kto jej o czymś takim powiedział?

-Watkins! - warknął Ford. - Daj Hunterowi i tej małej... damie-wymówił szyderczo to słowo - swojego konia. Wrócimy do obozu i rozważymy sprawę.

Przez chwilę Cole zastanawiał się, czy nie zacząć strzelać.

Może zdołałby położyć trupem kilku bandytów? Ale wiedział, że strzelanina skończy się jego śmiercią a kto wtedy zaopiekuje się Dorie? Właśnie przed chwilą wyznała tym kłamliwym śmierzdelom że jest bogata i sprawiła że zaczęli patrzeć na nią jak na kobietę. Wszyscy będą chcieli wiedzieć co takiego brudnego Cole z nią wyczyniał; zechcą poznać szczegóły i sami zakosztować tych przeżyć.

-Ona kłamie - rzekł, lecz rozumiał, że jego słowa nie budzą żadnego odzewu. Co mogło współzawodniczyć z takimi słowami jak „złoto” i „kobieta”?

-Później to rozważymy - odparł Ford. - Teraz wsiadaj na tego konia.

- Daj jej się ubrać - rzekł Cole, grając na czas.

Może piorun z nieba uderzy w Forda i jego ludzi? Może kawaleria Stanów Zjednoczonych przybędzie na ratunek? Może ci trzęsący ze strachu portkami pasażerowie udzielą im pomocy? A może Winotka Ford wyzna żal za grzechy? No, na pewno.

-Nie chcę z nim jechać - rzekła Dorie, cofając się w kierunku konia Forda i obronnym gestem krzyżując ramiona, jakby chciała uniknąć uderzeń Cole'a.

-Niech jedzie ze mną - powiedział jeden z bandytów, uśmiechając się do niej obleśnie.

- Nie, dać ją Hunterowi, skoro tak za nim przepada – rozkazał Ford. Nawet w blasku

księżycy można było odczytać wyraz jego oczu. Cieszył się na to, że zobaczy Dorie siedzącą tak blisko znienawidzonego mężczyzny. Rozpacz każdego sprawiała mu wielką rozkosz. Gdy on by powodem tej rozpacz, rozkosz łączyła się z poczuciem władzy i rosła w dwójnasób.

- Złaz, zanim odstrzelę ci po kawałku ręce i nogi - powiedział do Cole'a. - I żadnego przebierania się. Już wyruszamy.

Cole nigdy nie wpakował się w taki kozi róg, ale też nigdy nie był odpowiedzialny za drugiego człowieka. Przez całe życie troszczył się tylko o siebie. Gdyby zginął, jego śmierć nie miałaby żadnego znaczenia dla nikogo; nikt nie zauważyłby, że ziemia przestała nosić Colemana Huntera. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Gdyby go dziś zabito, coś strasznego przydarzyłoby się drugiemu człowiekowi, za którego zaczynał czuć się odpowiedzialny. Co prawda, nie wzięli ślubu z uczciwych względów, ale przysięgł, że zostanie z nią i będzie się nią opiekował, póki śmierć ich nie rozłączy.

Oczywiście śmierć nie była tak daleko, bo za kilka chwil Ford skręci kark Dorie.

Kwadrańs później dosiadał konia. Dorie kulila się przed nim na siodle. Jej wielka koszula nocna trzepotała o jego buty, na nogach miała nocne pantofle. Opierała się o niego plecami. Obejmował ją, trzymając wodze. Przez dziesięć minut jazdy mówił, co myśli o jej głupocie.

- Nie powinnaś była wychylać nosa na zewnątrz. Gdybyś mnie usłuchała...

- Pewnie byłby pan teraz martwy - odparła ziewając i tuląc się do niego.

Miała umiejętność wywlekania z niego najgorszych cech, toteż nie potrafił się powstrzymać, by nie powiedzieć:

- Lepiej nie przysuwaj się tak do mnie, bo jeszcze zrobię ci coś obrzydliwego.

- Co na przykład? - zapytała jak uczone, badający wzorce zachowań ludów innej kultury.

- Nie mam pojęcia. To ty głosisz na prawo i lewo, że ci się narzucam. Niech cię diabli porwą Dorie! Wpakowałaś nas w prawdziwą kabałę. Oboje wiemy, że nie ma żadnego złota. Dlaczego nie pozwoliłaś mi załatwić tego rewolwerem?

- Bo nie chciałam żeby pan zginął - odparła zwyczajnie.

Na chwilę dał się ugłaskać. Oczywiście, był zadowolony, że nie zginął lecz równocześnie całym sercem pragnął znaleźć się z nią w jakimś bezpiecznym miejscu a nie na łasce wyzbytych skrupułów oprychów.

- Czemu powiedziałaś Fordowi i każdemu kto miał uszy do słuchania to wszystko że ja, że ja...

- Że nie daje mi pan spokoju?

Duma zabraniała mu prosić o odpowiedź na to pytanie, ale w tej chwili czuł się przede wszystkim skrzywdzony i zbity z tropu.

- Tak - szepnął

- Ojciec nigdy nie pozwalał mi na to, na co miałam ochotę. Rowena mówiła że potrafił być bardzo przekorny, ale ja myślę, że był po prostu wredny. Jeśli miałam ochotę czytać książkę, kazał mi jechać ze sobą powozem. Jeśli powiedziałam, że jest piękny dzień i chciałabym wyjść na dwór, zostawaliśmy w domu i to w jednym pokoju. Pomyślałam sobie, że pański bandyta może być wredny jak mój ojciec. Gdybym chciała zostać z panem, już by się postarał, aby nas rozdzielić, więc robiłam to, czego nauczyłam się przy ojcu. Powiedziałam, że chcę czegoś przeciwnego: być z dala od pana. - Znowu przytuliła się do jego piersi. - Wygląda na to, że poskutkowało.

Cole przez całe życie uważał kobiety za płęć słabszą. Uważał, że potrzebują opieki. Ale ta kobieta sprawiła, iż musiał przemyśleć swoje stanowisko. Nie zastanawiając się, co robi, pochylił głowę i kilkakrotnie pocałował ją w kark.

- Przestań! - wrzasnęła. - Weź ode mnie te śliskie łapy! Nienawidzę cię! Nie dotykaj mnie!



Przed nimi rozległ się rechot Winotki. Zapewne przez ostatnie dziesięć lat nie uśmieał się tyle co dziś w nocy.

- Nie musisz z tym przesadzać. - Urażony Cole nie potrafił się powstrzymać od tej uwagi

- Właśnie że muszę bo inaczej on nie będzie miał z tego żadnej przyjemności

Wolał nie myśleć, że kiedykolwiek znała kogoś, kto chociażby w najmniejszej mierze przypominał Winotkę Forda. Może sprawił to ten instynkt opiekuńczy do którego Cole był tak nienawykły, ale wolałby by miała pobłażliwego ojca który obsypywał córkę ślicznymi sukienkami i lizakami w niedzielne popołudnia. Lecz zaczynał rozumieć że jej dostatnie dzieciństwo było tak samotne jak jego ubogie lata w domu rodziców.

Otrząsnął się odpędził od siebie te melodramatyczne rozważania. Głównym problemem było jak wyratować ich oboje z kabały w którą wpakowała ich Dorie. Gdyby był sam spróbowałby rewolwerem otworzyć sobie drogę na wolność, mimo że prawą rękę miał na temblaku, lecz musiał opiekować się Dorie.

Choć niechętnie, ale wspominał to, co powiedziała Fordowi: że on, Cole, ma pięćdziesiąt patyków i tylko on wie, gdzie są ukryte. Oznacza to, że Ford robi wszystko poza zamordowaniem Cole'a, byle odkryć, gdzie schował złoto. Poza tym kolejny skarb ponoć spoczywa w domu w Latham.

- Czy w domu twojego ojca jest ukryte jakieś złoto?

- Skądże - odparła sennie. - A o co chodzi?

Objął ją silniej. Ten ostrzegawczy gest przypomniał, co powiedziała tamtemu okropnemu, brudnemu człowiekowi.

- Ach, o to. Nie chciałam żeby mnie zabił, więc powiedziałam mu, że wiem, gdzie są ukryte pieniądze. Ale nie ma żadnych ukrytych pieniędzy. Ojciec wszystko złożył na fundusz opiekuńczy w banku w Filadelfii. Każdego miesiąca dostaję stamtąd tyle co kot napłakał.

- Słuchaj - rzekł Cole, przytykając usta do jej uszu. - Musisz mi pomóc w wypłataniu nas z tej kabały. Powiem Fordowi, że masz pieniądze i zależy mi na nich. Powiem że tylko dlatego zależy mi na tobie.

- A czy tak jest?

- Co tak jest ?

Wiedziała że zrozumiał jej pytanie więc nie zwracała sobie głowy wyjaśnieniami. Wyraźnie nie chciał powiedzieć tego co chciała usłyszeć.

Cole bowiem nie chciał powiedzieć niczego co mogłoby spowodować że zaczęłaby myśleć o miłości. Zakochane kobiety popełniają głupstwa. To prawda były wtedy ślepo lojalne wobec mężczyzny choćby był wart tyle co kawałek końskiego łajna ale często narażały własne życie.

- Chcę te pięć patyków które mi obiecałaś i to wszystko. Po tym mogę nigdy więcej nie oglądać na oczy stanu Teksas.

Nie potrafił tak dobrze kłamać by oświadczyć, że nie chce więcej oglądać na oczy Dorie ale dawał to delikatnie do zrozumienia. Jeśli będzie myślała że nie zależy mu na niej, będzie bardziej posłuszna gdy nadejdzie właściwa chwila.

- Co mam robić? - zapytała tępo.

Nie dopatrywał się niczego w tonie jej głosu. Nie mógł sobie na to pozwolić.

- Postaram się, żeby Ford zdał sobie sprawę, że nie zobaczy złota bez mojej pomocy, a ja nie znajdę go bez ciebie. Powiem mu, że twój wstręt do mnie jest udawany - rzekł to z dumą w głosie. - Powiem że tak cię omotałem słodkimi słówkami, że mi zaufałaś i zdradzisz mi, jak zdobyć pieniądze. Tylko twój mąż może dostać pieniądze i właśnie dlatego ożeniłem się z tobą. Musisz podpisać pewne dokumenty.

Gdy nic na to nie odpowiedziała, pochylił się nad nią.

- Zasnęłaś?

-Nie. To znaczy, że zamierza pan, no, umizgać się do mnie? Stale całować po rękach i tak dalej? Chce pan przymilnością skłonić mnie do podpisania tych dokumentów, mam rację? Nie wybiegał tak daleko myślą w przód, ale prawdopodobnie to był dobry pomysł.

-Tak. Masz coś przeciwko temu?

-Dlaczego po prostu nie przystawi mi pan rewolweru do głowy i nie zagrozi, że mnie zastrzeli, jeśli nie podpiszę?

Ta mała dama miała główkę nie od parady.

-Może pan porwać moją siostrę i trzymać, dopóki nie podpiszę dokumentów.

Uśmiechnął się w ciemności. Umiała wziąć mężczyznę do galopu.

- Twoja siostra wraca do Anglii pamiętasz? - Westchnął. - Ford raczej nie jest taki sprytny jak ty. Powiem mu tyle, że ja, twój mąż muszę cię namówić do przepisania na mnie tych pieniędzy. Musimy być przy tym razem żeby ludzie Forda nie mogli przywiązać mnie do słupa i stłuc do nieprzytomności. Czy to cię zadawała?

- Czy to zadowoli pańskiego kumpla oprycha? Na te słowa Cole mało nie wybuchnął głośnym śmiechem lecz zamiast tego wtulił twarz w jej kark.

- Jak myślisz? Zdołasz udawać, że mnie lubisz?

-Czy już nie udowodniłam, że jestem wielką aktorką? - zapytała. Cole wyprostował się. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że w tym co powiedziała, było coś okropnego pod jego adresem.

-Oprzyj się o mnie i pośpij trochę. Niech ten twój szelmowski rozumek ma trochę odpoczynku. Pewnie przed świtem zatrzymamy się na kilka godzin ale spróbuj wcześniej zasnąć.

Przytuliła się do niego, lecz nie zasnęła.

Czuła mocny tors dotykający jej pleców, obejmujące ją męskie ramię, drugie przyciśnięte do jej boku, dłoń spoczywająca na jej żebrach. Jego podbródek był blisko jej czoła i czuła oddech Cole'a w zimnym nocnym powietrzu. O drobne pośladki Dori tarły jego mocarne uda, stwardniałe od lat przebytych w siodle, muskularne od układania rozhukanych rumaków.

Powinna być przerażona tym, co się działo.

Powinna być przygnębiona i nawet trząść się ze strachu. Ale... prawdę mówiąc, było jej dość obojętne, co przyniesie jutro. Obchodziła ją tylko chwila obecna. Ostatnie kilka dni to był najlepszy okres w jej życiu. Wszystko do tej pory podporządkowywała logice. Planowała wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Analizowała ojca, jakby był podręcznikiem z przedmiotu, który należało zdać, i nauczyła się, jak powinna postępować. Poznała jego rozkład dnia, jego filozofię życia - „bierz, ile się da” - i jego zwyczaje.

Dzięki logice trafiła na Cole'a Huntera. Wybrała go ze względu na to, co o nim usłyszała i przeczytała, a zwłaszcza ze względu na to, że był idealnym mężczyzną do takiej roboty, jaką należało wykonać.

Ale Dorie zauważyła, że jeśli postępowanie ojca było przewidywalne, nie dało się tego rzec o innych ludziach. Nic, co zrobił Cole Hunter, nie zgadzało się z przewidywaniami Dorie. Gdy przedstawiła mu propozycję małżeństwa, wpadł w złość, ale tego się spodziewała - zawsze wprawiała mężczyzn w złość.

Nie oczekiwała natomiast, że w miarę upływu czasu Cole złagodnieje.

I zaczęła lubić tę łagodność. Lubiła to, jak czasem na nią patrzył. Co dziwne, wyglądało na to, że najbardziej podobało mu się to, co najbardziej wprawiało w złość ojca: jej impertynenckie uwagi. Ojciec nie cierpiał, gdy Dorie powiedziała lub zrobiła coś sprytnego, coś, na co sam nie wpadł. Ojcu potrzebna była wiara, że wszystkie kobiety są głupie - wtedy każdy podły, wstrętny uczynek zwrócony przeciwko którejkolwiek z córek stawał się usprawiedliwiony.

Zamknęła oczy i przytuliła się mocno do Cole'a.

Wydało się jej, że ten mężczyzna wchłania ją w siebie, chroni, zabezpiecza przed

wszelkim złem.

## 8

- Daj mi ją.

Budziła się powoli, świadoma, iż koń się zatrzymał, a Cole szturcha ją, by się wyprostowała. Po jej lewej stronie stał jeden z tych okropnych mężczyzn, którzy przybyli wraz ze zbirem, usiłującym zamordować jej męża, i chciwie wyciągał ku niej rękę. Ponieważ nie otrząsnęła się jeszcze ze snu, nie zdążyła przypomnieć sobie bajeczki, którą opowiedziała tym ludziom; chwilowo zapomniała, że ponoć nienawidzi Cole'a Huntera. Zareagowała instynktownie na widok tego koszmarnego mężczyzny, wyciągającego po nią rękę; odwróciła się do Cole'a, zarzuciła mu rękę na szyję i wtuliła się w niego.

Winotka Ford nie był specjalnie bystry, ale dość sprytny, by rozpoznać problem, gdy się pojawił. Bandyta nie lubił, gdy robiono z niego durnia. Oparł się o łęk siodła i wbił oczy w Cole'a. Zaśniły w blasku księżyca.

- Co się tu dzieje? - spytał chrapliwym, złowieszczym głosem. Cole zachował się tak, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego.

- Miałem kilka godzin na pogadanie z nią. - Gdy Ford nadal nie przestawał mu się groźnie przypatrywać, Cole wzruszył ramionami.

- Może tobie niełatwo jest zawrócić w głowie kobiecie, ale daj mi trzy godziny sam na sam z babą a namówię ją do wszystkiego. - Z tymi słowami zsiadł z konia i podał Dorie zdrową rękę, pomagając jej znaleźć się na ziemi.

Trzeba było całej minuty, by Ford i jego ludzie pojęli, co Cole powiedział. Cóż im pozostawało? Musieli przyjąć jego słowa za dobrą monetę. Jaki mężczyzna przyzna, że nie potrafi namówić kobiety do wszystkiego? Ci mężczyźni żądali i grozili szantażowali i rozkazywali, ale żaden nigdy nawet nie próbował posłużyć się czułymi słówkami. Nigdy nie powiedzieli niczego takiego żeby kobieta z własnej woli objęła ich za szyję i przylgnęła do nich całym ciałem.

Cole miał ochotę wziąć Dorie na rękę i unieść od tych facetów wytrzeszczających podejrzliwie oczy, ale nie mógł. Brakowało mu władzy, jaką dawał rewolwer wiszący na biodrze brakowało mu siły, jaką dawała broń, i jakiej mógł użyć do ochrania Dorie. Teraz jedyną bronią na której mógł polegać, był jego wygląd, rozgłos, jakim się cieszył, i spojrzenie, pod którym inni zamierali.

Do świtu pozostało zaledwie kilka godzin i Ford uznał że konie potrzebują odpoczynku, więc wszyscy mają przespać się jakiś czas. Usiłując zyskać trochę niezależności Cole położył siodło najdalej od obozowiska, na ile tylko mógł się odważyć. Nie chciał, by pomyślano, że jest tak głupi, iż zamierza uciec, gdy reszta zaśnie. Oczywiście, gdyby nie miał na głowie Dorie, spróbowałby umknąć, ale nie zrobiłby niczego, co mogłoby zagrozić jej życiu.

Jeden z bandytów rozpalił ognisko, zagotował na nim kawę i usmażył trochę bekonu. Dorie na parę chwil oddaliła się między drzewa, a gdy wróciła, Cole podał jej kubek dymiącej kawy, tak gorzkiej, że zaczęła kaszleć i pluć.

- Wypij to. Ogrzeje cię - powiedział cicho. Jego wielkie ciało osłaniało ją przed resztą mężczyzn, którzy rozsiedli się wokół ogniska.

Jak do tej pory Ford i jego ludzie nie mieli za dużo czasu na rozważenie tego, co się stało, ale teraz nadarzała im się ku temu sposobność. Ford planował zabicie Cole'a Huntera, osławionego rewolwerowca, wiedząc, że nigdy nie będzie za to ścigany. Wystarczyło oświadczyć, że była to uczciwa walka, przedstawić kilku świadków i zabójca mógł liczyć na to, że będzie wolny. Znając przeszłość Cole'a ludzie będą przekonani, że mogła to być wyłącznie walka, mniejsza z tym - uczciwa czy nie.

Lecz Ford, zamiast zamordować człowieka, wziął dwójkę zakładników. Nawet jeśli przyjmiemy, że Cole pierwszy porwał Dorie, był jej mężonkiem. Gdyby spotkało ją coś złego,

Fordowi groziłby strychezek. Więc teraz mógł tylko wzdychać, by okazała się warta tych wszystkich zachodów, na jakie go narażała.

-Wypij kawę i zjedz to - rzekł Cole, podając jej kawałek twardego bekonu.

Dorie posłusznie żuła bekon i piła kawę. Czowała głód, lecz jedzenie smakowało jak stary pantofel, a płyn smakował jak nalany z zardzewiałej puszki. Jednakże wszystko to było ciepłe i Cole chciał, by jadła, więc jadła.

Cole spoglądał na nią stojącą w blasku księżyca, ubraną w koszulę nocną która kiedyś były śnieżnobiała, ale podarła się i ubrudziła, na plamę brudu na jej policzku, i miał przyплыw wyrzutów sumienia. Sam ją w to wpakował. Gdyby go nie poznała, byłaby teraz bezpieczna i śmierć nie zaglądałaby jej w oczy. Spoglądając na Dorie poprzysiągł sobie, że wydobędzie ją z tego nawet za cenę własnego życia.

Ford wyznaczył wartownika, po części dlatego, by miał oko na Cole'a, a częściowo po to, by uważał na łowców nagród, którzy mogli rozglądać się za ściganymi przestępcami. Reszta ludzi wyciągnęła się na kocach i natychmiast zasnęła.

Cole wskazał Dorie poślanie, które dla niej przygotował. Chciał jej zapewnić wszelki komfort, jaki był możliwy w tych warunkach. Ale odmówiła. Nie chciała spocząć we względnej wygodzie na kocach, podczas gdy Cole miałby spać na gołej ziemi kilka cali dalej.

-Nie chcę jedyne łóżka - szepnęła.

Wartownik bezwstydnie im się przyglądał, a jego oczy tak błyszcząły nawet w ciemnościach, że Dorie miała gęsią skórę.

-Musisz się przespać! - rzekł stanowczo Cole.

-Zamarznie pan bez kocy. Do ogniska jest dziesięć stóp.

-Jestem przyzwyczajony do sypiania na dworze - uciął ostro.

- To tym bardziej powinien pan mieć koce i siodło za poduszkę. Ja i tak przywykłam do piernatów i białej pościeli. Powinien pan mieć lepsze poślanie.

Widział że przez jej upór mogą spędzić całą noc klócąc się a zależało mu na tym by przespali się jak najdłużej. Bóg jeden wiedział co ich czekało w następnych kilku dniach

- No to niech będzie - rzekł by nie przedłużać sporu. - Nie zostaje nam nic innego jak spać razem. - Wiedząc że i tak zostanie zmuszony do spania na poślaniu wyciągnął się na kocach i podniósł zdrowe ramię zapraszając ją do siebie. Spodziewał się długiej listy powodów dla której nie powinni spać razem lecz ani się zawahała. Szybko i z wielką ochotą wśliznęła się w objęcia czekającego mężczyzny zrecznie przytulając się do jego ciała złożyła mu głowę na ramieniu i wsunęła jędrne udo między jego uda.

- O Panie - westchnął Cole.

Nigdy z równą przyjemnością nie dotykał kobiety. Do tej pory każdą którą miał posiadał wbrew zwyczajowi lub prawu. Jeśli nie była prostytutką to czyjąs siostrą lub żoną w każdym razie zawsze należała do innego mężczyzny. Ta jednak należała do niego. Może nie na zawsze i może nie w pełni uczciwie ale przynajmniej naprawdę była w tym momencie jego. Może to śmieszne gdyż wszystko to było takie nierealne i chwilowe lecz myśl że ma prawo ją obejmować sprawiła że tulił Dorie z tym większą błogością.

Wydawała mu się drobna lecz okazało się że się mylił. Miała dokładnie stosowne wymiary, wypełniała każdą krzywiznę jego ciała, jakby zostali stworzeni dla siebie. Tak przytulała się do Cole'a, że serce dziko biło mu w piersi.

Albo jest niewinna jak nowo narodzone dziecko, albo to najbardziej lubieżna małą puszczalska, jaką widział świat, pomyślał. Tak czy siak, zabiłby każdego, kto próbowałby zmusić go do wypuszczenia jej z objęć.

Natomiast Dorie nigdy nie było tak dobrze jak teraz. Rzecz nie w tym, że była dziewicą. Przez całe życie brakowało jej zmysłowych przeżyć które powinny być udziałem każdej istoty ludzkiej. Nikt w dzieciństwie nie tulił Dorie. Jej matka gładziła i pieściła starszą córkę ale umarła rodząc młodszą. Ojciec uznał że najmniejszy dowód uczucia psuje dzieci

więc zabronił obdarzać je choćby przelotnymi pieszczotami. Słodki wygląd Roweny powszechnie przełamywał te zakazy, ale mała Dorie była tak spokojna, a jej oczy tak kropka w kropkę przypominały chłodne oczy ojca że ludzie woleli nie ryzykować kary za dotknięcie panienki. W rezultacie Dorie przeszła przez życie bez pieszczot których inne dzieci zaznają w sposób naturalny. Ludzie mawiali że panienska Dorie jest samowystarczalna i nie potrzebuje nikogo innego. Prawda wyglądała dokładnie na odwrót. Chciała siadać ludziom na kolana jak robiła Rowena ale nie umiała instynktownie zachęcić dorosłych do figli i brania jej w objęcia nawet nie umiała o to poprosić.

Cole Hunter był jedyną osobą poza Rowena, która ośmieliła się zbliżyć do tego, jak się wydawało, lodowatego posągu. I Cole dostrzegł to, co Rowena wiedziała zawsze - lodowate obejmie Dorie było jedynie tarczą przed światem, za którym jakże tęskniła.

Gdy spoczywała w objęciach Cole a coś, co dotąd kryło się głęboko w niej, zaczęło przec na powierzchnię. Chciała czuć serce bijące o jej serce pragnęła by jej oddech zmieszał się z oddechem drugiej ludzkiej istoty by jej skóra dotknęła jego skóry.

Wiedziała że Cole przygarnia ją zapewniając ciepło i opiekę, ale mając jego potężne ciało przy swoim czuła się tak dobrze, tak cudownie że chciała wśliznąć się w niego w jakiś sposób znaleźć się jeszcze bliżej niż dotychczas.

Serce Dorie zaczęło bić mocniej, jakby miało rozsadzić pierś. Nie tylko słyszała serce Cole a czuła je policzkiem przyłożonym do jego torsu. Chciała być bliżej Colea ale tkanina jego koszuli rozdzielała ich. Miała wrażenie, że materiał jest tak gruby i nie do przeniknięcia, jakby był ze skóry.

Wyraźnie usłyszała, jak Cole jest wstrząśnięty, gdy zapytał:

- Co ty wyrabiasz? - Jednak nie powstrzymało jej to przed rozpinaniem mu koszuli ani przed przyłożeniem policzka do jego ciała. Wyjaśniła że guziki gniotły ją w policzek. To była prawda; nawet muśnięcie bawełny raniło jej skórę, raniło jej serce.

Po tym, co zrobiła, Cole przewrócił oczami i powiedział pod nosem kilka mocnych słów.

Dorie uśmiechnięta, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu, przesunęła policzkiem po jego skórze, a gdy dotknęła wargami nagiego torsu Cole'a, bez namysłu pocałowała go.

- Przestań! - rozkazał, łapiąc ją za ramiona i odsuwając od siebie. Nie musiał krzyżeć, pasja w jego głosie wyraźnie świadczyła, że jest wściekły.

Zamrugła powiekami. Przez chwilę w ogóle nie miała pojęcia, co złego zrobiła.

-Ja... ja przepraszam, panie Hunter - odezwała się, gdy dotarło do niej, co takiego uczyniła i dlaczego Cole jest taki wściekły. Najwyraźniej nie chciał, aby dotykała go bardziej niż to było konieczne. Zesztywniała i w mgnieniu oka jej ciało z miękkiego i uległego stało się twarde. - Nie mam pojęcia, co mnie napadło, panie Hunter...

-Zostaw to! - warknął, bo zaczęła zapinać guziki przy jego koszuli.

-Ale...

Nim zdążyła więcej powiedzieć, przycisnął jej głowę do swojej piersi.

Dorie jednak nie potrafiła leżeć cicho. Zapewne była zmęczona lecz równocześnie nigdy w życiu nie czuła się tak pełna energii. Jakiś głos w niej mówił że powinna być damą ale inny zapytywał jaki sens miało zachowywanie się jak dama gdy za dwadzieścia cztery godziny zapewne będzie martwa. Gdy ten okropny Ford odkryje, że nie ma żadnego złota to raczej nie zaśmieje się i nie powie: „Ale fajnie wystrychnęliście mnie na dudka! i nie puści ich wolno. Prawdopodobnie bez żadnego zastanowienia wpakuje im obojgu kulę w łeb. A po śmierci i na grobie będzie miała napis „Była damą do samego końca.

- Czy to jest cudowne? - Zapytała.

-Co ma być cudowne? - zawarczał, jakby nie pozwalała mu zasnąć.

Gdyby Dorie uchem przyciśniętym do jego piersi nie słyszała i nie czuła mocno bijącego serca, słowa uwięzłyby jej w gardle. Ale wiedziała, że jemu też nie zależy na śnie.

- Kochanie się - szepnęła. - Czy to jest bardzo miłe?  
Gdy się nie odezwał kontynuowała.

- Rowena nic mi o tym nie opowiedziała. To znaczy, wiem o... tym co należy robić, ale nie mam pojęcia, co się czuje. Rowena mówi, że małżonek musi nauczyć żonę wszystkiego, co potrzeba, ale nigdy nie myślałam że go będę miała. Mam na myśli męża.

Zawahała się i kontynuowała szybko.

- Tylko niech pan nie myśli sobie że uważam pana za prawdziwego męża. Wiem, że tak nie jest. Chodzi tylko o to że sprawy potoczyły się takim torem, że może nigdy już nie będę zamężna więc chciałam spytać.

Czekała chwilę. Tak długo zbierał się do odpowiedzi, że Dorie w ogóle się już jej nie spodziewała

- Tak to jest miłe - rzekł wreszcie. - Ale myślę, że może być miłsze.

Na te słowa odchyliła głowę od jego piersi, lecz natychmiast znów przytulił ją do siebie jakby nie chciał, żeby chociaż cal kwadratowy jej ciała był daleko od niego.

- Nie powinnaś pytać mnie o kochanie się. Ja znam się tylko na kopulowaniu. Za każdym razem kiedy mi się coś trafiało, musiałem się spieszyć, zanim ktoś pogoni mnie z dubeltówki, a często kolejny klient czekał na łóżko.

-Ale przecież...

-Może i zdarzyło mi się kilka przyjemnych okazji, ale zawsze zastanawiałem się, jakby to było z kobietą, która jest moja i tylko moja - Zniżył głos. - Z kobietą, która nigdy nie należała do innego mężczyzny. Z kobietą, która będzie tylko moja.

-Nigdy... nigdy nie miałam mężczyzny - rzekła cicho.

-Wiem. I dlatego zasługujesz na kogoś lepszego niż podstarzały rewolwerowiec.

-Och. Czy to znaczy, że jest pan za stary na...

Nie wiedziała, czy powiedziała coś niewłaściwego, lecz położył dłoń z tyłu jej głowy, przyciągnął ją ku sobie i pocałował. Był to pocałunek, o jakim marzyła. W czasach, kiedy siedziała milcząc u boku ojca, wyobrażała sobie, że jest piękna jak Rowena, a jakiś przystojny mężczyzna zjawia się przed nią i całuje czule i namiętnie.

Przekręcił jej głowę na bok i pocałował mocniej, a gdy przejechał dłońmi w dół i dotknął jej piersi, Dorie wcale nie chciała się odsunąć. Jeszcze kilka tygodni temu można by pomyśleć na jej widok, że każdy mężczyzna, który ośmieli się ją tknąć, dostanie pejcem, ale teraz pod dotykiem Cole'a jej ciało otworzyło się. Przyłgnęła do niego biodrami, głębiej wsunęła udo między jego uda i usłyszała, jak jęknął.

Odsunął ją od siebie. Dorie chciała przywrzeć do niego z powrotem lecz trzymał jej głowę tak daleko, że nie mogła go pocałować.

-Panie Hunter, mogę mówić do pana „Cole”?

-Nie - rzekł ostro. - Lepiej będzie po staremu. Słuchaj mnie, Dorie, słuchaj dobrze. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Nie jestem twoim cholernym bohaterem Jestem tym, za kogo wzięłaś mnie przy naszym pierwszym spotkaniu: podstarzałym rewolwerowcem. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się tak długo przeżyć. To pewnie wybryk natury. Miałas rację, większość z nas gryzie ziemię, zanim dobieje trzydziestki. W tej chwili też żyję na kredyt. Nie powinienem żyć, a już na pewno niewiele czasu mi pozostało.

-Ale...

-Nie! - rzekł ostro. - Wiem że tak jest. Czuję to. - Mówiąc to nie potrafił się powstrzymać, by nie przesunąć rękami w dół pleców Dorie, wyczuwając krągłości jej ciała. Nie potrafił się powstrzymać i nie pogłodzić jej okrągłych pośladków. I nie potrafił zdusić jęku, który wyrwał mu się z gardła. Prędzej by umarł, niż powiedziałby jej, że jest najbardziej godną pożądaną kobietą jaką do tej pory spotkał, że wolałby spędzić noc z nią niż z inną nawet piękniejszą dwa razy od tej jej siostrzyczki.

-Musimy być razem, dopóki nie wydostanę cię z tego, ale potem ty wracasz do

swojego świata, a ja do swojego. Nie należymy do tego samego gatunku ludzi. Jesteśmy z różnych stron.

-Może należymy do tego samego gatunku ludzi, ale po prostu urodziliśmy się w różnych stronach. Może byłby pan kimś innym, gdyby był pan synem mojego ojca.

-Pewnie zawisłbym za powieszenie drania - szepnął pod nosem Dorie uśmiechnęła się. Wiedziała, że jej ojciec zasłużył na nienawiść Cole'a.

Zadowolona przytuliła się do niego.

-Lubię pana - rzekła. - Lubię pana bardzo. Jest pan dobry.

Nie miała pojęcia o tym, że jej słowa były dla niego zaskoczeniem. Kilka kobiet wyznało mu miłość, ale nigdy żadna nie powiedziała, że go lubi ani nie nazwała dobrym człowiekiem. A mimo to prawie uwierzył Dorie.

Trzymał ją blisko siebie, czuł jej ciepło i czystość. To dziwne, ale gdy spoczywała tak przy nim czuł się kimś dobrym. Wszystkie te strzelaniny w jakich uczestniczył, mogły wydarzyć się komuś innemu, i gdy Dorie uniosła ku niemu wzrok poczuł że stać go na wszystko.

-Wyciągnę cię z tego skarbie - szepnął

Nie odpowiedziała bo była śpiąca. Ufała mu tak bardzo że zasnęła w jego ramionach. Cole prędzej by umarł niż pozwolił, aby ktoś lub coś mogło ją skrzywdzić.

## 9

- Nie jadę - oświadczyła Dorie, stojąc przy koniu, na którym jechała razem z Cole'em. Skrzyżowała ręce na piersi i parzyła wyzywająco. Nie zrobię tego i już. Możecie mnie zastrzelić, jeśli chcecie ale ja tego nie zrobię!!!

Cole uznał że wszelkie dobre opinie jakie miał na temat Dorie a kobiet w ogólności, to były podszepty diabła. Tylko diabeł mógł sprawić że pomyślał coś dobrego o stworzeniu tak upartym żeby nie powiedzieć głupim.

Gdy Ford otrząsnął się z szoku, niewielu mężczyzn i żadna kobieta nie powiedzieli mu „nie”, wyciągnął rewolwer z kabury. Na to Cole cofnął konia i własnym ciałem zagroził drogę kuli, która mogła przesyć Dorie.

Muszę zachować spokój, powiedział sobie. Muszę ją przekonać muszę użyć perswazji. Kobiety lubią słodkie słówka.

-Niech cię diabli porwą! - Zaczął przez zaciśnięte zęby. - Czy ty nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji? Możesz zostać zabita Możesz.

-Nie powiem mu gdzie jest złoto nawet gdyby miał mnie zastrzelić - rzekła Dorie nie zaszczycając Cole'a spojrzeniem. Zesznurowała wargi w tak wąską linię że wyglądały jak szew na siedzeniu nowiutkiego powozu.

-Dorie - zaczął lecz urwał. A Czym się tu przejmować? - Objął ją w pasie i usiłował wsadzić na konia.

To prawda, była drobna, ale zawzięta, a on mógł używać tylko jednej ręki. Gdy usiłował ją podnieść, machała rękami i nogami, przeżyła się i odpychała Cole'a wszystkimi kończynami.

Wyglądało to na wyrównaną walkę mięśni z uporem.

Słyszac znany, chrapliwy rechot Forda, Cole puścił Dorie, by zapewnić sobie lepszy chwyt.

-Zostaw ją - rzucił Ford.

Cole natychmiast stanął między nią i bandytą.

-Nie skrzywdzisz jej - rzekł. Oczy mu zabłyśły. Ford parsknął:

-Hunter, coś mi się zdaje, że to wasze nielubienie to bujda Cole'owi dreszcz przebiegł po kręgosłupie. Jeśli Ford zorientuje się, że kłamali w tej sprawie, zorientuje się też co do innych rzeczy. Niebawem dojdzie do wniosku, że nie ma powodu trzymać zakładników przy

życiu.

W tym momencie z rozkoszą udusiłby Dorie. Przez długi czas wydawało mu się, że po raz pierwszy w życiu poznał kobietę, która ma trochę rozsądku. No, ale tego rana pokazała, że jest... najbardziej kobieca ze wszystkich kobiet. Nic gorszego nie mógł sobie pomyśleć na jej temat. Okazało się że nie miała kropli oleju w głowie.

Tego rana po dwóch godzinach snu kazano im dosiąść konia. Jechali wytężonym kłusem aż znaleźli się na wzgórzu górującym nad osadą która istniała głównie po to aby można było w niej grzeszyć. Kiedyś była tu zwyczajna miejscina ale dokonała żywota tak dawno że nikt nie pamiętał ani nie dbał w jakim celu ją wzniesiono. Jednakże gasnące palenisko życia od którego uszli ludzie zarabiający uczciwą pracą podsyćcili szulerzy i mordercy. Teraz była to osada wyłącznie dla mężczyzn i kobiet gotowych stracić pieniądze lub życie. Oczywiście było to gniazdo Winotki Forda, jedyne miejsce na ziemi, w którym czuł się bezpiecznie.

Tak długo zwlekali na wzgórzu, z którego był widok na kilka zniszczonych budynków, aż upewnili się, że nie ma tam posterunku szeryfa, żołnierzy, nikogo, kto mógłby przysporzyć im kłopotów.

Gdy Dorie i Cole siedzieli jeszcze na koniu i patrzyli w dół, zapytała:

-Jedziemy tam?

-Tak - odparł Cole, zachodząc w głowę, jak wyrwać się z tego miejsca. Nie miał pieniędzy, żeby móc kogoś przekupić; nie mógł otworzyć sobie drogi rewolwerem. Kiedy raz dojadą do osady, jak się stamtąd wydostaną?

-Nie mogę wjechać do miasta w koszuli nocnej - płaczącym głosem powiedziała Dorie.

-Nikt tego nie zauważy - zbył ją, zastanawiając się, czy spotka kogoś znajomego. Dobrze by było, żeby to był ktoś, komu nie wystrzelał kiedyś krewnych.

- Nie rozumiesz? - rzekła Dorie. - Nie mogę tego zrobić. Dlaczego zawracała mu głowę sprawami bez znaczenia?

-Dorie, dwa dni jechałaś przez stan Teksas nie mając na sobie nic oprócz koszuli nocnej. Jaką różnicę robi te kilka godzin? Znajdziemy ci coś, kiedy się tam dostaniemy. - Nie miał pojęcia, skąd weźmie na to pieniądze, ale nie mógł jej tego powiedzieć.

-Nie. - Była doprowadzona do ostateczności. - Do tej pory nikt mnie nie oglądał. W miasteczku mieszkają kobiety.

Popatrzył się na nią jak na wariatkę.

- Mężczyźni oglądali cię w tej koszuli! Czy to nie gorzej, niż być widzianą przez kobiety?

Czemu mężczyźni są tacy głupi, zastanawiała się Dorie. Jak, na Boga, ich matki pokonały ten brak rozumu i nauczyły ich wiązania butów? Przyjrzała mu się z ogromną wyrozumiałością.

-Mężczyźni lubią kobiety w koszulach nocnych. Wiem to nawet z mojego ograniczonego doświadczenia. - W podtekście było: „A czemu ty o tym nie wiesz?” - Kobiety śmieją się z innych kobiet, które wjeżdżają konno do miasta nie mając na sobie nic poza brudną koszulą nocną.

Cole'owi opadła szczeka ze zdumienia.

-Czterech niebezpiecznych zbirów jest gotowych cię zabić, a ty przejmujesz się, że jakieś kobiety cię wyśmieją?

Skrzyżowała ręce na piersi.

-To sprawa godności.

-To sprawa życia i śmierci. - Otarł twarz. Czy jakiś mężczyzna zrozumiał kiedyś kobietę? - Przyjrzyj się tej dziurze - rzekł spoglądając przez ramię na osadę. Stało jeszcze tylko z osiem budynków. Kilka z nich to były wypalone skorupy, a jeden chyba stracił dach.



Szyldy zwisały pod dziwaczными kątami, brakowało długich odcinków chodników. Właśnie w chwili, gdy Cole i Dorie przypatrywali się życiu w osadzie, trójka mężczyzn wszczęła strzelaninę i w parę sekund padł trup. Reszta mieszkańców, przyzwyczajona do rozlewu krwi, spieszyła za swoimi sprawami, nie poświęcając uwagi nieżywemu. Mężczyzna wyglądający na przedsiębiorcę pogrzebowego zwał trupa z ulicy.

- Gdybyśmy wpakowali się w tę rozróbę, nadal przejmowałabyś się, że jesteś w koszuli nocnej? - Uśmiechnął się szeroko za jej plecami. - Bałabyś się, że nie zostaniesz przyjęta do miejscowego kółka pań z dobrego towarzystwa, bo widziano cię w nieprzyzwoitym stroju?

Cole najwyraźniej wcale nie pojmował, o co jej chodzi. Zgrabnym ruchem zsunęła się z konia i oznajmiła, że nie wjedzie do miasta ubrana tylko w koszulę nocną. Nic nie zmusi jej do zmiany zdania.

- Dorie - przemówił do niej z przesadną cierpliwością - masz na sobie więcej materiału niż jakakolwiek inna kobieta w mieście. Nie jesteś nieprzyzwoicie odsłonięta.

Nie zamierzała mu odpowiadać, bo sama siebie nie rozumiała. Ale wiedziała jedno: nie wjedzie do tej dziwacznej miejsciny mając na sobie tylko piętnaście jardów niegdyś białej bawełny.

- Dorie... - zaczął Cole.

- Jedź, przywieź jej suknię - rozkazał Ford jednemu ze swoich ludzi i bronią wskazując osadę.

Na te słowa Cole wymienił z Fordem spojrzenie, które zawierało wieki męskich doświadczeń. Mówiło ono, że żaden mężczyzna nie zrozumiał i nie zrozumie kobiety, i nie powinien nawet tego próbować.

Dorie zadowolona, że nie siedzi na koniu, weszła w jedyny cień na tym obszarze, pod drzewo *pinon* i jak przystoi damie, usiadła wygładzając fałdy koszuli nocnej.

Cole wyrzucił w górę ręce na znak bezradności, wyjął z juków manierkę z wodą i podsunął ją Dorie. Nie odzywał się słowem, gdyż lękał się, że straci cierpliwość. Jeśli była tak uparta w trywialnej sprawie, czy wykona polecenia podczas próby ucieczki?

Po chwili wyciągnął się na trawie za plecami Dorie, przykrył twarz kapeluszem i najzwyczajniej w świecie zasnął. Obudził go coraz głośniejszy łomot kopyt końskich. Automatycznie sięgnął po broń i skrzywił się. Zabolało go ramię, a broni nie było na zwykłym miejscu.

- Mam - rzekł wysłany bandyta głosem rozentuzjzmowanego chłopca. Niewątpliwie po raz pierwszy - a gdyby marzenia Cole'a mogły się spełnić i ostatni - kupował suknię kobiecie. Bandyta zsiadł z konia i podszedł do Forda. Był tak szczęśliwy jak po pierwszym udanym skoku na bank - Prawie w ogóle nie noszona. Dostałem ją od Ellie, bo tylko ona jest tak mała jak ta. Ellie nie chciała się z nią rozstać, ale powiedziałem, że to dla ciebie, i ustąpiła. Ma tylko wrócić do niej nie zakrwawiona. - Z dumą podniósł kłęb czerwonego aksamitu i bieliźnianego płótna. - To aż z Paryża.

Cole roześmiał się pogardliwie.

- Z Paryża, stan Tennessee? - Przyjrzał się sukni. To był ubiór prostytutki: prawie nic ponad talią wąska w biodrach i przesadnie szeroko podkreślająca linię pośladków. - Zabierz to - rzekł. - Ona nie będzie tego nosić.

- Właśnie, że będę - rzekła Dorie występując do przodu i porywając suknię z brudnych łap bandyty.

- Nie będziesz! - krzyknął z oburzeniem Cole. - To nie ma nic na górze. Będziesz... będziesz naga.

- Mówisz gorzej niż ten kaznodzieja w Willoughby. Zaskoczyło to Cole'a.

- Willoughby?

- Tam mieszkam i tam jest złoto.

Był już poirytowany suknią ale to, że nie potapał się od razu, o co chodzi Dorie,

wprawiło go w najzwyczajniejszy gniew. Ta dziewczyna zaczynała wymykać mu się z ręki.

-Nie będziesz nosiła tej sukni - rzekł i wyrwał okrycie.

-Właśnie, że będę. - Usiłowała odebrać suknię, ale nie pozwolił na to.

Dorie ponowiła próbę, lecz gdy Cole dzierżył suknię z dala od jej rąk, odwróciła się od niego i założyła ręce na piersi.

-Skoro nie mogę dostać tej sukni, nie pojedę do miasteczka i nikt nie dostanie żadnego złota.

Cole nigdy nie stanął przed takim problemem. Był tak przystojny, że bez kłopotu nakłaniał kobiety, by zgadzały się z nim we wszystkim. Ale z drugiej strony nigdy nie okazał się na tyle głupi, by zabraniać kobiecie zrobienia czegoś na czym jej wyraźnie zależało.

Instynktownie odwrócił się ku bandytom lecz ku jego obrzydzeniu okazało się, że przypatrują się im tak jakby byli parą wędrownych komedianów przedstawiającą jakąś farsę. Nawet Ford grzebiący przy paznokciach nożem odpowiednim do skórowania bizona, nie spieszył się, by zażegnać kłótnię.

-Dorie, bądź rozsądna - rzekł Cole podchodząc do niej. Odwróciła się.

-Dlaczego nie mogę jej nosić? Myśli pan, że w tym mieście jest szeroki wybór sukien odpowiednich na mszę? A poza tym, co to pana obchodzi?

I tak już wściekłego Cole'a ten argument doprowadził do białej gorączki.

-Nie chcę, żeby całe miasto gapiło się na ciebie! - krzyknął. - Jesteś moją żoną!!!

Ku jego niedowierzaniu na twarzy Dorie rozkwitł uśmiech. Wyglądało na to, że ta ostatnia uwaga sprawiła jej wielką przyjemność.

-Proszę o suknię - rzekła łagodnie wyciągając rękę.

Jak coś tak małego mogło doprowadzić mężczyznę prawie do utraty zmysłów? A może nie była to utrata zmysłów, tylko łzy bezsilności, które dusiły go w gardle. Nie był głupi. Wiedział, kiedy przegrał. Nigdy nie wsadzi jej na konia ubraną w tę koszulę nocną ani nie kupi jej skromnej sukni.

Z wyrazem rezygnacji na twarzy podał jej suknię i Dorie poszła się ubrać za najbliższy wielki głąz.

Kiedy tylko znikła z męskich oczu, z zachwytem pogładziła aksamit. Chciała włożyć coś porządnego, ale to było dużo lepsze, niż się spodziewała. Ta suknia mogła być obiektem marzeń każdej kobiety gdyż ściągała męskie spojrzenia. W domu ojca nigdy nie odważyłaby się włożyć czegoś takiego. Ojciec zawsze poddawał Dorie starannemu oglądowi, upewniał się, czy ma gładko zaczesane włosy. Wpadał w gniew nawet wtedy gdy rękawiczki nie zakrywały jej rąk przed wzrokiem mężczyzn.

Zerwała koszulę, która niedawno jeszcze była dziewiczo biała i rozpoczęła zawiły proces ubierania się, nakładając na gołe ciało najpierw koszulkę potem pantalon z różowymi kokardami przy kolanach piękne czarne pończochy, w których poszło tylko jedno oczko jedwabne podwiązki, gorset, który ojciec uznałby za nieprzyzwoity - czarna satyna obszywana różową koronką przykrycie gorsetu dwie halki, obie obrębione, i wreszcie suknię. Wciągnęła oddech i wsunęła suknię przez głowę.

Aksamit miał czerwony kolor ale pionowo, co jakieś sześć cali, wszyto paski szkarłatnej satyny Dorie uniosła suknię nad głowę - wiedziała że będzie na nią pasować. I pasowała. Oczywiście, musiała zrezygnować z oddychania by w talii wszystko leżało jak należy ale czy taki drobiazg ma znaczenie? Stanik sukni faktycznie kończył się w połowie klatki piersiowej i był tak nisko wycięty, że piersi mało nie wyskakiwały na zewnątrz. Nawet dla Dorie kontrast między głęboką czerwienią a białą skóry, której nigdy nie dotknęło słońce, był całkiem przyjemny.

Ku jej zachwytowi suknia zapinała się z przodu na, wydawałoby się, setki koników i kobyłek. Nie miała pojęcia, dlaczego zapięcie, które zwykle było z tyłu, tu znajdowało się z

przodu, lecz wpadło jej do głowy, że w ten sposób było o wiele łatwiej wśliznąć się w okrycie i wysliznąć z niego - dlatego też zapięcie umiejscowiono w tak nietypowym miejscu.

Weszła w śliczne pantofelki wyłoniła się zza skały i spojrzała na twarze czterech mężczyzn. Odebrało im mowę.

Serce Dorie mocno zabiło ze szczęścia

Ileż tysięcy razy widziała Rowenę wkraczającą do pokoju i mężczyzn kamieniejących na jej widok? Wszyscy milkli i zarówno kobiety jak mężczyźni nie mogli oderwać od niej oczu. Bywało nawet że gromadki dzieci przystawały na widok pięknej siostry Dorie.

Ale Dorie nigdy coś takiego się nie przytrafiło. Mogła wjechać do pokoju na białym słoniu poprzedzana orkiestrą dętą i nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Przynajmniej tak sobie zawsze myślała.

- Czy dobrze wyglądam? - spytała tonem którego Rowena używała całe życie. Dorie jak wszyscy inni uważała że Rowena jest skromna. Czyż ona nie jest urocza? Jest tak piękna ale nie ma o tym pojęcia. Tylko zwyczajnie pyta czy dobrze wygląda. W tym momencie Dorie zrozumiała jak naprawdę miła jest jej siostra Rowena nie musiała pytać jak się prezentuje, ludzkie oczy były zwierciadłami mówiącymi jak pięknie wygląda. Starła się ośmielić ludzi żeby nie byli tak oszołomieni jej urodą i mogli uwierzyć że nie ma pojęcia iż na jej widok zapiera im dech w piersiach.

Więc teraz po raz pierwszy w życiu Dorie mogła wziąć udział w tej przyjemnej grze.

- Czy nikt nic nie powie? - spytała niewinnie jak czteroletni szkrab, który dostał pierwszą prawdziwą sukienkę. Ale cała różnica polegała na tym, że Dorie nie miała czterech lat.

Cole nie mógł się ruszyć. Stał i wytrzeszczał oczy. Jej uroda była inna niż siostry, lecz Dorie na swój sposób była bardziej zniewalająca. Jej włosy uwolnione z więzów, poddane przez wiele godzin wiatrowi i słońcu, unosiły się wokół głowy jak puszysta, pełna i przejrzysta chmura. Jej drobna twarzyczka w kształcie serca była połączeniem niewinności i wielkiej inteligencji. Promyczki w oczach nie były odbiciem słońca, tylko tego twórczego umysłu, który nie przestawał pracować w dzień i w noc. Śliczne usta, małe choć pełne, wyginały się nad znamionującym silny charakter podbródkiem, a poniżej...

Cole zacisnął dłonie w pięści.

Nie miał kompleksu posiadacza. Przez całe życie nie miał niczego i nie zależało mu na tym, by coś mieć. A już na pewno nie traktował drugiego człowieka jako przedmiot który można zawłaszczyć. Ale gdy patrzył teraz na Dorie wydawało mu się, iż pokazuje innym mężczyznom coś co jest jego i robi publicznie coś czego nie miał okazji zakosztować na osobności.

Przy pierwszym spotkaniu uznał że Dorie nie ma dobrej figury. Niegorszy biust co to to tak ale widział już w życiu wiele znacznie bardziej godnych uwagi egzemplarzy. Miała długą łabędzią szyję, która prosiła się o diamentową kolię; ramiona o idealnym kształcie i spadzistości. Wszystko było uwieńczone pięknym biustem który górował wybornie nad aksamitem zwężającym się mocno w talii.

Gdyby miał określić jednym słowem jej wygląd, rzekłby: elegancki. Nałożyła suknię, w której każda inna kobieta wyglądałaby jak dziwka, ale Dorie miała wygląd kogoś, kto mógł zasiąść z królową do podwieczorku. Nie był pewien, jak to osiągnęła, lecz może te wszystkie przeczytane książki odbijały się w jej oczach. Może polegało to na sposobie, w jaki się poruszała. Może nie będąc łatwą dziewczyną nie pozwalała, by inni tak ją traktowali.

Ale z drugiej strony, może ta jej śnieżnobiała skóra tak go osłepiała, że nie potrafił myśleć poprawnie.

- Czy nikt nic nie powie? - spytała Dorie. Mogła stać tu przez rok lub dwa i zbierać spojrzenia tych wszystkich mężczyzn. Jednakże chętnie usłyszałaby kilka słów, których poprzednio żaden mężczyzna jej nie rzucił, na przykład - „piękna”, „wyjątkowa” i „boska”.

Prawdę mówiąc, na początek wystarczyłoby dobre, pocziwe „ładna”.

Cole aż za dobrze wiedział, czego chciała, ale prędzej by go szlag trafił, niż spełniłby to życzenie. Przynajmniej nie przy tych śliniących się facetach. Obiło mu się o uszy, że są kraje, w których mężczyźni każą swoim kobietom nosić zasłony od stóp do głów. Ci mężczyźni byli bardzo mądrzy.

Niewiele myśląc zdjął koc przytroczony do siodła i usiłował narzucić jej na ramiona.

-Ależ panie Hunter, jest doprawdy za gorąco na pelerynę - rzekła Dorie, odsuwając się i patrząc na niego niewinnie przez ramię.

Jeśliby poprzednio Cole nawet nie chciał zabić bandytów, to gdy zaczęli chichotać, zamarzył o tym całym sercem.

-Czy ktoś mógłby pomóc mi dosiąść konia? - zapytała Dorie, znakomicie wchodząc w rolę piękności z Południa i trzepocząc rzęsami. - Zdaje mi się, że ten aksamit jest strasznie ciężki.

Nie dodała „dla takiego słodkiego maleństwa jak ja”, ale te słowa były w podtekście.

To zdumiewające, że Cole mając władną tylko jedną rękę zdołał unieść Dorie i posadzić ją na siodle. Zrobił to tak mocno, aż zęby jej zadzwoniły, lecz nawet nie przestała się uśmiechać.

I uśmiechała się podczas następných trzydziestu minut jakie zajęła im jazda do osady. Przez cały ten czas Cole wygłaszał kazanie. „Dla jej własnego dobra” mówił o tym jak obnażyła się robiąc z siebie widowisko. Nawet powiedział że słońce zniszczy jej cerę. Mówił o tym, co mężczyźni pomyślą sobie na jej temat. Kiedy rzekł: „Co twój ojciec by powiedział?” Dorie zaczęła się śmiać. Nigdy do tej pory nie wzbudziła w nikim zazdrości i musiała przyznać, że poczuła się wcale przyjemnie gdy taki mężczyzna jak Cole Hunter był zazdrosny o spojrzenia innych mężczyzn.

-Co pomyślą sobie o mnie mężczyźni w miasteczku, gdy mnie zobaczą? - zapytała cicho, opierając się o Cole'a.

-Że jesteś ulicznicą - odparł szybko.

-A co pan by sobie pomyślał, gdyby mnie zobaczył? - spytała, zanim zdążył powrócić do kazania.

Cole miał na końcu języka, że uznałby ją za sprzedajną dziwkę, ale nie powiedział tego. Bez względu na to, co Dorie miała na sobie, jej wygląd mówił: „Patrzcie, ale wara z łapami”

-Pomyślałbym, że jesteś piękna. Pomyślałbym że jesteś aniołem, który zszedł na ziemię - rzekł cicho całując ją w ramię.

To wystarczyło jej aż nadto.

-Kocham cię - szepnęła.

Włożyła w te słowa całą duszę.

Cole zaprzestał pocałunków, lecz nie rzekł nic. Nie mógł wyznać tego, co czuł. Kobieta tak czysta i dobra jak Dorie zasługiwała na kogoś lepszego niż podstarzały rewolwerowiec. Zasługiwała na kogoś najlepszego. I Cole zapragnął być mężczyzną godnym takiej kobiety jak ona.

Oderwał się myślami od Dorie, bowiem minął ich Ford, mówiąc:

-Wiesz co, Hunter, jesteście tak zabawni, że będzie mi cholernie żal was zabić, kiedy się okaże, że zrobiliście mnie w konia. Nie lubię szulerów i oszustów.

Gdy odjechał, Dorie rzekła:

-Ale założę się, że lubi jaszczury. Jego matka musiała należeć do tego gatunku zwierząt.

Cole nic na to nie odpowiedział.

- Dorie - szepnął jej do ucha, niby ignorując fakt, iż górna połowa jej ciała jest prawie naga. - Posłuchaj mnie i to uważnie. Rozumiesz?

Kiwnęła głową Wiedziała, że zaraz usłyszy coś strasznego.

- Wykryłem, co zamierzają z nami zrobić.

Była przygotowana na *coś poważnego*, bo nie czekałby z tym prawie do samej osady.

- Nie zostaniemy w miasteczku. Wygląda na to że facet który nienawidzi Forda - przerwał dając do zrozumienia. „A czy jest inny rodzaj ludzi?” - jego stary wróg jest w miasteczku i Ford nie chce się z nim spotkać. Myślałem że gdy znajdziemy się między ludźmi, będziemy mieli jakąś szansę, ale się na to nie zanosz. Ford planuje kupić trochę żywności i piwa i ruszyć w kierunku wzgórz. Chyba chce nas zmusić do wyjawienia gdzie jest złoto. Jeśli tego nie zrobimy nie wyjedziemy stamtąd żywi.

Silniej objął ją w pasie.

-Postaram się, żeby Ford zabrał mnie ze sobą do baru, tam spróbuję odwrócić jego uwagę i zdobyć broń. Wrócę na ulicę, ukradnę konia i pojedę na wschód. Ty masz nie zsiadać z konia i kiedy usłyszysz zamieszanie ruszysz na północ. Gdybym nie wyszedł z baru albo gdyby padły strzały masz jechać na północ najszybciej jak potrafisz. Nawet nie oglądaj się za siebie. Rozumiesz?

-Gdzie się spotkamy?

Wziął głęboki oddech.

-Nie spotkamy się. - Nie pozwolił jej unieść głowy i spojrzeć na siebie. - Dorie, zrobiliśmy to, co zaplanowaliśmy. Udało mi się powstrzymać twoją siostrę od wydania cię za pana Pieprzniczkę, ale sama widzisz, że nic więcej między nami być nie może. Mam zbyt wielu wrogów.

Dorie wiedziała, że myśli o niej i że zdecydował się poświęcić dla jej bezpieczeństwa wszystko, co miał. Osada była blisko, a Dorie miała zaledwie kilka chwil na podjęcie najważniejszej decyzji swojego życia.

-Kochasz mnie? - spytała.

-To nie ma żadnego znaczenia...

-Kochasz mnie?! - spytała z naciskiem.

-Tak - odparł - ale to, co czuję, wcale się nie liczy, a będzie się liczyło jeszcze mniej, jeśli zginiesz.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

-Gdyby to było możliwe, zamieszkałbyś ze mną w Latham? Pomógłbyś mi zarządzać miastem?

Uśmiechnął się i pocałował ją w nos.

-Niczego bardziej nie pragnę niż własnego łóżka, własnego domu, własnej... - Spojrzał na jej włosy, usta, oczy, wiedząc, że zapewne ogląda ją po raz ostatni. Jeśli nie zginie w ciągu następnej półgodziny, odjedzie w jednym kierunku i wyśle ją w przeciwnym. Będzie go to dużo kosztowało, ale nigdy nie odwiedzi jej w zacisnym Latham. Zasługuje na coś lepszego niż „podstarzały rewolwerowiec”.

-Dorie - rzekł i położył rękę na jej włosach. Chciał, by się odwróciła i pocałowała go. Pocałowała na pożegnanie.

Ale ona nie odwróciła głowy i nie pocałowała go.

Ogarnął go gniew. Może postąpiła tak, bo w gruncie rzeczy uważała, iż to on wpakował ich w tę kabałę? Miała zresztą rację. Może poza tym na wspomnienie swojego cennego miasteczka uświadomiła sobie, kim jest, co sobą reprezentuje.

Gdy wjeżdżali do osady, Cole zacisnął usta w twardą linię. Zrobi, co się da, żeby wyszła z tego bez szwanku i na tym zakończy się wszystko, co było między nimi.

Dorie nie chciała pocałować Cole'a, bo uznała, że byłby to pożegnalny pocałunek. A nie zamierzała się żegnać, bowiem przez całe życie usiłowała znaleźć mężczyznę takiego jak on.

Kochała go i chciała zatrzymać przy sobie.

Żywego.

Oczywiście, nie miała pojęcia, jak uchronić go od kuli, która mogła być przeznaczona również dla niej, ale miała nadzieję, że wpadnie na jakiś pomysł.

Szybko sklecony plan Cole'a zawalił się na samym początku. Ford kazał wejść do baru im obojgu. Wiedziała, że Cole wolałby, aby jeden z bandytów pilnował ją na zewnątrz, lecz Ford nie chciał rozdzielać grupy. Tu błysnął rozważą niemniej jednak Dorie powątpiewała, czy starczy mu jej na tyle, by nie wychylić jednej czy dwóch butelek whiskey, a równocześnie mieć oko na takiego więźnia jak Cole Hunter.

Wciąż chodziło jej po głowie, że Cole chciał odwrócić uwagę bandytów. Co mógł mieć na myśli? Może chciał rozpocząć walkę i Dorie w wynikłym zamieszaniu miała wybiec na dwór, wskoczyć na konia i znaleźć się daleko, nim bandyci zorientują się, że zniknęła. Czyżby tak nisko ją oceniał? Czyżby sądził, że kocha go tylko wtedy, kiedy wszystko dobrze się układa, a kiedy sprawy mają się niedobrze, ucieka?

Po wejściu do baru Dorie przez chwilę była zbyt oszołomiona słońcem i źle widziała, ale nawet gdy odzyskała ostrość spojrzenia, nie na wiele się ono przydało. Unosiło się tam wiele dymu, a smród był taki, że najwyraźniej tyle samo piwa wypito, co rozlano. Było tam wielu mężczyzn, którzy nie wyglądali na pilnych bywalców mszy niedzielnych. Trzymali w rękach karty albo szklanki i rozglądali się wokoło takim wzrokiem, jakby każda osoba w barze była ich wrogiem.

Było tam również trochę kobiet. Snuły się po barze z tępym spojrzeniem. Dorie słyszała o takich kobietach i zawsze myślała że są niebezpieczne i roztaczają nieodparty powab. Myślała że wiele wiedzą o sekretach mężczyzn tymczasem te kobiety wyglądały na brudne i zmęczone. Czuła, że o niczym na świecie nie marzą tak gorąco jak o wannie pełnej ciepłej wody kawałku pachnącego mydła i możliwości dobrego wyspania się.

Razem biorąc bar ją rozczarował. Gdzie tu miejsce na niebezpieczeństwo i intrygi? Ten dom był pełen zmęczonych znudzonych ludzi.

Tak pograżyła się w swych obserwacjach że prawie nie zauważyła jak Cole udał iż się potyka równocześnie sięgając po rewolwer jednego z graczy. Wystarczyło by ten się odwrócił, i przyłapałby Cole a na kradzieży. Tak groźnie spoglądał w swoje karty że zdaniem Dorie na pewno nie wybaczyłby złodziejowi przyłapanemu na gorącym uczynku.

Dorie zrobiła coś zupełnie nie przemyślanego. Miała w głowie tylko jedno. Zdanie Cole'a o „odwróceniu uwagi”. Chciał, by uwaga ludzi w barze, w tym Forda i jego rzezimieszków, skupiła się na czymś innym, żeby mógł ukraść broń. Chciał, by stracili czujność.

Dorie szła popychana przez najgrubszego zbira z bandy i ni stąd, ni zowąd zaczęła śpiewać. Dotychczas śpiewała jedynie w kościele, więc nie znała wielu pieśni nadających się do występów w barze. Ale znała piosenczkę o skowronku i pomyślała sobie, że może ona spodoba się tym ludziom.

Przez chwilę miała wątpliwości, czy ktokolwiek w barze jest koneserem muzyki, i czy ta właśnie melodyjka spotka się z uznaniem.

Potem cała sala zamarła i wszystkie spojrzenia skupiły się na Dorie. Kilka nut uwięzło jej w gardle, ale nie było tu kierownika chóru w Latham, więc nikt nie narzekał. Wydawało się natomiast, że wszyscy skupili uwagę na górnej części jej sukni lub raczej na tym jej fragmencie, którego nie było.

Dorie przyłożyła dłoń do gardła i kontynuowała śpiew

- Dorie! - zasyczał Cole. Zrobił krok w jej kierunku, lecz wymknęła mu się. Miała

nadzieję, że nie będzie tracił cennego czasu na zmuszanie jej do czegoś, co sobie umyślił. Kobiety które robiły to, co mężczyźni im kazali, miały bardzo nudne życie. Poza tym Dorie nauczyła się czegoś podczas ostatnich kilku tygodni. Była posłuszna ojcu i dlatego stała się jego więźniem a on wymagał od niej coraz więcej. Rowena była nieposłuszna i zdobyła miłość i wolność. Teraz Dorie kompletnie nie słuchała pana Huntera i - niech to dunder świśnie! - zakochał się w niej. Kiedy wyrwie się z tej kabały, to poduma trochę więcej nad filozofią tego wszystkiego, chociaż już teraz była przekonana że nie ma ona żadnego sensu. Tymczasem zamierzała tak bardzo sprzeciwić się panu Hunterowi, że pewnie po tym wszystkim będzie całował jej stopy. Albo to, na co będzie miał ochotę dodała w myślach.

Ponieważ wszyscy się w nią wpatrywali, Dorie odeszła od ludzi Forda nie zatrzymywana. Po trzech refrenach piosenki o skowronku przeszła ma piosenkę podsłuchaną u żony sklepikarza.

Minęło kilka chwil i widziała, że traci słuchaczy a Cole jeszcze niczego nie dokonał. Stał w miejscu i gapił się na nią wściekłym wzrokiem. Ani nie zdobył broni, ani konia nic. A na dodatek wyglądało na to, że ludzie w barze na powrót skupili się na swoich kartach, a nie na jakiejś półnagiej śpiewającej kobiecie. Gdy ma się do czynienia z mężczyznami, którzy na co dzień mordują się nawzajem, trudno utrzymać ich uwagę.

Dorie nie zastanawiała się nad tym, co robi - po prostu to zrobiła. Miała jeden cel. Skupić ich uwagę na sobie i odwrócić ją od Cole'a. Stała w głębi baru i śpiewała. Wtem wdrapała się na stołek, z niego na ladę, i zaczęła przechadzać się po długim mahoniowym wybiegu, śpiewając teraz dużo głośniej. Zobaczyła, że Cole wreszcie poszedł po rozum do głowy i zajął się zdobyciem rewolweru.

Dorie tymczasem zaczęła się świetnie bawić. Może dlatego, że przez zbyt długi czas była uwięziona na zbyt skąpej przestrzeni.

Może zaważyły na tym lata spędzone w cieniu siostry, która przyciągała uwagę wszystkich mężczyzn. A może po prostu z przyjemnością czuła na sobie męskie spojrzenia. Nie wiedzieć czemu, bawiła się świetnie.

Najpierw powtórzyła piosenkę o ptaszku, ale tym razem śpiewała ją tak, jakby małe stworzonko ćwierkające na drzewku było kimś innym niż miał na myśli autor tekstu. Wtem ujrzała Cole'a sięgającego po stosik monet leżący na stole. Jeden z graczy mógł ujrzyć to lada chwila. Aby utrzymać na sobie jego zainteresowanie, Dorie podniosła suknię, odstawiając łydkę.

Reakcja mężczyzn była tak spontaniczna, że uniosła spódnicę jeszcze trochę wyżej. Nie ma co się przejmować czymś tak zwyczajnym jak łydka, pomyślała.

Ktoś zaczął grać na pianinie i mimo że kilka klawiszy odstrzelono, dźwięczało całkiem wesoło. Dorie przeszła w coś, co od biedy można by nazwać tańcem. Ruszyła na drugi koniec lady barowej, lecz nie szła normalnym krokiem, tylko przedfilowała kołysząc biodrami. Wiele razy widziała Rowenę chodzącą w ten sposób. Gdy znalazła się u końca drogi, obejrzała się przez ramię na mężczyzn, a potem z wolna zsunęła ramiączko sukni.

Cole wyszedł z baru.

Dorie tak obawiała się, że Ford to zobaczy, że zaczęła zdejmować suknię. Odpinała kolejne zapięcia, powoli, tak powoli, że mężczyźni zaczęli walić kubkami po brudnych, starych stołach.

Nie denerwowała się, dopóki nie doszła do ostatniego konika z kobyłką i wciąż nie było znaku Cole'a. Chyba nie zamierzał zostawić jej na pastwę tych barbarzyńców? Chyba nie wzbudziła w nim takiego obrzydzenia, że postanowił nie oglądać jej na oczy? Chyba wróci... Powoli zsunęła suknię na ladę i jedna z kobiet natychmiast złapała strój. Dorie uznała, że to Ellie, właścicielka sukni. W ten sposób Dorie została tylko w bieliźnie.

Potem zjechały halki, a Cole'a ani widu, ani słyhu. Potem spadła przykrywka gorsetu. Kobieta stojąca u stóp Dorie złapała go jak jakaś pokojówka.

- Mogłabym dostać coś do picia? - wymamrotała Dorie do barmana, lecz ten, podobnie jak wszyscy pozostali mężczyźni w barze, oceniał, jaka sztuka garderoby spadnie następną na ladę. A zresztą, co mogła dostać? Maślankę?

Męczyła się ze sznurówkami gorsetu, gdy do baru wpadł konno Cole. Dosiadał wielkiego kasztana. Za nim wjechało trzech następnych konnych. Nikt nigdy swoim zjawieniem się nie sprawił Dorie tyle radości.

Błyskawicznie zapanował chaos spowodowany pojawieniem się w barze czterech jeźdźców - w opinii Dorie zwierzęta mogły jedynie poprawić woń tego miejsca - i zawodem, jakiego doznali widzowie na widok przerwy w występach.

Dorie bezbłędnie zorientowała się, w jakim Cole jest nastroju. Podjechał do lady, nie zwracając uwagi na okładających się pięściami i strzelających do siebie ludzi. Nie zaszczycając Dorie spojrzeniem złapał ją za rękę, przrzucił głową w dół przez koński grzbiet i wyjechał z baru.

## 11

- Powinienem być cię tam zostawić - powtarzał Cole. Leżeli w łóżku, albo raczej leżeli w wagonowej kozetce w pociągu jadącym do Latham. Cole od trzech dni wygłaszał kazanie. Zastanawiała się, czy nie pobił już jakiegoś rekordu. Ale rezygnował z narzekania na tyle, by przy każdej nadarzającej się sposobności od wymknięcia się Fordowi i jego ludziom móc się z nią kochać. Dorie tylko raz zaryzykowała opinię, że jej pomoc się przydała. Wedle Cole'a prawda wyglądała zgoła odmiennie. Gdyby zrobiła to, o co ją prosił, wyratowałby ich wcześniej.

Dorie odparła na to tylko: „Tak, kochanie” i przytuliła się do niego, czekając na następną porcję pocałunków.

Po tym, jak zabrał broń i trochę pieniędzy jednemu z graczy, wybiegł na zewnątrz, odszukał ludzi którzy chcieli zabić Forda, i sprowadził ze sobą do baru. Uznał że najlepiej będzie jeśli oni załatwią porachunki z Fordem sami. Oczywiście oznajmił Dorie, że wyświadczyła mu niedźwiedzią przysługę wykonując ten swój lubieżny, nieprzyzwoity taniec . I to rozebrana!!!

Nie dał Dorie najmniejszej szansy obrony ale po chwili zorientowała się, że jest o nią bardzo zazdrosny i nie miała zamiaru się bronić. Wiele razy wzbudzała w mężczyznach gniew, lecz nigdy zazdrość i doszła do wniosku że całkiem jej się to podoba. Uświadomiła sobie coś jeszcze. Cole dręczył się iż może podobało się jej wyśpiwywanie i rozbieranie przed tymi wszystkimi mężczyznami. Chciała się bronić, powiedzieć mu, że zrobiła to dla niego, że nie cierpiała tych męskich spojrzeń, lecz nie dał sobie nic wytłumaczyć. A później, gdy już mogła się odezwać, pomyślała sobie, że może pewna tajemniczość jest lepsza niż wyjawienie wszystkiego.

Pierwszy raz zdołała zamknąć mu usta, gdy pokazała, jak zakończyłby się jej występ w barze. Do tej pory zdążył jej kupić suknię o połowę za dużą, przykrywającą każdy cal jej ciała i kapelusz wielkości dużego koła, spod którego wcale nie było widać twarzy. Nie przerywając tyrady o tym jak to go nie usłuchała i sama naraziła się na niebezpieczeństwo, zarejestrował ich w hotelu jako małżeństwo. Gdy tylko znaleźli się w pokoju, Dorie zaczęła zdejmować z siebie ubranie warstwa po warstwie. Kiedy rozpięła trzeci guzik, siedzący na fotelu Cole zamilkł na dobre.

A teraz jechali do Latham i tuliła się do niego na wagonowej kanapce.

- Dorie, czy występowanie przed tymi wszystkimi mężczyznami sprawiło ci przyjemność? - zapytał.

Zamiast odpowiedzi, pocałowała go. Nigdy nie zamierzała wyznać mu prawdy.

- W porządku - rzekł, ale widziała, że jej milczenie wprawia go w rozdrażnienie. - Nie mów. Zamiast tego opowiedz mi o tym twoim miasteczku. Czy to coś podobnego do osady



Forda?

Dorie nie podobał się jego pełen wyższości ton, z którego wynikało, że Latham rządzi się samo. Było to dalekie od prawdy.

- Zarządzanie całym miastem to wcale niełatwa sprawa - oznajmiła. - Powiedziałam ci już, że pan Wexler nie płaci czynszu.

- A czemu to? - spytał ziewając.

- Bo wszystkie kobiety w miasteczku za nim przepadają. Nie, nie, wcale nie musisz na mnie tak patrzeć. Pan Wexler jest brzydkim karłem, ale wytwarza specyfik, za którym szaleją wszystkie kobiety. Osobiście nie uznaję tego płynu. Robię się po nim bardzo śpiąca, lecz mężczyźni dają to swoim kobietom bo ponoć po wypiciu specyfiku mówią „tak”, a już wiem że uwielbiają to słyszeć. W każdym razie pan Wexler nie płaci czynszu i za każdym razem, gdy próbuję go wykwaterować całe miasto chce spalić mnie na stosie. Naprawdę nie wiem co robić. A czemu ty się śmiejesz?

Cole, nie przestając się śmiać, przesunął nosem po jej szyi.

- Wiesz dawniej myślałem, że dobrzy ludzie różnią się od złych, ale nauczyłem się że to tylko kwestia etykietek. - Pocałował ją kilka razy Apollodoria, moja kochana. Gdy spotkałem cię po raz pierwszy, myślałem że nie potrzebujesz nikogo, że jesteś samowystarczalna. Ale z każdą minutą widzę, że bardzo ci się przydam.

- Ha! - wykrzyknęła. - To ja wyratowałam cię w tej brudnej mieścinie. Gdyby nie ja...

- Mmmm?...

Już nic nie powiedziała.